Rok z prezydentem Nawrockim podsumowuje Bartosz T. Wieliński ▸10

Koniec najmu krótkoterminowego Podróże tylko dla bogatych? ▸4

WYSOKIE OBCASY

Uciekniesz z „domu złego” – i co dalej?

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK/AGENCJA WYBORCZA.PL, SHUTTERSTOCK

MAGAZYN wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Mięso armatnie wyciąga wnioski

Czego nauczyła się rosyjska armia po 4 latach wojny ▸18

FOT. REUTERS/ANASTASIA BARASHKOVA

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 22>

Michał Suchora Po co ekolog chodzi do TV Republika ▸12

Sztuczna inteligencja Wyborcy przestraszyli Dolinę Krzemową ▸16

Judit Polgár Ile kosztuje wychowanie genialnej szachistki ▸30

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

FOT. GETTY IMAGES

Sobota – czwartek, 30 maja – 4 czerwca 2026 | Redaktor prowadzący **Marek Markowski** | Cena gazety **12,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 125.11224, 1 Nakład 70 tys. + 322 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl 995cb3273b

Liczba tygodnia

FOT. ROBERT PRANGE/GETTY IMAGES

TYS. ZŁ

– 130 tys. euro – zarobiły Maja Chwalińska, Magdalena Fręch, Magda Linette i Iga Świątek za awans do drugiej rundy Roland Garros. Zadowolona może być zwłaszcza Chwalińska, bo paryski turniej oznacza dla niej sukces nie tylko sportowy – 24-latka, która w tym roku awansowała do pierwszej setki światowego rankingu, od początku kariery zarobiła 864 tys. dol. Samo przejście eliminacji dało każdej tenisistce po 87 tys. euro. **Więcej na ▶ Sport.pl**

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Cytat tygodnia

Wciąż pozostaje długa droga do przebycia, aby na całym świecie prawa tej znacznej części społeczeństwa, którą stanowią kobiety, były rzeczywiście i wszędzie jednakowo gwarantowane

PAPIEŻ LEON XIV
we właśnie ogłoszonej encyklice „Magnifica humanitas" poświęconej AI

Andrzej rysuje

PiS coraz mniej

Rozwód z

Plan „harcerzy": sami nie odejdziemy, robimy

Wielowieyska

Jarosław Kaczyński jako lider słabnie w błyskawicznym tempie. Nie kontroluje swojego obozu, jego polecenia są ignorowane. Erozja przywództwa postępuje, a w tle rozgrywa się batalia o przejęcie PiS przez Mateusza Morawieckiego. Ostatnio uderzenie w Kaczyńskiego przyszło z najmniej spodziewanej strony: z Pałacu Prezydenckiego.

Walka frakcji „harcerzy" Mateusza Morawieckiego z frakcją „maślarzy" Przemysława Czarnka, eks-ziobrysty Patryka Jakiego i zaufanego prezesa, Jacka Sasina, toczy się od wielu miesięcy. Kaczyński do tej pory kontrolował ten i pomniejsze partyjne spory, dziś ma z tym coraz większe problemy.

Morawiecki założył stowarzyszenie Rozwój Plus. Wtedy Kaczyński zabronił swoim działaczom zakładania wszelkich stowarzyszeń, potem zakazał przyjmowania nowych członków do stowarzyszenia Morawieckiego, następnie zażądał zamrożenia stowarzyszenia Morawieckiego.

Ekspremier kompletnie to zlekceważył. Rozwija organizację, przyjmuje nowych członków, tworzy struktury regionalne, przyciągając samorządowców, bez ostentacji, ale skutecznie. „Maślarzy" krew zalewa. Zapowiadają swoje stowarzyszenie, tyle że nic z tego nie wynika.

– Dawniej po zlekceważeniu poleceń prezesa Morawiecki by wyleciał z partii, ale dziś prezes jest za słaby, dlatego udaje, że nie widzi, co się dzieje – mówi jeden z polityków PiS.

Część aktywu pociesza się, że to tylko taktyczne odpuszczenie. Przecież to nie pierwszy raz, Kaczyński już musiał ulegać działaczom w czasie drugiej kadencji u władzy, w latach 2019-23, bo bał się utraty większości. Ale gdy prezes był w opozycji, czyli w sytuacji, gdy priorytetem jest spójność partii, a nie większość w Sejmie, dla przykładu pozbywał się niesubordynowanych działaczy. Tym razem jest inaczej: rzuca groźby, ale ich nie realizuje.

•

Tymczasem w gronie „harcerzy" trwa wewnętrzna dyskusja, jaka opcja politycznie jest najbardziej opłacalna. Czy postawić na zwarcie z „maślarzami" i samym Kaczyńskim, dać się wypchnąć z PiS? Czy też konsekwentnie, znosząc nawet pewne upokorzenia, rozpychać się w partyjnych strukturach.

Bo o samodzielnym odejściu nie ma mowy. Jeśli już, to w grę wchodzi mocny bunt, w wyniku czego prezes PiS grupę Morawieckiego wyrzuca z partii. A wtedy „harcerze" zakładają szaty męczenników i tworzą ugrupowanie, które rozpoczyna nowy rozdział w historii prawicy.

Argumenty za takim rozwiązaniem są następujące: wiele lat temu na taki wariant postawił Donald Tusk ze środowiskiem liberałów, wychodząc z Unii Wolności, wówczas jednej z partii władzy. Zbudował Platformę Obywatelską od zera i odniósł sukces, choć nie był w polityce nowy. Jego stara partia, Kongres Liberalno-Demokratyczny, brała udział w rządzeniu niemal od początku wolnej Polski, jeden liderów KLD Jan Krzysztof Bielecki był premierem – i Polacy kilka lat później, gdy Tusk zakładał z jego ludźmi Platformę, nie wspominali tego rządu dobrze.

Bielecki był sprawnym szefem rządu, ale rządził w najgorszym okresie III RP i transformacji ustrojowej, w chwili, gdy entuzjazm dla przemian gospodarczych osłabł, a wyborcy boleśnie odczuli efekty bankructwa państwa, do którego doprowadziła PZPR. Ale mimo tych wspomnień Tusk odniósł sukces. Ludzie Morawieckiego też rozważali ten wariant: nowa siła, nowy napęd, nowe otwarcie.

A im więcej czasu upływa od rządów PiS, tym bardziej u wyborców zaciera się pamięć o długiej liście projektów – niewypałów Morawieckiego: elektryczna Izera, która do dziś nie wyjechała na drogi, nowoczesny pełnomorski prom, który miał powstawać w Szczecinie, elektrownia Ostrołęka... Może ludzie zapomną – zakładają „harcerze" – o zablokowaniu Krajowego Planu Odbudowy, o Nowym Ładzie w podatkach, o aferze z wyprowadzaniem pieniędzy z Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych.

•

Tyle tylko, że operację z wyjściem z partii trzeba by przeprowadzić już teraz, rok z hakiem przed wyborami parlamentarnymi, aby mieć czas na zbudowanie wizerunku nowej formacji.

Plan zakładał, że Morawiecki przejmie większość elektoratu PiS, a resztówka partii z Kaczyńskim i „maślarzami", będzie snuć się na obrzeżach. Lecz taki scenariusz niesie bardzo duże ryzyko. Może się okazać, że partia Morawieckiego i partia Kaczyńskiego będą miały po 10-15 procent, a wiadomo, że system liczenia głosów w wyborach parlamentarnych zakłada, że przyzwoita premia w mandatach dla danego komitetu pojawia się dopiero wtedy, gdy ugrupowanie ma poparcie w okolicy 20 procent. Poza tym wrogowie Morawieckiego mogliby skutecznie przekonywać wyborców, że „bankster" rozbił PiS na polecenie Tuska, a w zamian za to nie będzie miał zarzutów w aferze RARS. A nawet jak będzie miał, to jakieś tam nędzne „niedopełnienie obowiązków", którym były premier specjalnie się nie przejmie. To absurdalna teoria, lecz spora część aparatu PiS w to wierzy.

•

Dlatego we frakcji „harcerzy" coraz więcej zwolenników zyskuje inny scenariusz. Oparty na założeniu, że to mit, iż Morawiecki nie będzie w stanie przejąć całego PiS po odejściu Kaczyńskiego.

Owszem, były premier ma przeciwko sobie „maślarzy", jeszcze 2-3 lata temu typowanego na delfina eks-ministra obrony Mariusza Błaszczaka, byłą marszałek Sejmu Elżbietę Witek i wielu innych liczących się polityków, nie tylko tych związanych ze Zbigniewem Ziobrą.

Wielu znawców PiS wskazuje, że Morawiecki ma pod górkę, bo mimo upływu lat jest ciałem obcym w partii – technokratą, finansistą, do tego byłym doradcą Tuska. Że usiłuje się uwiarygodnić w twardym elektoracie PiS, opowiadając niestworzone rzeczy, co nierzadko wypada komicznie lub sztucznie i wyborcy to widzą. Podobnie jak to, że zawsze dostosowuje się do potrzeb i nie ma problemu ze zmianą poglądy.

Wszystko prawda, tylko że ci, którzy Morawieckiego chcą osłabić albo wypchnąć z partii, sami są poważnie osłabieni. Ziobro uciekł do USA, kompromitując PiS również w oczach wielu umiarkowanie prawicowych wyborców, a jego środowisko się rozpadło.

„Szeryf" jeszcze przed ucieczką pokłócił się z Jakim. Poszło o to, że były minister

1 RP

eprasa.pl 995cb3273b

Kaczyńskiego

winy prezesa

swoje i niech prezes nas wyrzuci

sprawiedliwości chciał startować z dobrego miejsca do Parlamentu Europejskiego w 2024 r. Jego żona Patrycja Kotecka miała być asystentką europosłów, małżonkowie zaplanowali życie w Brukseli, mandat w europarlamencie pasowałby idealnie. Ale Jaki nie chciał się posunąć.

Inny ważny, aktywny medialnie członek tej grupy, Janusz Kowalski, zagorzały krytyk Morawieckiego, właśnie wylądował poza PiS. Nowogrodzka dostała obszerny anonim opisujący relacje Kowalskiego z rynkiem kryptowalut. A dziś, po aferze z Zondacrypto, to parzący temat, więc Kaczyński zostawił Kowalskiemu honorowe wyjście: może sam zrezygnować z członkostwa w partii, podając dowolne wyjaśnienie.

Beata Kempa, niegdyś medialna gwiazda PiS, jedna z głównych postaci bogoojczyźnianego skrzydła partii, jest na kompletnym marginesie, jest zabezpieczona na etacie w Kancelarii Prezydenta, ale nic nie znaczy.

Proces Dariusza Mateckiego – pisowskiego zagończyka, który ma zarzuty związane z Funduszem Sprawiedliwości i Lasami Państwowymi – i jego współpracowników już się rozpoczął.

●

Przemysław Czarnek właśnie się wypala, bo jego ofensywa nie przyniosła spodziewanych wzrostów w sondażach.

A Morawiecki na partyjnych nasiadówkach mówi: „Widzicie? Jak ja byłem twarzą PiS w kampanii w 2023 roku, to może przegraliśmy, ale o włos, dostaliśmy 35 procent, a teraz po atakach na mój rząd mamy 25 procent”.

Poza tym grupa oponentów byłego premiera ma jedną fundamentalną słabość: nie ma wyrazistego lidera. Dlatego w „harcerzach” rośnie przekonanie, że Morawiecki może jednak przejąć cały PiS. Jego ludzie wierzą, że upór ich lidera i jednoczesne coraz bardziej widoczne zmęczenie i słabnięcie Kaczyńskiego sprawią, że coraz więcej ludzi będzie się orientować na byłego premiera. – Owszem, rząd Mateusza miał bardzo złe notowania, pamięć o tym jest bardzo świeża, ale przecież weźmy takiego Tuska. Ma duży elektorat negatywny, a myśmy przez osiem lat wykorzystali wszystkie instrumenty, by go zniszczyć. A on powrócił na stanowisko premiera. To dlaczego Morawiecki nie miałby wrócić? – rozumują w Rozwoju Plus.

Ludzie Morawieckiego wiedzą też, że w PiS jest masa działaczy i posłów, którzy siedzą okrakiem na barykadzie, nie trzymają ani z „harcerzami”, ani z „maślarzami”. Gdy dojdzie do przesilenia, opowiedzą się za silniejszym. Morawiecki zamierza być tym silniejszym – a partyjni pragmatycy to widzą, zdają sobie też sprawę, że ekspremier dysponuje o wiele lepszym i sprawnym zapleczem niż jego oponenci. To dobrzy organizatorzy, młodzi, energiczni, pomysłowi – i zapatrzeni w Morawieckiego. A czy ktoś jest zapatrzony w Czarnka?

Działacze, którzy siedzą okrakiem na barykadzie, zaczynają dostrzegać, że ludzie Morawieckiego to dobrzy organizatorzy, młodzi, energiczni, pomysłowi – i zapatrzeni w szefa. A czy ktoś jest zapatrzony w Czarnka?

●

Kaczyński nie chce oddać partii, zamierza nią rządzić, dopóki starczy mu sił, zdaje sobie sprawę, że Morawiecki chce mu ją po prostu odebrać. Jednocześnie wie, że wyjście „harcerzy” partię potężnie osłabi, więc pozwala dawnemu ulubieńcowi na bardzo dużo, a ten to wykorzystuje. – Prezes obawia się Mateusza, że on wbije mu nóż w plecy, a jednocześnie go ceni, uważa, że nikt w PiS nie dysponuje sprawniejszą grupą do zarządzania państwem – słyszę od jednego z działaczy.

●

A teraz jeszcze Kaczyński dostał cios, którego się nie spodziewał. Prezydent Karol Nawrocki wskazał na prezesa Sądu Najwyższego Zbigniewa Kapińskiego, neosędziego, który wygłasza często poglądy zbieżne z poglądami PiS, ale nie należy do jastrzębi w stylu Bogdana Święczkowskiego, szefa Trybunału Konstytucyjnego, wcześniej Prokuratora Generalnego u Ziobry i szefa ABW za „pierwszego PiS” w początkach stulecia.

A przecież Kaczyński na platformie X napisał otwartym tekstem: Kapiński nie może być wybrany, bo był w składzie sędziowskim w 2000 roku, który orzekł, że Lech Wałęsa nie jest kłamcą lustracyjnym.

Przeciwko Kapińskiemu występował również Sławomir Cenckiewicz, którego Nawrocki poważa i jako historyka, i swojego mentora z początków kariery w Instytucie Pamięci Narodowej.

Cenckiewicz do sprawy Wałęsy podchodzi w sposób fanatyczny, nie przyjmując, że w 2000 roku sąd nie dysponował żadnymi oryginalnymi dokumentami, które zostały odnalezione dopiero w 2016 roku w domu generała Czesława Kiszczaka, w PRL wszechwładnego szefa bezpieki i milicji.

Do ataku na prezydenta dołączyła też TV Republika, ogłaszając, że następuje „recydywa postkomunistycznej kasty sędziowskiej w Sądzie Najwyższym”.

Mimo to szef Kancelarii Prezydenta Zbigniew Bogucki przeforsował kandydaturę Kapińskiego, co wywołało awanturę w obozie PiS, która wylała się na zewnątrz – gwiazdor Republiki Michał Rachoń miotał się w szale i razem z Cenckiewiczem atakowali Nawrockiego.

A Kaczyńskiego zawiodła polityczna intuicja. Zamiast wydawać salomonowe komunikaty, za kulisami pacyfikując zwaśnione strony, dał się namówić na otwarte wystąpienie przeciwko Boguckiemu i Nawrockiemu – i zaliczył klęskę, poważnie narażając na szwank swój autorytet.

PiS nie pomogło to, że partyjną agendę i uwagę związanych z partią mediów zdominowała kłótnia o Kapińskiego akurat wtedy, gdy szeroką opinię publiczną zajmowało referendum w sprawie odwołania prezydenta Krakowa Aleksandra Miszalskiego. W interesie Nowogrodzkiej było pompowanie krakowskiej przegranej KO. Zamiast tego ekipa Kaczyńskiego pożarła się o Sąd Najwyższy. Tymczasem Morawiecki triumfuje, bo wybór prezesa SN odbył się po jego myśli. Od razu poparł Pałac Prezydencki w tej sprawie.

To kolejny dowód, że otoczenie Nawrockiego coraz częściej będzie grało z Morawieckim. Rzecz jasna na razie, bo potem mogą się pokłócić: Bogucki też ma ambicje premierowskie. Jeden efekt jednak jest bezdyskusyjny: Kaczyńskiego mało kto słucha. Kot słabnie, myszy harcują. ●

Dominika Wielowieyska

REKLAMA Kraj/34432344

Odkryj jedno z najbardziej imponujących miast Europy oraz wyjątkowy krajobraz Kapadocji – krainy jak z baśni.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot z Warszawy do Stambułu. Zakwaterowanie i kolacja powitalna. **Dz. 2** Zwiedzanie miasta: Hipodrom, Błękitny Meczet, Hagia Sophia i cysterna Binbirdirek. **Dz. 3** Meczet Sulejmana Wspaniałego, rejs po cieśninie Bosfor i Wielki Bazar. **Dz. 4** Poranek w Stambule i przelot do Kapadocji. **Dz. 5** Kapadocja. Twierdza Uçhisar, Dolina Wyobraźni, Muzeum Göreme i możliwość lotu balonem. **Dz. 6** Kapadocja. Wąwóz Ihlara, klasztor Selime i podziemne miasto. **Dz. 7** Kapadocja na własną rękę. **Dz. 8** Powrót do domu.

2 posiłki dziennie

8 dni | Wyloty z Warszawy 11/09, 18/10 2026 | od 7.498,–

Wspaniała natura pośród której odkrywać będziemy fascynującą kulturę prekolumbijską w tym tajemnicze rysunki z Nazca czy zaginione miasto Inków – Machu Picchu.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Lima. **Dz. 2** Zwiedzanie Limy: Huaca Pucllana – piramida w dzielnicy Miraflores, kolonialne centrum miasta, 2 największe place: Plaza San Martín i Plaza de Armas oraz Muzeum Larco. **Dz. 3** Cudowne wyspy Ballestas (wycieczka łodzią), oaza Huacachina i tajemnicze rysunki z Nazca. **Dz. 4** Przelot nad tajemniczymi rysunkami Nazca (wycieczka fakultatywna) oraz mumie z okresu przed inkaskiego. **Dz. 5** Przejazd wzdłuż wybrzeża Pacyfiku z Chala do Arequipa. **Dz. 6** Arequipa. Zwiedzanie kolonialnego centrum miasta z głównym placem Plaza de Armas, kościoła jezuitów La Compania i klasztoru św. Katarzyny. **Dz. 7** Arequipa – Dolina Colca: królestwo lam, wulkanów i pustynnych stepów. **Dz. 8** Kanion Colca: wspaniałe kondory i miasto Cabanaconde. **Dz. 9** Kanion Colca – Puno. Przejazd andyjskim płaskowyżem przez Sillustani w kierunku Jeziora Titicaca. **Dz. 10** Jezioro Titicaca: pływające wyspy trzcinowe plemienia Uros i wyspa Taquile **Dz. 11** Podróż pociągiem z Puno do Cusco. **Dz. 12** Zwiedzanie Cusco: świątynia Słońca Qricancha, kompleks świątynno – obronny Sacsayhuaman, tajemniczy labirynt Qenqo oraz lokalny targ. **Dz. 13** Święta Dolina Inków: osady Pisac i Ollantaytambo. **Dz. 14** Machu Picchu – „zaginione miasto Inków”. **Dz. 15** Stanowisko archeologiczne Moray i solanki w Maras, powrót do Cusco. **Dz. 16** Podróż powrotna: Cusco – Lima – Warszawa. **Dz. 17** Przylot do Warszawy.

17 dni | Wyloty z Warszawy 12/10 2026, 10/02 2027 | od 20.998,–

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8 p.
Kod reklamy: GW20

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

eprasa.pl 995cb3273b

WAŻNY TEMAT

Sześciu Szwedów skacze w windzie

Niezamożne rodziny poznające świat czy mężczyźni, którzy po tygodniu pracy w rzeźni przylatują tu odreagować? Spór o najem krótkoterminowy.

Dawid Krawczyk

Agnieszka z Krakowa nie przespała porządnie nocy od 9 lat. Za to doskonale wie, jaki dźwięk wydaje klamra od spodni rzucona na podłogę w środku nocy. Jadwiga z ulicy Szpitalnej budzi się przez dzwonek, który pijani turyści mylą z włącznikiem światła Szacuje się, że w Krakowie działa już 8-10 tysięcy ofert najmu krótkoterminowego. w Warszawie ponad 10 tysięcy. Europa od lat stara się regulować noclegi dla turystów w zwykłych mieszkaniach: Edynburg wymaga licencji, Hiszpania usunęła 65 tysięcy ofert.

Od maja obowiązują nowe unijne przepisy, ale w Polsce na razie tylko teoretycznie. W Sejmie trwają prace nad przepisami regulującymi mieszkania wynajmowane na doby. Co z tego wynika dla turystów? A co dla wynajmujących swoje mieszkania? I kto zapłaci karę 50 tysięcy złotych?

•

Czwarta nad ranem, kamienica przy Krowoderskiej w Krakowie, pięć minut pieszo do Rynku, kilkanaście od Dworca Głównego. Agnieszka budzi się zdezorientowana. Ze snu wyrwało ją trzaśnięcie drzwiami piętro wyżej. Już wie, co ją czeka. Zaraz usłyszy, jak o podłogę uderzy klamra od paska, pewnie też buty, możliwe, że monety wysypią się z portfela i polecą po panelach.

W dzień takie dźwięki zginęłyby gdzieś w ulicznym hałasie dochodzącym z okna, ale w głuchą noc brzmią, jakby ktoś podkręcił ich głośność do końca skali. Czasem do repertuaru nocnych hałasów dochodzą jeszcze mocniejsze wrażenia: głośne rozmowy, niekończące się dyskusje „po pijaku", kłótnie czy dudniąca muzyka wprawiająca sufit w drgania. – Wstawałam na równe nogi. Nie da się przespać nocy, kiedy piętro wyżej trwa impreza podlana alkoholem – mówi Agnieszka.

Krowoderska, czyli ciąg kamienic z XIX i XX wieku, opisywana jest w przewodnikach dla turystów jako ulica, na której mieści się szafirowa pracownia Stanisława Wyspiańskiego – artysta, wyglądając przez okno, malował tutaj między innymi obraz przedstawiający Kopiec Kościuszki. Umiejscowienie między dworcem a rynkiem sprawia, że po wejściu na jeden z popularnych portali z mieszkaniami na wynajem zobaczymy tu ponad setkę ofert. Dlatego dzisiaj, bardziej niż z Wyspiańskim, kojarzy się z osiemnastkami, wieczorami kawalerskimi i grupami pijanych mężczyzn przyjeżdżających się wyszumieć na weekend do Krakowa.

W ostatnich dwóch dekadach ulica przeobraziła się z typowo mieszkalnej w kombinację pseudohoteli, lokali na krótki wynajem i sypialni dla uczestników pijackich city breaków. Agnieszka kupiła tu mieszkanie trzynaście lat temu, długo remontowała, a od dziewięciu lat mieszka w nim z dwiema córkami.

– To jest po prostu horror – mówi wprost. – My jako mieszkańcy w ogóle nie jesteśmy chronieni przed tego typu patologią, która po prostu przyjeżdża, wrzeszczy, pije, narusza nasz spokój i poczucie bezpieczeństwa.

Jej kamienica miała pierwotnie cztery piętra. Ale dobudowano dwa kolejne. Wspólnota się zgodziła w zamian za to, że inwestor położy nowy tynk na elewacji. Problem w tym, że wspólnota jest zależna od osób mających w budynku mieszkania na krótki wynajem, które dziś stanowią większość.

Mieszkanie bezpośrednio nad lokalem Agnieszki miało 180 metrów. Właściciel podzielił je na dwa. Według ogłoszeń w każdym może kwaterować dwanaście osób. Przy pełnym obłożeniu, o które nietrudno w Krakowie, to oznacza 24 pary butów uderzających o podłogę nad głowami Agnieszki i jej córek.

•

Spis nocnych brewerii z ostatnich dziewięciu lat Agnieszka nosić będzie w pamięci długo. – Sześciu imprezujących Szwedów wsiadło kiedyś do windy. Wjechali na samą górę i zaczęli w kabinie skakać. Winda zjechała w dół, do minus pierwszego. Ale drzwi się nie otworzyły. Alarm wył całą noc, bo nikt nie przyjeżdżał ich wypuścić.

Hałas to niejedyny problem. Mieszkańcy kamienicy nie raz i nie dwa bali się o bezpieczeństwo. Agnieszka ma dwie córki. Turyści zaczepiali je w bramie,

eprasa.pl 995cb3273b

padały propozycje: „Chodźcie z nami do pokoju”, „No, chodźcie, dziewczyny, na drinka”.
– Czasami dzwoniły do mnie, schodziłam na dół i wprowadzałam je do domu. Bałam się tych, co tutaj przyjeżdżają. Proszę zrozumieć, o kim tu jest mowa: to nie są jacyś uprzejmi ludzie, tylko mężczyźni, którzy przyjeżdżają po całym tygodniu pracy przy rybach albo w innej rzeźni imprezować i chlać – tłumaczy Agnieszka.

Mówi, że wystarczy spojrzeć na to, co wnoszą w reklamówkach do mieszkań, które wynajmują. – Jak przyjechała banda takich Norwegów, to poza alkoholem mieli tylko mleko, jakieś serki i ręczniki papierowe. Mleko na kaca. A papier do wycierania wymiotów. Innym razem przez okno na piątym piętrze poleciały krzesła. Akurat wtedy to byli Anglicy.

Kiedy indziej trzech mężczyzn, którzy wcześniej imprezowali na piętrze nad nią, przed wymeldowaniem się dorobiło sobie klucze. Wrócili po dwóch tygodniach. Sprawdzili, że nikogo nie ma w mieszkaniu. Weszli i zaczęli libację. Słychać było butelki walające się po podłodze, krzyki, dudnienie po deskach. Dwóch wyszło do Żabki, kiedy skończył się alkohol. Kiedy wracali, pod kamienicą stała już policja – wezwana przez sąsiadów, którzy nie mogli znieść hałasu. – Ten jeden, co został w środku, zaczął płakać przez drzwi – opowiada Agnieszka.
– Błagał, żeby go policja nie spisywała, że on teraz sobie pójdzie. A kolegów miał takich, że jak zobaczyli, że stoi patrol, to uciekli.

Sytuacja z trójką imprezowiczów i dorobionym kluczem to nie tylko tragikomiczna anegdota, ale również punkt zwrotny w historii lokalu na krótki wynajem nad jej głową. Po tym zdarzeniu adwokat wynajęty przez Agnieszkę napisał właścicielowi pismo: zagroził, że jeśli sytuacja się powtórzy, złoży wniosek o wyłączenie go ze wspólnoty i w ten sposób zmusi do sprzedaży mieszkania.

Zadziałało, właściciel przerzucił się na najem długoterminowy. – Jest lepiej, ale i tak nie mamy szczęścia, bo wynajmuje jakiś pan, który uprzykrza nam życie. Nieświadomie, ale proszę sobie wyobrazić, że w pokoju ma bieżnię. Każdy krok to uderzenie – opowiada Agnieszka.

Ale jedno mieszkanie wiosny nie czyni, reszta lokali pozostała w serwisach z kwaterami. Dalej więc czasem pod bramą wejściową robi się mały korek. – Jak ja widzę, że tam z domofonem walczą jacyś ludzie z walizkami, to czasem muszę zrobić sobie spacer dookoła budynku, bo inaczej bym ataku paniki dostała – mówi Agnieszka.

I kolejny problem: zniszczenia na klatce schodowej. Czasem czuć kwaśny zapach piwa, a buty przyklejają się do lepkich plam zostawionych w nocy. Drzwi wejściowe do kamienicy są permanentnie zepsute.

– Bo wchodzą z buta, kopniakiem – tłumaczy Agnieszka. – Rozbijają szyby. A płacimy my jako mieszkańcy za naprawę.

Ani Agnieszce, ani jej sąsiadom nikt nie musi tłumaczyć, ile kosztuje sąsiedztwo mieszkań na krótki wynajem. Choć ostatnio dowiedziała się, jaka to cena. Rodzice znajomego córki byli zainteresowani lokalem właśnie w tej kamienicy. Nie mieli świadomości, co się dzieje w nocy. Kiedy córka opowiedziała koledze, do czego potrafi dochodzić na klatce, jego rodzice zapytali właściciela o zniżkę. – Sprzedający bez dyskusji zszedł 60 tysięcy – kwituje Agnieszka.

W ciągu ostatnich dziewięciu lat pisała do administracji. Dzwoniła na policję. Wynajmowała adwokata. Wypowiadała się też dla lokalnych mediów. Po publikacji przeszła do lektury komentarzy, gdzie przeczytała „Wyprowadź się, jak ci się nie podoba”. „Wyprowadź się za miasto, nie musisz tu mieszkać”. „Tak wygląda życie w centrum”.

– Nigdy nie pojawiła się myśl, żeby naprawdę się wyprowadzić? – pytam. – Nie – odpowiada bez wahania. – Z tego względu, że wiem, że to ja mam rację.
A to, co się wyprawia, to nie jest normalne, to jest patologia.

●

Kilkaset metrów od mieszkania Agnieszki, po drugiej stronie Barbakanu, bliżej rynku, na Szpitalnej, rozgrywają się podobne dramaty.

Środek nocy. Drzwi do kamienicy zamykają się za plecami młodego mężczyzny wracającego chwiejnym krokiem z imprezy. Sień i klatka schodowa toną w ciemności. Turysta wyciąga z kieszeni telefon, podświetla ścianę, idzie po omacku w stronę włączników. Klika w jeden z nich. Nic. Klika jeszcze raz. Dalej ciemno. Za trzecim razem uderza w przycisk z całych sił, jakby brak światła miał jakikolwiek związek z siłą uderzenia.

W mieszkaniu Jadwigi właśnie rozbrzmiewa trzeci głośny gong. Stary metalowy dzwonek, podobny do tych, które wyznaczały początek i koniec przerw w szkołach, drga coraz głośniej. – Pobudka po takim gongu w środku nocy jest jak zawał serca – mówi Jadwiga. W jej kamienicy włącznik światła na klatce i przycisk dzwonka do mieszkania wyglądają podobnie, ale wiszą w różnych miejscach. Każdy mieszkaniec dobrze wie, który jest który. Zawiany turysta, który wraca po nieprzespanej nocy w klubach na Floriańskiej, nie wie.

W 2019 roku, po kilku zarwanych z rzędu nocach, Jadwiga pierwszy raz pomyślała o wyprowadzce. A tak naprawdę o mieszkaniu w miejscu, w którym wszyscy szanowaliby ciszę nocną, a na klatce nie trzeba byłoby się potykać o niedopite butelki z piwem. Ale tak jak myśl szybko przyszła, tak szybko odeszła. – Pomyślałam sobie tak: dlaczego ja jako osoba, która tu przyszła na miejsce moich dziadków, Krakusów, mam się wyprowadzać z jedynego zakątka, w którym można się poczuć jak w Krakowie? Bo teraz na tych wszystkich nowych osiedlach to można równie dobrze mieszkać w każdym innym miejscu na świecie. Globalizacja sprawiła, że wszystkie nowo wybudowane budynki i dzielnice wyglądają tak samo. Nie ma takiej możliwości, nie wyprowadzam się – mówi Jadwiga.

Kamienica na Szpitalnej ma mniej niż dziesięć mieszkań. Sąsiadów Jadwiga zna z imienia i nazwiska, ale przede wszystkim zna ich rytmy dnia. Wie, kto pracuje na nocnych zmianach, a kto wstaje o szóstej. – W takiej kamienicy panuje rodzinna atmosfera, nie jesteśmy dla siebie anonimowi – tłumaczy. – Zdarza się czasem jakaś czarna owca, ale najczęściej pozostajemy w bardzo dobrych relacjach. Wiem, że jak będę miała wieczorem urodziny, mogę zejść do sąsiadów i powiedzieć: „Słuchajcie, dzisiaj będzie głośniej, wybaczcie”. I nikt nie robi problemu.

Lokal przez ścianę z mieszkaniem Jadwigi długo stał pusty z powodu spraw spadkowych. Kiedy się skończyły, sąsiadka próbowała wykorzystać go w różnych formułach – wynajmowała na długi termin, później na krótki czas, znowu na długi. W końcu podpisała umowę z firmą zarządzającą i wystawiła mieszkanie na portalu dla turystów – pięć miejsc noclegowych. W ogłoszeniu zaznaczyła, jak zaznaczają tysiące właścicieli podobnych lokali: „Zakaz imprez i wieczorów kawalerskich”. – Ale turysta przyjeżdża tutaj na parę dni i czuje się kompletnie anonimowy – mówi Jadwiga. – Nawet jeżeli coś narozrabia, przyjedzie policja, to on i tak wyjedzie.

Kiedyś przyjechała grupa Anglików, którzy postanowili wykorzystać klatkę schodową jak plac zabaw. – Mamy akurat dosyć kwiatową klatkę – opowiada Jadwiga. – Urządzili sobie taką zabawę, że wylewali wodę z doniczek. Zrobili sobie śmigus-dyngus. Jadwiga wyszła w środku nocy. Uciszyła ich zdecydowanie, ale kulturalnie. Anglicy następnego dnia chodzili po kamienicy w samych skarpetkach, żeby nie sprawiać hałasu. Po trzech dniach wyjechali, a do mieszkania weszli kolejni.

– I na tym polega cały problem. Co z tego, że się dogadamy na coś z jedną grupą, jak za kilka dni jest nowa i wszystko od początku.

Okolice Szpitalnej w Krakowie przez 20 lat kompletnie się przeobraziły. Najpierw galerie handlowe – Krakowska, a potem Kazimierz – wymiotły ze Starego Miasta sklepy z butami, odzieżą i artykułami szkolnymi, do których dawniej przyjeżdżało się z całego miasta. Później wycofywały się kolejne usługi. Zostały hotele, restauracje, dyskoteki.

Kilkadziesiąt metrów od mieszkania Jadwigi stoi należąca do Pekao kamienica z witrażami Józefa Mehoffera. Bank wystawił ją niedawno na sprzedaż. Z drugiej strony budynku znajduje się ogród. Jadwiga się obawia, że w jego miejscu powstanie kolejny hotel. – Czyli kolejna zamknięta przestrzeń, do której przeciętny mieszkaniec nie wejdzie.

Jadwiga z grupą sąsiadów ze Starego Miasta i Kazimierza założyła stowarzyszenie. Nazwali je Dobra Noc Kraków. Chcą uświadomić urzędników i mieszkańców, że hałas jest takim samym problemem zdrowotnym jak smog. Mieszkanki centrum zaczęły kręcić w nocy filmy z balkonów: zataczające się grupy pod oknami, krzyki na rogach ulic, dyskotekowe taksówki przejeżdżające Floriańską z muzyką na pełen regulator. – Świadomość rośnie – mówi Jadwiga. – Natomiast hałas wciąż jeszcze nie jest brany za problem jako taki. Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak mocno wpływa na zdrowie.

Ona ostatnio śpi lepiej, bo sąsiednie mieszkanie od półtora roku jest wynajęte na długi termin. – Może sąsiadka policzyła, że nie opłaca jej się remont po każdej kolejnej grupie turystów – mówi Jadwiga.

●

40-letnia Grażyna, architektka, układa ubrania w walizce rozłożonej na łóżku w mieszkaniu na warszawskiej Saskiej Kępie. Za kilka godzin razem z mężem jadą na lotnisko, skąd polecą na kilkudniowy wypad do Szkocji. W telefonie ma zapisany adres noclegu i ściągniętą aplikację, w której po 15 uaktywni się wirtualny klucz pozwalający na otwarcie drzwi do pokoju.

Pierwszy raz od dawna nie korzysta z mieszkania na krótki wynajem – tym razem będzie spać w jednym z pokoi z aneksem w starej kamienicy całej przerobionej na noclegi. Kwaterę pod Edynburgiem zarezerwowała bezpośrednio przez stronę internetową, bo było taniej. Mieszkania na Airbnb i Bookingu w stolicy Szkocji były po prostu za drogie – w limicie 500 złotych za noc nie znalazła żadnych sensownych opcji.

– Z reguły lubię być niezależna – mówi i sprawdza, czy spakowała wszystkie ładowarki. – Dlatego w grę wchodzą mieszkania wynajmowane w całości dla nas. Mamy wtedy kuchnię, możemy sobie ugotować obiad, zrobić śniadanie. Takie typowe hotele z setkami pokoi są bezduszne, staram się unikać ich za wszelką cenę i od lat mi wychodzi.

Z mężem wyjeżdża średnio trzy razy w roku za granicę i kilka razy po Polsce. Lata do Portugalii, Hiszpanii, Włoch i prawie zawsze nocleg rezerwuje przez aplikacje z ofertami najmu krótkoterminowego. – Z reguły wybieramy Europę, miasteczka albo miasta, raczej nie odludzie. Przeważnie nawet nie myślę o tym, czy czuję się bezpiecznie, co po prostu musi świadczyć o tym, że jest tam bezpiecznie i nie zaprząta to mojej głowy – tłumaczy Grażyna.

Wyjątkiem od tych dobrych doświadczeń był nocleg w Livorno w dzielnicy Nowa Wenecja. – Była bardzo ży-

Polska na wynajem

2644
• **osoby**
Były w 2024 r. zameldowane na stałe ka krakowskich Plantach. Dwie dekady wcześniej – 4500.

21 mln
• **osób**
odwiedziło Warszawę w 2024 r. W stolicy mamy ponad 10 tys. mieszkań krótkoterminowych. W Krakowie to odpowiednio: 15 mln i 8 tys.; we Wrocławiu 6,6 mln i 3,5 tys., w Gdańsku 4,5 mln i 6,5 tys., w Poznaniu 5,3 mln i 4,3 tys.

o 203 proc.
• wzrosła na platformach noclegowych liczba rezerwacji w Polsce w latach 2018–25. To drugi wynik po Rumunii

o 24 proc.
spadła liczba mieszkań na wynajem krótkoterminowy w Barcelonie od 2018 roku. Czynsze wzrosły o 37 proc.

Na Rynku we Wrocławiu. Kibice Real Betis w staciu z kibicami Chelsea F.C, 28.05.2025
FOT. KRZYSZTOF ZATYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 995cb3273b

wa. W ciągu dnia wszystko było dobrze, dużo młodych ludzi, trochę turystów, kawiarnie. Wieczorem zresztą też mieliśmy przyjemny gwar rozmów pod oknem.

Problem leżał w tym, że kamienica, w której wynajęli mieszkanie, była niemal cała w remoncie. Klatka schodowa zupełnie pusta, bez drzwi, gołe ściany i tylko ich lokal na górze gotowy do zamieszkania. Cena w porównaniu z wysokim standardem faktycznie była niska, około 220 złotych za noc, ale w ogłoszeniu ani śladu o trwającym remoncie. – Miałam dziwne wrażenie, że kiedy nas nie ma, ktoś może wejść do tego mieszkania. Albo że już tam jest – dodaje.

Pierwszej nocy odkryła, że za zamkniętymi drzwiami szafy znajduje się całe pomieszczenie, do którego nie mają dostępu. – Nie mogłam tej nocy zasnąć. Moja głowa produkowała różne scenariusze. Że ktoś mógł się tam schować, poczekać, aż zaśniemy, wyjść i nas okraść. Taki pusty budynek potrafi działać na psychikę w bardzo dziwny sposób.

Grażyna uważa, że gdyby w tym budynku była mała recepcja, ktoś w holu, kto wie, kto wchodzi i o której się zamyka bramę, czułaby się bezpieczniej.

Pytam, czy wyobraża sobie mieszkanie w miejscu, w którym zostałyby rzeczy gospodarza: ciuchy w szafie, książki, jedzenie w lodówce. Takie lokale były normą w pierwszych latach platform do wynajmu krótkoterminowego: ktoś wyjeżdżał na trzymiesięczne stypendium, zostawiał klucze znajomemu, który podnajmował mieszkanie turystom.

– Z obcą osobą miałabym chyba problem. Bałabym się, że coś zniszczę. Albo nawet jak ja nic nie zrobię i coś zginie, to zostanę później obciążona odpowiedzialnością – mówi Grażyna.

– A gdyby było taniej? Nie ma takiej ceny, która by cię zachęciła? – pytam.

– Może gdybym bardzo chciała gdzieś pojechać. Słyszałam, że w Nowym Jorku jest ogólnie drogo, a chciałabym kiedyś zobaczyć to miasto. Ale mam opory. Gdyby to był ktoś spokojny, komunikatywny, z kim mogłabym wcześniej porozmawiać chociaż chwilę, to wzięłabym to pod uwagę – odpowiada Grażyna.

Fakt, że nie mogła znaleźć mieszkania na krótki wynajem w Edynburgu, które byłoby w jej podróżniczym budżecie, może nie być jedynie kwestią różnic między polskim portfelem a szkockimi kosztami życia.

We wrześniu 2022 rada miasta Edynburg z całego jego obszaru zrobiła pierwszą w Szkocji „strefę kontroli najmu krótkoterminowego". Wynajem mieszkania, które nie jest głównym domem właściciela, na cele turystyczne jest traktowany jako zmiana funkcji lokalu i wymaga osobnego pozwolenia. Długi okres wdrożeniowy zakończył się w styczniu 2025: od tamtej pory nikt nie może wynająć mieszkania turyście na doby bez licencji. A prowadzenie wynajmu bez odpowiednich zezwoleń jest przestępstwem zagrożonym grzywną do 2,5 tysiąca funtów. Rada miasta chwali się, że na koniec 2023 roku z platform zniknęło w porównaniu z rokiem 2019 około 3,3 tysiąca mieszkań wystawianych na krótki wynajem.

Pytam Grażynę, czy jeśli inne europejskie miasta pójdą w ślady Edynburga, a apartamenty zaczną kosztować tyle co hotel, to zrezygnuje z podróżowania.

– Najpierw sprawdziłabym pewnie ofertę butikowych hoteli z dala od centrum, nawet w innym, mniej popularnym miasteczku, ale z dobrym dojazdem koleją, tak jak teraz będziemy mieszkać w Szkocji. Następnie jakieś pensjonaty. A jak by się okazało, że nie mieści się to w moim budżecie, to dalej bym kombinowała. Jestem żeglarką, nie boję się spać w namiocie. Wzięłabym samochód i zrobiła rundę po polach biwakowych. Po prostu musiałbym być bardziej twórcza w planowaniu podróży – mówi Grażyna.

●

Chwilę przed południem Adam wchodzi do kawalerki w kamienicy przy Placu Solnym we Wrocławiu. To ścisłe centrum starego miasta, w bezpośrednim sąsiedztwie Rynku. Musi zabrać pościel do pralni, uprzątnąć mieszkanie. Przekręca klucz, otwiera drzwi i drażniący zapach uderza go w nozdrza. Papierosy. Nie ma najmniejszych wątpliwości – goście, którzy wymeldowali się przed chwilą, musieli palić mimo wyraźnego zakazu w zasadach pobytu. Tytoniowy dym wszedł w zasłony, wykładziny, kanapę. Jedyny sposób, żeby się go pozbyć, to ozonowanie. Koszt takiej usługi w trybie ekspresowym to około 800 złotych.

Adam wyciąga telefon, robi zdjęcia paczki papierosów zapchanej popiołem i zgniecionymi petami, które goście nieopatrznie zostawili w śmietniku. Czeka go chwila prawdy: sprawdza, przez którą platformę doszło do rezerwacji. – W jednej wystarczyło, że opisałem problem, załączyłem zdjęcia zniszczeń, przesłałem fakturę za naprawę, a serwis obciążał tym kosztem klienta i wypłacał mi kasę. W drugiej domyślnie priorytetem był interes i zadowolenie klienta, więc sam musiałem płacić za wszystkie szkody – opowiada. Tym razem miał szczęście, dostał zwrot.

ki razy wyprać w stu stopniach i dalej będzie jak nowy. Gdybyśmy kupili najtańszą pościel, taką, wiesz, tańszą niż z IKEI, to szybko wyglądałaby tak, że nie chciałbyś pod tym spać – tłumaczy Adam.

– Sprawdzaliście, jak wygląda sąsiedztwo mieszkań, które wynajmowaliście? – dopytuję.

– Czasami nie było co sprawdzać, bo na Rynku praktycznie nie było już mieszkańców, tylko jakieś usługi i biura. Ale szczerze mówiąc, to nie, i przez te dwa i pół roku szczęśliwie nie mieliśmy żadnego konfliktu z sąsiadami ani wspólnotami mieszkaniowymi. Tylko trzeba pamiętać, że jeszcze kilka lat temu Wrocław nie był tak zalany mieszkaniami pod turystów, jak dziś.

Adam nie lekceważy problemów, które mają mieszkańcy kamienic w historycznych centrach miast z turystami. – Szczerze, to sam bym nie chciał mieszkać obok takiego lokalu. Dobrze zdaję sobie sprawę z tego, jakie są skutki. Robi się taka spirala, lokale zajmują turyści, wyprowadzają się mieszkańcy, więc czynsze idą do góry. A skoro idą do góry, to jest jeszcze

Pandemia była bezpośrednim powodem zamknięcia ich biznesu, ale nie jedynym. – Wtedy najem krótkoterminowy nie miał jeszcze w Polsce złej prasy, ale śledziłem to, co dzieje się na Zachodzie, choćby w Hiszpanii. Regulacje w Polsce były kwestią czasu. A my nie chcieliśmy być drobnymi ciułaczami, tylko rozwijać naszą firmę. Tylko że inwestowanie swojego czasu, pieniędzy i energii w tak niepewną branżę po prostu przestało być sensowne – tłumaczy Adam.

Po pandemicznym zastoju wybuchła pełnoskalowa wojna w Ukrainie. Dla Polski oznaczało to przybycie dziesiątek tysięcy uchodźców i uchodźczyń, którzy musieli gdzieś spać – zamożniejsi nie korzystali ze zbiorowego zakwaterowania w salach gimnastycznych i halach targowych pod Warszawą, tylko wynajmowali mieszkania przez platformy. Branża raz dwa wywindowała ceny i w kilka miesięcy odbiła sobie sporą część covidowych strat. Czemu Adam nie był zainteresowany powrotem do wyczerpującego, ale nieskomplikowanego, a opłacalnego biznesu?

• Rząd skrytek na klucze do apartamentów dla turystów. Klatka schodowa kamienicy na Placu Szczepańskim w Krakowie
FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Na platformach wynajmu krótkoterminowego nie tylko gość może ocenić lokal, ale też właściciel może ocenić gościa. – Zgadza się, ale to przecież jest fikcja. Nawet jak ocenię negatywnie kogoś, kto palił w mieszkaniu, zrobił imprezę i zarzygał kuchnię, to przecież on może usunąć konto i założyć nowe, a jak to nie będzie możliwe, to przy następnym wyjeździe poprosi kolegę, żeby zrobił rezerwację – kwituje Adam.

W biznes wynajmu mieszkań na doby wszedł 8 lat temu, zanim skończył trzydziestkę. Z kolegą ze szkoły założyli firmę i wyłożyli pieniądze na wynajem trzech lokali. Oferty w atrakcyjnych turystycznie częściach miasta znaleźli na portalu z ogłoszeniami. Nie ukrywali zamiarów przed właścicielami. – Oni nie mieli z tym żadnego problemu, bo i tak byliśmy dla nich bardziej wiarygodni niż na przykład studenci. Z którymi też mogliby podpisać umowę na rok, ale co z tego, że umowa jest na długi termin, jak się jeden z drugim pokłóci albo straci robotę i wyprowadzi? Widzieli, że jesteśmy poważni i opłacalni. Mieliśmy w umowach zapisane, że zgadzają się na podnajmowanie – podkreśla Adam.

W niecałe trzy lata działalności doszli do 9 mieszkań. Obowiązków było tyle, że składały się na pracę na pełen etat. Zwłaszcza że zależało im na wysokim poziomie usług. – Na same pościele i prześcieradła wydaliśmy jakieś 20 tysięcy, bo to była jakość hotelowa. Z grubego, wytrzymałego materiału, który możesz set-

więcej lokali pod turystów, a mniej mieszkańców. Upadają warzywniaki, salony fryzjerskie i wszystkie inne osiedlowe usługi, a zostają tylko Żabki i budy z kebabami.

Jeszcze kilka lat temu sam był częścią tego procesu i na nim zarabiał. Dzisiaj jest zwolennikiem surowych regulacji najmu krótkoterminowego. – Wtedy też dobrze wiedziałem, na czym to polega i nie jest tak, że jakoś radykalnie zmieniłem poglądy. Po prostu uważam, że sensowne regulacje polegają na tym, żeby kondycja miasta nie zależała od widzimisię turysty, który tu przyjeżdża, czy od świadomości przedsiębiorców. Dopóki będzie można robić taki biznes, to będą ludzie, którzy będą starali się na nim zarobić – tłumaczy. Według niego sensowną alternatywą dla mieszkań w kamienicach i blokach podnajmowanych na doby oraz tradycyjnych hoteli mogłyby być wydzielone piętra w budynkach pod turystów, odpowiednio odizolowane od reszty albo całe kamienice funkcjonujące jako tak zwane hotele butikowe.

W marcu 2020 roku Adam ze wspólnikiem usiedli nad arkuszem kalkulacyjnym. Granice właśnie się zamykały, a w newsach dominował temat pandemii koronawirusa i kolejnych lockdownów. Ruch turystyczny zamarł. Decyzję podjęli szybko: wypowiedzieli najem wszystkich 9 mieszkań. – Nie wiedzieliśmy wtedy, ile to będzie trwało. Miesiąc, dwa, czy pięć lat. Nie było sensu ryzykować i płacić za puste lokale – tłumaczy.

Z turystyki, która wydawała mu się zbyt niestabilna, przeszedł do branży transportowej. W dużej międzynarodowej korporacji zajmuje się opracowywaniem i wdrażaniem innowacji, które mają pozwolić firmie dostosować się do przyszłości, w której samochody spalinowe będą miały ograniczony wjazd do centrów miast. Jest przekonany, że to bardziej przyszłościowe i nie tęskni za czasami, kiedy w pośpiechu szukał specjalisty od ozonowania mieszkań we Wrocławiu.

●

Kraków co roku odwiedza około 15 milionów osób, a na platformach najmu krótkoterminowego według szacunków działa 8 tysięcy mieszkań skoncentrowanych głównie na Starym Mieście i Kazimierzu.

Warszawę w 2024 roku odwiedziło rekordowe niemal 21 milionów gości, a na platformach najmu krótkoterminowego dostępnych jest ponad 10 tysięcy ofert skoncentrowanych głównie w Śródmieściu i okolicach centrum.

Wrocław przyciągnął 6,6 miliona turystów i oferuje blisko 3,5 tysiąca mieszkań na wynajem krótkoterminowy – to głównie okolice Rynku i Ostrowa Tumskiego.

Gdańsk odnotował 4,5 miliona osób, a na platformach z wynajmem mieszkań działa tam ponad 6,5 tysiąca ofert koncentrujących się na Starym Mieście oraz nad Motławą.

Poznań to 5,3 miliona gości, a w centrum miasta funkcjonuje około 4,3 tysiąca aparta-

eprasa.pl 995cb3273b

mentów na wynajem krótkoterminowy, głównie wokół Starego Rynku.

W październiku zeszłego roku Airbnb opublikował raport: „Airbnb w Polsce: analiza korzyści gospodarczych i wpływu na rynek mieszkaniowy". Najpopularniejsza platforma wynajmu krótkoterminowego stwierdza w nim, że „wpływ Airbnb na rynek mieszkaniowy jest znikomy". Lokale wystawione jako całe mieszkanie – czyli nie, na przykład, pokój w domu u gospodarza – wynajmowane krótkoterminowo przez co najmniej 90 nocy w roku stanowią w Krakowie 0,46 procent całego zasobu mieszkaniowego. Najwięcej w Polsce, ale w skali miasta wciąż wydaje się niewiele.

Sprawa jednak się komplikuje, kiedy zajrzymy do danych Wydziału Spraw Administracyjnych Urzędu Miasta Krakowa. Wewnątrz Plant, w historycznym jądrze miasta, na niecałym kilometrze kwadratowym pod koniec 2024 roku były zameldowane 2644 osoby. Dwie dekady wcześniej około 4500. Liczba mieszkań nie zmalała, a wyludnienie to jeden ze skutków przeobrażenia centrum miasta w miejsce pod turystów.

Kraków jest polskim liderem w branży najmu krótkoterminowego, ale popularność platform oferujących mieszkania na doby rośnie w całym kraju. Polski Instytut Ekonomiczny, powołując się na dane Eurostatu, podaje, że między 2018 a 2025 rokiem Polska zaliczyła drugi po Rumunii pod względem szybkości w Unii wzrost rezerwacji noclegów platformowych – aż o 203 procent, przy unijnej średniej wynoszącej 113 procent.

Z kolei dane przygotowane przez zespół DELab Uniwersytetu Warszawskiego pod kierunkiem doktora Kristófa Gyódiego dla Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy pokazują, jak wygląda rzeczywistość wynajmu na platformach internetowych. Ogromna większość – 86 procent – to całe mieszkania wynajmowane na okrągło turystom, a nie pokoje w domu u gospodarzy. – Głównym wyzwaniem jest dostępność mieszkań dla lokalnych mieszkańców. Najem krótkoterminowy może skutkować wyższymi cenami najmu oraz nieruchomości – komentował po badaniu dr Gyódi w serwisie naukowym UW.

W Europie Zachodniej dyskusja o najmie krótkoterminowym jest w zupełnie innym miejscu, bo zjawisko rozkręciło się znacznie wcześniej, a skala problemów też jest większa.

Berlin wprowadził pierwsze przepisy ograniczające wynajem krótkoterminowy już w 2014 roku, Amsterdam, Paryż i Florencja dołączyły w kolejnych latach, Edynburg wdrożył swoją strefę kontroli w 2025 roku, a Barcelona – symbol walki z masową turystyką – zapowiedziała wygaszenie wszystkich licencji najmu krótkoterminowego do 2028 roku. To właśnie stolica Katalonii, która próbuje cofnąć trend co najmniej od 2014 roku, została uznana przez media i komentatorów za laboratorium oraz symbol walki z główną patologią taniej masowej turystyki w jednym. Jej skuteczność widać w liczbach, które podaje sam newsroom Airbnb w komunikacie z maja zeszłego roku: między 2018 a 2024 rokiem liczba ofert platformy w Barcelonie spadła o 24 procent.

W tym samym dokumencie Airbnb podkreśla jednak, że czynsze w mieście wzrosły wtedy i tak o 37, a w całej Hiszpanii o 9 procent – ma to być zdaniem serwisu argument dowodzący, że to nie wynajem krótkoterminowy winduje komorne.

•

Kraków był jedną z pierwszych polskich tak zwanych destynacji, które odkrył zachodni masowy turysta epoki weekendowych city breaków. Wieść gminną o tanim i intrygującym miejscu – bo w „dzikiej" Europie Wschodniej, a zupełnie jak belgijskie czy niemieckie średniowieczne miasta – niosły właśnie rozkręcające się serwisy społecznościowe, a wzmacniały pełne zachwytów artykuły i reportaże telewizyjne. Na co nałożyło się Euro 2012, czyli mistrzostwa Europy w piłce nożnej, których byliśmy współgospodarzami z Ukrainą. Kibice wracali zachwyceni przyjazną atmosferą, niskimi cenami, nieoczekiwanymi zabytkami, tanim piwem i gastronomią. A Polska zyskała znaczenie na turystycznej mapie tanich linii lotniczych.

Inwestorzy zaczęli kupować i remontować na Kazimierzu całe kamienice właśnie pod kątem wynajmowania ich turystom. Z czasem zaczęły wyrastać budynki, w których wspólnota mieszkaniowa od początku składała się wyłącznie z lokali na wynajem, bez ani jednego stałego mieszkańca. – Miasto z jednej strony czerpie z tego, że stało się marką turystyczną. Ruch turystyczny sprawił, że przeprowadzono remonty w historycznych częściach, na przykład odnowiono prywatne kamienice, które nie kwalifikowały się do dofinansowania. Natomiast w pewnym momencie zrobiło się to dla stałych mieszkańców tak uciążliwe, że w niektórych okręgach wyborczych brakuje ludzi do wyboru radnych. Na takim terenie przestaje w ogóle istnieć wspólnota mieszkańców – mówi mi Hanna Milewska-Wilk z Instytutu Rozwoju Miast i Regionów.

– Czy w Polsce realnie mamy do czynienia z problemami spowodowanymi popularnością najmu krótkoterminowego? – pytam specjalistkę do spraw mieszkalnictwa.

Powód był prosty. Turyści z wynajętych mieszkań w okolicy już zaczynali przeciągać po dziedzińcu walizki na kółkach i powodowali hałas.

•

Pierwsze oferty w serwisie Airbnb pojawiły się w 2007 roku, blisko dwie dekady temu. W Polsce platforma ruszyła na przełomie 2011 i 2012 roku. Według idei założycielskiej miała służyć do podnajmowania prywatnych mieszkań na czas wyjazdu na delegację, stypendium czy wakacje – na zasadzie: mam wolne mieszkanie przez kilka tygodni w ciągu roku, to udostępnię je komuś, może turystom.

Dzisiaj oferty funkcjonujące w ten sposób to margines tego, co można znaleźć na portalu. Według ekspertki zmniejszać będzie się też liczba właścicieli jednego czy dwóch mieszkania na wynajem, rynek zaczną przejmować operatorzy, czyli firmy zarządzające wieloma lokalami.

– Każda podwyżka pensji minimalnej sprawia, że najem krótkoterminowy jest mniej opłacalny. Trzeba płacić ludziom za sprzątanie, wypranie pościeli, doglądanie lokalu – mówi Milewska-Wilk. – Duże hotele sobie z tym radzą. Rozwijają sektor eventowo-konferencyjny. A drobni gospodarze nie mają żadnych szans poza obniżaniem ceny. W tej chwili dla kogoś, kto nie ma dziesięciu mieszkań na wynajem, tylko jedno lub dwa, to biznes praktycznie nieopłacalny – dodaje.

Agnieszka, mieszkanka ulicy w turystycznym sercu Krakowa, ma dwie córki. Turyści zaczepiali je w bramie, padały propozycje: „Chodźcie z nami do pokoju", „No, chodźcie, dziewczyny, na drinka"

Okazuje się, że na dobrą sprawę nie znamy nawet prawdziwej skali zjawiska.

– Większość gmin nie prowadzi ewidencji obiektów noclegowych tego rodzaju – tłumaczy ekspertka. – A ona powinna być prowadzona od początku XXI wieku. Taki obowiązek został wówczas wprowadzony w związku z rozwojem agroturystyki.

Kiedy z budżetu Unii Europejskiej przestały płynąć pieniądze na promocję regionów, ewidencje obumarły razem z promocją agroturystyki.

– Prowadziłam dziesięć lat temu szkolenia dla właścicieli mieszkań na wynajem, w tym krótką sekcję o najmie na doby. Mówiłam: „Trzeba się zgłosić". I bardzo często po takich szkoleniach dostawałam informację: „Poszłam do mojego urzędu gminy, zapytali, czy mam więcej niż dziewięć miejsc noclegowych. Powiedziałam, że mam sześć, to się dowiedziałam, że mogę sobie iść i nic nie zgłaszać" – opowiada Milewska-Wilk.

Najem krótkoterminowy stał się częścią codzienności wielu mieszkańców największych miast w Polsce, czasem nawet, zanim zamieszkają w danej okolicy. Nie zawsze zwalczaną, niekiedy oswajaną.

Podczas jednego z badań Milewska-Wilk rozmawiała z członkami pewnej warszawskiej wspólnoty mieszkaniowej. Część mieszkań była już zasiedlona, a w budynku zaczęły się pojawiać pierwsze walizki turystów. Mieszkańcy wiedzieli, że w ich budynku będą działać mieszkania-kwatery, dlatego na jednym z pierwszych zebrań wspólnoty uradzili, że należy zerwać świeżo położone przez dewelopera kostki brukowe na patio i zastąpić je gumową wykładziną podobną do tej z placów zabaw.

Najem krótkoterminowy to dziś raczej wyspecjalizowany przemysł niż sposób na dorobienie. Przykładem facebookowe grupy, na których operatorzy mieszkań wymieniają się kalendarzami imprez na największych stadionach w Polsce. – Jak tylko pojawia się informacja o dużym wydarzeniu, cenniki są od razu aktualizowane – zauważa Milewska-Wilk.

Dla przykładu: przeciętne mieszkanie w bloku przy ruchliwej, dobrze skomunikowanej z pobliskim Śródmieściem ulicy Grochowskiej w Warszawie będzie kosztować 150-200 złotych za dobę w zwykły dzień, a kiedy na Stadionie Narodowym, do którego jest kilka przystanków albo góra 20 minut pieszo, grają Beyoncé lub Metallica, cena rośnie nawet do 3000 złotych za noc.

•

Najem krótkoterminowy w Polsce nie jest obecnie regulowany przez jedną konkretną ustawę, choć w Sejmie znajdują się obecnie dwa projekty aktów prawnych, których celem jest uporządkowanie branży.

20 maja zaczęło obowiązywać unijne rozporządzenie, które ma stworzyć w całej Wspólnocie jednolity system rejestrów – każde mieszkanie wynajmowane na doby powinno dostać unikalny numer identyfikacyjny, bez którego nie wolno umieszczać ogłoszenia na żadnej platformie ani w serwisach społecznościowych, a same platformy mają co miesiąc raportować państwu, kto, gdzie i ile dni gościł. Tylko że w Polsce obowiązuje ono jedynie teoretycznie, bo Polska nie zdążyła z własną ustawą wdrożeniową. Wiceminister sportu i turystyki Ireneusz Raś powiedział w rozmowie z „Rzeczpospolitą" wprost: „Wejście w życie unijnego rozporządzenia nic dla branży najmu krótkoterminowego w Polsce nie zmienia". Sankcje, z karą do 50 tysięcy złotych włącznie, nie będą stosowane do czasu uchwalenia krajowych przepisów, a Centralny Wykaz Turystycznych Obiektów Noclegowych ma ruszyć dopiero w październiku.

Parlamentarzyści pracują obecnie nad dwoma konkurencyjnymi projektami: rządowym, który daje wspólnotom prawo wnioskowania o kontrolę nad najmem w ich budynku i pozwala gminom od 2029 roku wyznaczać strefy zakazu, i poselskim projektem Polski 2050 wymagającym zgody wspólnoty mieszkaniowej na najem krótkoterminowy w budynku oraz ograniczającym wynajem mieszkania, w którym właściciel mieszka na stałe, do trzech miesięcy w roku.

Na razie wszystko działa po staremu, ale ministerstwo jasno daje do zrozumienia, że szara strefa ma czas na ujawnienie się do października. W kamienicach, w których wynajem prowadzi kilku różnych operatorów, trzeba będzie pilnować limitu sześciu lokali na budynek – powyżej tego progu rządowy projekt nakłada pełne wymogi hotelowe, w starych budynkach często niemożliwe do spełnienia.

Turysta rezerwujący nocleg w Polsce na razie unijnego rozporządzenia nie odczuje. Pytanie, co się zmieni, kiedy wejdą polskie przepisy. W Hiszpanii, gdzie jednolity rejestr wszedł w styczniu 2025 roku, rząd zmusił Airbnb – mimo odwołania platformy do sądu – do usunięcia blisko 66 tysięcy ogłoszeń mieszkań turystycznych bez wymaganych pozwoleń.

Turysta odwiedzający Polskę przekona się, jakie będą skutki wprowadzenia przepisów, najwcześniej dopiero w 2027 roku, a w pełni w 2029, kiedy gminy będą mogły wyznaczać strefy zakazu prowadzenia najmu krótkoterminowego. Doświadczenia innych państw są przy tym dość czytelne: w długim okresie ceny noclegów rosną, a oferta w ścisłych centrach Krakowa, Gdańska i Warszawy może się skurczyć.

•

Ale to niejedyne zagrożenie dla branży, która w ostatnich latach w Polsce stabilnie rosła. Drugie jest natury w pewnym sensie egzystencjalnej.

Otóż rosła, bo wypad na weekend do jednego z dobrze skomunikowanych polskich miast kosztował Europejczyka podobnie – a nawet mniej – jak podróż po własnym kraju. Ale niewykluczone, że wkrótce będziemy świadkami końca dyskontowej – w sensie: egalitarnej i na każdą kieszeń – turystyki.

– Wszystko, o czym rozmawiamy, upowszechniło się głównie w związku z tanimi lotami. Tylko że loty przestają być tanie. Wytworzyliśmy specyficzną kulturę podróżowania, którą traktujemy jako oczywistość. A nawet więcej: dajemy sobie prawo do podróżowania w tani i wygodny sposób – mówi ekspertka. – Tylko że zapomnieliśmy, że my wcale nie musimy podróżować. A jeżeli chcemy, to trzeba z pewnymi rzeczami się pogodzić. Nie zawsze będzie tanio, czasem trzeba będzie z czegoś zrezygnować w czasie podróży – dodaje.

Na początku lat dwutysięcznych bilet z Warszawy do Paryża liniami Air France kosztował pół przeciętnej pensji za sam lot, do tego trzeba było opłacić hotel, jedzenie, transport. Dziś weekend w Paryżu, Rzymie albo Barcelonie mieści się w granicach 10-15 procent przeciętnego polskiego miesięcznego wynagrodzenia.

W 2004 roku wyleciały z Warszawy pierwsze tanie loty – które przez niemal dekadę potrafiły kosztować w promocjach nawet po kilka euro. W tym samym czasie hotele straciły sporą część turystycznego rynku na rzecz pokoi i mieszkań wynajmowanych w zwykłych blokach i kamienicach, a przez to drastycznie spadły też ceny noclegów.

eprasa.pl 995cb3273b

Do tego wzbogaciliśmy się jako kraj i zasypaliśmy przepaść, która przed wejściem do Unii dzieliła nas od zachodnich sąsiadów. Talerz dobrego makaronu na rzymskim Zatybrzu kosztuje dzisiaj znacznie mniej niż na warszawskiej Kruczej.

W ciągu dwudziestu lat doszliśmy do miejsca, w którym kilkudniowy wypad za granicę przestał być synonimem luksusu. Zdjęcia wrzucone na Instagrama z weekendowej wizyty w jednej z europejskich stolic już dawno nie robią wrażenia na średnioklasowych turystach z Polski, a wyjazd za granicę stał się dostępny również dla osób zarabiających poniżej średniej krajowej.

Trudno się dziwić, że przyzwyczailiśmy się do demokratyzacji czegoś, co przez dekady było jeśli nie luksusem, to przywilejem klasy co najmniej średniej. Nawet jeśli wielu z nas zdarzało się występować w podwójnej roli – bo przecież część tych „demokratycznych" turystów na co dzień było mieszkańcami historycznych centrów miast z tłumami od świtu do późnej nocy, rosnącymi cenami, upadającymi sklepami i codziennymi usługami.

Dwie dekady tanich noclegów i jeszcze tańszych lotów miały swoje plusy. Wyświechtana mądrość, że podróże kształcą, stała się ciałem. Zagraniczna wycieczka przestała być przywilejem bogatych – na tanich podróżach wyrosło całe pokolenie, które wsiadało do Ryanairów z Modlina i Pyrzowic i mogło na własne oczy zweryfikować, ile prawdy jest w tym, że Europa upada, kończy się i znika.

Jeśli polskie regulacje będą miały podobne skutki do tych, które znamy z europejskich doświadczeń, to sprawią, że próg finansowy potrzebny do zwiedzania, odkrywania, doświadczania znowu urośnie. Drzwi do Europy nie zatrzasną się z dnia na dzień, podróż lotnicza raczej nie stanie się ponownie symbolem luksusu, jakim była przez większą część XX wieku.

Ale już wypad panieński do Paryża, studencki citybreak w Rzymie albo długi weekend w Barcelonie mogą przestać być rozrywką o koszcie porównywalnym z dwoma dniami na Mazurach czy Kaszubach. A w drugą stronę – Kraków, Warszawa czy Gdańsk też przestaną być dla turystów z Hiszpanii, Niemiec czy Włoch tak dostępne, jak były.

Tymczasem masowa turystyka i wszystkie żywiące się nią branże, od rozrywki przez transport, usługi, handel i gastronomię, jest jednym z motorów cudu gospodarczego ostatnich dekad, który sprawił, że Polska awansowała do ekskluzywnego klubu G20. A tak po ludzku – utrzymuje dziesiątki tysięcy osób. W tym usiłujących poprawić swój los i zintegrować z polskim społeczeństwem migrantów. Czy mieszkańcy walczący z tanimi kwaterami w centrach miast zdają sobie z tego wszystkiego sprawę?

Jak bardzo najem krótkoterminowy daje się we znaki, świadczy zwięzła odpowiedź Agnieszki, mieszkanka Krowoderskiej w Krakowie, która zna i rozumie wszystkie te konteksty. – Liczymy bardzo, że to nowe rozporządzenie UE i regulacje naprawdę coś zmienią – mówi Agnieszka, mieszkanka Krowoderskiej w Krakowie, turystycznej sypialni miasta. ●

Kozioł ofiarny w corvetcie

Polska 2026 sama nie wie, czym jest wobec Ukraińców. Gospodarzem, sojusznikiem, zmęczonym dobroczyńcą czy może konkurentem?

Marcin Matczak

Jako naprawdę twardy naród, po 18-letniej Ukraince, która przeskoczyła przez barierki na Stadionie Narodowym, teraz wydalamy ukraińskiego influencera, który wjechał sportowym autem do Tatrzańskiego Parku Narodowego.

„I dobrze", powie wielu, „nie będą nam się obcy panoszyć". W końcu ten przymiotnik „Narodowy" w obu przypadkach to nie przypadek – o sprawy symboliczne tu chodzi, tyle że więcej mówiące o nas niż o Ukraińcach.

Politycy KO zadziałali w sprawie corvetty nad Morskim Okiem jak rasowi populiści – oto nadarzyła się okazja, żeby dać upust zbiorowym emocjom, więc żal nie skorzystać. Przepis, który zastosowali, mówi, że można „zobowiązać cudzoziemca do powrotu" (taki eufemizm) nie tylko, gdy jest u nas nielegalnie, ale także wtedy, „gdy wymagają tego względy (...) ochrony bezpieczeństwa i porządku publicznego lub interes Rzeczypospolitej Polskiej".

Prawdopodobnie chodzi o ten porządek publiczny. Normalnie tę przesłankę stosuje się, gdy ma się mocne podejrzenie, że ów porządek będzie zagrożony w przyszłości, nie wtedy, gdy został naruszony (raz) w przeszłości. Orzecznictwo sądów europejskich mówi, że nawet popełnienie przestępstwa nie uzasadnia automatycznie wydalenia. A wydalamy za wykroczenie.

Ta niewspółmierność kary jest informacją – nie o ukaranie za czyn tu chodzi, a o coś innego.

Gdy 18-letni Polak kilka lat temu wjechał nad Morskie Oko quadem, po prostu dostał 800 złotych mandatu i nikt tego incydentu jako zamach na porządek publiczny nie traktował. I tak też powinno być z ukraińskim celebrytą – prawo wymaga mandatu, reszta to spektakl na potrzeby zarządzania narodowymi emocjami.

Prezent od losu

A jest czym zarządzać. Bo Polska 2026 sama nie wie, czym jest wobec Ukraińców. Gospodarzem, sojusznikiem, zmęczonym dobroczyńcą czy może konkurentem? To nierozstrzygnięcie drażni. Wojna dawno przestała być poruszającym newsem, zastąpiły ją podejrzenie, że koszty solidarności są zbyt wysokie, irracjonalny lęk przed utratą kontroli nad swoim krajem i rosnący antyukraiński sentyment.

A tu taki prezent od losu – ktoś, na kogo można przerzucić frustrację: „za dużo ich, za głośno, za dużo świadczeń, za mało wdzięczności". I jeszcze Morskie Oko nam rozjeżdżają, symbol świętości polskiej przyrody.

Społeczność w kryzysie potrzebuje kogoś, na kim można skupić tłumioną agresję. Ten ktoś musi być wystarczająco widoczny, obcy i symbolicznie użyteczny. Butny influencer w sportowym aucie idealnie pasuje do tej roli: łączy w sobie figurę obcego, bogacza, cwaniaka i internetowego narcyza. I w naszej zbiorowej wyobraźni od razu zastępuje uciekającą przed wojną matkę z dzieckiem jako obraz losu Ukrainy. Jednostkowe zachowanie zostaje rozciągnięte na całą grupę narodową.

Nie wylewam łez nad naruszonymi prawami tego bezczelnego dość typa. Chodzi mi o to, że ta historia więcej mówi o nas niż o nim. Jako wspólnota zaczynamy definiować siebie przez wykluczanie, a nie przez wartości. Pokazujemy na przykład, że przestajemy być wspólnotą norm, a stajemy się wspólnotą odruchów.

Przyzwyczajamy się w ten sposób, że prawo jest instrumentem wyrażania społecznych emocji, a to jest niebezpieczne. Jeżeli dziś wydalamy „aroganckiego Ukraińca", to jutro ukarzemy emocjonalnie „bezczelnego aktywistę", a pojutrze „niewdzięcznego celebrytę". I tak powoli się nauczymy, że kara nie zależy od czynu, ale od tego, jak bardzo nie lubi cię tłum. To zmienia kulturę, gdy bardziej niż prawu zaczynamy ufać nastrojom.

Mechanizm kozła ofiarnego

Ten chłopak, który zamiast grzywny ma dostać pięcioletni zakaz wjazdu do strefy Schengen, jest karany zastępczo za grupę i za coś w naszych oczach o wiele poważniejszego niż wjazd do parku narodowego: za „zbiorową, bezczelną niewdzięczność". „My ich przyjęliśmy do własnego domu, a oni nie szanują naszych zasad". Umyka nam, jak łatwo z liczby pojedynczej zrobiliśmy tu liczbę i winę mnogą.

Odprawiamy więc nad tą corvettą rytuał oczyszczenia: wskazujemy winnego i wyrzucamy go poza wspólnotę. To typowy mechanizm kozła ofiarnego, opisany przez francuskiego antropologa René Girarda.

Jak on działa?

Po pierwsze, kandydat na kozła musi być jednocześnie wewnątrz i na zewnątrz – nie może być zupełnie obcy ani zupełnie swój. Ukrainiec w Polsce jest idealny: to taki bliski Inny. Na tyle obecny, by go widzieć codziennie, ale jednocześnie na tyle obcy, by go obciążyć. Girard nazywa to „znamionami ofiary" – wyganiany jest obok, ale jednocześnie nie chroni go całkowita przynależność do wspólnoty.

Po drugie, przewinienie kandydata na kozła ofiarnego musi być realne, choć może być błahe. Kozioł nie jest niewinny w sensie potocznym, bo jednak coś złego zrobił. Ta corvetta naprawdę wjechała na szlak, a kierowca naprawdę okłamał policję. Mechanizm działa właśnie dlatego, że jest się o co zaczepić – drobne, realne przewinienie pozwala uczestnikom czuć, że wymierzają sprawiedliwość, a nie linczują.

Po trzecie, po kozła ofiarnego sięga się wtedy, gdy wewnętrzne napięcie grozi rozsadzeniem grupy. A ofiara rozładowuje napięcie, którego źródło jest gdzie indziej.

Napięcie wokół ukraińskiej obecności w Polsce – ekonomiczne, kulturowe – jest rozproszone i nie ma adresata. A ten chłopak daje twarz temu napięciu. Po jego ukaraniu jest chwilowa ulga. Jak pisze Girard: ofiara musi zostać usunięta, by wspólnota odzyskała spójność. Stąd właśnie wygnanie, a nie tylko grzywna.

Gdy rosyjska agresja na Ukrainę się zaczęła, mieliśmy w głowie narrację: pomagamy, bo jesteśmy ludźmi. Ale potem pojawił się jakby pisany małym drukiem komentarz: pomagamy, dopóki jesteście wdzięczni, skromni i niewidoczni.

Tym sposobem nasza bezinteresowna pomoc zmieniła się w transakcję.

Tusk nie może (i słusznie) licytować się z Braunem na wrogość etniczną. Więc robi coś, co wydaje się sprytne

Czy nie oznacza to, że nasza wspólnota kochała nie tyle zasady, a raczej własny obraz siebie jako humanitarnej i dobrej? Bo jednak uznać, że reprezentantem niewdzięcznej Ukrainy jest influencer z Instagrama, a najlepszą miarą tej niewdzięczności jest liczba punktów, które od Ukrainy dostajemy na Eurowizji, to już jest wyższy stopień szukania dziury w całym.

A może wyczerpały się nasze zasoby empatii i cierpimy na zmęczenie współczuciem? Nasz zryw solidarności z 2022 roku wymagał ogromnych pokładów energii emocjonalnej. Ponieważ nie potrafimy głośno przyznać: „Mamy dość, jesteśmy zmęczeni pomaganiem", podświadomie szukamy pretekstu, by tę pomoc emocjonalną cofnąć. A wykroczenie influencera daje nam rozgrzeszenie z rosnącej niechęci.

Jest jeszcze i taka opcja, że jesteśmy wspólnotą, która boi się własnej dobroci. Boimy się, że jeśli będziemy zbyt gościnni, zostaniemy wykorzystani. Stąd głęboka potrzeba odbudowy granic – zarówno literalnych, jak i symbolicznych. I atrakcyjność motywu wygnania.

Reklama idei skrajnej prawicy

Najważniejsze jest to, że mechanizm kozła ofiarnego u Girarda jest nieświadomy. Prześladowcy są przekonani, że czynią sprawiedliwość. Cynik przynajmniej wiedziałby, co robi. A tu niewinność prześladowcy jest częścią konstrukcji – on myśli, że działa w sposób etycznie idealny.

„Ale", powiecie, „przynajmniej surowy rząd Tuska odbiera temat Braunowi". Niestety, jest odwrotnie. Oczywiście, rząd Tuska jest pod presją narracji, że jest miękki wobec obcych. Kozioł ofiarny pozornie pozwala mu pokazać prawicy i swojemu elektoratowi: „Widzicie, nie jesteśmy lewakami, potrafimy deportować".

Tusk nie może (i słusznie) licytować się z Braunem na wrogość etniczną. Więc robi coś, co wydaje się sprytne: pokazuje surowość proceduralną zamiast surowości tożsamościowej. „Nie jesteśmy przeciw Ukraińcom – jesteśmy za prawem, a prawo jest dla wszystkich równe, co nie?". To pozwala sygnalizować twardość, nie wypowiadając ani jednego ksenofobicznego zdania.

Ale, gdy liberalny rząd karze pokazowo Ukraińca, przyznaje Braunowi rację. Wyborca skrajnej prawicy nie myśli wtedy: „Tusk załatwił sprawę", tylko: „Nawet oni przyznają, że z tymi Ukraińcami jest problem – czyli Braun od początku mówił prawdę". I tak surowość proceduralna zostaje przetłumaczona z powrotem na tożsamościową. Twarda reakcja rządu jest dla skrajnej prawicy darmową reklamą ich idei.

Podsumowując: rozładowaliśmy tą banicją nagromadzoną w nas frustrację pod tytułem: „za dużo Ukraińców, czujemy się obcy we własnym kraju". Dostaliśmy w zamian poczucie jedności i siły. Ale to katharsis jest toksyczne – jak narkotyk. Girardowska ulga jest wprawdzie pozorna i krótka, ale przez chwilę działa. Dziś corvetta i kłamstwo wobec policji, jutro może wystarczyć jeszcze mniej. A napięcie za moment wraca, bo prawdziwe problemy pozostają nierozwiązane. Ba, jest gorzej.

Powstaje bowiem klasyczny efekt wrogości wzajemnej – mechanizm, który Girard nazywał „mimetyczną rywalizacją". Im bardziej Polacy podkreślają „my tu rządzimy", tym bardziej część Ukraińców czuje się upokorzona i chociażby symbolicznie się przeciwko temu buntuje. Spirala zaczyna schodzić w dół. Także Ukraińcy nieposiadający corvetty i nierozjeżdżający naszych gór, które tak przecież kochał Papież, czują się coraz bardziej tymczasowi i niechciani. Część się radykalizuje, część zamyka w swoich bańkach, słabnie szansa na prawdziwą asymilację tych, którzy jej chcą.

Wspólnota, która karze kozła, przyznaje się do własnego rozchwiania. Swojemu się wybacza, bo zakłada się, że jeszcze z nami będzie i że jego przyszłość jest naszą wspólną sprawą. Obcemu nie, bo jego przyszłość nas nie obchodzi – ma jej nie mieć tutaj. Może więc powodem wydalenia tego influencera nie jest zagrożenie porządku publicznego, ale inna przesłanka z ustawy o cudzoziemcach: interes Rzeczypospolitej Polskiej. A ten definiujemy coraz częściej nie w kategoriach rozumu, ale samopoczucia. ●

1 RP

eprasa.pl 995cb3273b

REKLAMA

Przyjechać, odetchnąć, ożyć

Urlop w regionie atrakcji Murau
Są miejsca, w których od razu czuje się: „To jest to". Gdzie spokój spotyka się z dziewiczą naturą, a przeżycia towarzyszą prawdziwej serdeczności. Tak właśnie wygląda urlop w regionie atrakcji Murau. Tam, gdzie południowe Taury łagodnie opadają, rozciąga się krajobraz, który spowalnia, a jednocześnie dodaje energii. Na wysokości od 700 do 2 800 metrów n.p.m. rozwija się łagodna, zrównoważona turystyka, a natura przechodzi z tła na pierwszy plan.

Chwile na szczytach & żywa historia
Od Preberu przez Turracher Höhe, Lachtaler Zinken i Kreischberg aż po Park Przyrodniczy Zirbitzkogel–Grebenzen – tutaj droga jest celem. Zawsze w towarzystwie korzennego zapachu limby. Szerokie panoramy, około 40 krystalicznie czystych jezior i łagodne alpejskie łąki tworzą charakter tego miejsca. Pomiędzy nimi: przytulne schroniska, zielone polany i ciche lasy zachęcające do odpoczynku. Niezależnie od tego, czy to spokojna rodzinna wędrówka, czy wymagająca wyprawa górska – każdy znajdzie tu swój rytm. A na górze? Czeka nie tylko panorama, lecz także zasłużony posiłek: regionalne specjały serwowane z prawdziwą styryjską gościnnością. Również miłośnicy kultury będą zachwyceni. Imponujący zamek Murau oraz opactwo benedyktynów St. Lambrecht – które w tym roku świętuje 950-lecie – opowiadają historie, które nie tylko się widzi, ale także czuje.

Na dwóch kołach ku wolności
Ci, którzy wolą odkrywać region na rowerze, będą zachwyceni: rozległa sieć ścieżek rowerowych i tras MTB przecina cały krajobraz. Tutaj zaczyna się również pierwszy etap popularnej trasy rowerowej wzdłuż Mury. Niezależnie od tego, czy to spokojna wycieczka, sportowa trasa MTB czy relaksująca wycieczka na rowerze elektrycznym – Murau oferuje odpowiednie przeżycie dla każdego tempa. A ci, którzy kochają przewyższenia, znajdą na ponad 100 kilometrach zróżnicowane trasy i wymagające odcinki, które często nagradzają zdobyciem szczytu.

F jak Familia
Wspólne spędzanie czasu – w regionie atrakcji Murau przychodzi to wyjątkowo łatwo. Przyjazne rodzinom wędrówki w „Wilden Lachtal" lub na grzbietach Grebenzen łączą ruch z przygodą i mnóstwem zabawy. W ciepłe dni jeziora, stawy i odkryte baseny zapewniają orzeźwienie. A gdy pogoda nie dopisze, czekają fascynujące atrakcje pod dachem: na przykład muzeum NaturLese-Museum (NaLeMu) w Neumarkt. Interaktywne muzeum, które zainteresuje zarówno małych, jak i dorosłych odkrywców. Na końcu pozostaje tylko jedno pytanie: kiedy podarują sobie Państwo chwilę wytchnienia w regionie atrakcji Murau?

Murau GästeCard
Dzięki karcie Murau GästeCard można odkrywać region od maja do października w sposób wyjątkowo różnorodny i oszczędny. Ponad 25 partnerów w cenie oraz ponad 30 partnerów bonusowych oferuje liczne bezpłatne i zniżkowe atrakcje – od natury, przez kulturę, aż po sport i górskie przeżycia z letnimi kolejkami linowymi.

Dodatkowa korzyść:
W cenie uwzględniony jest również transport publiczny. Goście otrzymują kartę Murau GästeCard automatycznie przy zameldowaniu po co najmniej dwóch noclegach w obiekcie partnerskim.

murau STEIERMARK
Steiermark
www.regionmurau.at

Erlebnisregion Murau
GF Lukas Bencsics MA
Liechtensteinstraße 3-5
8850 Murau
Tel.: +43 3532 2720
info@regionmurau.at
regionmurau.at

eprasa.pl 995cb3273b

KRAJ

FOT. RAFAŁ SZCZEPANKOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Spektakularny wyborczy sukces Karola Nawrockiego nie przełożył się na spektakularną prezydenturę.

Bartosz T. Wieliński

Pasażer NAWROCKI

Pokonanie Rafała Trzaskowskiego, uważanego za murowanego faworyta prezydenckiego wyścigu (jego współpracownicy już dzielili się funkcjami w prezydenckiej kancelarii), w II turze wyborów prezydenckich 1 czerwca 2025 roku, okazało się łatwiejsze niż robienie polityki z prezydenckiego pałacu.

Po roku widać zresztą, że to nie Nawrocki wygrał wybory, a Trzaskowski je przegrał. Przegrał z człowiekiem oskarżanym o związki z gdańskim światkiem przestępczym, udział w kibolskich bijatykach, wyłudzenie mieszkania od emeryta i załatwianie prostytutek gościom Grand Hotelu.

Nawrocki czyli 150 kg na klatę

Nawrocki obiecywał, że Polskę będzie zmieniać na zasadzie szast-prast, zagna rząd do roboty, obniży ceny prądu, postawi do pionu rzekomo niewdzięcznych Ukraińców. Rok po wyborach ciągle próbuje się odnaleźć na szczycie władzy i najwyraźniej traci zapał. Więcej niż samego prezydenta w przestrzeni publicznej jest dziś jego przybocznych, zwłaszcza w momentach politycznego przesilenia. Politykę zostawił podwładnym, sam delektuje się pompą, blichtrem i zachwytem klakierów. Nie było w polskiej historii jeszcze przypadku, by stronnicy chwalili głowę państwa za to, jak gromko wita żołnierzy kompanii honorowej. Albo, że w urządzonej w pałacu prezydenckim siłowni wyciska 150 kg na klatę.

Są też sprawy, które otoczenie wolałoby przemilczeć, ale i tak wychodzą na światło dzienne. To wykorzystująca nazwisko i biało-czerwone barwy prezydenta marka odzieży sportowej należąca do członków jego rodziny. To kilku przestępców, z którymi spotykał się i fotografował prezydent. To jego brak manier, nieumiejętność zapanowania nad nikotynowym nałogiem – wkładany pod wargę snus stał się nieodłącznym atrybutem tej prezydentury. Tak jak zdjęcia i nagrania Nawrockiego szykującego się do szarży na dziennikarza TVN, który pytał go o relacje ze wspierającym Putina premierem Węgier Viktorem Orbanem. Nawrocki pokazał wówczas, że panowanie nad emocjami przychodzi mu z trudem.

Postać obecnego prezydenta budzi automatyczne skojarzenia z Nikodemem Dyzmą, bohaterem przedwojennej powieści Tadeusza Dołęgi Mostowicza, który ze społecznych nizin wszedł do warszawskiego establishmentu. Dyzma miał jednak samorodny polityczny talent. U Nawrockiego go jeszcze nie odkryto.

Zdecydowanie najgorszym polskim prezydentem był do tej pory Andrzej Duda. Polityk, który pozwolił sprowadzić siebie do roli długopisu, podpisującego uchwalane w ekspresowym tempie przez pisowską większość sejmową ustawy. I do roli Adriana, bohatera z politycznego kabaretu, który nieustannie czeka pod drzwiami gabinetu prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego. Do audiencji nie dochodzi, bo Kaczyński nim pogardza, nie tylko zresztą on.

„Ja jako prezydent”

Duda bardzo chciał być mężem stanu, ale im bardziej się starał, podnosił głos, robił groźne miny, tym bardziej mu to nie wychodziło. Bo przecież, cytując Margaret Thatcher „bycie potężnym jest jak bycie damą. Jeśli musisz mówić ludziom, że nią jesteś, to znaczy, że nie jesteś”. Dlatego, gdy Duda powtarzał: „ja jako prezydent”, brzmiało to śmiesznie. Równie niepoważnie brzmi, gdy w podobny sposób w trzeciej osobie mówi o sobie Nawrocki.

Duda, osiem miesięcy po zakończeniu kadencji kompletnie zapomniany i przemilczany, stał się więc wzorcem Sèvres nieudolnego prezydenta. Ale gdy przystawi się do niego Nawrockiego, widać różnice na korzyść poprzednika.

Przeglądam listę podróży Dudy. Po zaprzysiężeniu ruszył w objazd polskich powiatów. Udało mu się dotrzeć do wszystkich 380. Nie wszędzie miał coś mądrego do powiedzenia. Utkwiło mi w pamięci, jak jesienią 2018 r. w Leżajsku na Podkarpaciu mówił o Unii Europejskiej, jako o „wyimaginowanej wspólnocie, z której dla nas nic nie wynika”. Słowa te wygłosił na tle wyremontowanego z unijnych funduszy zabytkowego Dworu Starościńskiego. W sam tylko Leżajsk Unia Europejska wpompowała ponad 100 mln euro. Atakujący Unię Andrzej Duda był ewidentnym prekursorem ruchu polexitowego w Polsce. Nawrocki podąża antyunijnym kursem, ale po Polsce tyle nie jeździ. Ogranicza się głównie do rocznicowych wizyt.

Andrzej Duda w pierwszym półroczu swoich rządów sporo udzielał się w europejskich stolicach. Zapraszano go chętnie, bo uchodził wówczas za młodą, łagodniejszą twarz Prawa i Sprawiedliwości. Duda, w polityce zagranicznej nowicjusz, miał szansę zbudować sieć kontaktów. Gdy rozpoczynał prezydenturę, przygotował nawet program polityki zagranicznej, który odpowiadał na postulat PiS, by Polska wstała z kolan. Prezydenccy współpracownicy odkurzyli przedwojenną koncepcję Trójmorza i zaproponowali zbudowanie pod wodzą Polski bloku krajów Europy Środkowej, który równoważyłby zna-

eprasa.pl 995cb3273b

czenie Francji i Niemiec w Europie. Duda zapowiadał, że Polska wyjdzie z głównego unijnego nurtu.

Pomysł dobrze wyglądał na papierze, w rzeczywistości sąsiedzi Polski nie chcieli wspierać PiS-u w udrach z Berlinem, Paryżem czy Brukselą. Trójmorze, wymyślone jako blok polityczny, zredukowano do roli promotora inwestycji infrastrukturalnych. Dziś nie za bardzo wiadomo, co z tym formatem zrobić.

Zagranicznych wizyt Karola Nawrockiego jest o wiele mniej. W zasadzie – nie licząc pierwszej podróży do USA – wykonał obowiązkowe tournée po sąsiednich stolicach Europy i zajrzał do kilku ważnych krajów kontynentu. Ciekawości w świecie nie wzbudza, zresztą nic w tym dziwnego, gdy spojrzy się w jego życiorys. Marcowy wyjazd do Budapesztu skończył się zaś kompromitacją. Obecność Nawrockiego w Budapeszcie na dwa tygodnie przed wyborami parlamentarnymi została bowiem bez skrupułów wykorzystana przez Orbana w kampanii wyborczej. Którą Orban ostatecznie przegrał. Pytanie, na które dziś nie ma odpowiedzi, brzmi: kto Nawrockiego do tej wizyty przekonał. Albo kto kazał mu lecieć.

Pomysłów brak. Entuzjazmu też

Sięgam po wzorzec Andrzeja Dudy, by – przyznam, w dość karkołomny sposób – wykazać, że w przypadku poprzedniego prezydenta można było mówić o jakimś szerszym pomyśle na prezydenturę, Polskę oraz jej zagraniczną politykę. Dudę na początku drogi charakteryzował naiwny wręcz entuzjazm, zawierający się w jego słowach „niech nie mówią, że się nie da" i zapewnieniach, że będzie niezłomny. Kaczyński nie potrzebował zmuszać go, by lansował socjalny program PiS czy asystował w demolce sądownictwa. Duda był w tym ostatnim równie gorliwy co Zbigniew Ziobro czy Stanisław Piotrowicz. Słabość charakteru i serwilizm wobec Kaczyńskiego nie pozwoliły mu osiągnąć politycznego znaczenia.

U Nawrockiego pomysłu na Polskę – nawet jeśli chodziłoby o wzorowaną na Orbanie antyliberalną kontrrewolucję – próżno szukać. Entuzjazmu do rządzenia również. Ostatnio nawet weta mu się przejadły. Bo seryjne wyrzucanie do kosza przyjmowanych przez Koalicję 15 października ustaw (w niektóre nawet się nie wczytywano), co miało być dowodem jego politycznej supremacji, obróciło się przeciwko niemu.

Przypomnijmy niedawny skandal, ocierający się w zasadzie o zdradę, jakim było zawetowania ustawy pozwalającej skorzystać z unijnego programu SAFE. Chodziło o przyznane Polsce przez UE 200 mld zł taniej pożyczki na modernizację armii i rozwój przemysłu zbrojeniowego. Otoczenie Nawrockiego kłamliwie twierdziło, że na inwestycjach w Polsce zarobią Niemcy, a kredyt na ponad 40 lat będzie obciążeniem dla przyszłych pokoleń.

Trudno było taką opowiastkę kupić, skoro podobnych wątpliwości rząd PiS nie miał kilka lat temu, gdy zadłużał Polskę, na znacznie mniej korzystnych warunkach, kupując sprzęt wojskowy w Korei Południowej i USA. Nawrocki sięgnął przecież po weto, by nie dopuścić do sytuacji, w której to obecne władze wpompują gigantyczne środki w fabryki zbrojeniowe w umownej Stalowej Woli i doprowadzą do rozkwitu miast uważanych za bastion PiS. W obronie interesów partii Nawrocki był gotowy wystawić na szwank bezpieczeństwo kraju. I przegrał podwójnie, bo rząd, nie przejmując się wetem, rozdysponuje pieniądze z SAFE bez specjalnej ustawy.

Funkcjonariusze służb mundurowych, tradycyjny elektorat prawicy, są prezydenckim wetem głęboko rozczarowani. Podobnie jest w przypadku kibiców, którzy wcześniej traktowali Nawrockiego jak swojego człowieka w prezydenckim pałacu. W styczniu, gdy dołączył do kibicowskiej pielgrzymki na Jasną Górę, witano go z wielkim entuzjazmem: Nawrocki ściskał się wówczas z wielokrotnie skazywanym przywódcą kiboli Jagiellonii Białystok. Życzliwość się skończyła, gdy Nawrocki zawetował nowelizację kodeksu karnego, która ograniczała nadużywanie tymczasowego aresztowania, czego ofiarami padali w przeszłości również kibole. Na stadionach uznano to za zdradę – „Nie jesteś jednym z nas" – napisali kibice na jednym z transparentów.

Otoczenie Nawrockiego zapowiedziało weto ustawy o statusie osoby najbliższej. Mimo że prawie dwie trzecie Polaków nie ma nic przeciwko wprowadzeniu związków partnerskich, a ustawa, jako efekt kompromisu jest bardzo zachowawcza. Weto znowu wywoła oburzenie.

Według CBOS Zaufanie do Dudy w lipcu 2016 r. dobiło do 70 proc. Nawrockiemu ufa obecnie tylko 48 proc. Polaków. Bardzo prawdopodobne, że za cztery lata okaże się, że to Nawrockiego będziemy uważać za najgorszego polskiego prezydenta.

• Prezydent Andrzej Duda i Prezydent Elekt Karol Nawrocki podczas pierwszego spotkania po wyborach. Pałac Prezydencki w Warszawie, 3.06.2025 r.
FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Zapatrzony w Trumpa

Po prawdzie jedyne, na co wpadli Nawrocki wraz z otoczeniem, to podporządkowanie kraju woli Donalda Trumpa. Nie wiemy, co działo się 2 maja 2025 r. w Gabinecie Owalnym, gdy pod koniec dnia wprowadzono tam Nawrockiego, by zrobił sobie pamiątkowe zdjęcie z amerykańskim prezydentem. Czasu na dłuższą rozmowę nie było – a Dudę rok wcześniej Trump podejmował prywatną kolacją – Trump zaraz wylatywał do swojej posiadłości w Mar-a-Lago na Florydzie. Czy amerykański prezydent zauroczył, czy tylko, jako silniejszy, pokazał Nawrockiemu miejsce w szeregu?

Nawrocki od tego momentu usilnie stara się wkupić w jego łaski. Zadanie to karkołomne, bo nawet w tradycyjnie proamerykańskiej Polsce polityka Trumpa budzi coraz większe oburzenie, a poparcie dla USA spada. Mimo to Nawrocki wychwalał i bronił Trumpa, nawet gdy amerykański prezydent obrażał żołnierzy NATO, którzy walczyli u boku Amerykanów i tracili życie w Afganistanie. Robił, co mógł, by wejść w skład powołanej przez Trumpa Rady Pokoju – organizacji, która w zamyśle twórców miałaby zastąpić ONZ i dać Trumpowi oraz jego stronnikom wielkie pieniądze, bo stałe członkostwo w Radzie kosztować miało miliard dolarów.

Sama sprawa zawetowania ustawy wdrażającej w Polsce SAFE ma czytelny amerykański ślad. Amerykanie uznali program za zagrożenie dla swoich interesów, bo unijne pieniądze mają być wydane na zakupy u europejskich producentów broni i inwestycje w europejski przemysł zbrojeniowy. USA nie dość, że nie zarobią, to jeszcze przybędzie im konkurentów. Dlatego równie mocno co PiS naciskały, by programu nie wprowadzać. Z Pałacu Prezydenckiego popłynął nawet przekaz, że SAFE jest niezgodny z amerykańską strategią bezpieczeństwa narodowego. Według mediów w USA ta strategia w nieopublikowanej części zawiera zapisy, że Polska obok innych przychylnych Amerykanom krajów ma posłużyć Waszyngtonowi do rozbijania Unii Europejskiej od środka. Plan takiej operacji współtworzyło zresztą osławione Ordo Iuris.

W polityce Nawrockiego antyunijnych akcentów jest mnóstwo, teraz prezydent walczy z unijną polityką klimatyczną, na której wprowadzenie dał rząd PiS. Nie ma wątpliwości, że gdyby PiS i skrajna prawica zdobyły w Sejmie większość i przegłosowały wyjście polski z Unii Europejskiej (do polexitu wcale nie trzeba referendum), to Nawrocki taką decyzję parlamentu ochoczo by poparł.

W maju 2025 r. Nawrocki wrócił do Warszawy przekonany, że Trump nie tylko gwarantuje jego polityczną przyszłość, ale też wyznacza standardy robienia polityki. Nawrocki zaczął od kopiowania ubioru Trumpa i jego populistycznej wiecowej retoryki, a potem zaczął kopiować jego zachowanie. Przyszło mu to o tyle łatwiej, bo nie zatracił kibolskiej powierzchowności. Agresja, upokarzanie przeciwnika, brak woli zawarcia jakiegokolwiek kompromisu czy prowadzenia elementarnej współpracy – w ten sposób Nawrocki sprawuje swój urząd. Tak jak Trump uważa się za główny punkt odniesienia w polskiej polityce, wręcz za króla, któremu z urzędu należy się nie tylko szacunek, ale posłuszeństwo. W podobny sposób funkcjonują jego najbliżsi współpracownicy.

Pasażer łodzi

Pamiętam rozsiewany przez ludzi Nawrockiego spin, że nowy prezydent to polski Trump, a Donald Tusk to „sleepy Joe", czyli były prezydent Joe Biden, z którego wieku i związanych z nim problemów, Trump naśmiewał się miesiącami. Choć Tusk nie zasypia podczas obrad i uprawia sport, na jego niekorzyść miała grać różnica wieku – Nawrocki jest w wieku jego syna.

Polska rzeczywistość okazała się złośliwa, a plan zdominowania premiera spalił na panewce. Koalicja 15 października po klęsce Trzaskowskiego szybko się otrzepała i zwarła szyki. Prowadzone – pod auspicjami ambasady USA – rozmowy nad wyciągnięciem z koalicji PSL czy Polski 2050, zbudowaniem gabinetu technicznego, dzięki czemu Tusk zostałby pozbawiony władzy, nic nie dały. Bezpośrednie starcie miało miejsce podczas zwołanej przez Nawrockiego rady gabinetowej (posiedzenie rządu z udziałem prezydenta i jego ministrów). Nawrocki zamierzał przed kamerami postawić Tuska przy tablicy i go obsztorcować. Tusk się nie dał i więcej rad gabinetowych prezydent już nie zwoływał. A podczas innych spotkań dbał, by media transmitowały tylko jego wystąpienia. Przyboczni Nawrockiego, snując plany zdominowania Tuska, nie wzięli pod uwagę, że nie tylko ich szef lubi zwarcia.

Był jeden moment, gdy Nawrocki mógł zepchnąć Tuska do narożnika. 18 września do Białego Domu zjechał prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski wraz z przywódcami Unii Europejskiej, by rozmawiać z Trumpem o możliwościach zakończenia rosyjsko-ukraińskiej wojny. Gdyby w tym gronie znalazł się prezydent Nawrocki, który przedstawiałby światu tragiczne szczegóły relacji z Rosją, można byłoby ogłosić, że Polska ma nowego przywódcę. Ale o Rosji z perspektywy wschodniej flanki NATO mówił nie on, tylko prezydent Finlandii Alexander Stubb. Nawrockiego, mimo jego relacji z Trumpem i intensywnego dobijania się jego ludzi, nie zaproszono. Wcześniej jego ludziom udało się z poświęconych Ukrainie telekonferencji z Trumpem wyprosić Tuska, ale załatwienie miejsca przy stole w Waszyngtonie przerosło ich możliwości.

Amerykanie sprowadzili Nawrockiego do parteru jeszcze dwa razy. Pod koniec marca, kiedy ten miał w Houston, podczas konferencji konserwatystów CPAC, spotkać się w kuluarach z Trumpem, prezydent USA wybrał golfa w Mar-a-Lago. Niespełna dwa miesiące później nie powiadomił go też o planach wstrzymania rotacji liczącej 4 tys. żołnierzy brygady pancernej z Polski. Odkąd te plany ogłosił Pentagon, Trump ani razu nie rozmawiał z Nawrockim. Ograniczył się jedynie do wiadomości na platformie społecznościowej, że w związku z dobrymi relacjami z Nawrockim nakazał wysłanie do Polski dodatkowych 5 tys. żołnierzy. Problem w tym, że nikt nie jest w stanie powiedzieć, o jakie wojska chodzi. Nie wiedzą tego ani w USA ani w Pałacu Prezydenckim. Trudno też nie zauważyć, że Trump, delikatnie mówiąc, nie odwzajemnia życzliwości. O Nawrockim powtarza: nie był faworytem, poparłem go i wygrał. Czyli że stanowisko zawdzięcza wsparciu Trumpa. I teraz ma spłacać dług. Brzmi to protekcjonalnie i pogardliwie. Wiele też mówi o obecnym prezydencie, który takie traktowanie akceptuje.

Nawrockiemu z pewnością udaje się paraliżować polską legislację i chronić status quo, wytworzone po rządach PiS. Sądownictwo pozostaje zdewastowane, Trybunał Konstytucyjny niefunkcjonalny, Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji ślepa i głucha na ekscesy wspierającej PiS telewizji Republika. Nawrocki uważa, że stoi ponad rządem i parlamentem. Na razie nie jest w stanie rządu wysadzić, ale czeka na przyszłoroczne wybory. A to, że w kampanii i podczas formowania nowego gabinetu będzie wspierać budowę koalicji PiS-u, Konfederacji i Korony, nie ulega wątpliwości.

Nie udało mu się jednak zostać przywódcą narodowej prawicy w Polsce. Stał się jednym – choć z pewnością ważnym – pasażerem łodzi, która niesie Kaczyńskiego, Morawieckiego, Czarnka, Mentzena, Bosaka i Brauna, do których dosiedli się jeszcze Tomasz Sakiewicz, naczelny TV Republika oraz zadymiarz Robert Bąkiewicz. Każdy z nich ma ambicje przejąć stery. Gdy tworzone będą listy wyborcze, a rywalizacja między frakcjami i partiami wejdzie w ostrą fazę, konflikt, który obserwujemy w ostatnich miesiącach, wybuchnie ze zwielokrotnioną siłą. Nic nie wskazuje na to, by głos Nawrockiego miał w tej sprawie jakieś znaczenie. I to też jest podsumowanie tej prezydentury. ●

eprasa.pl 995cb3273b

OBWÓD ŁOWIECKI POLSKA

Myśliwi polują dla przyjemności przebywania w naturze, tropienia, ustrzelenia zwierzęcia i zdobycia trofeum. To jest hobby, czyli coś, bez czego każdy z nas może przeżyć – mówi Michał Suchora.

Z **MICHAŁEM SUCHORĄ,** WSPÓŁPRZEWODNICZĄCYM PARTII ZIELONI ROZMAWIA **ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI**

• **Michał Suchora – (ur. w 1984 r.) pochodzi z Poznania, jest współprzewodniczącym Partii Zieloni oraz współwłaścicielem galerii sztuki BWA Warszawa**

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Polował pan kiedyś?
– Nie

130 tys. osób w Polsce robi to regularnie. To dużo?
– Skądże. Dokładnie tylu członków liczy Polski Związek Łowiecki. Ale ciekawsza jest inna liczba: według wyliczeń aktywistów nawet 90 proc. powierzchni Polski jest pokryte obwodami łowieckimi. W zestawieniu z powierzchnią parków narodowych dysproporcja jest zatrważająca: terenów objętych szczególną i restrykcyjną ochroną jest w naszym kraju 1 proc. Dlatego chcielibyśmy zmniejszyć obszar obwodów łowieckich wyłączając z nich na przykład tereny położone w granicach administracyjnych polskich miast, tereny Natura 2000 czy otuliny parków narodowych i znowelizować prawo łowieckie. Dlatego Zieloni włączą się aktywnie w rozpoczynającą się już niedługo zbiórkę co najmniej 100 tys. podpisów pod obywatelskim projektem „Uwaga! Polowanie. Zmieńmy prawo łowieckie. Na dobre".

Ludzie od wieków polują na dzikie zwierzęta, to część naszej tradycji.
– Tak; podobnie jak plecionkarstwo, haft czy garncarstwo. Dziwnym trafem myśliwi dbają akurat o tę część polskiej tradycji, która zakłada zabijanie bezbronnych, wobec coraz bardziej nowoczesnych technologicznie rodzajów broni, dzikich zwierząt. W czasach łowców i zbieraczy polowanie na mamuty było jednym ze sposobów przetrwania. Ale my żyjemy w XXI wieku i mamy inne sposoby pozyskiwania żywności, niekoniecznie mięsa. Poza tym jako ludzkość wiemy już dużo więcej, jak funkcjonuje świat, poszerzyliśmy wiedzę naukową i nie musimy się zgadzać z Kartezjuszem, który traktował zwierzęta jak przedmioty, niczym krzesło czy stół.

Słyszę też argumenty natury gastronomicznej: myśliwym ma smakować rosół z gołębia grzywacza. A przecież upolowany i zabity ptak ma w sobie bardzo wysoką zawartość ołowiu, więc nie wiem, czy spożywanie zatrutego mięsa na pewno jest bezpieczne i racjonalne.

Myśliwi twierdzą, że kontrola przyrody jest na rękę rolnikom, którym zwierzęta niszczą uprawy. A jedzenie z dzika czy bażanta jest produktem ubocznym.
– To prawda, dlatego chyba nikogo z nas nie przekonuje argument, że łowimy, aby przeżyć. To bzdura. Myśliwi polują dla przyjemności przebywania w naturze, tropienia, ustrzelenia zwierzęcia i zdobycia trofeum. To jest hobby, czyli coś, bez czego każdy z nas może przeżyć.

A co z ochroną rolnictwa? Ludzie narzekają, że dziki i żubry wyjadają im kukurydzę.
– Odwróciłbym to pytanie: czy potrzebujemy aż tyle kukurydzy, która kończy jako pasza dla zwierząt hodowlanych albo dodatek do biopaliw? Powinniśmy przeprowadzić szerszą debatę o kształcie naszego rolnictwa. Proszę zobaczyć: kiedy wyjeżdżamy z Miasteczka Wilanów w stronę Konstancina, widzimy ogromne pola kukurydzy, monokulturowe uprawy. A kukurydza jest wysokobiałkowa i przyciąga dziki. Wsparcie rolnictwa przez państwo powinno naszym zdaniem polegać na podejmowaniu korzystnych ekonomicznie i jak najmniej szkodliwych ekologicznie decyzji. To naprawdę da się pogodzić.

Ale kukurydza się sprzedaje, więc rolnicy ją wysiewają.
– Dlatego uważam, że łowiectwo mogłoby służyć jedynie funkcji regulacyjnej. W konsekwencji należałoby zakazać polowania na ptaki, które nikomu nie szkodzą, bo przecież bażant czy przepiórka nie zadepczą ogromnego pola kukurydzy. Czy pan wie, że według prawa każdy zając, bażant, słonka czy sarna jest własnością skarbu państwa? To jest

eprasa.pl 995cb3273b

nasz wspólny majątek. Obowiązujący kształt prawa łowieckiego w Polsce spowodował, że pewna bardzo mała, wpływowa grupa społeczna uwłaszczyła się na tym majątku. Nie tylko sprzedając mięso z upolowanych zwierząt, ale też prowadząc handel polowaniami dewizowymi.

Zupełnie jak za czasów Edwarda Gierka do Polski co roku przyjeżdżają obcokrajowcy i polują na nasze zwierzęta. Działa mnóstwo biur łowieckich, które sprzedają Niemcom, Holendrom i Szwedom możliwość strzelania do polskich zwierząt. Z tym też trzeba skończyć.

Czyli jest pan za tym, żeby odstrzeliwać jelenie i sarny, a zostawić w spokoju kuropatwy?
– Jestem za tym, żeby listę zwierząt łownych określało Ministerstwo Klimatu i Środowiska w porozumieniu z naukowcami, rolnikami, społecznikami i Polskim Związkiem Łowieckim. Autorzy nowelizacji, którą jako Zieloni postanowiliśmy wesprzeć, nie chcą niczego zakazywać, tylko dostosować do współcześnie panujących w Polsce realiów, oczekiwań społecznych i stanu wiedzy naukowej.

Nie jesteśmy też partią zakazów. Odrobiliśmy lekcję zielonych partii funkcjonujących w zachodniej Europie, które przez dekady kojarzyły się z polityką wyrzeczeń i zakazów. Współcześnie Europejska Partia Zielonych, której jesteśmy częścią, to partia możliwości i szans, jakie stwarza suwerenność energetyczna, poszanowanie praw człowieka i ściślejsza integracja w ramach UE.

Mówiąc o łowiectwie, myślimy o prawie, które zostało napisane 30 lat temu i jest mniej więcej tak adekwatne i aktualne jak konkordat podpisany w podobnym czasie.

Prawo łowieckie należy znowelizować przede wszystkim po to, by Polki i Polacy idący do lasu na spacer czuli się bardziej bezpiecznie. Czy wie pan, że dzisiaj można polować 150 metrów od zabudowań? A wiatraków, które nikomu nie szkodzą, prawo nie pozwala stawiać bliżej niż 700 metrów od zabudowań. To oznacza, że dający zdrową, czystą energię wiatrak jest cztery razy bardziej niebezpieczny niż myśliwy z ostrą bronią, który ostatni raz u okulisty był 30 lat temu... Chcemy to zrewidować.

Ile osób ginie na polowaniach?
– 28 osób w ostatniej dekadzie, wśród nich było dziecko zbierające jabłka w sadzie, a także mężczyzna, który usłyszał hałas i został zastrzelony na progu własnego domu. Są jeszcze myśliwi, którzy ostrzeliwują się nawzajem na polowaniach, choć nie wiadomo, o jakiej skali mówimy, ponieważ wewnętrzne postępowania prowadzi wyłącznie Polski Związek Łowiecki. Myśliwi są jedyną grupą społeczną w Polsce, która ma dostęp do ostrej broni i która nie musi przechodzić regularnych badań lekarskich, psychologicznych i okulistycznych. Muszą to robić wojskowi, policjanci i pogranicznicy. A myśliwy, który uzyskał prawo do posiadania broni 40 lat temu, przez ten czas nie musiał ani razu być u okulisty czy psychologa. To trzeba zmienić.

Idźmy dalej: zależy nam na oddaniu kompetencji samorządom miejskim i gminom, które dzisiaj nie mają prawa wyznaczać obwodów łowieckich. Obecnie te decyzje podejmowane są na poziomie województw. To samorządy lokalne powinny również decydować, kiedy mogą się odbywać polowania. Dzisiaj nikt nie może tego kontrolować, łowcy mogą chodzić po lasach z bronią w długie weekendy, kiedy najwięcej z nas wybiera się na łono przyrody. My chcemy, by wójt gminy czy prezydent miasta mogli zdecydować o zakazie polowań na przykład w okresie świąteczno-noworocznym. Ta nowelizacja to naprawdę nie jest żadna rewolucja, tylko racjonalizacja już obowiązującego prawa.

Politycy Polskiego Stronnictwa Ludowego mówią w nieoficjalnych rozmowach, że będą bronić myśliwych. Bo to ich grupa wyborcza. Jeśli projekt ustawy o prawie łowieckim trafi do Sejmu, to na czyje poparcie możecie liczyć?
– Przede wszystkim PSL nie ma ich przed czym bronić, bo my nikogo nie atakujemy. Warto podkreślić, że Zieloni są jedyną partią polityczną, która w swoim statucie ma wpisany zakaz działania w Polskim Związku Łowieckim. Myśliwi są w PSL-u, Koalicji Obywatelskiej, Lewicy i możliwe, że w Razem. Ludowcy sprzeciwiają się proponowanym przez komitet obywatelski zmianom, a przewodnicząca sejmowej komisji ochrony środowiska Urszula Pasławska lobbuje za umożliwieniem polowania na łosie, wilki i odstrzału komercyjnego żubrów. Z kolei Konfederacja chciałaby przywrócić możliwość wysyłania na polowania dzieci poniżej 18. roku życia.

Macie w Sejmie dwie posłanki: Urszulę Zielińską i Klaudię Jachirę. Ktoś jeszcze popiera wasze pomysły?
– Możemy liczyć na grupę posłów i posłanek, a także europosłów różnych frakcji koalicji rządowej, którzy, podobnie jak Zieloni, zadeklarowali wsparcie tej obywatelskiej inicjatywy. Od momentu zarejestrowania przez marszałka Sejmu komitetu będziemy mieć 90 dni na zbiórkę podpisów i pokazanie całej klasie politycznej, że zmieniła się atmosfera wokół polowań.

Według badań przeprowadzonych przez pracownię More in Common przytłaczająca większość Polek i Polaków popiera ograniczenie praw łowczych. Myśmy już raz przeszli podobną drogę: Zieloni włączyli się w zbiórkę podpisów pod obywatelskim projektem Stop Łańcuchom. Ostatecznie dostarczono do Sejmu 534 tys. podpisów, co pokazało ogromną skalę wsparcia dla polityki empatii wobec zwierząt. W przypadku „Uwaga! Polowanie" liczymy na przynajmniej 140 tys., czyli więcej niż Polski Związek Łowiecki liczy członków.

Część ludzi na wsi może pomyśleć: znowu Warszawa z Agnieszką Holland i Mają Ostaszewską, które są twarzami akcji, chcą nam tłumaczyć świat.
– Już teraz osoby mieszkające na wsiach zgłaszają się do nas i chcą zbierać podpisy. Z badań, o których wspominałem, wynika, że nasze postulaty popierają osoby z miast i wsi, z każdej grupy społecznej i wiekowej, zwolennicy prawicy i lewicy. Mówiąc krótko: wszyscy jesteśmy zgodni, że chcielibyśmy bardziej bezpiecznego prawa łowieckiego. To po pierwsze.

Po drugie: nie wszyscy rolnicy kochają myśliwych. Powodów jest wiele, choćby strzały w nocy blisko zabudowań mieszkalnych, rozjeżdżanie pól autami terenowymi czy zapisany w prawie łowieckim automatyzm włączania w obręb obwodu łowieckiego prywatnych gruntów. Bo to nie koło łowieckie musi pytać rolnika o możliwość polowania na jego terenie, ale rolnik nie życzący sobie polowań na swoim polu musi to osobiście zgłosić staroście. Wielu rolników zwyczajnie boi się kół łowieckich, bo ich członkami są w dużej mierze zamożne lokalne elity; samorządowcy, prawnicy, lekarze, biznesmeni, czyli wpływowa, zamożna grupa.

Jeśli już jesteśmy przy poszanowaniu własności prywatnej, to prawo łowieckie jest jeszcze bardziej absurdalne, jeśli chodzi o grunty należące do organizacji pozarządowych. Znam fundację spod Warszawy, która prowadzi przedszkole leśne. Myśliwi wyznaczyli na jej terenie obwód łowiecki, a fundacja nie ma prawa tego zmienić. To samo dotyczy lasów kupowanych przez prywatne fundacje po to, by zachować je dla przyszłych pokoleń.

Od jednego z ludowców usłyszałem, że ekolodzy z miast nie mogą się wypowiadać o przyrodzie, ponieważ nigdy nie widzieli kleszcza.
– To proszę następnym razem zapytać, dlaczego wypowiada się na temat aborcji, skoro nigdy jej nie dokonał. Albo praw osób LGBTQ+, jeśli sam nią nie jest.

Ale czy nie jest coś na rzeczy, skoro Zieloni przez lata kojarzyli się z ekoterroryzmem?
– Jakiejś części społeczeństwa pewnie tak, ale, od kiedy jesteśmy partią parlamentarną, skutecznie zmieniamy ten wizerunek. Od blisko trzech lat w Ministerstwie Klimatu i Środowiska pracuje Urszula Zielińska, która przeczy wszelkim stereotypom ekoterroryzmu: jest wysoko wykwalifikowaną menedżerką, która zrezygnowała z dobrze płatnej pracy w londyńskim City. Wróciła do Polski i w Rządzie RP zajmuje się rozwojem odnawialnych źródeł energii i budową odporność kraju na zmianę klimatu. To kluczowe zagadnienia z perspektywy bezpieczeństwo państwa i poprawy jakości życia naszych obywateli.

A pan jak się znalazł w Zielonych?
– Jestem wczesnym 40-latkiem i podobnie jak wiele osób z mojego pokolenia dzięki Jarosławowi Kaczyńskiemu przeszedłem intensywną lekcję wiedzy o społeczeństwie. Dowiedziałem się, czym jest Krajowa Rada Sądownictwa, jak działa Trybunał Konstytucyjny. Przed 2015 rokiem, kiedy Prawo i Sprawiedliwość zaczęło rozwalać system prawny, byłem świadomym obywatelem, ale nie wiedziałem dokładnie, kto wybiera członków KRS.

Wielu rolników zwyczajnie boi się kół łowieckich, bo ich członkami są w dużej mierze zamożne lokalne elity: samorządowcy, prawnicy, lekarze, biznesmeni, czyli wpływowa grupa

Dopiero wtedy zacząłem dokładnie czytać konstytucję i ustawy, chodziłem na protesty, słuchałem mądrzejszych od siebie.

Pochodzę z Poznania, z domu, w którym interesowano się sprawami publicznymi i polityką. Moi rodzice chodzili na protesty po napaści Rosji na Gruzję, głosowali za wejściem Polski do Unii Europejskiej. Już w podstawówce trafiłem na wspaniałych nauczycieli, którzy nie tylko wyjaśnili mi, czym jest pantofelek, mitochondrium i czym się różni ściana komórkowa od błony komórkowej, ale też pomogli wygrać olimpiadę z historii sztuki oraz biologii. Studiowałem na UW na Międzywydziałowych Indywidualnych Studiach Humanistycznych, dzięki czemu mogłem chodzić na zajęcia z socjologii, historii sztuki i nauk politycznych.

Ale nie został pan politykiem, nie wstąpił do partyjnej młodzieżówki.
– Wybrałem świat sztuki współczesnej, wraz ze wspólniczką od blisko 15 lat prowadzę galerię BWA Warszawa. Do Zielonych dołączyłem w dniu 35. urodzin. Na początku zaangażowałem się w kampanię parlamentarną Uli Zielińskiej w Warszawie, potem zostałem rzecznikiem prasowym partii, a teraz wraz z łódzką radną miejską Magdaleną Gałkiewicz jestem jej współprzewodniczącym.

Od sztuki do polityki droga chyba daleka.
– Nieprawda. Joseph Beuys, czyli jeden z założyciel partii Zieloni, był wybitnym performerem w latach 70. XX wieku. Ten niemiecki artysta uważał, że sztuką można nazwać kształtowanie relacji społecznych, że społeczeństwo to rzeźba. Beuys 50 lat temu zamiast wystaw zakładał biura demokracji bezpośredniej i namawiał niemieckie społeczeństwo do przejścia na model szwajcarski, czyli podejmowania decyzji za pomocą lokalnych referendów. Nie musimy jednak szukać aż tak daleko: polskich Zielonych zakładał nie tylko prof. Piotr Gliński, ale też Olga Tokarczuk, Kinga Dunin i Kazimiera Szczuka, czyli ludzie kultury.

A wracając do inicjatywy „Uwaga! Polowanie"; zaproszenie do współpracy wybitnego grafika Szymona Szymankiewicza czy Anki i Wilhelma Sasnalów oraz Joanny Rajkowskiej to moja robota. Artyści i artystki chyba też uważają, że jest im z naszymi poglądami po drodze.

Zajmuje się pan sprzedażą obrazów takich twórców jak Karol Radziszewski czy Jadwiga Sawicka. Nie bał się pan, że wejście do polityki odstraszy klientów?
– Nie. Bałem się w czasach PiS-u, kiedy TVP Jacka Kurskiego polowało na Radziszewskiego, który tworzy queerową sztukę. Bałem się, że aparat państwa spróbuje zniszczyć moją galerię, zaatakuje moją rodzinę, choć niczego złego nie zrobiłem. Ostatecznie ani klienci, ani publiczność, ani artyści nas nie opuścili. Kiedy zdecydowałem się startować w wyborach parlamentarnych w 2023 roku, to pierwszą osobą, która zaproponowała przelew na rzecz mojego komitetu, był kolega galerzysta. Resztę pieniędzy zadeklarowali kolekcjonerzy sztuki.

A dlaczego Zieloni, a nie Nowa Lewica czy Razem?
– Kiedy miałem 17 lat, poznałem na obozie Jakopa Dalunde, który wówczas był szefem szwedzkiej młodzieżówki Zielonych. Potem Jakop spędził dwie kadencje w Europarlamencie, a dziś jest ministrem transportu regionu sztokholmskiego. To właśnie on przez 20 lat namawiał mnie do politycznego zaangażowania. Poza tym polscy Zieloni są chyba jedyną partią wolną od skandali korupcyjnych czy obyczajowych.

Ilu jest Zielonych w Polsce?
– Około tysiąca.

Mało.
– Ale jesteśmy w rządzie i mamy realny wpływ na transformację energetyczną. Ponadto Zieloni są otoczeni wianuszkiem organizacji sojuszniczych, z którymi blisko współpracujemy. W Polsce jesteśmy najbardziej proeuropejską, progresywną partią, która jest częścią dużej europejskiej rodziny politycznej i która chciałaby, żeby integracja europejska oznaczała nie tylko wspólny rynek, ale wartości takie jak prawa człowieka.

I nie jesteście uwzględniani w sondażach, i jesteście najsłabszą częścią Koalicji Obywatelskiej, którą tworzą również Nowoczesna, Inicjatywa Polska i KO.
– Jesteśmy najsilniejszą merytorycznie częścią tej koalicji.

Co wam się udało zrobić?
– Urszula Zielińska jest autorką pierwotnej, ambitnej i korzystniejszej dla Polski wersji Krajowego Planu na rzecz Energii i Klimatu czy ustawy o adaptacji miast do zmian klimatu. Teraz znacząco przyspiesza rozwój OZE, w tym farm wiatrowych na morzu. Mieliśmy wpływ na 100 konkretów Koalicji Obywatelskiej, a także na umowę koalicyjną, do której wpisaliśmy prawa zwierząt. Dalej: ministra Zielińska skutecznie zabiega na forum rządu o konkretne działania mająca zapobiegać katastrofom ekologicznym, takim jak ta na Odrze latem 2022 roku.

A czy duże zakłady przemysłowe mogą nadal zrzucać chemikalia do rzek?

eprasa.pl 995cb3273b

– Mogą, ponieważ tak radykalna zmiana infrastrukturalna nie może się wydarzyć z dnia na dzień. Dzięki działaniom Uli w ramach Międzyresortowego Zespołu do Spraw Odry znalazły się środki na pilotażowy projekt instalacji odsalania wód pokopalnianych, a gdyby podobna do tej z 2022 roku sytuacja miała się powtórzyć, państwo polskie jest przygotowane na usuwanie jej skutków. Są też wydarzenia symboliczne: to Ula jako pierwsza ministra zaprosiła do gmachu ministerstwa Siostry Rzeki.

Leśnicy nadal mogą wycinać drzewa.
– To się nie zmieni, ponieważ silna polska branża drzewna potrzebuje surowca. Jednocześnie pracujemy nad nową definicją lasów. Według polskiego prawa lasy powinny pełnić równocześnie różne funkcje; społeczne, przemysłowe, ekosystemowe. Naszym zdaniem należy te funkcje rozdzielić. Powinniśmy jasno powiedzieć: ten las jest przeznaczony do produkcji surowca, inny ma niesamowicie ważną funkcję społeczną, bo służy mieszkańcom pobliskiej aglomeracji, kolejny jest niezwykle cenny, więc nie należy go wycinać ze względów na funkcję ekologiczną.

I gdzie jest projekt tej ustawy? Rządzicie blisko trzy lata.
– To pytanie należy zadać głównemu konserwatorowi przyrody, który koordynuje ten temat w rządzie. Jesteśmy lojalnym i profesjonalnym koalicjantem: jeżeli został nam powierzony odcinek transformacji energetycznej i adaptacji miast do zmian klimatu, to zajmujemy się głównie tymi sprawami.

Ale wyborcy, dla których ekologia jest ważna tak samo jak ochrona praworządności, mogą czuć się rozczarowani. Wojsko umacnia wschodnią granicę i degraduje przyrodę na linii Bugu.
– A Urszula Zielińska razem z Ministerstwem Obrony Narodowej pracuje nad zieloną tarczą, czyli włączeniem przyrody do systemu obrony, chociażby przez tworzenie bagien i mokradeł. Tak jak wspomniałem, pomagamy też miastom zaadaptować się do do skutków katastrofy klimatycznej, takich jak fale upałów czy deszcze nawalne.

Pojawia się pan często na antenie Telewizji Republika. Po co?
– Kiedy się wchodzi do Telewizji Republika, należy mówić ich językiem, więc odpowiem językiem biblijnym: dobry pasterz zostawia stado i idzie po jedną zbłąkaną owcę. Jestem przekonany, że wśród widzów Republiki można wyłuskać tych, którzy podzielają nasze poglądy. Opowiadając o postulatach Zielonych, używając odpowiedniego języka, można przekonać do siebie obecnych wyborców prawicy.

W jaki sposób?
– Opowiadając o patriotyzmie opartym na dumie z polskiej przyrody, o dbałości o nią.

A czy nie jest tak, że legitymizuje pan telewizję, która nie ma za wiele wspólnego z dziennikarstwem i jest utrzymywana z niejasnych źródeł?
– O te środki, a konkretnie o przelewy z Zondacrypto, zapytałem samego redaktora naczelnego Tomasza Sakiewicza. Zagotował się na wizji. Odpowiedział, że było to kilkaset tysięcy miesięcznie, po czym Telewizja Republika usunęła ten fragment z internetu. Nie można go znaleźć w sieci, Dom Wolnego Słowa ocenzurował moją wypowiedź. Zostałem też raz wyrzucony ze studia przez redaktora Michała Jelonka w trakcie dyskusji o wolności słowa.

Z ich perspektywy uwiarygodnia pan tezę o obiektywizmie stacji. Co jest przecież bzdurą.
– Zgadzam się, że jest to skrajnie upolityczniona telewizja, służąca jednej stronie politycznej, gdzie nikt nie może liczyć na obiektywizm. Staram się przyjąć perspektywę osób, które potencjalnie można przekonać do zmiany zdania. I dostaję ciekawe głosy: widzowie Republiki mi piszą, że w większości spraw się ze mną nie zgadzają, ale w kwestii przyrody już tak. Z naszych badań wynika, że 7 proc. Polaków byłoby skłonne zagłosować na partię o naszym profilu. Mamy więc duży potencjał na przekonanie tych, którzy po prostu wcześniej nie brali nas pod uwagę przy urnie.

Ale nie głosuje, nie startujecie samodzielnie w wyborach. Dlaczego?
– Bo jesteśmy pragmatykami. W 2019 roku podjęliśmy strategiczną decyzję o wspólnym starcie z Platformą Obywatelską. Znaleźliśmy się w Sejmie. Cztery lata później weszliśmy do rządu i obecnie jesteśmy jedynymi Zielonymi w Europie, którzy są częścią koalicji rządzących.

Po co Donaldowi Tuskowi Zieloni?
– Mówi się, że Koalicja Obywatelska zalicza właśnie zwrot konserwatywny. Tym więcej będzie miejsca w ramach koalicji rządowej dla partii o progresywnym, wyrazistym programie. Według nas Rafał Trzaskowski przegrał wybory prezydenckie, ponieważ zgubił progresywnych wyborców, którzy zostali w domach. 10 mln osób zgodziło się głosować na kandydata Tuska, a kolejny milion rozczarował się soft konserwatywną narracją Trzaskowskiego. Są w tej grupie osoby, które piszą do naszych posłanek, dziękując im za sprzeciw wobec zawieszenia prawa do azylu. I to właśnie ci wyborcy za półtora roku będą kierowali się w lokalu wyborczym takimi wartościami jak prawa człowieka czy skuteczniejsza ochrona przyrody. Na taką koalicję zagłosują także zwolennicy świeckiego państwa, bo przecież Zieloni aktywnie włączyli się w inicjatywę wypowiedzenia konkordatu.

Podsumowując; chcemy być w ramach koalicji wyborczej partią pierwszego wyboru dla najbardziej świadomego, proeuropejskiego i progresywnego elektoratu. Tak widzimy swoją rolę w ramach koalicji z premierem Tuskiem.

Ile głosów dostaliście w 2023 roku?
– Wystarczająco, by wprowadzić do Sejmu tyle samo posłów, co w 2019 roku.

Wprowadziliście trzy posłanki: Urszulę Zielińską, Klaudię Jachirę i Małgorzatę Tracz – ta ostatnia zawiesiła członkostwo w Zielonych, a potem odeszła z partii – które w sumie uzyskały 43 335 głosów. Donald Tusk naprawdę będzie zainteresowany powtórzeniem koalicji z wami? Jako jedyni nie weszliście oficjalnie do KO, co zrobili Adam Szłapka i Barbara Nowacka ze swoimi partiami.
– Nie weszliśmy, bo należymy do zupełnie innej rodziny politycznej. Donald Tusk spędził w Brukseli cztery lata na stanowisku szefa Rady Europejskiej i wie, kim są na arenie europejskiej progresywni, ideowi Zieloni. Obecnie skupiamy się na tworzeniu Koalicji Obywatelskiej w parlamencie i samorządzie, koalicji rządowej, a nie na układaniu list wyborczych.

A może wasze miejsce jest na listach lewicy?
– Jesteśmy od siedmiu lat częścią KO i tak zostanie. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414016

„WYBORCZA" NA DŁUGI WEEKEND

W ŚRODĘ 3 CZERWCA

Mitoraj. Disco polo czy Michał Anioł? Artysta, o którego od trzech dekad kłóci się Polska

Lewa kasa księży i zakonników. Samochody na parafię, mieszkania na darowiznę, wakacje w ramach rekolekcji

W PIĄTEK 5 CZERWCA

Wyborcza TV: Ranczo Duttonów. Beth idzie na swoje

Przepisy na lekkie i przyjemne dania na weekendowy piknik pod chmurką

1 RP

eprasa.pl 995cb3273b

REKLAMA

eprasa.pl 995cb3273b

ŚWIAT

AI jedzie na oparach

Władza zaraz wróci z Doliny Krzemowej na Kapitol

Z **KAREN HAO,** REPORTERKĄ SPECJALIZUJĄCĄ SIĘ W OPISYWANIU DOLINY KRZEMOWEJ, ROZMAWIA **MATEUSZ MAZZINI**

OpenAI to już nie firma, tylko sekta? Takie głosy dobiegają już nie tylko z reportaży o tej firmie, która jako pierwsza wypuściła sztuczną inteligencję na rynek, ale z samej Doliny Krzemowej. Z opowieści byłych pracowników i ludzi znających Sama Altmana wyłania się obraz instytucji kierującej się mesjanistycznymi przekonaniami, w której panuje kult jednostki, a prezes to bardziej guru, kaznodzieja i zbawiciel w jednym.

– Porównuję sytuację w OpenAI do niektórych wątków w „Diunie" Franka Herberta. W tej książce struktura władzy opierała się na micie, który był sztuczny, stworzony do celów politycznych, ale z czasem tak głęboko się utrwalił, że wszyscy zaczęli w niego wierzyć, traktować go jako fakt, samospełniającą się przepowiednię.

Cała Dolina Krzemowa, a zwłaszcza ci, którzy pracują nad rozwojem AGI, czyli tak zwanej generalnej sztucznej inteligencji, to po prostu system wierzeń i poglądów akceptowany przez tych ludzi w całości, bezkrytycznie. Kiedy zaczynałam pracę nad książką, byłam przekonana, że to czysta retoryka, za którą kryje się zwykły biznes – ale szybko przekonałam się, że pracownicy tych największych firm czy laboratoriów AI autentycznie wierzą, że tworzą technologię zbawiającą świat i ludzkość.

Więc mogę zgodzić się, że to rodzaj kultu – bo ludzie wchodzą do tego systemu, ujednolicają swoje przekonania i w rezultacie wszyscy robią to samo i myślą tak samo.

Ale czy to dotyczy wyłącznie pracy? Czy, jak w sekcie, rozlewa się na codzienne życie ludzi ze środowiska AI, kształtuje ich światopogląd?

– Odwrotnie. To ich światopogląd sprawia, że idą pracować do OpenAI.

Oczywiście to ogromna firma, zatrudniająca wielu ludzi o różnych poglądach, wywodzących się z różnych klas czy kontekstów kulturowych, niemniej znacząca grupa zdecydowała się na pracę u Sama Altmana właśnie dlatego, że głęboko wierzy w powstanie AGI. Wielu pracowników za swoją życiową misję uznali przygotowanie technologii, która doprowadzi do powstania cywilizacji ludzkiej 2.0.

A liderzy OpenAI, nie tylko Altman, pompują ten balonik, używając misyjnej narracji do motywowania pracowników. Przekonują, że ich praca to nie praca, tylko misja, a tworzenie AGI wykracza daleko poza przychodzenie do biura i otrzymywanie za to wynagrodzenia. Bardzo ciężko jest wejść do tej firmy i nie zachłysnąć się całą tą narracją, w dodatku bardzo szybko. Pracownicy OpenAI, z którymi rozmawiałam, opisali mi środowisko tak głęboko przesycone opowieściami o zbawiennej roli AI i AGI, że właściwie wszyscy przesiąkali tym od pierwszych dni, przez osmozę.

W OpenAI jest jakaś różnorodność opinii, ale nie ma absolutnie żadnej debaty wokół głównej idei, na której opiera się istnienie całej firmy. Frakcje spierają się o ścieżki dojścia do AGI czy tempo postępu, o te czy inne narzędzia bezpieczeństwa, ale nie o sam dogmat.

Ale, co ciekawe, gdy ktoś opuszcza firmę i zaczyna zajmować się czymś innym, równie szybko wraca do rzeczywistości.

W jakim stopni to kult idei, w jakim – kult jednostki?

– Nie ma wątpliwości, że Altman odciska ślad nie tylko na swojej firmie, ale na całym środowisku zajmującym się sztuczną inteligencją. Udało mu się to dzięki dość unikatowemu zestawowi cech, zwłaszcza dzięki zdolności zbierania olbrzymich ilości pieniędzy na swoje projekty – znacznie, znacznie większych, niż ktokolwiek inny, kto nie jest zawodowym fundraiserem, tylko badaczem, programistą i młodym start-upowcem, byłby w stanie zebrać.

Co prawda stwierdzenie, że OpenAI to teatr jednego aktora, byłoby nadmiernym uproszczeniem. Ilya Sutskever, informatyk i specjalista od sieci neuronowych, też miał ogromny wpływ na OpenAI, sporo z jego osobistych przekonań weszło do kodu kulturowego firmy. Tak samo Dario Amodei, dzisiaj prezes Anthropica...

...dziś słynny ze sprzeciwu wobec Pentagonu, który chciał, by model Claude od Anthropica mógł działać jako broń w pełni autonomicznie...

– ...który przecież wywodzi się z OpenAI, ale z Altmanem nie było mu do końca po drodze. Koniec końców wszystko jednak zależy od Altmana. Nie przypadkiem on przetrwał i próbę odzyskania OpenAI przez bardziej ideowych w sensie biznesowym współzałożycieli, i odejścia kolejnych ważnych ludzi, w tym najwyższej rangi badaczy.

Krótko przed naszą rozmową „The New Yorker" opublikował olbrzymi reportaż śledczy o Altmanie. Ronan Farrow – ten od śledztwa w sprawie Harveya Weinsteina i MeToo w Hollywood czy ubezwłasnowolnienia Britney Spears – i Andrew Marantz opisali go jako socjopatę, manipulatora klasy światowej, który ma patologiczną wręcz zdolność mówienia ludziom tego, co chcą usłyszeć. W ich ujęciu to kłamca, który zataja przed zarządem OpenAI kluczowe fakty, a w dodatku jest uwikłany w masę podejrzanych relacji z monarchiami Bliskiego Wschodu.

– Praca, którą wykonali Farrow i Marantz, jest tytaniczna i bardzo ważna, ale skupianie uwagi na samym Altmanie jest kontrproduktywne. Bo przez nieustanną rozmowę o jednym człowieku tracimy z oczu sposób, w jaki działa całe to środowisko, jego architekturę władzy, ideologii i przepływów kapitału. Gdyby jutro Altman został usunięty z OpenAI, a na jego miejsce powołano kogoś innego ze środka organizacji – czy ona zmieniłaby swój charakter?

Altman nie jest jedynym, który pcha do przodu narrację o AGI. Logika tych ludzi jest prosta – jeśli budujemy maszynę do wszystkiego, która przyniesie ludzkości realizację utopii, powszechny dostatek, to w pełni uzasadnione jest wykorzystywanie wszystkich zasobów na Ziemi, żeby do tego dojść. Można zużyć całą wodę, złamać każde prawo, bo cel jest tak cudowny, zjawiskowy, że uświęca środki po stokroć. Prawdziwym tematem dla dziennikarzy śledczych, opinii publicznej i polityków nie jest Altman, ale przekonania tego środowiska oraz fakt, że ich firmy technologiczne już niemal wyrwały się spod wpływu państwa i w istocie są potężnymi, suwerennymi podmiotami z kaskadowym wpływem na społeczeństwo.

Rozmawiamy teraz o OpenAI jako komercyjnej firmie, w którą inne korporacje, różni guru Doliny Krzmowej i sektor kapitałowy inwestują miliardy – ale przecież pierwotnie było to laboratorium badawcze, które ślubowało zajmować się czystą nauką i nie przejmować się wycenami rynkowymi.

– Gdy zaczynałam pracę nad OpenAI, też tak uważałam – że to była idealistyczna instytucja badawcza non-profit, która ewoluowała ku komercji. Ale odkryłam, że zawsze mieli imperialne ambicje, bo sam pomysł założenia OpenAI wziął się z przekonania, że są w stanie zostać najlepszym na świecie laboratorium AI. Na początku ambicją było pokonanie Google'a, który miał najbardziej zaawansowane technologie i który dominował w całym sektorze.

Po prostu chcieli być najlepsi w tym, co robią. Co w tym imperialnego?

– Zgoda pod warunkiem, że zignorujemy całkowicie kontekst Doliny Krzemowej i jej kultury.

Każdy lider sektora technologicznego ma obsesję globalnej dominacji. Altman przed OpenAI był we władzach Y Combinator, najbardziej znanego inkubatora dla start-upów. Mówił wtedy, że chce dziesięciokrotnie zwiększyć liczbę firm, które finansuje, aż dojdzie do poziomu, w którym decyduje o finansowaniu każdej firmy na świecie. On jest człowiekiem, który nie zatrzyma się, dopóki wszystko pod słońcem nie będzie do niego należeć. Elon Musk jest taki sam, nawet Dario Amodei, który przecież uchodzi za etycznego,"ludzkiego" lidera na tle innych, zarządza Anthropic w ten sam sposób.

Właśnie dlatego OpenAI zaczęło od bycia podmiotem non-profit. Stworzyli sobie mit grupki nerdów pięknoduchów, którzy chcą pokonać dominującego gracza, rzucają idealistyczne wyzwanie imperium. Google miało tonę pieniędzy na sprzęt obliczeniowy, infrastrukturę, więc przenieśli rywalizację na pole rekrutowania najzdolniejszych ludzi. Tylko tu też decyduje kapitał, pensje, czyli to, co miało Google, więc Altman musiał znaleźć alternatywny sposób przyciągania talentów. Dlatego stworzył całą mitologię altruizmu, zespołu, który nie kieruje się per-

eprasa.pl 995cb3273b

FOT. JABIN BOTSFORD/THE WASHINGTON POST/GETTY IMAGES

spektywą zysku, a jedynie dobrem ludzkości. Google zarabia kasę, my mamy misję, jesteśmy moralnie lepsi.

Altman był pierwszym, który otwarcie zadawał ludziom pytanie: chcecie dostać szansę na zrobienie czegoś wielkiego w swoim życiu, nawet za cenę zmniejszenia zarobków? I Sutskever się zgodził, zostawił Google Brain, a za nim poszli inni.

Użyłaś analogii z „Diuny". Trudno nie pomyśleć, że Altman jest przekonany o swojej boskości, że uważa się za jakąś wersję Paula Atrydy, kogoś, kto stanie się pomostem pomiędzy starą i nową cywilizacją.
– Nie lubię koncentrować się na samym Altmanie, bo nikt nie wie, w co on wierzy. Przeprowadziłam wywiady z mnóstwem ludzi, którzy z nim pracowali blisko i od każdego słyszałam: „nie mam pojęcia, co Sam ma w głowie ani czym się kieruje". A oprócz tego, że jest skryty, o wielu rzeczach nie mówi publicznie, to dość dużo razy w życiu zmieniał poglądy.

To wygląda na zarządzanie przez chaos, trochę jak u Trumpa.
– Nie. Ludzie skupieni wokół Trumpa wiedzą, czego on z grubsza chce, czym się kieruje, jaki jest. Trump jest chaotyczny, ale przewidywalny. Altmana trudniej przyporządkować do konkretnego zestawu przekonań, bo one zmieniają się w zależności od tego, z kim aktualnie przebywa. A to, jakim jest człowiekiem, zachowuje dla siebie.

Czyli dochodzisz do tych samych wniosków, co Farrow i Marantz. To jest klasyczna socjopatia.
– Jasne, tylko mnie to specjalnie nie interesuje. Dużo ciekawsze jest pytanie, dlaczego on ciągle zmienia poglądy. Z jednej strony można założyć, że po prostu chce manipulować ludźmi, wymuszać na nich konkretne działania. Ale z drugiej – możliwe, że on ciągle zmienia poglądy, bo tak naprawdę nie ma żadnych. Wypełnia się tym, co aktualnie jest mu potrzebne do osiągnięcia sukcesu.

To jest typowe dla liderów sektora technologicznego? Może Altman mieści się w normie? Dużo mówi się o wyrazistym – choć również zmieniającym stanowisku – Musku, o głęboko zaangażowanym ideologicznie Peterze Thielu. Ale na przykład Mark Zuckerberg bywa opisywany podobnie – jako skupiony na sobie duży chłopiec bez poglądów.
– Pod wieloma względami Altman jest podręcznikowym tech-prezesem. Może jego najczęściej oskarża się o manipulowanie ludźmi i po prostu o kłamstwa, ale nie różni się specjalnie od pozostałych tego typu ludzi. Wspomniałeś twórcę Facebooka – może Zuckerberg ma trochę inny charakter, zbudował markę osobistą na czym innym, ma inne metody działania, ale ostatecznie chodzi mu o to samo. Czyli o ostateczną, globalną dominację na swoim polu.

A gdzie w tym wszystkim Trump? Altman pojechał na inaugurację prezydenta tak jak jego koledzy z Doliny Krzemowej lobbujący przeciwko jakimkolwiek regulacjom ich branży, ale podobno z Trumpem łączy go – mimo labilności poglądów – ideologia?
– To nie jest tylko kwestia podobnego rozumienia kwestii regulacyjnych, ogólnej niechęci do państwa. Altman nie ma problemów z byciem kojarzonym z tą administracją, bo jest dość podobny do Trumpa. Obaj czują się komfortowo w świecie opartym na robieniu interesów i w transakcyjnych relacjach, obaj dążą do maksymalizacji zysków i wpływu, dlatego dobrze się dogadują. Altman nie jest człowiekiem, który ma mocne przekonania moralne, więc to naturalne, że znalazł w Trumpie partnera.

Zgoda, dzisiaj w Dolinie Krzemowej dominują szefowie spółek technologicznych o usposobieniu imperatorów i mieniący się wizjonerami filozofowie-trolle w rodzaju technomonarchisty i piewcy korporacji Curtisa Yarvina, ulubieńca J.D. Vance'a. Ale po drugiej stronie tego równania są coraz liczniejsi ludzie – od zwykłych obywateli przez naukowców, ludzi kultury, przedsiębiorców po polityków – którym rewolucja AI coraz mniej się podoba. Altman zdaje sobie z tego sprawę?
– Oj tak. I on, i pozostali szefowie Big Techów są świadomi społecznego odbicia, jakie ma miejsce w USA. Akurat jedną z największych zalet Altmana, źródłem jego gigantycznych sukcesów, jest zdolność do szybkiego, trafnego zidentyfikowania ludzkich potrzeb i znalezienia podwładnych, którzy je zaspokoją. Stąd te gigantyczne sumy, które zebrał na OpenAI.

• Sam Altman, dyrektor generalny OpenAI, na spotkaniu z prezydentem Trumpem w Białym Domu (21.01.2025)

Karen Hao

• amerykańska dziennikarka, autorka bestsellera „Imperium Sztucznej Inteligencji. Sny i koszmary w OpenAI Sama Altmana", (właśnie wydana w Polsce). Zajmuje się Doliną Krzemową. Współpracuje z „The Atlantic" i „The New Republic". Absolwentka MIT, karierę zaczynała jako inżynierka aplikacji w Dolinie Krzemowej

On doskonale czyta ludzkie emocje, słuch społeczny ma bardzo dobry. Kiedy mówię, że jest naczyniem, które wypełnia się tym, co go w danej chwili otacza, to nie znaczy, że jest jak chorągiewka czy że nie ma własnych poglądów. To znaczy, że wręcz absorbuje to, z czym akurat się styka, a co uznaje za w danym momencie kluczowe dla Altmana i jego sprawy. Na tym się koncentruje. Więc kiedy rozmawia z kimś z administracji albo z inwestorem, to nie myśli o opinii publicznej. Ale w chwili, gdy ktoś rzuca koktajl Mołotowa w jego dom albo grozi spaleniem siedziby OpenAI, nie myśli o niczym innym. Właśnie po takich groźbach opublikował kilka refleksji na ten temat na swoim blogu. Jego teksty są zawsze bardzo zaawansowane intelektualnie, wyrafinowane. Widać, że on zdaje sobie sprawę z niepewności, która rodzi się w ludziach z powodu rewolucji technologicznej.

Teraz ma tak fatalną reputację, że jeden wpis niczego nie zmieni, ale kiedyś, kiedy ludzie go cenili, uważali za szlachetnego lidera przyszłości, zyskiwał punkty właśnie wyczuwając rosnące niepokoje społeczne.

I co z tego?
– Z praktycznego punktu widzenia – nic. On i branża robili swoje. Ale ludzka psychika, zwłaszcza zbiorowa, działa przecież inaczej. Za każdym razem, kiedy się czegoś boisz, czujesz się lepiej, kiedy ktoś twoje lęki zauważa. I to robił Altman. Wielu pracowników OpenAI opowiada, jak przychodzili do niego zaalarmowani czymś konkretnym w firmie. Zawsze ich wysłuchał, a potem do tych problemów odnosił się publicznie. Czegokolwiek ludzie by się bali, on to zauważał i doceniał – w tym sensie, że wysłuchiwał i odnosił się. W ten sposób wygaszał bulgoczące pod powierzchnią napięcia. Oczywiście na chwilę, bo po jakimś czasie następowało zbiorowe olśnienie, że jednak Sam nic z problemem nie zrobił.

Skoro on jest świadom, że rośnie olbrzymi bunt społeczny wobec AI – będzie zmiana kursu?
– Już jest.

Niby gdzie? Przecież OpenAI rozpycha się.
– Nie do końca. Na pewno słyszałeś, że niedawno firma wyłączyła Sorę, swój model do tworzenia treści wideo.

Kosmetyczna zmiana. Meta też skasowała Metaverse, wirtualny trójwymiarowy świat równoległy. Zwykła decyzja biznesowa.
– Nie w przypadku Sory. Ta decyzja ma bezpośredni związek z rosnącym buntem przeciwko AI. Cała branża filmowa naprawdę jest w strachu. Sama rozmawiałam z dziesiątkami osób w Hollywood, które uważały, że Sora zabije ich przemysł całkowicie, bo nikomu nie będzie się opłacało robić filmów i seriali w starym stylu, o reklamach nie mówiąc. A teraz to poczucie nadciągającej apokalipsy w przemyśle filmowym osłabło, bo wraz ze zniknięciem Sory zmieniły się perspektywy dla branży.

Jeden model ma świadczyć o zmianie kursu?
– Nie będę cię przekonywać na siłę, ale pamiętaj, że to nie była tylko zabawka do robienia durnych filmików na platformy społecznościowe. Disney podpisał potężny kontrakt na udostępnianie wizerunków cyfrowych swoich postaci w Sorze. Wyłączenie tego modelu wywraca sporą część korporacyjnej strategii dwóch gigantycznych firm.

Okej, OpenAI jest trendsetterem, a jego wytwory pełnią rolę symboliczną ale czy Google, Microsoft, Amazon i rzesza chińskich laboratoriów porzucą ten potencjalnie zyskowny odcinek? Dla nich to wręcz okazja, konkurent sam wycofał się z wyścigu.
– Ale spójrz szerzej, na sytuację nie tylko OpenAI, ale wszystkich firm z tego sektora. Ich zasoby są na wyczerpaniu, naprawdę miejscami jadą na oparach.

Pod względem mocy obliczeniowej – bo na szczeblu lokalnym sprzeciw wobec budowy centrów danych, które pochłaniają cały prąd i wodę, jest potężny, więc nie budują tyle, ile potrzebują do ciągłego rozwoju. Przez to mają mniejsze moce i nie osiągają założonych celów, nie mają się czym wykazać przed inwestorami i potencjalnymi klientami. Politycznie czy lobbingowo też muszą gasić pożar za pożarem, bo okazuje się, że nawet u kochającej deregulację administracji Trumpa nie wszystko im się udaje, nie mówiąc o opinii publicznej – już naprawdę masowej, to nie tylko, jak do niedawna, „jacyś tam" studenci czy mało znani wyrobnicy z Hollywood – która wszystkich tych techno-prezesów by wywiozła na taczkach.

Próbuję cię kontrować, bo jednak mam wrażenie, że przypadek sektora AI jest naprawdę inny od poprzednich bojkotów rynkowych. Wcześniej, jeśli firma

eprasa.pl 995cb3273b

miała kryzys wizerunkowy, musiała ewoluować, bo podstawą przychodu były produkty konsumenckie – więc ze spadkiem sprzedaży trudniej było funkcjonować. Ale firmy technologiczne nie zarabiają na swoich produktach, tylko na obietnicy – adresowanej nie do zwykłego Smitha i Kowalskiej, tylko do top-menedżerów w korporacjach wszelkich możliwych branż.

A każdy prezes, dyrektor i członek zarządu, kiedy słyszy hasło „optymalizacja kosztów", nie ogląda się na jakąś tam opinię publiczną. Gdy wybuchł globalny kryzys finansowych w 2008 roku, oburzenie nie sprowadzało się do gwizdów podczas wykładów guru technologicznych i gniewnych wpisów w „socjałach". Okupowano Wall Street, manifestowano w Waszyngtonie – i co?

Zresztą Aaron Zamost, wpływowy menedżer i doradca branży informatycznej, napisał niedawno w „The New York Times", że Dolina Krzemowa po prostu ignoruje społeczeństwo.
– Dolina Krzemowa nie funkcjonuje w próżni. Koniec końców oni wszyscy potrzebują fizycznych zasobów, żeby zbudować swoje technologie. Nie mają zasobów, nie będzie technologii, proste. Sora nie została wyłączona, bo ktoś się przestraszył społecznego gniewu. Poświęcono ten model, bo stwierdzono, że brakuje zasobów i fizycznych, i politycznych, żeby realizować wszystkie cele naraz, więc trzeba z czegoś zrezygnować.

Chciałbym uwierzyć, że jednak Big Tech nie jest potężniejszy od państwa. Ale jak czytamy manifest Palantira, dokument głęboko faszystowski, to widzimy, że firmy technologiczne już nie tylko wchodzą na terytorium administracji państwowej, zwłaszcza w bezpieczeństwie publicznym, ale chcą je przejąć. A do tego kierują się nie samą chęcią zysku, lecz również, a może przede wszystkim, ideologią. Ich liderzy czują się burzycielami starego ładu. Niczym Lenin.
– Peter Thiel już 15 lat temu stwierdził, że jego zdaniem demokracja i wolność nie są kompatybilne. On postuluje całkowite rozmontowanie państwa rozumianego jako aparat administracji publicznej, po to żeby ludzie byli rządzeni przez korporacje. Wszystko, co wywodzi się z sektora prywatnego, jest bardziej wydajne od państwa i przez to lepsze dla ludzi, nawet jeśli oni sami tego nie wiedzą.

A demokracja ogranicza jednostki najwybitniejsze i najbardziej kompetentne, które mogą stawić czoła wrogom Zachodu. Dlatego można poświęcić demokrację na rzecz merytokracji.
– Jego światopogląd to najbardziej ekstremalna ideologia, jaką można znaleźć w Dolinie Krzemowej, ale niestety nie jest odosobniony. Altman nie jest takim radykałem z mesjanistycznym zacięciem, niemniej napisał dziesiątki esejów o tym, że rynki są lepsze od państwa, a korporacje lepsze od administracji publicznej.

Kolejnym krokiem jest wejście w ostatni monopol państwa, czyli kontrolowane użycie siły w celu zapewnienia porządku publicznego. Palantir, Anthropic, wszystkie te firmy próbują przejąć od państwa zadania w tym obszarze. Niedawna konfrontacja pomiędzy Pentagonem a Anthropickiem w sprawie użycia modelu Claude do tworzenia autonomicznych narzędzi wojennych jest dowodem właśnie na to.

Odebrano to jako starcie etycznego start-upu z pozbawionym skrupułów państwem, gotowym zautomatyzować zabijanie.
– Ale spójrz, jak w tym starciu rozłożyły się siły. Administracja chciała przymusić prywatną firmę, żeby udostępniła jej technologię w pełnym zakresie, bez obostrzeń. Anthropic się nie zgodził, na co Pete Hegseth zareagował opcją praktycznie nuklearną. Zagroził wykluczeniem Anthropica z łańcucha dostaw dla rządu federalnego. To jak naznaczenie szkarłatną literą. Najpotężniejszy argument, jakiego rząd federalny mógł użyć. Na co Anthropic nawet nie mrugnął. Dario Amodei wiedział, że sekretarz obrony tylko go straszy, bo Anthropic jest armii potrzebny znacznie bardziej niż armia Anthropickowi. Bez kontraktu dla wojska ta firma się nie zawali, nawet nie zauważy braku tych pieniędzy.

Zaraz, to korporacje technologiczne uginają się czy przeciwnie, panoszą coraz bardziej? Właśnie potwierdziłaś moje przekonanie, że żadnego uregulowania nie będzie.
– Ależ ono już się dzieje, tylko nie tam, gdzie ty patrzysz.

Administracja nie jest w ogóle zainteresowana regulowaniem sektora technologicznego, ale ludzie – jak najbardziej. Rozlewa się sprzeciw wobec budowy centrów danych, rosną naciski na władze lokalne, by nie przyznawały pozwoleń na kolejne elementy infrastruktury, masowe protesty w różnych częściach kraju.

Korporacjom daje do myślenia to, jacy ludzie obecnie angażują się w politykę, wchodzą do niej na szczeblu lokalnym. Jeśli prześledzić wybory do legislatur stanowych, do władz hrabstw, gdzieś naprawdę nisko w architekturze instytucjonalnej państwa, to widać od razu, że elektorat zaczyna wybierać kandydatów, którzy sprzeciwiają się nieregulowanej ekspansji sektora technologicznego. A więc zaraz będziemy obserwować efekt kaskadowy – tacy kandydaci pojawią się zaraz w wyborach połówkowych, przejdą na poziom federalny, trafią do Kongresu. Z olbrzymim mandatem od wyborców do regulowania Big Techów.

Nie jestem przekonany, że firmy takie jak Palantir, potężne i głęboko wszyte w strukturę federalną, da się od niego oderwać.
– Widać wyraźnie, zwłaszcza teraz, na chwilę przed wyborami połówkowymi w listopadzie, że większość tych firm ściga się z czasem, żeby zakorzenić się tak głęboko, jak to tylko możliwe. Co oznacza, że Dolina Krzemowa jeszcze nie zrosła się z administracją federalną. Moim zdaniem oni nie zdążą zabetonować nowej struktury przed zmianą władzy.

Nadal wątpię, czy ci nowi politycy będą w stanie coś zmienić. Big Tech to też Big Money, a amerykańska polityka wisi na potężnych darczyńcach kampanijnych. Wcześniej czy później ci „nowi" staną się „starzy", wejdą w system. Ugną się pod presją finansową, usprawiedliwiając się sami przed sobą.
– Poziom społecznej wściekłości jest tak wysoki, że już wymusił na politykach zmianę tonu. Większość z nich zrozumiała, że jeśli nie zaczną się zachowywać inaczej, to staną się niewybieralni. W ostatnim czasie odbyłam mnóstwo rozmów z politykami różnego szczebla, z obu partii – i prawie wszyscy byli świadomi tej frustracji wśród wyborców. Jedna polityczka powiedziała mi wprost: wiesz, wszyscy wiedzą, że największym problemem amerykańskiej polityki są pieniądze. Dzisiaj ma je Big Tech i on kupuje sobie polityków, tak jak kiedyś kupowała Wall Street czy nafciarze. Ale najlepszym lekarstwem jest prosta rzecz – świadomość, że twoi wyborcy już mają dość cię zwolnią, jeśli pójdziesz ślepo za tymi pieniędzmi.

Bunt przeciwko AI jest tak widoczny, że w całym kraju na szczeblach stanowych czy hrabstw znajdziesz już polityków, którzy stracili stanowiska, bo byli zbyt zbratani z Big Techem.

Jak to się przekłada na pozycję Ameryki na arenie międzynarodowej? Panuje konsensus, że walka o dominację w AI rozgrywa się wyłącznie pomiędzy Ameryką i Chinami – i wielu uważa, że Chiny już wyścig wygrały.
– Metaforę wyścigu w kontekście rozwoju sztucznej inteligencji uważam za głupi zabieg retoryczny. I Pekin, i Waszyngton tak to przedstawiają, ale tej sytuacji nie można porównywać z wyścigiem zbrojeń z czasów zimnej wojny. USA i ZSRR nie miały prawie nic wspólnego, były mocarstwami funkcjonującymi w osobnych rzeczywistościach – podczas gdy Chiny i Stany Zjednoczone łączy mnóstwo rzeczy, zwłaszcza w nowych technologiach. Najlepsi badacze z obu krajów współpracują przy badaniach i artykułach naukowych, oba kraje nie obejdą się bez wzajemnych technologii i sprzętu. Owszem, na niektórych polach wyścig jest, ale to nie jest jedyna dynamika, równocześnie między Ameryką i Państwem Środka kwitnie współpraca.

A gdy porozmawia się z legislatorami w Waszyngtonie, to można usłyszeć, że narracja o wyścigu traci znaczenie.

Dlaczego?
– Z dwóch powodów. Po pierwsze, ludzie wyciągają wnioski z ery platform społecznościowych. Kiedy przechodziliśmy przez erupcję Facebooka, giganci z Doliny Krzemowej mówili do polityków: nie regulujcie nas, bo musimy pokonać Chiny. A jak nasze platformy będą popularniejsze od chińskich, to odniesiemy sukces, bo przyniesiemy całemu światu wartości liberalne i będziemy nośnikiem demokracji. Po czym okazało się, że skutek działania tych platform jest dokładnie odwrotny.

Po drugie, ściganie się za wszelką cenę, bez dbania o dobrobyt obywateli, naprawdę osłabia pozycję USA jako moralnego lidera wolnego świata.

Wybacz, że się śmieję, ale amerykańska administracja chyba ma głęboko w poważaniu, czy ktoś ocenia dzisiaj USA przez pryzmat kryteriów moralnych.
– Obecna – jak najbardziej. Ale kolejna – kto wie? Poza tym pamiętaj, że Waszyngton to duże miasto, sam Kapitol jest olbrzymi. Pracuje tam mnóstwo ludzi i większość z nich tak naprawdę nie zgadza się z Trumpem. Już teraz zaczynają się pytania, co dalej. Kto tu zostanie, kto z kim będzie pracować, kiedy Trump odejdzie – bez względu na to, kto zdobędzie następną prezydenturę.

Ale wróćmy do doświadczeń z czasów rozkwitu i ekspansji serwisów społecznościowych. Dziś w kwestii AI Big Techy lobbują tą samą zdartą płytą – że nie można regulować sektora technologicznego, bo regulacje hamują skalowalność, a bez większej skali nie osiągnie się globalnej dominacji. Tylko że i sama Dolina Krzemowa, i politycy, eksperci, urzędnicy coraz lepiej wiedzą, że to bzdura.

Chińczycy stworzyli masę konkurencyjnych modeli AI przy znacznie niższych mocach obliczeniowych i dużo taniej. Nikt tego nie powie wprost, ale połowa startupów w Dolinie Krzemowej używa dzisiaj chińskich modeli, bo są znacznie tańsze w eksploatacji. Dlatego w Waszyngtonie odchodzi się od narracji o ściganiu się na rzecz rozmów o regulowaniu technologii tak, żeby chronić Amerykanów.

Jeśli to prawda, to mamy do czynienia z rewolucją w zapowiadanej rewolucji. Bo oficjalna mitologia Doliny Krzemowej zakłada szybkie dojście do AGI – ogólnej sztucznej inteligencji – i utopijną przyszłość uniwersalnego dobrobytu, a teraz co? Regulacje dla dobra obywateli? Przyjaźń z Chinami?
– AGI i „cywilizacja 2.0" to nigdy nie była narracja Waszyngtonu, tylko Big Techów i Doliny Krzemowej, a to zasadnicza różnica. W Dolinie Krzemowej nikt nie liczy się z głosem ludzi, a w Waszyngtonie musi, bo od tego zależy ścieżka do władzy. Dlatego presja, bunt, społeczne nieposłuszeństwo wcześniej czy później odnoszą skutek. Władza wróci na Kapitol, czyli do ludzi. ●

FOT. ANDREI BOK/SOPA IMAGES/LIGHTROCKET / GETTY IMAGES

300 nowych czołgów T-90M i 700 Iskanderów rocznie to dużo czy mało? W jakim jest stanie i komu zagraża rosyjska armia.

Z **KONRADEM MUZYKĄ***, ANALITYKIEM MILITARNYM, ROZMAWIA **MACIEK KUCHARCZYK**

Po raz kolejny przeżywamy fazę optymizmu odnośnie wojny w Ukrainie. Że Rosja słabnie, że Ukraińcy coraz lepiej sobie radzą. Mocno podkreśliła to bardzo skromna defilada z okazji Dnia Zwycięstwa w Moskwie i coraz śmielsze ukraińskie ataki dronowe. Czy rosyjska armia ma problem?
Konrad Muzyka: – To zabrzmi mało ekscytująco, ale tradycyjnie to nie jest armia ani całkiem słaba, którą można ignorować, ani jednoznacznie silna, przed którą trzeba drżeć. Są elementy funkcjonujące bardzo dobrze. Na przykład zdolność do nakłaniania żołnierzy, by szli naprzód, choć wiadomo, że szanse na przeżycie są ograniczone.

Co by nie mówić, to po przeszło trzech latach intensywnych działań ofensywnych z wysokimi stratami utrzymanie takiej dyscypliny jest sukcesem. Niezależnie od tego, jak ocenimy środki – bo często odmowa pójścia do ataku jest bardziej ryzykowna niż pójście na wroga.

Innym dużym osiągnięciem Rosjan jest zdolność do odcinania Ukraińców na froncie od zaplecza przy pomocy dronów i nalotów. Na szczęście to udaje się tylko tam, gdzie przyznają najwyższy priorytet i zgromadzą najlepsze oddziały.

Ale nie brakuje obszarów, gdzie jest źle albo wręcz bardzo źle. Na przykład ciągłe stosowanie taktyki infiltracji, czyli wysyłanie żołnierzy małymi grupkami, żeby jakoś przeniknęli

eprasa.pl 995cb3273b

WPIERIOD I JAKOŚ TO BĘDZIE

• Dzieci z organizacji patriotycznej salutują po złożeniu kwiatów pod pomnikiem „Matki Ojczyzny" na Cmentarzu Piskariowskim. Obchody Dnia Zwycięstwa w Sankt Petersburgu, 6 maja br.

przez ukraińskie pozycje i zajęli jakiś punkt za nimi. Z perspektywy rosyjskiego dowództwa to ma sens, bo nie tym, to innym razem się udaje, ale obiektywnie patrząc to prymitywna i bardzo kosztowna metoda, bo mnóstwo tych kiepsko przygotowanych ludzi ginie.

Bardzo źle pokazała się flota. Ukraińcy, nie mając regularnych sił morskich, nie tylko zdołali odepchnąć od swojego wybrzeża dość silną Flotę Czarnomorską, ale już czwarty rok trzymają ją w poczuciu zagrożenia.

Słaba, jak na swój potencjał, okazała się obrona przeciwlotnicza, która kiepsko radzi sobie z masami prostych ukraińskich dronów. Paradoksalnie jej przekleństwem stał się jeden z największych atutów wojennych Rosji, czyli przestrzeń. Po prostu nie ma tyle systemów przeciwlotniczych, aby zabezpieczyć tak ogromne obszary i liczne obiekty strategiczne.

Ogólnie po czterech latach intensywnych działań w Ukrainie na pewno w najważniejszych obszarach, zwłaszcza wojsk lądowych, widzimy raczej degradację niż rozwój, innowację i wdrażanie nowych rozwiązań poprawiających ich skuteczność.

W jakim sensie degradację? Rosjan jest coraz mniej i są coraz gorzej uzbrojeni?
– W tym sensie, że Rosjanie mają przed sobą przeciwnika, który jednak szybciej przystosowuje się do zmieniających się realiów.

Tak naprawdę od 2023 r. sposób prowadzenia wojny przez Rosję praktycznie się nie zmienił. Zmalała częstotliwość użycia czołgów i wojsk zmechanizowanych, pojawiło się więcej bezzałogowców, ale kręgosłup działania wojsk lądowych jest ten sam: infiltracja, powolne przedzieranie się przez ukraińskie pozycje, zajęcie terenu, umocnienie i powtórka. Nie widać jakiegoś pomysłu i planu na zmianę. Nie pojawiają się rozwiązania odpowiadające na nowe wyzwania pola walki, takie jak mocne nasycenie dronami, możliwości ciągłych uderzeń na zaplecze frontu i tak dalej. No a kto się nie rozwija, ten nie stoi w miejscu, tylko zostaje w tyle.

Skąd ta niezdolność do adaptacji? To kwestia samego rosyjskiego systemu, przyjętej taktyki? Mentalności? Podejścia do dowodzenia, które paraliżuje inicjatywę?
– Wszystkiego po trochu. Rosjanie patrzą na wojnę w bardzo sowiecki sposób, przez pryzmat „korelacji sił i środków". Uważają, że skoro mogą zmobilizować więcej żołnierzy niż Ukraina, to nawet przy niekorzystnym stosunku strat ostatecznie wyjdą na swoje.

Taką przyjęto strategię i już. Choć na poziomie taktycznym i operacyjnym, blisko pola walki, dowódcy widzą własne braki i piszą na ten temat raporty do Sztabu Generalnego. Problem w tym, że tam te informacje są podkolorowywane i dopiero tak poprawione trafiają do ludzi mających ostateczne słowo w kwestii strategii, czyli władz politycznych. W efekcie powstaje ogromna różnica między realiami frontu a tym, jak sytuacja jest postrzegana na górze, gdzie zapadają fundamentalne decyzje o tym, jak tę wojnę prowadzić.

Nawet podczas II wojny światowej Armia Czerwona potrafiła się uczyć. Generałowie wykazywali inicjatywę mimo paraliżującego strachu przed Stalinem, Stalin, choć wiedział najlepiej, potrafił ich słuchać, dowódcy niższego szczebla nie bali się improwizować. Co się stało, że teraz tego nie widać?
– Rosjanie uwierzyli, że drony rozwiążą im wszystkie problemy i więcej nie trzeba zmieniać. Gdy w 2024 roku pojawił się Rubikon, czyli wysoce wyspecjalizowana i bardzo skuteczna jednostka dronowa zorganizowana obok zwykłych struktur wojska, spodziewano się, że urośnie w potężny byt, który zmieni charakter wojny. Ukraińcy bardzo się tego obawiali, bo Rubikon szybko zaczął przysparzać im poważnych problemów. Jednak do dzisiaj realnie niewiele się zmieniło. Rubikon pozostał dość nieliczną, elitarną formacją, której umiejętności i doświadczenia nie udało się przeszczepić na dużą skalę reszcie wojska.

Owszem, są zapowiedzi masowego szkolenia operatorów dronów. Ma być ich nawet 200 tysięcy w oddzielnych wojskach dronowych. Tylko pojawił się poważny problem, jak tych ludzi sprawnie przeszkolić. Według ukraińskich ocen na dobrego operatora drona latającego potrzeba minimum pół roku, a lądowego dziewięć miesięcy. I na razie Rosjanie odpowiedniego systemu jeszcze nie zbudowali.

Do tego skuteczne odcięcie ich od amerykańskiego systemu łączności satelitarnej Starlink w lutym, plus prawie równoczesne blokowanie komunikatora Telegram przez ich własny rząd, doprowadziło do poważnych problemów z łącznością. Na tych systemach opierała się ich komunikacja w rejonie walk. Jeśli dodać do tego problem ze skutecznym zwiększeniem skali użycia dronów, pomimo ich masowej produkcji, to zostaje, to co zawsze. Nadal wysyłasz piechotę w „mięsne szturmy" i na infiltracje. Z ogromnymi stratami.

No dobrze, ale jednak ciągle idą naprzód.
– Jeśli spojrzeć na to, ile zajmują terenu, to obraz się zmienia. Wcześniej potrafili brać po 100–150 kilometrów kwadratowych w tygodniu. Od lutego sytuacja zauważanie się zmieniła. Ukraińcy na pewnych odcinkach frontu rozpoczęli skuteczne lokalne kontrataki i odbijali teren. A Rosjanie nagle zaczęli mieć tydzień po tygodniu ujemny bilans. Dopiero od końca marca widać lekki wzrost zdobyczy, ale ich skala pozostaje wyraźnie mniejsza niż w styczniu i wcześniej.

eprasa.pl 995cb3273b

Kluczowe jest co innego: koszt zajęcia każdego kilometra kwadratowego jest dziś znacznie wyższy niż jeszcze pod koniec 2025 roku. Rosjanie płacą za niewielkie przesunięcia linii frontu coraz większą cenę w ludziach i sprzęcie. Przy takich stratach nie da się jednocześnie poważnie szkolić piechoty do działania w środowisku pełnym dronów. Nie ma czasu, ani możliwości. Zdecydowana większość rosyjskich żołnierzy trafiających na front to ludzie realnie nieprzygotowani. Będą mieli szczęście, jeśli zaliczą kilka tygodni podstawowego szkolenia. Ich zadanie sprowadza się do „przejść z punktu A do punktu B i zająć budynek albo pas drzew".

A Ukraińcy przyjęli za cel zabicie jak największej liczby rosyjskich żołnierzy. Rosjanie nie są w stanie skutecznie temu przeciwdziałać, bo nie mają ani odpowiednio przećwiczonych ludzi, ani wystarczającej liczby operatorów dronów, którzy polowaliby na swoich ukraińskich odpowiedników i w ten sposób dawali wytchnienie atakującej piechocie.

Czy te wysokie straty to nie jest coś, co Rosjanie świadomie akceptują? Od lat jest mowa o tym, ile to ich ginie, ale jednak idą i idą naprzód.

– Problem w tym, że obecny model rekrutacji oparty o pieniądze, czyli bardzo duże wypłaty za podpisanie kontraktu i potem służbę, się wyczerpuje. Chętnych zaczyna być za mało, aby wyrównywać straty. Rosja prawdopodobnie będzie szukała nowych form pozyskania ludzi. Stąd spekulacje o kolejnej częściowej mobilizacji. Ukraińcy, z którymi rozmawiałem podczas ostatniej wizyty na froncie zimą, nie widzieli wtedy konkretnych sygnałów, że taki scenariusz jest przygotowywany, ale tendencja jest jasna: dotychczasowe metody naboru w Rosji przestają działać.

Ważne w tym kontekście jest coś, na co nie zwracamy takiej uwagi, skupiając się na wysokości strat czy pochodzeniu żołnierzy. Czyli to, ile lat ma przeciętny rosyjski rekrut podpisujący kontrakt. Jeszcze kilka lat temu to był plus minus 35-latek. Dzisiaj „nowy" jest już w rejonie czterdziestki. Zważywszy, z jakich grup społecznych zgłaszają się do służby, zazwyczaj to nie są ludzie dbający o zdrowie i sprawność fizyczną, więc ich ograniczona wydolność staje się problemem.

Zwłaszcza że ich zadaniem jest proste: przejść z punktu A do punktu B, a potem przebić się bojem. Problem w tym, że obecnie to oznacza 15-20 kilometrów marszu z ciężkim ekwipunkiem pod ciągłym zagrożeniem z powietrza. Bo bliżej do linii kontaktu to dzisiaj już właściwie żaden pojazd nie dociera. Kiedy więc już dojdą do Ukraińców i muszą podjąć walkę, to są wyczerpani i mało sprawni.

Kim właściwie są ci ludzie? Na przestrzeni lat dużo było mowy o tym, że Kreml oszczędza duże miasta, klasę średnią, wyższą i generalnie etnicznych Rosjan, żeby nie wywoływać niepokojów w najważniejszej dla siebie części społeczeństwa. Ginąć miały mniejszości etniczne i biedota. Czy te rezerwy wyczerpują się i ewentualna przymusowa mobilizacja w końcu dotknie tych, którzy żyją względnie wygodnie i dotychczas wojny nie odczuwają?

– Nie mamy szczegółowych danych na temat składu etnicznego wojska zaangażowanego w tak zwaną operację specjalną, ale wiele wskazuje, że ciągle giną głównie mniejszości. Z tego prostego powodu, że są statystycznie biedniejsze, więc zachęty finansowe są dla nich atrakcyjniejsze.

Jednak nie jestem przekonany, żeby Kreml jakoś celowo oszczędzał etnicznych Rosjan czy Moskwę i Sankt Petersburg. Okręg moskiewski jest szósty, jeśli chodzi o liczbę potwierdzonych poległych. Czyli ma ich kilka razy więcej niż mniejsze okręgi w europejskiej części Rosji, jak na przykład tambowski. Sama Moskwa też ma relatywnie wysokie straty, proporcjonalnie do jej rozmiarów. Ale mówimy o stanie obecnym, kiedy na wojnie idzie się ochotniczo. Gdyby doszło do kolejnej mobilizacji, Kreml zapewne sięgnąłby głównie po rekruta z prowincji i mniejszości, bo ten zasób jest wystarczający.

Może to w większości niewykształcony, rozpity „mużyk", ale zawsze to jakiś zasób ludzki. Koreańczycy Putinowi rosyjskiego rekruta nie zastąpią? Kim Dzong Un wysłał kilkanaście albo nawet kilkadziesiąt tysięcy ludzi do walki w obwodzie kurskim w latach 2024-25. Co się z nimi stało?

– Nadal są w obwodzie kurskim. Zajmują się głównie usuwaniem zniszczeń po walkach, rozminowywaniem, pilnowaniem granicy i tak dalej. Nic nie wskazuje, aby mieli zostać zaangażowani w walkach w Ukrainie albo w jakiś istotny sposób rozbudowywano ich kontyngent.

Czy można więc wyciągnąć wniosek, że Rosjanie rzeczywiście słabną i optymizm jest uzasadniony?

– Owszem, mają poważne problemy, ale trzeba pamiętać, że to także efekt ukraińskiej adaptacji. Ukraińcy zaczęli lepiej organizować pole walki, a nowy minister obrony wprowadza bardziej metodyczne podejście do zarządzania armią. Oczywiście w ramach politycznych i strukturalnych ograniczeń, gdyż jest spór między ministerstwem a Sztabem Generalnym o sposób prowadzenia wojny, strukturę jednostek – czy tworzyć dedykowane pułki szturmowe w każdym korpusie, czy utrzymywać osobne dowództwo wojsk szturmowych – i o wiele innych spraw.

Jednak kluczowe było ustabilizowanie stanów osobowych. Od kilku miesięcy widać, że liczba żołnierzy w ukraińskich wojskach lądowych przestała się kurczyć, a w części brygad pojawiły się wręcz wzrosty. To przekłada się na większą liczbę dobrze obsadzonych pododdziałów, w tym operatorów dronów, co jest ogromnym plusem.

Wobec tego stereotyp o „u nas ludu mnogo" i „wpieriod" ciągle w istotnej części jest aktualny? Kiepskie dowodzenie, kiepskie szkolenie, ale masą naprzód bez przywiązywania uwagi do kosztów?

– Ogólnie rzecz biorąc tak. Choć są formacje, gdzie szkolenie nadal stoi wysoko. Na przykład wojska powietrznodesantowe, część sił specjalnych. Tam pododdziały mają więcej czasu na ćwiczenie działań połączonych: piechota, artyleria, drony i koordynacja. Jednak w wielu brygadach i pułkach system przypomina taśmę produkcyjną: przyjeżdżasz, dostajesz minimum szkolenia, jedziesz na linię. Choć Rosja jeszcze przed wojną próbowała to zmienić i wzorować się na Zachodzie. W 2019 roku szef Sztabu Generalnego generał Walerij Gierasimow nakazał, by wszystkie ćwiczenia miały charakter dwustronny. Na poligonie nie walczymy z nieistniejącym wrogiem, ale realny pododdział przeciw realnemu pododdziałowi. Do tego podkreślano konieczność przejęcia odpowiedzialności przez dowódców najniższego szczebla.

Były dwa lata pokoju na wyrobienie nowych nawyków. Jednak kiedy to wojsko ruszyło na realną wojnę, to bardzo szybko wrócono do starego modelu, gdzie decyzje zapadają wysoko, a niższe szczeble mają wykonywać rozkazy, nie myśleć samodzielnie, a człowiek liczy się niewiele.

Ta radziecka mentalność jest też obecna po stronie ukraińskiej, ale w mniejszym stopniu. Tam łatwiej znaleźć dowódców, którzy oddają odpowiedzialność w dół, i cywilnych decydentów z zachodnią mentalnością, którzy pchają system w stronę większej kreatywności i elastyczności. Po stronie rosyjskiej dominuje twarda hierarchia.

Przed wojną dużo też było mowy o tym, jak to Rosja chce wzmocnić swój korpus podoficerów i oficerów młodszych, żeby właśnie na modłę zachodnią było ich więcej i mieli większą swobodę, nie bali się elastycznego działania, inicjatywy. Co się z nimi stało?

1 RP

Rosja utknęła na ukraińskim froncie. Koniec maja 2026.

Już ponad 1550 dni inwazji Putina w Ukrainie. Na mapie pokazujemy zagarnięte przez Rosjan tereny Ukrainy (w tym zajęty w 2014 r. Krym). Fioletowym kolorem pokazujemy jak niewielki postęp Rosja osiągnęła przez ostatni rok.

Rosyjskie straty w Ukrainie według wieku

Od początku inwazji do 19 maja 2026 r. potwierdzono daty śmierci łącznie 201 998 rosyjskich żołnierzy. Najwięcej w wieku 36-38 lat.

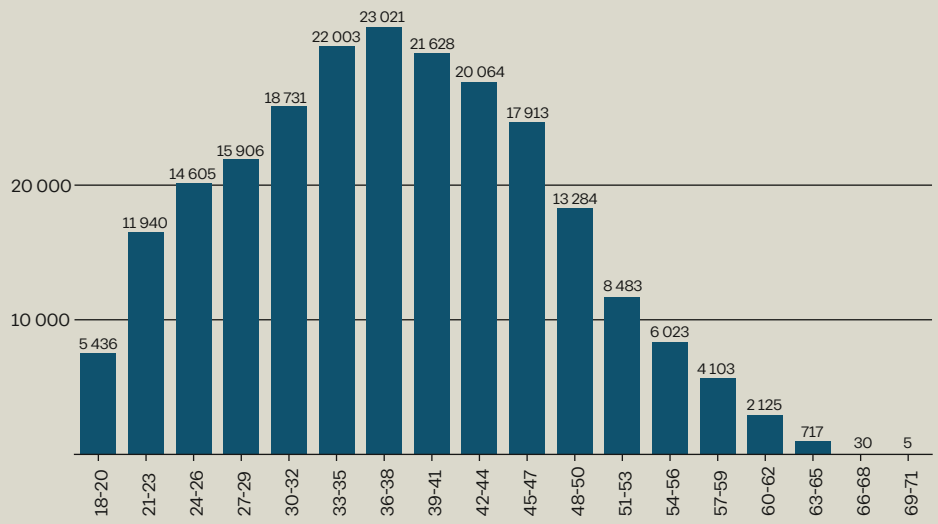

Kto ginie w Ukrainie? Stan na 19 maja 2026 r.

Mediazona doliczyła się co najmniej 221 206 potwierdzonych ofiar śmiertelnych po stronie rosyjskiej. Mapa poniżej pokazuje rozkład ofiar pochodzących z poszczególnych części Rosji. Są to wartości bezwzględne, nieuwzględniające liczby ludności ani liczby jednostek wojskowych.

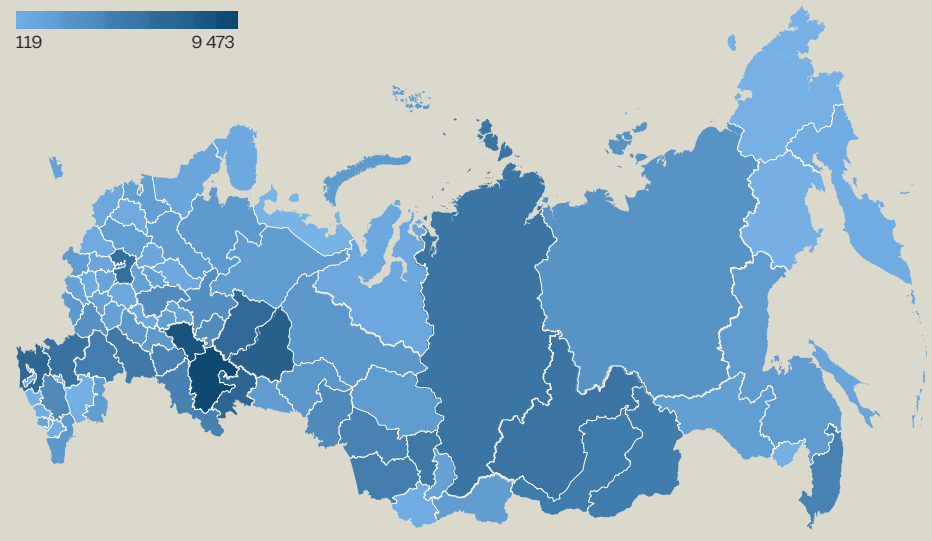

** Mapa nie uwzględnia walczących po stronie Putina pochodzących spoza Rosji. Z terenów Ukrainy: Ługańska Republika Ludowa - 1326, Doniecka Republika Ludowa - 1999, Krym - 1907, Sewastopol - 570. Z Bajkonuru w Kazachstanie - 4. A także 519 osób o pochodzeniu nieustalonym i 864 obcokrajowców.*

INFOGRAFIKI: TOMASZ LEBIODA, DOMINIK UHLIG, DANUTA PAWŁOWSKA / WYBORCZA.PL
ŹRÓDŁA: MEDIAZONA; OPRACOWANIA WŁASNE

eprasa.pl 995cb3273b

– Trzeba pamiętać, że rosyjskie przedwojenne wojska lądowe zostały praktycznie całkowicie zniszczone podczas pierwszych dwóch lat walk. To, co widzimy teraz, zostało odbudowane w trybie wojennym na bazie ich resztek. Dotyczy to też podoficerów i oficerów młodszych, czyli ludzi, którzy dowodzą bezpośrednio w strefie walk.

Prawdziwi weterani i przedwojenni wykształceni oficerowie to duża rzadkość. Głównie świeży narybek po przyśpieszonych wojennych kursach w akademiach. Niby uczeni z uwzględnieniem wniosków z wojny i dużym naciskiem na rolę dronów, ale co z tego, jeśli na froncie trafiają w taki system, jaki jest? Zero przestrzeni na inicjatywę, kreatywność i elastyczność. Tylko nakaz: zająć dany punkt ma mapie w nierealistycznym terminie i jeszcze słać regularne meldunki o postępach.

Czyli nawet jeśli teoria podczas nauki będzie solidna, to paradoksalnie oderwana od frontowej rzeczywistości, która jest niezmienna? A oficerowie starsi? Tam nie zaszła jednak jakaś profesjonalizacja? Nie nauczyli się lepiej prowadzić nowoczesną wojnę?
– Sztaby to w większości ludzie jeszcze przedwojenni, bo tam straty były bardzo ograniczone. Tylko co z tego, jak system jest, jaki jest. Wielu wyższych oficerów widzi problemy i nawet ma pomysły, jak je rozwiązywać. Niektórzy najlepiej sprawdzający się na froncie trafiają jeszcze wyżej, do centralnych struktur w Sztabie Generalnym. Jednak to się nie przekłada na zmiany systemu. Jest raczej odwrotnie. To system wchłania te jednostki.

Ale Ukraińcy też mają z tym problem.

Dużo słyszymy o „kozackiej tradycji", o tym, że Ukraina zatrzymanie inwazji i frontowe sukcesy zawdzięcza niemal autonomicznym działaniom ruchliwych oddziałów dowodzonych przez nieszablonowo myślących oficerów.
– Owszem, Ukraińcy mają dobrych, kreatywnych i elastycznych dowódców, ale w takiej strukturze jak armia, zwłaszcza poradziecka, trudno o powszechne zmiany oddolne.

Wracając do Rosjan, to co z tego, że prawie każdy opis ćwiczeń na zapleczu zawiera deklaracje o uwzględnieniu wniosków z wojny i szerokim zastosowaniu dronów.

Sprawozdawczość odfajkowana, przełożeni zadowoleni, mogą zaraportować sukces...
...a metody prowadzenia walki na froncie i tak się nie zmieniają.

Nie zmieniają się nawet tam, gdzie działa przedwojenna elita? Wspomniane przez ciebie wojska powietrznodesantowe czy piechota morska? To oni byli twarzą nowoczesnej rosyjskiej armii przed wojną. To oni, dobrze wyszkoleni i wyposażeni – pamiętamy te podszyte fascynacją opisy zachodnich mediów, że „wyglądają prawie jak Amerykanie" – odgrywali rolę „zielonych ludzików" na Krymie czy w Donbasie w 2014 roku.
– Tamci ludzie w zdecydowanej większości już dawno nie żyją. Rosjanie swoich elitarnych oddziałów nigdy nie oszczędzali. Też zostały już nawet kilka razy zmielone, odbudowane i ciągle aktywnie uczestniczą w walkach. Na przykład dywizje powietrznodesantowe, aktualnie głównie na kierunku zaporoskim.

No i owszem, w porównaniu ze średnią całej armii zazwyczaj mają lepsze wyposażenie, lepszej jakości rekruta po lepszym szkoleniu. Tylko to ciągle nie jest coś, co by drastycznie odstawało od średniej i zapewniało znacząco lepszą skuteczność. Nawet ta elita stosuje infiltrację i ponosi ciężkie straty, próbując na piechotę przenikać przez pozycje Ukraińców.

A co z innymi rodzajami sił zbrojnych? Lotnictwo, patrząc po liczbie zrzucanych bomb szybujących, która ostatnio znacząco wzrosła, wygląda na coraz aktywniejsze. W powietrzu takich problemów jak na ziemi nie ma?
– Po porażkach, gdy próbowano zniszczyć ukraińską obronę przeciwlotniczą w pierwszych dniach wojny, rosyjskie siły powietrzno-kosmiczne wyraźnie się podciągnęły. Tempo nalotów jest wysokie. Nie ma wiarygodnych danych pozwalających stwierdzić, że doprowadzi to do rychłego załamania rosyjskiego lotnictwa z powodu zużycia sprzętu. Do ataków wydzielono tylko część floty bombowców taktycznych i osłaniających je myśliwców, mniej więcej jedną trzecią, reszta przechodzi szkolenia i remonty.

Co ważniejsze, bardzo poprawiła się organizacja ataków dalekiego zasięgu. W początkowych latach były słabo zaplanowane i skoordynowane: pociski leciały podobnymi trasami, w dużych odstępach czasu, co ułatwiało Ukraińcom ustawienie obrony. Dziś Rosjanie potrafią zaplanować złożone ataki: najpierw liczne proste drony w rodzaju Shahedów wyczerpują obronę przeciwlotniczą, potem nadlatują pociski manewrujące i wreszcie rakiety balistyczne, które dokańczają zadanie.

W serwisach społecznościowych widać nagrania z trafień ukraińskich dronów w Rosji. W drugą stronę, z rosyjskich ataków, jest niewiele. Jakby były nieskuteczne.
– Niestety są bardzo skuteczne. Zeszłoroczne i tegoroczne uderzenia w infrastrukturę krytyczną były dla Ukrainy niezwykle bolesne. Z rozmów z ukraińskimi ekspertami wynikało, że momentami realnie obawiano się całkowitego załamania systemu energetycznego. Po prostu o trafieniach w podstacje, stacje rozdzielcze czy elementy sieci prawie się nie informuje. To świadoma blokada informacyjna.

A wojska strategiczne? Flota?
– Wojska strategiczne odpowiadają za odstraszanie jądrowe, więc muszą być i kropka, bo są filarem rosyjskiego systemu bezpieczeństwa. Na nie wojna raczej istotnie nie wpłynęła. Choć wiemy, że z ich kadr utworzono dwa pułki piechoty, zapewne żołnierzy po prostu zmuszono do podpisania kontraktów i wysłano na front.

Marynarka wojenna poza Flotą Czarnomorską też nie przeszła większych zmian. Okręty pozostały flot są bardziej aktywne niż przed wojną, zwłaszcza na Bałtyku i Atlantyku, ale to wynika z ogólnej sytuacji międzynarodowej, a nie przemian systemowych. Jaki może być ich realny potencjał, pokazuje historia osiągnięć Floty Czarnomorskiej. Ukraina, nie mając klasycznej marynarki wojennej, zdołała zadać jej straty i zmusić do ograniczenia aktywności. Rosjanie mają problemy ze skuteczną obroną okrętów przed dronami morskimi i powietrznymi. Po tylu latach wojny. Jednoznacznie źle świadczy to o jakości dowodzenia, poziomie szkolenia i zdolności do niestandardowego, kreatywnego rozwiązywania problemów.

Skoro ważna część rosyjskiego wojska wojny istotnie nie odczuwa, to czy gdzieś w tle trwa też jego rozbudowa? Już po inwazji i pierwszym szoku, że nie poszło tak, jak się spodziewano, jeszcze za ministra obrony Siergieja Szojgu, padały wielkie zapowiedzi rozbudowy armii do 1,5 miliona ludzi, wielu nowych dywizji, nowego sprzętu i tak dalej, które miały głównie stanąć u granic NATO.
– Nie, nie ma gdzieś ukrytych nowych rosyjskich dywizji. 1,5 miliona żołnierzy w czasie formalnie pokoju to mrzonka, chyba że władze polityczne uznałyby, że są gotowe ponieść koszty gospodarcze i społeczne, by ten cel osiągnąć za wszelką cenę. Przed 2022 r., przy dużych nakładach na wojsko i braku kosztów wojny, nie udało się nawet dojść do miliona. Teraz, gdy gospodarka jest wyczerpana, społeczeństwo zmęczone, a straty wysokie, prawie podwojenie stanu osobowego wydaje się mało realne.

Z drugiej strony Rosja ma wciąż znaczące rezerwy tworzone przy pomocy poboru. W ostatnich latach do służby trafiało rocznie około 280–295 tysięcy poborowych. Nawet jeśli po roku większość z nich odchodzi i nie podpisuje kontraktów, to nadal mówimy o setkach tysięcy ludzi, którzy przeszli choć minimalne szkolenie i których w sytuacji formalnej i na dużą skalę wojny można powołać szybko pod broń. Teraz prawo zabrania wykorzystywać ich w „specjalnej operacji wojskowej" w Ukrainie.

A skąd oni by dla tych ludzi wzięli broń? Po pierwszych latach wojny z widocznym przyśpieszeniem produkcji zbrojeniowej teraz mamy jakby stagnację?
– No nie jest to masowa produkcja w stylu radzieckim. Na przykład produkują rocznie tylko około 250–300 nowych czołgów T-90M. To nie są ilości pozwalające i uzupełnić straty z ostatnich lat, i jednocześnie zastąpić stary radziecki sprzęt wyciągnięty w trybie wojennym z magazynów.

Dotyczy to praktycznie całego ciężkiego uzbrojenia. Ogólnie, jakościowo rosyjskie wojska pancerne i zmechanizowane są na niższym poziomie niż przed wojną. Na przykład tak jak w 2022 roku podstawowym rosyjskim czołgiem był przyzwoity T-72B3, tak teraz to właściwie nie wiadomo, czy jest jakiś typ, który można by nazwać podstawowym. Choć ilościowo udało się uzupełnić wojenne straty i poziom nasycenia sprzętem jest podobny jak w 2022 roku, to jest ogromna mieszanka wszystkiego, co produkował ZSRR, od lat nawet 50.

Wojska powietrznodesantowe, część sił specjalnych, wojska strategiczne – Rosjanie mają formacje, w których szkolenie stoi wysoko

Odbudowanie jakości to zadanie na wiele lat, raczej około dekady. Mówimy o osiągnięciu poziomu porównywalnego z rokiem 2022 gdzieś około roku 2035. Gdzie wtedy będą wojska NATO z ich aktualnymi, dość intensywnymi zbrojeniami? Nadrobienie tego konkretnego zapóźnienia będzie dla Rosjan bardzo trudne.

Nie nadrobią postępem w innych rodzajach uzbrojenia? W dronach mają znacznie większe praktyczne doświadczenie niż my.
– W bezzałogowcach, owszem, nastąpił największy skok. Rosja produkuje masowo tanie bezzałogowce: rocznie od dziesiątków tysięcy opartych na irańskiej konstrukcji Szahidów po miliony małych dronów taktycznych. Ale to nie jest sprzęt szczególnie wyrafinowany technicznie czy szybko rozwijany jakościowo.

Duży postęp osiągnięto też w produkcji pocisków manewrujących i balistycznych – głównie Iskanderów i Ch-101 – choć wygląda na to, że jeśli chodzi o ilość, doszli do pewnego pułapu, którego na razie nie są w stanie przekroczyć albo uznają, że nie muszą. W przypadku Iskanderów to około 600-700 sztuk rocznie. Jednocześnie poprawiają te systemy pod względem jakości. Stają się bardziej skuteczne. Na dodatek pracują nad ich nowymi wersjami i następcami, które na pewno będą poważnym zagrożeniem.

Natomiast w zaawansowanych dziedzinach, jak nowoczesne samoloty czy rozbudowane systemy łączności i dowodzenia BMS – od „battlefield management system" – postępu prawie nie widać. Ukraińcy mają kilka różnych systemów zarządzania polem walki, Rosjanie nadal nie dysponują jednym, który spinałby rozpoznanie, artylerię, piechotę i drony.

Problemy są też z bronią, którą Kreml prezentuje jako tę „cudowną". Na przykład Oriesznik, Cyrkon czy Kindżał. Ten drugi cierpiał długo na problem z niską celnością, udało się ją poprawić dopiero w ostatnich miesiącach. W dodatku ich produkcja pozostaje bardzo ograniczona, więc służą bardziej jako narzędzia propagandy i tak zwanej sygnalizacji strategicznej pod adresem NATO, a nie coś, czego mogliby bać się Ukraińcy. Z drugiej strony, nawet takie ograniczone użycie przeciw Ukrainie daje Rosjanom możliwość realistycznego testowania i ciągłego dopracowywania.

Streszczając – rosyjski przemysł bardzo dobrze radzi sobie ze zwiększaniem produkcji relatywnie prostego i dobrze znanego uzbrojenia, ale ma ogromne problemy ze zrobieniem tego samego z rozwiązaniami technologicznie zaawansowanymi.

Chińczycy im nie pomogą? Dużo spekuluje się, że w Ukrainie testują swoją nowoczesną broń w warunkach bojowych.
– Nie wiadomo nic o tym, aby Chiny wspierały Rosjan uzbrojeniem. Jedyne, o czym mamy sygnały, to radary służące do wykrywania ukraińskich dronów nad terytorium Rosji, ale i na to nie ma twardych dowodów. Chińczycy wspierają Rosję przede wszystkim poprzez współpracę gospodarczą i bycie niemal wyłącznym dostawcą podzespołów elektronicznych, na których stoi cała rosyjska zbrojeniówka.

Nie wiadomo nawet nic o tym, czy chińska armia z bliska obserwuje przebieg działań bojowych. Choć nie zdziwiłbym się, gdyby jacyś oficerowie łącznikowi byli poukrywani w rosyjskich strukturach dowodzenia z zadaniem pozyskiwania jak najwięcej praktycznych informacji, przydatnych do rozwoju swoich sił zbrojnych.

Gdyby to wszystko podsumować – jak dziś wygląda rosyjska armia jako zagrożenie dla nas? Jest bardziej niebezpieczna niż przed wojną, bo choć kiepsko dowodzona i bazująca na prymitywnej taktyce, to ostrzelana i bezwzględna, czy przeciwnie?
– Dopóki trwa wojna w Ukrainie, a Sojusz pozostaje spójny, Rosjanie nie są zdolni do przeprowadzenia dużej operacji ofensywnej przeciwko państwom NATO. Gdyby jednak front ukraiński został zamrożony, a jedność NATO osłabła, Rosja mogłaby w ciągu 2-4 lat wydzielić znaczące siły do działań przeciw na przykład państwom bałtyckim.

Sojusz na pewno tego rodzaju przygotowania by zauważył z dużym wyprzedzeniem. Tego się nie da ukryć. Jednak można być właściwie pewnym, że nie przeprowadziłby uderzenia wyprzedzającego. Siły NATO, oby odpowiednio zawczasu wzmocnione, musiałyby przyjąć pierwsze uderzenie Rosjan i potem odpowiedzieć. W takim scenariuszu jest jak najbardziej realne, że rosyjskie wojsko wkroczyłoby na terytorium państw Sojuszu, powodując śmierć i zniszczenie, podobnie do pierwszej fazy wojny w Ukrainie.

Więc wiemy, czego się spodziewać, w tym sensie, że wiemy, jak Rosjanie się zachowują, i wiemy, że fundamenty ich armii się nie zmieniły. To jest to samo co zawsze: masa i siła ognia.

Trochę zmieniły się narzędzia, zamiast części klasycznej artylerii mamy drony i bomby szybujące, jednak stereotyp słabo wyszkolonego piechura, rzucanego do przodu bez większej troski o straty, wciąż jest w dużej mierze aktualny. Rosja nie zdołała istotnie zreformować wojsk lądowych. Nie zbudowała systemu powszechnego, nowoczesnego szkolenia piechoty, nie stworzyła sprawnego systemu dowodzenia i łączności porównywalnego z ukraińskim czy natowskim.

Korupcja, mentalność i ograniczony dostęp do technologii sprawiają, że nie widać perspektywy szybkiego przełomu po ich stronie. ●

Konrad Muzyka

• analityk militarny, specjalizuje się w tematyce wschodniej, zwłaszcza Rosji i Białorusi, założyciel firmy konsultingowej i think-tanku Rochan Consulting.

eprasa.pl 995cb3273b

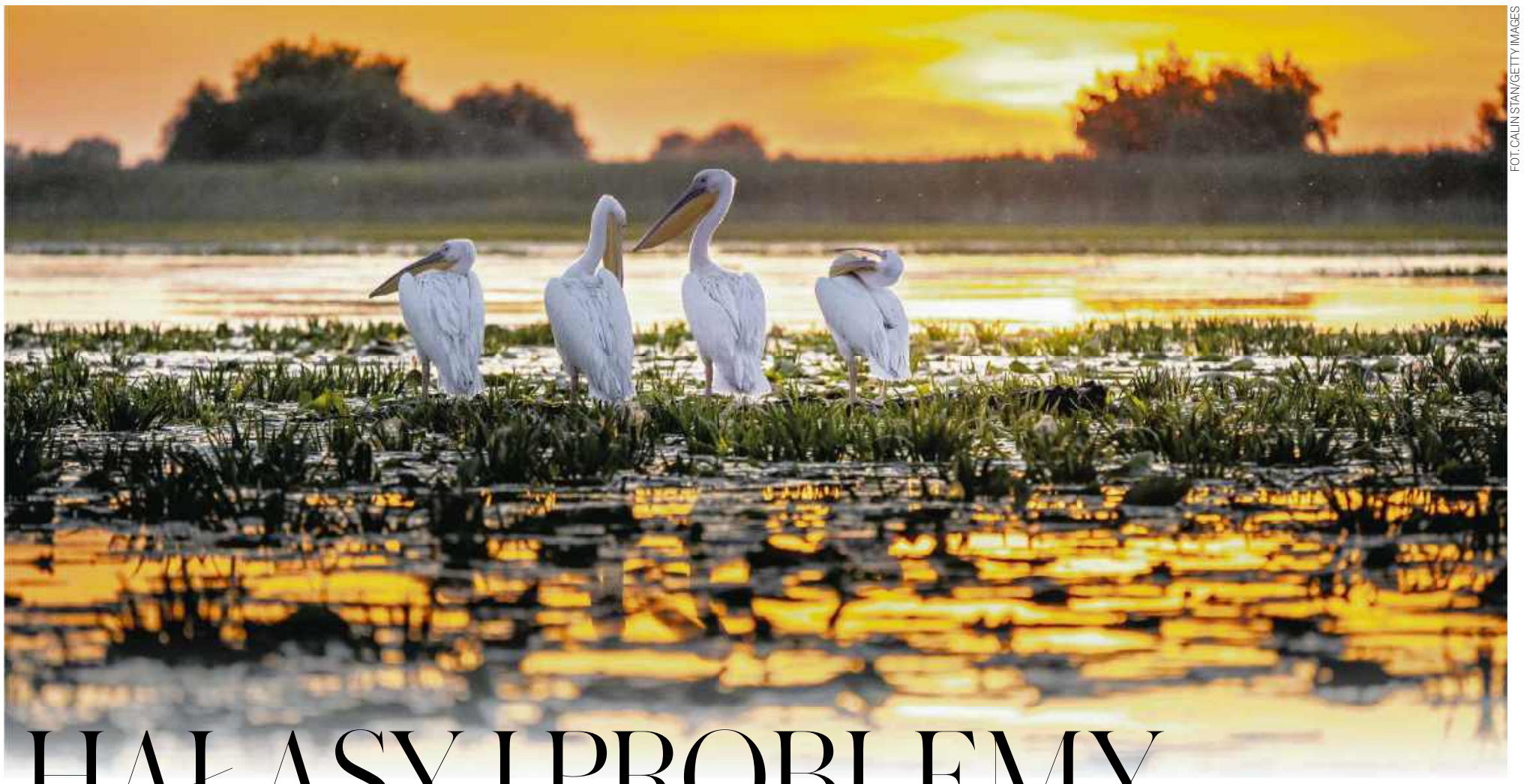

FOT. CALIN STAN/GETTY IMAGES

HAŁASY I PROBLEMY W GÓRZE RZEKI

Delta Dunaju – dla Rumunii flanka NATO, dla Ukrainy – droga życia. Czy pelikany to przeżyją?

Marta Panas-Goworska
Andrzej Goworski

Ujście Dunaju stało się jeszcze bardziej narażone na hybrydowe ataki Rosji. Ostatnie wydarzenia polityczne w Bukareszcie pokazują, że sama Rumunia może się do tej eskalacji przyczynić. Flamingi, pelikany i kapitan Tache mówią temu „nie".

Psy i rosyjski dron

Do Sfântu Gheorghe nie da się dojechać samochodem. Auto zostaje na parkingu w Tulczy albo mniejszych Mahmudii czy Murighiolu. Dalej jest już tylko sieć kanałów, odnóg, rozlewisk i wszystko transportuje się wodą.

Płyniemy więc sporym katamaranem razem z sadzonkami drzewek, rowerami, narzędziami ogrodniczymi i materiałem izolacyjnym. Na krzesełkach na zadaszonym pokładzie pełno. Tuż obok lekarz, urzędnik i dwóch żołnierzy. Kilkunastu budowlańców, którzy zdążyli wykupić cały zapas piwa Ursus, który był na statku, pali na rufie.

Wiosna jest srebrzysta. Zieleń dopiero się budzi i ma metaliczny połysk. Mijamy pomosty rybackie oraz kilkukrotnie pola namiotowe pełne mężczyzn. Nie przypominają jednak turystów – to najczęściej rybacy z Mołdawii, którzy przybyli tu za pracą. Nad głowami przelatuje stado flamingów. Brzeg jest gęsty od drzew i korzeni wchodzących w wodę.

Po półtorej godziny statek dobija. Na lądzie stoją trójkołowce. Władze szczycą się tym, że to pojazdy elektryczne, więc ekologiczne, choć faktycznie powóz, motor i taczka skleiły się w jeden pojazd. Miejscowi prowadzą je na stojąco, jakby powozili. Później dostrzeżemy też dwa traktory, jeepa, policyjną Dację i ciężarówkę, które przypłynęła na barce.

We wsi jest jeden sklep i poza sezonem jedna restauracja. Nie ma bankomatu i trzeba mieć gotówkę, żeby zapłacić za transport. Drogi są piaskowe, tylko przy sklepie kostka. Niektóre domy mają pięterko, w tym jeden lekko klasycyzujący budynek, najwyraźniej dawna siedziba urzędnika albo lekarza. Reszta to zabudowa parterowa.

Wiele dachów krytych jest trzciną, choć dziś to już bardziej świadomy wybór niż konieczność. W ogrodach tulipany, kwitną jabłonie, śliwy, rosną też drzewa figowe. Wokół domostw pies, człowiek, kot, trójkołowy pojazd i łódź – w tej kolejności.

I właśnie te wszechobecne psy dołączają do nas, kiedy idziemy nad morze. Znikają w bocznej uliczce, gonią się w tumanach kurzu, obsikują słupy, z których niemal do wysokości głowy zwisają kable. Prowadzą nas przez całą wieś – kiedy znikamy im z oczu, czekają. Jeden jest zaczipowany, więc na pewno nie bezpański.

Na końcu Sfântu Gheorghe wojskowe budynki i maszty. Na jednym, właśnie wznoszonym, pojawi się zapewne następny radar. Dalej rozlewiska i podmokłe łąki. Między nimi biegnie dróżka, a wokół kwilenie, gęgania, kląskanie, pohukiwanie. Towarzyszące nam psy wzbijają setki ptaków.

Nocą, gdy będziemy tamtędy szli po raz drugi, te animalne dźwięki będą niemal namacalne. Jakby się weszło do brzucha natury. Światło latarki wyłuska mikrą żabę, która okaże się wyjątkowo hałaśliwa.

I w końcu docieramy do Morza Czarnego. Na plaży zepsuty pas transmisyjny. Pachnie wodą morską i słońcem, ale też rzeką, która niesie wody do ujścia. Co jakiś czas porywisty wiatr ciska w twarz woń łajna; nieopodal pasie się stado wolnych krów.

W stronę morza kroczy pelikan, mija krzyż z tabliczką: „Cioclu Teodor, ur. 1951, zm. 2002, Galati. Wieczna pamięć. Nigdy cię nie zapomnimy. Rodzina". Galati, inaczej Gałacz, to miasteczko, gdzie w kwietniu 2026 roku spadł rosyjski dron.

Delta Dunaju zmienna w czasie

Delta Dunaju to jedno z najmłodszych miejsc w Europie – formować się zaczęła, gdy rzeka wypełniła osadami zatokę Morza Czarnego; najstarsze ślady sięgają siedmiu i pół tysiąca lat. Dziś ma ponad 5200 km kw. po stronie rumuńskiej, a jako transgraniczny rezerwat biosfery – razem z ukraińską częścią – 7322 km kw.

Najmłodsze i największe z trzech głównych ramion Dunaju, Chilia, wciąż się rozwija – mimo że tamy w górze rzeki odcięły znaczną część naturalnego transportu osadów. Deltę tworzy labirynt ponad 300 jezior i tysięcy kilometrów kanałów. Jest domem dla ponad 4300 gatunków zwierząt i prawie 3000 gatunków roślin; gniazduje tu i odpoczywa podczas migracji ponad 350 gatunków ptaków, a w wodach żyje ponad 100 gatunków ryb, w tym kilka gatunków jesiotra. Spośród ssaków na uwagę zasługują norka europejska, żbik i wydra.

Pierwotną ludnością byli tu Getowie – lud tracki, nie słowiański. Później nad lagunami Razelm i Golovita Grecy założyli faktorie. W średniowieczu tereny delty przeszły z rąk Bizancjum pod panowanie osmańskie; sułtanowie traktowali je przede wszystkim jako źródło dochodów z ceł rzecznych.

Od XVIII w. nad Dunaj systematycznie parła Rosja. Traktat w Bukareszcie w 1812 roku po raz pierwszy dał jej oficjalną władzę nad ujściem. Po wojnie krymskiej mocarstwa powołały Europejską Komisję Dunaju – instytucję tak niezależną i sprawną, że nazwano ją „najambitniejszym eksperymentem w administracji międzynarodowej". Miała własną flagę, policję i sądy. Z jej inicjatywy pogłębiono ujście Suliny, drugiego ramienia, i po raz pierwszy wprowadzono jednolite zasady żeglugi na dolnym odcinku rzeki.

Rosja, pozbawiona samodzielnej kontroli nad deltą, musiała zaakceptować międzynarodowy nadzór. W efekcie południowa Besarabia (Budziak) wróciła do Mołdawii, która w 1859 roku zjednoczyła się z Wołoszczyzną, tworząc Rumunię. I to nowe państwo przejęło władzę nad deltą.

W XX w. delta znów stała się przedmiotem sporu. W 1940 roku ZSRR zakwestionował linię graniczną na Chilii, domagając się przesunięcia jej kilka kilometrów na południe. W 1948 roku Rumunia oddała Sowietom słynną Wyspę Wężową i kilka mniejszych wysepek. Premier Petru Groza mówił wtedy, że „przyjaźń z wielkim państwem radzieckim" jest ważniejsza.

Ceausescu i po Ceausescu

Jeszcze kilkadziesiąt lat temu rybołówstwo było podstawą tutejszego życia. Tereny zalewowe i delta dostarczały do 75 proc. krajowych połowów Rumunii. Dziś, jak mówi kapitan Tache, który zabierze nas w drogę powrotną, „ryb jest mniej, a turystyka wyprzedziła rybaków".

Mircea Ghiban ze stowarzyszenia rybaków szacuje, że połowy zmalały o 20-30 proc. Przepływające Dunajem statki niszczą sieci, a na powierzchni wody widać plamy oleju. Na brzegach kanałów Sulina i Sfântu Gheorghe pojawiły się plastikowe butelki, torby i odpady wyrzucane za burtę. Miejscowi wielokrotnie zgłaszali zanieczyszczenia, ale – według ich słów – „nic się nie wydarzyło".

Do tego dochodzi kłusownictwo: w samym 2025 roku administracja rezerwatu skonfiskowała ponad 72 km sieci i ponad 3,3 tony nielegalnie złowionych ryb.

Obecny kształt regionu – gospodarczy, społeczny i częściowo przy-

eprasa.pl 995cb3273b

W Rezerwacie Biosfery Delta Dunaju żyje ponad 300 gatunków ptaków w tym największe na świecie kolonie pelikanów

rodniczy – wyłonił się po 1991 roku, kiedy deltę włączono do sieci rezerwatów biosfery UNESCO. Dawne kombinaty, jak fabryka konserw w Sulinie, już nie istnieją. W efekcie liczba mieszkańców spadła o 30-40 proc.

Zmiany dotknęły głównie deltę właściwą, czyli tę część, która jest chroniona jako Rezerwat Biosfery Delta Dunaju. To właśnie dla tego obszaru administracja podawała w 2023 roku liczbę 11,5 tys. mieszkańców z 32 wsi i 4 miasteczek. Dziś gęstość zaludnienia wynosi tu średnio około dwóch osób na kilometr kwadratowy i są to najmniej ludne rejony Europy.

Na granicach delty lub tuż poza nią znajdują się jednak większe ośrodki: po stronie rumuńskiej Tulcza (ok. 66 tys.), po ukraińskiej Izmaił (ok. 85 tys.), Kilia (ok. 22 tys.) i Wilkowo (ok. 9 tys.).

To one są prawdziwymi bramami i węzłami logistycznymi regionu, choć formalnie nie wlicza się ich do delty właściwej.

Z perspektywy Kremla

Od pełnoskalowego ataku Rosji na Ukrainę ta sama delta dla każdego z zainteresowanych państw znaczy co innego.

Dla Rumunii to element wschodniej flanki NATO – nie tylko teren, przez który mogą przenikać rosyjskie siły specjalne (w raportach NATO porównywano ją do delty Dniepru), ale też przestrzeń, którą można metodycznie wzmacniać. Narodowa Strategia Obrony Rumunii na lata 2025-2030 wskazuje Rosję jako główne zagrożenie, a w rejonie Tulczy rozmieszczane są kolejne systemy przeciwlotnicze i antydronowe.

Dla Ukrainy to „droga życia". Określenie to spopularyzował w 2022 roku zastępca sekretarza generalnego ONZ ds. humanitarnych Martin Griffiths, który nazwał ujście kanału Bystroje „życiowo krytycznym kanałem transportowym".

Kanał Bystroje to ukraińska odnoga utworzona na północny wschód od koryta Chilii, by dać Ukrainie własne, niezależne od Rumunii głębokowodne połączenie z Morzem Czarnym. Po zablokowaniu przez Rosję ukraińskich portów morskich to właśnie Dunaj przejął masowe ładunki – zboże, rudy, paliwa – które płyną statkami z Morza Czarnego w górę rzeki do ukraińskich portów i z powrotem. Według szacunków, na które powołują się m.in. rosyjskojęzyczni analitycy, w 2026 roku przechodziło tędy do 30 proc. ukraińskiego eksportu i niemal połowa importu paliw i towarów krytycznych.

Dla Rosji delta to część szerszej rozgrywki z NATO. Moskwa postrzega militaryzację regionu jako dowód na okrążanie jej w basenie Morza Czarnego.

Obecność rosyjskojęzycznej mniejszości Lipowan – potomków staroobrzędowców, którzy osiedlili się w delcie w XVIII w., a dziś zamieszkują m.in. Wilkowo i okolice – dostarcza pretekstu do rozpowszechniania narracji o „obronie uciskanych". Z perspektywy Kremla delta to element „rosyjskiego świata" i strefa, gdzie można testować granice sojuszniczej solidarności.

Na bliskich obrzeżach leży również Mołdawia, ale odgrywa tu rolę petenta. Jej jedyny port w Giurgiulesti, położony u ujścia Prutu, daje Kiszyniowowi kilkusetmetrowy dostęp do Dunaju, a dopiero przez niego do morza.

Delta Dunaju. Pogranicze rumuńsko - ukraińskie

© GAZETA WYBORCZA MAPA: JOANNA PATYK

Patrioty z Ameryki, Pioruny z Polski

To jednak na Bukareszcie spoczywa główna odpowiedzialność za zarządzanie deltą właściwą. Wyzwań nie brakuje. Bank Światowy zwracał uwagę na niski poziom wykorzystania funduszy unijnych w ramach Strategii Zintegrowanego Rozwoju Delty Dunaju – poniżej 20 proc. – i na to, że najwięcej środków idzie na łączność i gospodarkę, a relatywnie mało na ochronę środowiska.

Największe zagrożenia to zanieczyszczenie, nielegalne połowy i nieuregulowana turystyka.

I właśnie w takim krajobrazie, pod Tulczą, na drodze wzdłuż odnogi Sfântu Gheorghe, wyrasta infrastruktura Merops: kontenery, maszty z radarami, ogrodzenie z siatki. To amerykański system antydronowy oparty na sztucznej inteligencji, przeznaczony do wykrywania i neutralizowania bezzałogowców – również w warunkach zakłóceń elektronicznych.

My widzieliśmy go jeszcze w budowie, ale rozwiązania, które wejdą w skład całego systemu, zostały już w Rumunii przetestowane. Podczas ćwiczeń NATO Eastern Phoenix 2026 na poligonie Capu Midia, kilkanaście kilometrów na północ od Konstancy, testowano różne scenariusze jego wykorzystania.

Minister obrony Radu Miruta nazwał te ćwiczenia „ważnym etapem", podkreślił, że wojsko odtwarza scenariusze, z którymi kraj styka się w ostatnich latach także w rejonie delty. Oznacza to, że ten odcinek Dunaju – do niedawna z perspektywy Bukaresztu mający niemal wyłącznie walor przyrodniczo-turystyczny – staje się jednym z podstawowych narzędzi obronnych kraju.

Zapytaliśmy George'a Visana, eksperta ds. bezpieczeństwa Morza Czarnego z Rumuńskiego Instytutu Dyplomatycznego, czy wyrastająca w krajobrazie delty infrastruktura to jedynie punktowe wzmocnienie czy element szerszej strategii.

Odpisał, że Bukareszt zainwestował ogromne środki w obronę powietrzną: kupił 67 myśliwców F-16 z Portugalii, Norwegii i Holandii, zamówił systemy Patriot ze Stanów Zjednoczonych oraz zestawy krótkiego i średniego zasięgu z Korei Południowej, Izraela i Francji.

Do tego dochodzą polskie Pioruny, które uzupełnią najniższe piętro obrony, oraz 12 nowych radarów średniego zasięgu finansowanych z unijnego programu SAFE. To jednak nie wszystko – armia testuje i zamawia także rozwiązania przeznaczone specjalnie do zwalczania dronów, w tym bezzałogowce, amunicję krążącą i drony uderzeniowe.

Mimo to Visan ocenia, że dotychczasowa postawa Bukaresztu była naznaczona powściągliwością. „Rumuńskie władze próbowały rozwiązywać te incydenty drogą dyplomatyczną. Niestety, Federacja Rosyjska nie była skłonna do przejmowania się stanowiskiem Rumunii, a odpowiedzi Moskwy na nasze protesty dyplomatyczne były rozczarowujące" – mówi.

Zapytaliśmy też rumuńskie ministerstwo obrony, które odpowiedziało pismem uprzejmym, ale wymownie lakonicznym. Potwierdzono, że sytuacja jest monitorowana. Gdy jednak przyszło do konkretów, resort zastrzegł, że informacje te należą do kategorii nieprzeznaczonych do publicznej wiadomości. Innymi słowy: wojna u bram, ale szczegóły – tajemnica państwowa.

Granica w nocnym trybie

Jesienią 2023 roku podczas rosyjskich ataków na ukraińskie porty nad Dunajem odłamki dronów spadały na rumuńską stronę Chilii. Udokumentowano wtedy co najmniej cztery takie incydenty. W sierpniu 2025 roku Rosja po raz pierwszy użyła drona morskiego do ataku na cel na tej samej odnodze Dunaju, ok. 200 metrów od granicy rzecznej z Rumunią i 24 kilometry od ujścia do Morza Czarnego.

To był wyraźny sygnał: wojna wdziera się w deltę nie tylko z powietrza, ale i korytarzem rzecznym.

25 kwietnia 2026 roku rosyjski dron uderzeniowy spadł na peryferia Gałacza. Trafił w warsztat przy gospodarstwie i słup energetyczny.

Mieszkańców ewakuowano, a drona zdetonowano nad jeziorem Brates. Tego samego dnia w Vacareni, miejscowości w powiecie Tulcza, gdzie mieszka ledwie 20 osób, znaleziono fragmenty kolejnego. Część mieszkańców wyjechała własnymi samochodami, reszcie władze zorganizowały transport.

29 kwietnia rosyjski dron uderzył w szpital w rejonie izmailskim – całkowicie zniszczył izbę przyjęć i uszkodził kilka innych oddziałów. Pacjenci i personel przeżyli, bo zdążyli zejść do schronu.

2 maja znów w rejonie Chilii doszło do kolejnego naruszenia. Rumuńskie F-16 wystartowały z bazy Fetesti, a mieszkańcy północnej Tulczy dostali alert RO-Alert. Komunikat MON był bardzo techniczny: radar wykrył na krótko wlot drona w przestrzeń powietrzną kraju, po czym obiekt kontynuował lot w stronę Izmaiłu. Tamtej nocy celem ataku był masowiec zacumowany w porcie.

Visan nie wątpi: „To jeden z najpoważniejszych incydentów z udziałem rosyjskich dronów na terytorium Rumunii od początku inwazji Kremla na Ukrainę". Zwraca przy tym uwagę na kontekst – 25 kwietnia celem ataku było ukraińskie miasto portowe Reni, położone tuż przy granicy z Rumunią i Mołdawią.

Jeden z dronów był śledzony przez myśliwce Eurofighter Typhoon brytyjskiego RAF-u, po czym kontakt z nim utracono. Drugi – jak napisał – w ogóle nie został wykryty przez rumuńską obronę powietrzną.

„Rosja nie zaatakowała bezpośrednio terytorium Rumunii, ale jej działania przeciwko Ukrainie – oprócz łamania prawa międzynarodowego – są skrajnie lekkomyślne i mogą nieumyślnie doprowadzić do eskalacji" – podkreśla ekspert.

Ale w Sfântu Gheorghe, gdzie się zatrzymaliśmy podczas pobytu w delcie, rytm wojny odczuwa się ambiwalentnie. Kapitan Tache dronów nie słyszał i nie widział. Za to przywoływany już Mircea Ghiban mówił w rozmowie z hiszpańskim dziennikiem „El País" co innego: „Słyszę brzęczenie około drugiej w nocy, a potem eksplozję i jasną błyskawicę. Żyjemy z wojną wiszącą nad naszymi głowami, boimy się, że dron zniszczy nasze domy, a co gorsza – kogoś zabije. Nie mamy żadnych gwarancji".

Te dwa głosy pokazują, że nie ma tu jednej opowieści o konflikcie.

To właśnie tutaj – na bagnistym, trudnym do kontrolowania pograniczu – Rosja mogłaby zacząć testować, jak daleko może się posunąć

Bukareszt, 5 maja 2026 roku

Kiedy kończyliśmy tekst, rumuński parlament przegłosował wotum nieufności wobec rządu Ilie Bolojana. Wniosek złożyła koalicja, która jeszcze kilka tygodni temu wydawała się niemożliwa – socjaldemokraci z PSD i skrajnie prawicowy Sojusz na rzecz Jedności Rumunów (AUR) George'a Simiona.

Ten sam Simion, który wielokrotnie odwoływał się do modelu Viktora Orbána i mówił o potrzebie „suwerennej Rumunii", po głosowaniu napisał: „Koniec dziesięciu miesięcy, podczas których tak zwani proeuropejczycy nie dostarczyli niczego poza podatkami, wojną i ubóstwem. Głos narodu został dziś usłyszany. Czas na narodowe pojednanie!".

Rynki zareagowały natychmiast – kurs leja spadł do rekordowego poziomu 5,19 za euro. Pod znakiem zapytania stanęło blisko 8 mld euro funduszy unijnych uzależnionych od reform, które nowy rząd może wstrzymać lub z nich zrezygnować. Eksperci Atlantic Council piszą: „Rumunia przechodzi stres-test norm politycznego dostosowania".

Co to oznacza dla delty?

Jeśli proeuropejski obóz utrzyma rząd, modernizacja systemów obronnych będzie kontynuowana. Jeśli powstanie gabinet tymczasowy lub przeciągnie się kryzys parlamentarny, inwestycje – w tym Merops – mogą zostać spowolnione, a część funduszy na ochronę środowiska wstrzymana.

Gdyby jednak po przedterminowych wyborach władzę przejął rząd z udziałem AUR, delta mogłaby po raz pierwszy znaleźć się w potrzasku. Formalnie nadal byłaby częścią sojuszniczej architektury, lecz w praktyce retoryka nowej władzy uczyniłaby ją podatną na rosyjską narrację o „okrążaniu" i „obronie uciskanych Lipowan".

To właśnie tutaj – na bagnistym, trudnym do kontrolowania pograniczu – Rosja mogłaby zacząć testować, jak daleko może się posunąć.

Ale kiedy wracaliśmy z delty, nie wiedzieliśmy jeszcze o politycznym trzęsieniu ziemi w Bukareszcie. Akurat tego dnia nie kursował katamaran i za dwukrotność ceny biletów pędziliśmy z prędkością 22 węzłów motorówką.

Kapitan Tache zwalniał tylko przy zielonych bojach oznaczających sieci rybackie i wtedy go zapytaliśmy: co będzie? „Hałasy i problemy są w górze rzeki". Domyślaliśmy się, że ma na myśli miejscowości nad Chilią. Tylko czy nie była to wersja dla przyjezdnych?

W czerwcu 2023 roku wysadzenie tamy w Kachowce na Dnieprze wypchnęło do Morza Czarnego masę zanieczyszczeń, które prądy przeniosły wprost na brzegi delty – także tam, gdzie miało nie być „hałasów i problemów". Poza tym rosnąca na krańcach Sfântu Gheorghe konstrukcja w niczym nie przypomina latarni morskiej. ●

eprasa.pl 995cb3273b

KULTURA OBYCZAJE

Udawanie bliskości

Bliskie relacje coraz częściej kończą się strasznym poranieniem

Z **CEZARYM ŻECHOWSKIM,** PSYCHIATRĄ, PSYCHOTERAPEUTĄ ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

FOT. GETTY IMAGES/FSTOP

1 RP

eprasa.pl 995cb3273b

Więź z dzieckiem jest taka, że rodzic będzie go szukał po całym świecie, jeśliby nagle zniknęło. Podobnie jest z partnerem czy przyjacielem, którego kochamy

Czy coś się stało z bliskością? Pytam, bo coraz więcej osób przyznaje, że ma z nią kłopot. Trudno im wejść w związki, trudniej nawiązać przyjaźń.
– Moim zdaniem problem z bliskością nie polega na tym, że ona zanika czy że jej brakuje. A jeśli tak, to jest to zjawisko wtórne.

Problemem jest to, że bliskość coraz częściej służy ludziom do tego, by wpływać na drugiego człowieka. Manipulować nim, kontrolować go czy wykorzystywać w najrozmaitszy sposób.

Wiele osób nadal szuka bliskich relacji, tworzy je. Natomiast coraz częściej kończą się one strasznym poranieniem. I potem rzeczywiście jest kłopot z bliskością.

To mocna teza. Rozwinie ją pan?
– Żyjemy w świecie, który jest bardzo narcystyczny i który promuje narcystyczne zachowania. Na przykład właśnie to, że drugiego człowieka można traktować instrumentalnie. Wykorzystać go jako funkcję albo rzecz, a potem wyrzucić do śmieci.

Taki przekaz na nas oddziałuje. I coraz częściej słyszę od młodzieży i młodych dorosłych, z którymi pracuję, choć nie tylko od nich, że weszli w jakąś bliską relację, po czym za chwilę zostali potraktowani jak zasób albo środek do celu, a nie jak żywi ludzie.

Rozumiem, że człowiek, który w ten sposób traktuje innych, czuje bliskość dopóty, dopóki ma z tego jakąś korzyść?
– Pytanie, czy rzeczywiście ją czuje. Czy raczej posługuje się nią, żeby coś od tej drugiej osoby uzyskać? Albo by nią rządzić czy decydować o dynamice tej relacji.

I to jest bardzo niebezpieczne, bo wtedy to nie jest prawdziwa bliskość, tylko złudzenie. Fałsz.

Powiedzmy, że jestem w trudnej sytuacji i szukam kogoś do takiego pseudozwiązku, żeby się przez pewien czas pocieszyć. Ta druga osoba się angażuje, ja mam wypełniony czas, moje emocje się uspokajają, ale jak tylko kryzys mija, odstawiam tę osobę na bok.

Zdarza się to i w związkach romantycznych, i przyjacielskich?
– Ależ oczywiście. W szkołach, między dziećmi. W pracy, w relacjach koleżeńskich. Życie jest pełne przykładów takiego wykorzystania i porzucenia.

To poproszę jeszcze o jakiś.
– Wyobraźmy sobie dwie koleżanki, bardzo ze sobą związane. Przynajmniej tak to wygląda z zewnątrz. Obie trafiają do nowej klasy. Jedna z nich od razu dołącza do grupy, która w hierarchii klasowej jest wyżej, i zostawia tę drugą samą. Zaczyna ją obgadywać z innymi, wyśmiewać, przyłącza się do hejtu.

Na marginesie, spotyka to wiele dzieci z neuroróżnorodnością. Na początku relacji wydaje im się, że kogoś znalazły, że są blisko, po czym okazuje się, że zostają totalnie na lodzie, okrutnie potraktowane. Bo przestały być potrzebne.

Ale czy nie zawsze trochę tak było? Szczególnie w okresie nastoletnim, kiedy te przyjaźnie są często burzliwe?
– Widzę dużą różnicę w ciągu ostatnich lat. I nie tylko ja. Mamy już ogromną literaturę poświęconą ofiarom narcyzmu oraz temu, jakie uszkodzenia niosą za sobą takie zachowania, jak choćby „gaslighting”,”ghosting”, „breadcrumbing”, „hoovering” czy wiele innych.

„Breadcrumbing” to sytuacja, kiedy ktoś sporadycznie okazuje nam zainteresowanie i uwagę, ale nie ma zamiaru budować trwałej relacji. A „hoovering”?
– To manipulacja wykorzystująca kłamstwa, fałszywe obietnice czy na przykład udawanie tęsknoty po to, by wciągnąć z powrotem w relację kogoś, kto próbuje z niej wyjść.

To są wszystko nowe zjawiska, które zostały dość trafnie opisane. Bywają przerysowywane, ale coś jest na rzeczy. Nie pojawiły się znikąd.

Wszystkie mają związek z nowymi technologiami.
– Niekoniecznie. Gaslighting? Nie tylko. Ghosting? Też nie. Można zniknąć z cudzego życia tak po prostu, a nie tylko przestać się z nim komunikować przez internet.

Są to przykłady na to, jak strasznie dziś ludzie mogą używać drugiego człowieka, wykorzystując jego potrzebę bliskości.

Czy osoby, które się do tego posuwają, mają świadomość, że krzywdzą? Czy też coś takiego się pojawiło w kulturze, że takie zachowania jakby wchodzą nam w krew?
– Myślę, że najczęściej nie wiedzą, natomiast dobrze by było, gdyby się dowiedziały.

Poza tym wydaje się, że to nie jest tylko kulturowe. To bardzo złożony proces, któremu dopiero zaczynamy się przyglądać.

Jednym z elementów, które sprzyjają rozprzestrzenianiu się takich zachowań, jest moim zdaniem to, że przestajemy ćwiczyć nasz umysł społeczny.

A jak się go ćwiczy?
– W realnych interakcjach z innymi, co pozwala doświadczać najróżniejszych, nieprzewidywalnych sytuacji. Dzieci ćwiczą w ten sposób na przykład współpracę. To, że raz wygrywają, a raz przegrywają, że raz przewodzą, a innym razem muszą się podporządkować. Ćwiczą współczucie do siebie nawzajem, do dorosłych, zwierząt, roślin. Ćwiczą, jak sobie radzić z agresją i jak ją wyrażać tak, żeby nie kończyła się destrukcją. To jest wiele godzin, dni, lat ćwiczeń.

I dziś jest tego mniej?
– Zdecydowanie, dlatego że ta praktyka przenosi się do sieci. To tam ten umysł jest w dużej mierze zaangażowany – w portale społecznościowe, gry i tak dalej. Tam są emocje. Siłą rzeczy, zaangażowania w realne interakcje jest mniej, a czasem jest go naprawdę niewiele, bo wszystko jest gdzie indziej. W tym innym świecie.

Czego to nas pozbawia? Jakiej umiejętności?
– Przede wszystkim kształtuje w nas właśnie cechy narcystyczne. W nas wszystkich, a nie tylko u dzieci.

Czasem wydaje się nam, że wszystko, co ważne, wydarzyło się we wczesnym dzieciństwie. Potem następują jakieś drobne modyfikacje, trochę większe w wieku nastoletnim, ale później to już jest w zasadzie „zabetonowane”. Nieprawda! Nasz mózg tworzy się cały czas. Bez przerwy jest w interakcji z otoczeniem i się do niego przystosowuje.

Trauma przywiązania też może powstać na każdym etapie rozwoju, nie tylko w dzieciństwie. Badał to między innymi neurobiolog i psycholog Pascal Vrticka.

Taka trauma może być związana z jakimś nadużyciem w relacji, przemocą, ale też z bolesnym rozstaniem. I z tym spotykamy się coraz częściej w pracy terapeutycznej.

Zgłasza się dużo osób w różnym wieku, które zostały mocno poranione w jakiejś relacji, i teraz boją się znów do kogoś zbliżyć.

Co to właściwie znaczy, że jest się z kimś blisko?
– Wydaje mi się, że nie da się mówić o bliskości bez wprowadzenia kategorii prawdy.

Bliskość polega na tym, że ludzie chcą być ze sobą, ta relacja jest dla nich przyjemna, gratyfikująca, choć oczywiście są trudne momenty, ale jednak czują, że mogą w niej być tacy, jacy są. Mogą się przed sobą odsłaniać. Nie oszukują się ani nie tworzą fikcyjnej rzeczywistości między sobą. Bo to, co rani, to właśnie tworzenie fikcji.

Przez pewien czas to może działać. Może być nawet wspaniałe, zwykle jednak kończy się boleśnie.

Ta fikcja jak się może przejawiać?
– Wprowadzaniem drugiej osoby w błąd. Rezonowaniem z nią w sposób powierzchowny, który też jest rodzajem oszustwa. Udawaniem bliskości.

Zjawiska takie, jak ghosting, gaslighting i inne podobne, na tym się właśnie opierają. Na budowaniu pseudobliskości. Na fikcji.

Prawda jest też wtedy, kiedy obie strony nie boją się, że jak się przed sobą odsłonią, pokażą to, co w nich najbardziej wrażliwe, to zostanie użyte przeciwko nim.

Trochę pan mówi o tym, że ludzie, którzy wykorzystują innych, nie liczą się z nimi. Czy tu nie chodzi o zwykły brak empatii? Badacze, chociażby tacy jak Sherry Turkle, zauważają, że im więcej czasu spędzamy przed ekranami, a im mniej z ludźmi, tym trudniej nam rozpoznać i wczuć się w cudze emocje.
– Empatia jest obojętna moralnie. Może być użyta zarówno do dobrych, jak i złych celów. Pisze o tym dużo Vittorio Gallese, włoski neurobiolog, badacz neuronów lustrzanych, kluczowych dla współodczuwania emocji.

Chce pan powiedzieć, że osoby o cechach narcystycznych też mogą być empatyczne, tyle że wykorzystują tę zdolność do osiągania własnych korzyści?
– Narcyzi, psychopaci, socjopaci – oczywiście, że tak. Mówi się, że takie osoby mają empatię poznawczą, czyli bardziej rozumieją, co ktoś może czuć, ale nie mają empatii emocjonalnej, która pozwala na prawdziwe współodczuwanie.

Nie jestem do końca pewien, jak to jest, ale myślę, że każdy z nas ma taką dyspozycję, żeby różnie tę empatię wykorzystywać. Natomiast bez wątpienia są osoby, które korzystają z niej w sposób straszny. Uwodząc przede wszystkim.

Francuski socjolog i filozof Jean Baudrillard powiedział kiedyś, że uwodzenie to obietnica, która nigdy się nie spełni.

Czyli znów – fikcja.
– I tu nie chodzi tylko o romantyczne czy przyjacielskie relacje. Może to dotyczyć każdej dziedziny życia. Politycy też nas uwodzą. Niektórzy bardziej, inni mniej, a jeszcze inni – w ogóle.

Jak ktoś mówi prawdę, to niekoniecznie jest dobrze odbierany. I straszne jest to, że kategoria prawdy zanika. To nie znaczy, że istnieje jakaś prawda absolutna, którą możemy poznać i oświecić nią cały świat, ale dochodzenie do prawdy, czyli pozbywanie się fałszu, jest niezwykle ważnym procesem. Inaczej możemy powiedzieć, że wszyscy mają rację, wszystko jest równoważne. A tak przecież nie jest.

Wyobraźmy sobie taką sytuację. W zespole jest konflikt. Ktoś mówi: „To jest zdanie przeciwko zdaniu. Nie wiadomo, jak było”. Jednak jak się temu porządnie przyjrzeć, to najczęściej się okazuje, że to nie jest „zdanie przeciwko zdaniu”, tylko „zdanie przeciwko kłamstwu”. Na przykład ktoś postępuje niewłaściwie, ale za to, co robi, obwinia innych.

W relacjach to jest niesamowicie raniące. Po takich doświadczeniach ludzie nie chcą bliskości.

Coś tworzy te pary. W takim sensie, że jedni wykorzystują, a drudzy są wykorzystywani. Czy wiadomo, dlaczego ci drudzy wchodzą w taką rolę?
– W jednym z wywiadów Robert Rutkowski, psychoterapeuta uzależnień, powiedział, że jeśli coś się powtarza w życiu człowieka, na przykład zostaje po raz kolejny nadużyty, to niekoniecznie dzieje się tak dlatego, że odtwarza jakąś swoją traumę.

Tylko dlatego, że być może jest bardzo otwarty, ufny. I wpuszcza do swojego wewnętrznego świata za dużo osób, bez przyjrzenia się temu, kogo wpuszcza. To wystarczy.

Jest takie przekonanie, że bliskość tka się z rozmów, ale coraz bardziej, mam wrażenie, umyka, że budują ją też wspólne doświadczenia. Robienie czegoś razem. Gdy przyglądam się młodym ludziom,

FOT. DOMINIK ŁOWICKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

***Cezary Żechowski**

• dr n.med., psychiatra oraz psychoterapeuta dzieci, młodzieży, osób dorosłych i rodzin. Aktualnie kieruje Środowiskowym Centrum Zdrowia Psychicznego dla Dzieci i Młodzieży w Szpitalu Wolskim w Warszawie.

• Wykładowca m.in. Uniwersytetu Warszawskiego, Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego, SWPS, UKSW, Uczelni Łazarskiego. Autor licznych publikacji z zakresu psychiatrii oraz psychoterapii dzieci i młodzieży. Dwukrotny Laureat Nagrody im. Prof. Stefana Ledera za szczególne osiągnięcia w psychoterapii przyznawanej przez Polskie Towarzystwo Psychiatryczne.

eprasa.pl 995cb3273b

to widzę, że oni się ze sobą sporo komunikują, ale mniej razem przeżywają. Dorośli zresztą też.
– Na pewno pamięta pani naszą rozmowę o bezpiecznych miejscach, czyli o takich miejscach poza domem i poza szkołą, gdzie dzieci i młodzież mogą się spotykać i tworzyć relacje. Gdzie możliwa byłaby wspólna, spontaniczna zabawa, która rozwija. Te miejsca też przeniosły się do sieci i wcale nie są takie bezpieczne.

Znam dużo młodych osób, które już właściwie nie wychodzą z domu, jest tylko internet. Tam szukają interakcji. Pewnie bliskości też.

I znajdują ją tam?
– Jakichś ludzi znajdują, ale to nie jest prawdziwe życie. To są kreacje. Mogą tam być, kim chcą – wielkim graczem, hackerem, dyktatorem. Mogą budować zupełnie niesamowite obrazy siebie, ale to jest kłamstwo, które rodzi głęboką samotność. Nie w tym sensie, że jestem sam i nie mam z nikim kontaktu, ale w takim, że nie mam nikogo, kto by mnie znał takim, jakim jestem naprawdę.

My, dorośli, też się kreujemy w portalach społecznościowych. Na potęgę.
– To jest ta część narcystyczna w nas. Ta fikcja, która ma przywabiać innych.

Coraz więcej osób szuka bliskości w relacjach ze sztuczną inteligencją, np. z ChatemGPT. Pomyślałam, że szczególnie ci wcześniej poranieni mogą uznać taką relację za bezpieczniejszą. Czatbot jest miły, sprawia wrażenie, jakby rozumiał, nie wchodzi w konflikty.
– Porozmawiałem z nim niedawno o swoich problemach, żeby zobaczyć, jaki to jest kontakt, jak to działa.

Jakiego rodzaju to były problemy?
– Może później pani powiem, w każdym razie prawdziwe, nie wymyślone.

Było to znakomite. Uzyskałem bardzo dobrą pomoc, empatyczną. Aż sobie pomyślałem, że chciałbym na żywo takie rzeczy usłyszeć. Ale tak było tylko do pewnego momentu. Potem czatbot się znudził. Zaczął powtarzać to samo, tylko w coraz gorszej wersji.

Wypstrykał się z pomysłów.
– No, wypstrykał.

Jednak na początku nazwał to, co mnie spotkało lepiej, niż sam bym to zrobił. I zaproponował fajny sposób rozumienia, który dał mi do myślenia. Po pewnym czasie jednak to, co mówił, stało się takie miałkie. W relacji przyjacielskiej tego nie ma.

Jaka jest różnica?
– Ogromna. Mam przyjaciela od przedszkola i myśmy się nigdy nie znudzili rozmową ze sobą. Czekam na każde nasze spotkanie.

Jakby on mógł inaczej odpowiedzieć na te pana problemy? Jaka inna jakość by się między wami pojawiła?
– Przede wszystkim czułbym obecność drugiego człowieka. Głębokie zrozumienie, refleksję. Mógłbym też być absolutnie szczery.

Z czatbotem pan nie jest?
– To jest jakiś inny wymiar szczerości. Wiem, że rozmawiam z urządzeniem.

Moja relacja z tym przyjacielem trwa lata. Znamy siebie naprawdę bardzo dobrze. Poziom zaufania między nami jest bardzo duży. Do czatbota zaufanie mam jednak ograniczone, bo czasem straszliwie kłamie, a czasem manipuluje.

Czy jak pan sobie z nim tak konwersował, to zrozumiał pan, dlaczego niektóre osoby mogą wejść w głęboką relację z nim?
– Dla kogoś, kto jest bardzo samotny, to może być bardzo uwodzące, bo jest ktoś, kto mnie słucha, kto jest blisko. Można nie wyczuwać różnicy, czy to algorytm, czy człowiek. Pomyśleć: a może jednak ten czatbot ma jakąś duszę? Może jednak myśli, czuje? Bo zachowuje się tak, jakby czuł.

Bardzo łatwo to w nim umieścić.

To, czyli co?
– Jeśli ktoś do mnie mówi, aktywują się moje wewnętrzne modele robocze, czyli modele więzi, które mam w swoim umyśle, gdzie jestem ja i ta druga osoba. To może być matka, ojciec, partner albo idealna matka, idealny partner.

Jeśli zwiążę się z czatbotem, to łatwo mi będzie taki model na niego wyprojektować. I wtedy już nie będę rozmawiać z urządzeniem, ale z tym modelem, który w nim umieściłem.

W ten sposób go uczłowieczam?
– Tak.

Jak pan patrzy na relacje, które nawiązał pan w ostatnich latach, to ma pan poczucie, że to, o czym teraz rozmawiamy, też się ich tyczy?
– Powiedziałbym tak: trzeba uważać bardziej niż kiedyś. Na to, że się będzie wprowadzonym w błąd, że jakieś odsłonięcie zostanie wykorzystane, a zaufanie nadużyte.

Ale to wszystko widzimy też w życiu społecznym.

To straszna wizja.
– No, straszna. To jest wizja bardzo bezwzględnego świata.

Wydaje mi się, że to, co jeszcze widać, to to, że ludzie przestają się komunikować ze sobą w taki sposób, żeby siebie zrozumieć. Raczej są przekonani, że wiedzą, jaka jest ta druga osoba, kim jest. Bardzo szybko wysnuwają różnego rodzaju opinie na jej temat, nie sprawdzając, jak jest w rzeczywistości.

Tomasz Szlendak, socjolog, autor niedawno wydanej książki pt. „Miłość nie istnieje", w jednym z wywiadów opowiadał, że jak ludzie szukają się poprzez różne aplikacje randkowe, to często są przekonani, że już bardzo dużo o tej drugiej osobie wiedzą: co lubi, jakie ma zainteresowania, jakiej słucha muzyki, gdzie spędza wakacje itd. I jak idą na to pierwsze spotkanie, to w zasadzie po to, by potwierdzić, czy będzie do nich pasowała. A nie, żeby zobaczyć, kim jest. Ciekawość zanika.
– Bardzo trafna obserwacja. I nie tylko ciekawość zanika moim zdaniem. Szacunek też.

Ma pan pomysł, dlaczego tak się dzieje?
– Proszę zauważyć, jak rozmawiamy o nauczycielach dziecka. Albo o innych dzieciach. Jakiego języka używamy, rozmawiając o sąsiadach? O lekarzach? O znajomych z pracy? Tu się chyba coś dzieje na poziomie języka. Nie twierdzę, że świadomie.

W bliskości tym, co daje poczucie bezpieczeństwa, też jest szacunek. Do inności tej drugiej osoby, do jej odrębności.

A dziś okazywanie szacunku jest często odbierane jakoś coś dziwnego, niepotrzebnego, może nawet żenującego. Wdzięczności zresztą też. I jej też jest jakby mniej. Zawsze lepiej powiedzieć, że coś jest niedobre, słabe, że czegoś brakuje.

Albo że sami sobie wszystko zawdzięczamy.
– To też jest kłopot.

Ale chciałem pani jeszcze o czymś opowiedzieć. Ostatnio na jednym z seminariów, które prowadzę, zajmujemy się tekstem Williama Singletary'ego i Timothy'ego Rice'a, psychiatrów i psychoterapeutów, którzy łączą neurobiologię z psychologią poznawczą. W tym tekście badacze przedstawili bardzo ciekawy moim zdaniem złożony model ludzkiej rzeczywistości, który pokazuje dwie ścieżki rozwoju umysłu człowieka.

Pierwsza z nich prowadzi do tego, że ludzki umysł kształtuje się jako system otwarty. Ta druga, że kształtuje się jako system zamknięty.

Skąd się bierze ta otwartość?
– Z tego, że interakcja dziecka z otoczeniem jest bezpieczna, uważna, odzwierciedlająca. To znaczy, że rodzic rozumie to dziecko, a jednocześnie umie okazać, że je rozumie. Kocha je, a jednocześnie umie okazać, że je kocha.

Wiadomo, że to nigdy nie jest idealne, perturbacje się zdarzają, jednak zawsze można je naprawić. Wtedy taki umysł staje się otwarty na rzeczywistość, którą traktuje jako ciekawą. Bardziej eksploruje świat, otwiera się na innych, ma więcej pozytywnych uczuć, lepiej radzi sobie ze stresem.

Kiedy warunki są mniej korzystne – jest mniej zrozumienia, a więcej frustracji, jest przemoc, zaniedbanie, albo kiedy dziecko rodzi się z takim rodzajem nadwrażliwości lub potrzeb, których rodzice nie potrafią odczytać – wtedy umysł tworzy się jako system zamknięty. Badanie rzeczywistości jest wówczas gorsze. Jest więcej wrogości, projekcji, iluzji.

Singletary i Rice piszą też, że w systemie otwartym człowiek jest bardziej otwarty na miłość. Może jej doświadczyć, przyjąć ją, zapamiętać, a potem użyć do czegoś, na przykład do tego, żeby się uspokoić. A wreszcie, może ją okazać.

W tym drugim systemie miłość jest czymś podejrzanym. I z tego powodu podlega instrumentalizacji. Taki człowiek może sobie pomyśleć: „To, co dostaję od drugiego, nie może być dobre. Trzeba się przed tym bronić, bo za chwilę spotka mnie jakaś straszna kara", a więc uprzedmiotowia to.

Czy ci badacze mówią coś o tym, że dziś przybywa takiego zamkniętego myślenia?
– Nie wypowiadają się na ten temat. Natomiast ich obserwacje wydają mi się bardzo trafne.

Ale co oni jeszcze pokazują ciekawego? To, że ta zasada – otwartości i zamkniętości – czyli wychodzenia do innych albo budowania murów, nie dotyczy tylko umysłu człowieka. O dziwo, można ją też zaobserwować na poziomie fizjologicznym.

Wpływa też na to, jak się kształtują sieci neuronalne – czy się rozwiną stany zapalne mózgu, czy nie, które pojawiają się na przykład w depresji i w niektórych psychozach. Jak się kształtuje oś HPA, czyli „oś stresu". Jak będzie funkcjonował autonomiczny układ nerwowy. Jak się będzie zachowywać oksytocyna, potocznie zwana hormonem więzi itd.

Badacze sugerują, że osoby, których organizm wykształcił się w tym systemie zamkniętym, będą funkcjonować jakby w ciągłym fizjologicznym stanie obrony.

Ciekawe.
– To nie wszystko. Mamy poziom umysłu, poziom fizjologiczny, ale jest jeszcze poziom komórkowy.

Singletary i Rice opisują rozwielitkę, która w odpowiedzi na substancje wydzielane przez drapieżniki zjadające rozwielitki wykształca pancerz i kolce. Proszę zobaczyć, przecież to jest ta sama zasada!

Ona zresztą przypomina koncepcję francuskiego psychoanalityka Didiera Anzieu o „skórnym ja". Anzieu twierdził, że ego człowieka tworzy się na podstawie doświadczenia bliskości z matką czy z inną figurą przywiązania i że kluczowy w tym doświadczeniu jest dotyk.

Dziś już wiemy dzięki współczesnym badaniom, że receptory dotykowe w skórze są rzeczywiście bardzo ważnym narzędziem poznania społecznego i że poprzez dotyk przekazujemy precyzyjne komunikaty społeczne.

Według Anzieu ta nasza „psychiczna skóra" ma dwie funkcje. Pierwsza to funkcja przepuszczająca, taki „interfejs", który pozwala na zbliżenie z drugim. Druga to funkcja ochronna, która powoduje, że ta skóra może narastać jak ta skorupa u rozwielitki. Jak taki pancerz psychiczny, który izoluje od innych i świata. I wtedy już naprawdę można żyć we własnych projekcjach i wyobrażeniach, instrumentalizując wszystko.

Dotyku też przecież można używać w niewłaściwy sposób. Taki, który będzie prowadził do różnych nadużyć czy uprzedmiotowienia drugiego człowieka. Niektórzy szukają bliskości fizycznej bez bliskości psychicznej, co też jest formą instrumentalizacji relacji.

A bliskość psychiczna bez bliskości fizycznej jest możliwa?
– Może jacyś jogini to potrafią? Żartuję, oczywiście.

Mój przyjaciel od pierwszej klasy podstawówki mieszka od wielu lat na drugiej półkuli. Nie widzieliśmy się już z 7-8 lat, ale rozmawiamy kilka razy w tygodniu i jestem przekonana, że gdybyśmy się spotkali, to byłoby tak, jakbyśmy się widzieli wczoraj. Ale nie ma tej fizycznej obecności.
– Mówi pani teraz o kanałach komunikacji międzyludzkich i to też jest bardzo ciekawe, bo nie wiemy do końca, jak one działają.

Czasami te wiadomości czy informacje, które dostajemy za pośrednictwem internetu od ludzi, z którymi jesteśmy naprawdę blisko, mogą się wydawać szczątkowe, a tak naprawdę są pełne treści. Dobrze czujemy, co tam się dzieje po drugiej stronie.

Mówi pan teraz o relacjach, które ukształtowały się w rzeczywistości, a nie tworzą się od zera w sieci. To są chyba dwie różne rzeczy?
– Oczywiście, to jest zupełnie coś innego. W tych pierwszych jest jakaś porządna baza, coś tych ludzi wiąże.

Przyznam, że dużo się ostatnio nad tym zastanawiałem, ale chyba nie mogę się tym podzielić.

Dlaczego?
(Cisza).

To może ja panu ułatwię. Kiedy się przygotowywałam do naszej rozmowy, to pomyślałam o wielkich postaciach z literatury, ze sztuki, których przyjaźń rozwijała się prawie wyłącznie korespondencyjnie. Tak było np. z pisarzem C.S. Lewisem i artystą Arthurem Greevesem. Ludzie potrafili latami w ten sposób pielęgnować przyjaźń, a ich listy były pełne intensywnych uczuć i intymności też.
– Najpierw się odniosę do tego, co wiemy z badań, a potem powiem, co sam myślę, dobrze?

Coraz więcej mówi się na temat roli procesu synchronizacji umysłów. Badania pokazują, że umysły, które tworzą układy synchroniczne, czyli „parują się" w oparciu o empatię – tak się może dziać np. między terapeutą a pacjentem, między rodzicem a dzieckiem, między nauczycielem a uczniem, między partnerami – współ-

> Wiemy już, jak szkodzą ofiarom narcyzów takie zachowania, jak „gaslighting", „ghosting", „breadcrumbing", „hoovering"

eprasa.pl 995cb3273b

odczuwają emocje. Są w pewnym rodzaju tańca. Przetwarzają stany, które odczuwa ten drugi, i wtedy na przykład cierpienie u osoby, która przeżywa coś trudnego, trochę się zmniejsza, a u tej wspierającej troszkę się zwiększa.

Dzięki temu nasilają się postawy prospołeczne, możliwa jest współpraca. To jest niezwykle ważne, bo tam, gdzie jest współpraca, tam jest dużo przyjemności, zaangażowane są pozytywne emocje, mogą tworzyć się głębokie więzi. I nie ma projekcji, czyli fantazji na temat drugiego człowieka, że jest zły, niedobry, nieuczciwy itd.

Czy każdy z każdym może się zsynchronizować?
– Niekoniecznie. Ale tak się właśnie dzieje w bliskich relacjach: w zakochaniu, w przyjaźni, w dobrze pojętej edukacji, w grupach działających na rzecz wspólnego celu.

Oczywiście, to nie jest stan do utrzymania cały czas, bo jak ta synchronia jest nadmierna, to też jest niedobrze. W niektórych momentach to się musi rozharmonizować, a potem znów wraca. Na tym polega ta wartość – na zdolności do przywracania tego rodzaju bliskości, naprawiania jej.

Te stany synchronii, czyli bliskości, powodują, że ta druga osoba zostaje przez nas jakoś uwewnętrzniona. Staje się ważną częścią naszego wewnętrznego świata i w ten sposób tworzymy z nią więź.

Tak jakby przechowujemy ją w sobie?
– Tak. Więź z dzieckiem jest taka, że rodzic będzie go szukał po całym świecie, jeśliby nagle zniknęło. Podobnie jest z partnerem czy przyjacielem, którego kochamy. To jest niezwykle silne.

Powiedziała pani o rozmowie na odległość z bliską osobą. Myślę, że jeśli mamy tego drugiego człowieka, którego bardzo dobrze znamy, zapamiętanego w swojej głowie, to jego model, tak to nazwijmy, jest bardzo bogaty. Złożony. I jak tej osoby przy nas nie ma albo rozmawiamy z nią, ale od czasu do czasu, to ten model trochę nam dopowiada resztę.

Możemy mieć wtedy poczucie niesamowitego porozumienia. Co więcej, ta osoba może już nie żyć, a my wciąż możemy czuć, że istnieje, że jakoś się nami opiekuje, wspiera nas. Możemy z nią rozmawiać.

Tak się może dziać pod jednym warunkiem, że ten model, który sobie zbudowaliśmy, jest prawdziwy. Wtedy to jest bardzo głębokie.

A jeśli jest fałszywy?
– Jeśli jest zbudowany w oparciu o to, że na przykład byliśmy manipulowani, zwodzeni, to wtedy uwewnętrzniamy coś, co jest po prostu nieprawdą.

Nie chciałabym zostawić czytelników i czytelniczek z poczuciem, że to wszystko zmierza w złym kierunku i źle się skończy...
– ...wcale nie uważam, że to się na pewno źle skończy. Może tak być, ale historia człowieka jest jednak historią rozwoju przez kryzysy. Trzeba przez nie jakoś przejść, i trudno.

Z drugiej strony otwiera się kolejny temat – straszliwej niepewności. Nie jesteśmy w stanie powiedzieć, jaka będzie przyszłość, bo jest tyle zagrożeń wokół nas, wojen, nieprzewidywalnych polityków, którzy rządzą światem. Dużo jest w związku z tym lęku, który próbujemy łagodzić na różne sposoby. Chwytając się na przykład tego, co mówią jasnowidze czy autorzy teorii spiskowych. To daje poczucie, że już wiemy, co się zdarzy, a zatem – ulgę.

Myślę, że w tym wszystkim ważne są proste doświadczenia. Bo rzeczywistość, w której żyjemy, jest w sumie fajna.

Fajna? Przed chwilą pan zauważył, że jest pełna lęku.
– Już mówię, o co mi chodzi. Proszę zobaczyć, mamy piękną wiosnę. Zaczynają kwitnąć kwiaty. Stąd, gdzie rozmawiamy, widać kwitnące kasztany.

Kiedy więc mówię o fajnej rzeczywistości, to nie mam na myśli tej społecznej, bo ona jest skomplikowana i pełna trudności, ale myślę o tym, co jest na wyciągnięcie ręki. Co jest w codziennych doświadczeniach poszukiwania jakiegoś piękna i harmonii: w naturze, w muzyce, w sztuce. W spotkaniu z drugim człowiekiem też.

Gdy wychodzimy z tego świata wirtualnego i próbujemy, żeby nasz ośrodek nagrody zareagował na ten świat niewirtualny, to zaczyna się w nas budzić coś trochę innego. Jakiś inny rodzaj nagrody, przyjemności, relacji. Może coś głębszego?

Nie sposób się odciąć od świata i jego trosk, ale kiedy choć trochę się od niego zdystansujemy, możemy dostrzec inne aspekty tej rzeczywistości. Na przykład to, jak słońce się układa na ścianie domu, jakie są chmury, jak przyjemnie owiewa nas wiatr, jak fajnie jest z kimś wymienić myśli.

Pod warunkiem że mamy kogoś takiego.
– Tak.

Co by pan powiedział osobom, które nie mają? Gdzie mają szukać tej bliskości z drugim człowiekiem?
– Teraz zaczynamy mówić o samotności, która jest zakaźna, szerzy się w sieciach społecznych, i – jak dowodzą badacze – prowadzi do cierpienia i przedwczesnej śmierci, ale którą też można odwrócić. Tyle że ośrodek nagrody u człowieka głęboko samotnego z czasem przestaje reagować na bodźce społeczne.

Myślimy, że jak pójdziemy do takiej osoby i zaczniemy z nią rozmawiać, to ona się od razu ucieszy. Nieprawda, może się od nas odsuwać i uciekać.

Z lęku?
– Nie, to jest adaptacja. Człowiek się po prostu przystosowuje do warunków, w jakich żyje.

Myślę, że tu odpowiedzialność leży po stronie społeczeństwa, polityków. To jest ogromny problem zdrowia publicznego, który na szczęście został już zauważony. Znalezienie rozwiązań jest konieczne, zwłaszcza jeśli chodzi o samotne dzieci.

Ale spytała pani, co bym powiedział takiej osobie? Spotykam je często w gabinecie. Ta jest samotna i ta, i ta. I czasem sobie myślę: „A gdyby was wszystkich zebrać razem, to moglibyście być szczęśliwi!".

Kilka osób skierowałem do Mazowieckiej Szkoły Zdrowienia „Recovery". To takie miejsce dla osób po kryzysach psychicznych. Wszystkie są bardzo zadowolone. To jest ta droga moim zdaniem. I nie musi się to koniecznie odbywać pod hasłem zdrowienia. To mogą być różne kluby, świetlice, cokolwiek. Miejsca, do których ludzie mogliby przyjść, pobyć ze sobą, porozmawiać.

A na co dzień jak mamy o tę bliskość dbać? Zakładając, że mamy jakieś kontakty społeczne?
– Załóżmy, że jesteśmy w jakimś związku albo mamy przyjaciela, przyjaciółkę, kolegę, koleżankę. Zawsze możemy zadać sobie pytanie, jaka jest jakość tego czasu, który spędzamy razem? Czy można to jakoś poprawić? Zrobić coś, żeby był dobrze przeżyty? Fajny? Ciekawy? To bardzo łączy.

Zwłaszcza że nie mamy go wcale tak wiele.
– Zwłaszcza dlatego. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
34436965

W sprzedaży!

TEMAT NUMERU:
ROZMOWY, KTÓRE RATUJĄ ZWIĄZKI

oraz:
• Pułapki terapii
• Czy można być szczęśliwym bez seksu
• Niewygodne pytania w związkach
• Mózg i menopauza

żyć lepiej
psychologia codziennie

Więcej o psychologii czytaj na **wysokieobcasy.pl/zyclepiej**

1 RP

eprasa.pl 995cb3273b

PO POLSKU WERSY SĄ CIEKAWSZE

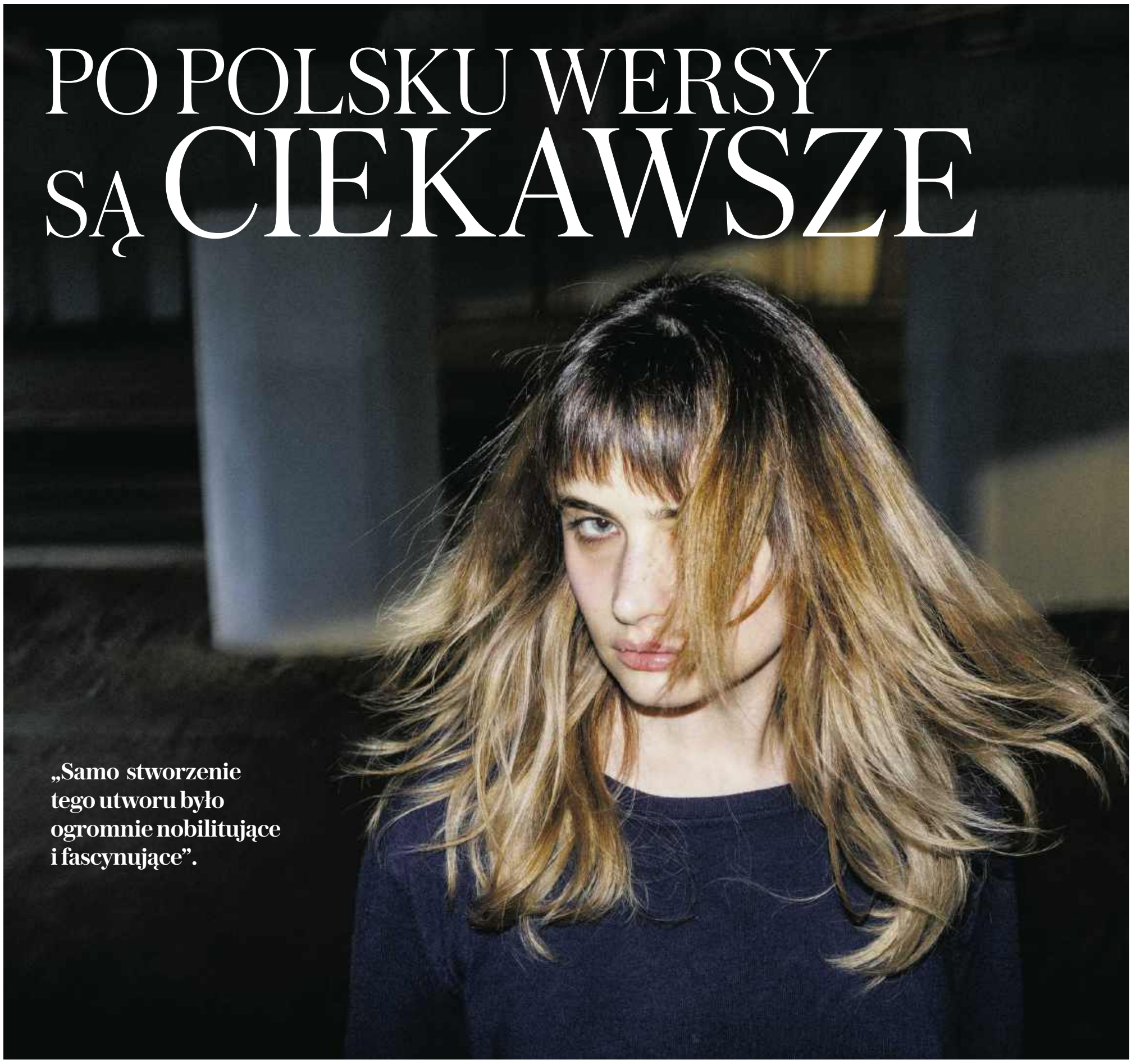

„Samo stworzenie tego utworu było ogromnie nobilitujące i fascynujące”.

Z **KATARZYNĄ „KACHĄ” KOWALCZYK** WOKALISTKĄ Z DUETU COALS ROZMAWIA **KRZYSZTOF NOWAK** ZDJĘCIE **JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL**

Polka na płycie z Duą Lipą. Ile widziałaś takich nagłówków o twoim pojawieniu się na albumie „Cerulean”brytyjskiego producenta Danny’ego L Harle’a?
– Chyba z dziesięć.

Jakie zrobiły na tobie wrażenie?
– Nie obrażam się na nie – nie dość, że są nośne, to jeszcze dają odbiorcy wyobrażenie, że wydarzyło się coś wielkiego.

Sama jednak nie reklamowałam tak występu na płycie Danny’ego. Po prostu pisałam, że jestem u niego na feacie. Przecież nie poznałam osobiście ani Duy, ani PinkPantheress.

No i moja piosenka „Te Re Re” nie była singlem, więc ma niższą rangę niż te gwiazdorskie. Ale samo stworzenie tego utworu było ogromnie nobilitujące i zarazem fascynujące. Danny mógł wybrać każdego do współpracy, ale postawił na mnie, czyli osobę bez wielkiej rozpoznawalności w Wielkiej Brytanii czy USA.

To jak cię dostrzegł?
– Poznaliśmy się po koncercie Coals w Londynie w 2018 roku. Pogratulował nam występu, po czym poszliśmy w kilka osób na falafela. Niedługo później napisał do nas, żebyśmy coś wspólnie zrobili.

I co? Od tego poznania do waszego utworu minęło kilka lat.
– Kontakt się po prostu urwał.

Przez lata myślałam, że nic z tego nie wyjdzie, aż tu nagle dodał naszą piosenkę do swojej playlisty „Danny L Harle’s HUGE PLAYLIST”. Okazało się, że jednak o nas pamięta. W styczniu czy lutym 2024 roku dostałam mail od jego menedżera. Danny chciał zrobić ze mną piosenkę na swoją płytę. W kwietniu tego samego roku pojechałam do studia w Londynie.

Zastanawiałaś się, co go właściwie w tobie zainteresowało?
– Wiedziałam, że bardzo lubi mój głos i to, jak nim operuję. Myślę, że ma on trochę wspólnego ze stylami wokalnymi Caroline Polachek, Oklou czy Clairo, czyli piosenkarek, z którymi często współpracuje. Chodzi o senną manierę. Danny lubi również „jodłujące” wokalistki takie jak Enya, więc w „Te Re Re” chciałam pójść trochę w tę stronę.

Dotarłaś do studia.
– Szczególnie trudny był pierwszy z dwóch dni, bo przyszłam niewyspana przez nocowanie w bardzo głośnym hotelu. Bałam się, że nie podołam. Na miejscu udało mi się jednak poczuć na tyle komfortowo, że później sama zaczęłam proponować melodie.

Większość szkiców zrobiliśmy po angielsku, więc bardzo się cieszę, że Danny rozwinął jednak demo po polsku. W Polsce dograłam resztę rzeczy, jak choćby drugą zwrotkę, która finalnie nie pojawiła się w utworze.

Czy posypały się inne zagraniczne propozycje, te wydawnicze i koncertowe?
– Pewien producent odkrył mnie właśnie na krążku „Cerulean”, więc teraz zrobiliśmy taneczną piosenkę pod szyldem wytwórni z Kolumbii, niebawem powinna się pojawić. Do tego przede mną dużo koncertów i DJ setów poza Polską, bo pracuję z Adamem Drzewieckim, bardzo obrotnym agentem, jeśli chodzi o zagranicę.

Po co właściwie osoba z Polski miałaby próbować zagranicznej kariery, skoro nasz rynek jest duży?
– Hm, może po to, żeby trafić do jeszcze szerszej publiczności i z innych kręgów kulturowych. No i oczywiście jeszcze lepiej zarobić. Jestem ciekawa, czy zobaczę sporą różnicę w tantiemach. Co prawda moja piosenka

1 RP

eprasa.pl 995cb3273b

nie była raczej puszczana w zagranicznych stacjach radiowych, ale Danny promował album kilka razy w BBC.

Tak naprawdę „światowa" branża muzyczna jest w rękach kilku osób. Jak się osiągnie pewien pułap, to można mieć dużo różnych współprac, związanych choćby z komponowaniem muzyki do pokazów mody czy dla gwiazd. To tylko kwestia sieci kontaktów, mocnych pleców.

Masz jakiś przykład?
– Może kariera Oklou? Ona wywodzi się z bardzo małej miejscowości we Francji, a gdy nawiązała kontakty w Anglii, to jej kariera poszła do przodu. Teraz znają ją na całym świecie, robi pokazy, etiudy, nagrała popularny album.

Mam wrażenie, że w Polsce cały czas jest duży problem z avant- czy alt-popem. Nie ma zbyt wielu możliwości współpracy z ludźmi, dzięki którym brzmiałby on świeżo i profesjonalnie. Tymczasem przebicie się poza granice kraju często opiera się na silnych kolektywach, jak w przypadku artystek z Kopenhagi, takich jak: Smerz, ML Buch, Erika de Casier czy Astrid Sonne, które często działają razem i konsekwentnie budują ciekawy ruch artystyczny.

Dlaczego tak się dzieje?
– Temat sprowadza się do wielu czynników: od edukacji artystycznej, przez ograniczone możliwości budowania środowisk, aż po to, czym karmią nas media i jakie brzmienia są promowane na szerszą skalę.

W ostatnich latach różnice między scenami w Polsce zdecydowanie się pogłębiły. Brakuje muzyki środka: są albo wielcy gracze, albo bardzo mali. Choć twórców jest więcej, to brzmienie dostępne dla szerokiej publiczności coraz bardziej się ujednolica. Co znajdziesz w Top 100 YouTube Polska? Głównie hip house, pop rap, pop rock z tekstami i melodiami, które słyszeliśmy już wiele razy.

Jest obsesja na punkcie tworzenia hitów czy letniaków pod algorytmy i rozumiem tę presję, ale wpływa to mocno na nasz muzyczny pejzaż.

To jak jest z twoją siecią kontaktów? Masz plecy czy nie?
– Nie wiem. Wydaje mi się, że jestem w pośrednim miejscu.

Kilka lat temu nasz były menedżer miał duże ambicje zagraniczne, ciągle jeździliśmy z Łukim poza Polskę, graliśmy m.in. na festiwalu Primavera Sound. Różnie to wychodziło. Do tego doszły myśli o wyprowadzce, np. do Berlina czy Londynu. Być może mogłoby to w czymś pomóc, ale przecież wszystko da się teraz załatwić przez internet, a ja kocham mieszkać w Polsce.

Dwa lata temu nabrałam dystansu i postanowiłam żyć z dnia na dzień, nie kalkulować zbyt dużo. Im mniej o tym wszystkim myślę, tym więcej dostaję od życia, taki to paradoks. Czasem się zastanawiam, czy może wrócić do nagrywania po angielsku. Problem w tym, że nagrywając w ten sposób, nie czuję się „true to myself".

FOT. MATERIAŁY PRASOWE SONY MUSIC

• **Duet Coals: Katarzyna „Kacha" Kowalczyk i Łukasz „Lucassi" Rozmysłowski**

Dlaczego?
– Tworzenie muzyki po angielsku jest dość generyczne, chyba wszystko już zostało powiedziane w tym języku.

Pisanie po polsku jest znacznie bardziej wymagające, daje większą satysfakcję, pozwala tworzyć ciekawsze wersy, a przy tym pokazujesz, że nie wstydzisz się swojego pochodzenia.

A czy duet Coals wyczerpał już swoją formułę?
– Staramy się co płytę zademonstrować coś innego. Na „magii", naszej nowej płycie, która ukaże się 12 czerwca, będziemy na swój sposób interpretować instrumenty i wprowadzać nowe dla nas motywy brzmieniowe. To już słychać w pierwszym singlu „pierrot". Będzie elektronicznie, ale z wiolonczelą czy gitarą akustyczną. Czyli będzie troszkę inaczej niż dotychczas, choć pewnie niektórzy poczują ducha naszych pierwszych numerów.

Literacko na płycie pojawi się kilka utworów dotykających poczucia przytłoczenia pracą twórczą i poszukiwania sensu w tym, co się robi. W przeciwieństwie do poprzedniego albumu jest tu znacznie więcej obrazowości i gry symbolami. Mam poczucie, że w takiej konwencji jestem bliżej siebie niż w stricte narracyjnych tekstach, które bywają w pewnym stopniu narzucane przez popową formę, choć i ich tutaj nie brakuje, jest np. „fanga" z Kasią Lins. Sporo jest też realizmu magicznego.

Słowo „magia", choć proste, dobrze oddaje nie tylko oniryczne, elektroakustyczne brzmienie albumu, ale również klimat tekstów, które bazują na niedopowiedzeniach. Tytuł wynika trochę z tego, że w ostatnich latach nastąpił mocny zwrot w stronę różnych wierzeń, astrologii, niekonwencjonalnych przekonań.

Sama jestem dość sceptyczną osobą, dla mnie jedynym rodzajem magii i wiary jest muzyka, uczucie odrealnienia i eskapizmu podczas jej słuchania. Chcę, żeby słuchacz stał się jej wyznawcą.

Piosenki są bardziej złożone aranżacyjnie niż przy „Sanatorium". Mieszamy języki i brzmienia, takie jak: dream pop, folktronika, glitch pop, ambient, chillwave. Sporo podkładów ma mglisty, zadymiony vibe, jest tu też dużo zabaw z wyraźnymi motywami synthowymi i fletowymi. Chcieliśmy stworzyć coś bardziej spójnego, ale przy tym jest sporo zupełnie nowych dla nas kierunków. No i zaprosiliśmy na album naprawdę dużo gości!

No właśnie, na wiolonczeli pojawiła się u was twoja mama. Skąd ten pomysł?
– Sama nie wiem, to było dość spontaniczne. Pewnego dnia pomyślałam: czemu właściwie nigdy nie zaprosiliśmy jej do żadnej piosenki?

Jak wam się współpracowało?
– Bardzo dobrze! 30 lat temu moja mama grała w Śląskiej Orkiestrze, na Rawie Blues czy w teatrze, ale w pewnym momencie musiała z tego zrezygnować. Do dziś tęskni za graniem, więc każda taka okazja jest dla niej bardzo ekscytująca. Była bardzo zaangażowana w cały proces i finalnie pojawi się w dwóch piosenkach na płycie: singlowym „Basenie" oraz „sate" z Adamem Repuchą.

Szykujesz się do solowej kariery?
– Powoli tak, ale będzie to coś innego niż Coals i bardziej związanego z moją działalnością didżejską. Nie odpuszczę przy tym działania w naszym duecie, bo to przede wszystkim mój główny projekt i źródło dochodu.

Dla kogo nagrasz solową płytę? Dla słuchaczy z Polski czy z zagranicy?
– I dla jednych, i dla drugich.

A co powiesz na występ na Eurowizji? Zamierzasz kiedyś spróbować?
– Jestem bardzo otwarta na różne opcje. Ostatnio zgłosiłam chęć występów w telewizjach śniadaniowych, oczywiście na własnych zasadach. Jeżeli kiedyś udałoby mi się wejść na Eurowizję z jakąś pasującą do mnie piosenką, to czemu nie?

To jaka piosenka by do ciebie pasowała?
– Myślę, że to byłby leniwie klubowy numer po polsku. Do tego dużo zabaw z teatralnym światłem, ruchem, stroboskopami. Ale i tak sądzę, że to nierealne, bym wystąpiła na Eurowizji. ●

Katarzyna „Kacha" Kowalczyk

• Rocznik 1994. Wokalistka i autorka tekstów. Wraz z Łukaszem „Lucassim" Rozmysłowskim tworzy alternatywny duet Coals, dwukrotnie nominowany do Fryderyków – w 2021 (w kategorii Album Roku Alternatywa za „docusoap") oraz 2025 roku (w kategorii Album Roku Muzyka Alternatywna za „Sanatorium"). Przygotowuje się do wydania solowej płyty.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Danny L. Harle

• brytyjski producent muzyczny i kompozytor. Niegdyś związany z PC Music, legendarną wytwórnią związaną z podgatunkiem zwanym hyperpop. Współprodukował i produkował płyty m.in. wokalistek: Duy Lipy i Caroline Polachek, a także Olly'ego Alexandra z Years & Years.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414015

W PIĄTEK W WYBORCZEJ

Andropauza i menopauza

• Jak hormonalny kryzys wpływa na życie pary?
• Czy andropauza naprawdę istnieje?
• Jak badać testosteron i co dzieje się, gdy jego poziom spada?

1 RP

eprasa.pl 995cb3273b

SZACHY SĄ DLA DZIEWCZYNEK

Ojciec wierzył, że geniuszy można wychować. Postanowili z mamą sprawdzić tę teorię na mnie i moich siostrach.

Z **JUDITH POLGÁR***, WĘGIERSKĄ ARCYMISTRZYNIĄ SZACHOWĄ ROZMAWIA **KRYSTYNA ROMANOWSKA**

• Judith Polgár to najmłodsza trzech sióstr szachistek. Ale najsławniejsza. Arcymistrzni Judith w Nowym Jorku , 16.07.1992 r.

FOT. JOHN VAN HASSELT/SYGMA VIA GETTY IMAGES

„Queen of Chess" – dokumentalny film Netfliksa o twojej karierze, w reżyserii Rory Kennedy, kończy się w 2014 roku, kiedy przestajesz zawodowo grać w szachy. Co wydarzyło się później?
– Wszyscy żyją długo i szczęśliwie *(śmiech)*. Jestem szczęśliwą mężatką, mamy dorosłe już dzieci: syna i córkę. Poszły własną drogą, niezwiązaną z zawodowymi szachami. Bardzo świadomie z mężem wychowywaliśmy je inaczej niż moi rodzice mnie i siostry: chcieliśmy, żeby miały zwyczajne dzieciństwo i możliwość wyboru.

Prowadzę Fundację Judith Polgár, organizujemy międzynarodowy Judith Polgar Global Chess Festival, w tym roku odbędzie się po raz dwunasty. Mój program Chess Palace od 2013 roku jest w węgierskich szkołach przedmiotem fakultatywnym. Każdego roku uczestniczy w nim około 50 tysięcy dzieci.

Moja siostra Susan przez lata trenowała kolejne pokolenia zawodników. Sofia, która zawsze miała najbardziej artystyczną duszę z naszej trójki, zajęła się malarstwem i projektowaniem wnętrz. Mieszkają w Kanadzie i w USA.

I, jak rozumiem, twoje liczne zwycięstwa, a przede wszystkim pokonanie Garija Kasparowa w 2002 roku podczas meczu Rosja kontra reszta świata w Moskwie spowodowało, że kobiety są postrzegane jako równorzędne przeciwniczki mężczyzn podczas turniejów szachowych.
– Zdziwię cię, bo nie są. Nie zmieniło się wiele od 1962 roku, kiedy Bobby Fischer, legendarny mistrz świata i jeden z największych geniuszy w historii szachów, powiedział w wywiadzie dla „Harper's Magazine": „Wszystkie są słabe. Kobiety są głupie w porównaniu z mężczyznami".

Brzmi brutalnie i absurdalnie, ale ten sposób myślenia w świecie szachów nigdy całkowicie nie zniknął. Dziś rzadko mówi się to wprost, ale mechanizm nadal działa: dziewczynkom od początku stawia się niższe oczekiwania. Zachęca się je, by były „najlepsze wśród kobiet", a nie po prostu najlepsze.

Nawet po „przypadku Judith Polgár"?
– Ja w przekonaniu wielu mężczyzn jestem wyjątkiem. A wiadomo, że wyjątek potwierdza regułę – może i pokonałam Kasparowa, może i grałam przez lata w światowej elicie, wygrywałam z mistrzami świata, ale to niczego nie oznacza.

To bardzo wygodne: bo jeśli Judith jest wyjątkiem, nie trzeba zmieniać sposobu myślenia o kobietach w szachach. Natomiast prawda jest dużo mniej komfortowa: dziewczynki mają taki sam potencjał intelektualny jak chłopcy. Problem leży nie w możliwościach, tylko w tym, jak wcześnie społeczeństwo podcina im ambicję i wiarę we własną siłę.

Jak to się dzieje?
– Myślę, że ogromną rolę odgrywają wciąż i wciąż oczekiwania społeczne. Dziewczynki od początku nie dostają tego samego wsparcia co chłopcy.

W świecie szachów bardzo często mówi się im: „bądź najlepsza wśród kobiet", zamiast po prostu: „spróbuj być najlepsza". A to jest, proszę mi wierzyć, ogromna różnica.

Rodzice, trenerzy, nauczyciele, niestety także kobiety, często sami nie wierzą do końca w ich potencjał. Mówię to wiele razy i będę powtarzać: kobiety również robią wiele szkody innym kobietom i dziewczynkom, myśląc w ograniczony sposób o własnych możliwościach.

Spójrzmy na Indie: dzieją się tam niesłychanie ciekawe rzeczy. Widzę tam coraz więcej dziewczynek, które idą inną drogą niż wcześniejsze pokolenia szachistek. Nie koncentrują się już na kobiecych rankingach czy kobiecych tytułach, tylko po prostu chcą być jak najlepsze.

Mówiłam też o tym w Warszawie podczas panelu Super Chess Sumitt razem z innymi świetnymi szachistkami, jak widzimy rolę, postrzeganie kobiet i dziewczynek grających w szachy (panel towarzyszył turniejowi Super Rapid & Blitz Warsaw 2026, największemu szachowemu wydarzeniu w tej części Europy).

Kobiece ligi i turnieje mają sens, jeśli pomagają dziewczynkom wejść do świata szachów i nabrać pewności siebie. Ale nie mogą być sufitem.

Nie chcę też powiedzieć, że trzeba zlikwidować szachową ligę kobiecą, ale nie podoba mi się, że ma taki niski poziom. W tej chwili nawet nie ma chyba kobiety w pierwszej setce rankingu światowego. Poza mną chyba żadna kobieta nie była nawet w pierwszej pięćdziesiątce.

Jeśli jednak od dziecka mówi się zawodniczkom, że ich naturalnym miejscem są „kobiece rozgrywki", bardzo łatwo stworzyć mentalną granicę ambicji. A przecież szachy nie są sportem siłowym: tutaj liczą się myślenie, praca i odporność psychiczna.

Akurat wam, siostrom Polgár, nie sposób odmówić odporności psychicznej. W wieku 12 lat, w 1988 roku, wygrałaś mistrzostwa świata dziewcząt do lat 16, a rok później zdobyłaś złoto drużynowych mistrzostw świata kobiet dla Węgier, przerywając wieloletnią dominację Związku Radzieckiego. W wieku 15 lat i 4 miesięcy zostałaś najmłodszym arcymistrzem w historii szachów, bijąc rekord wspomnianego Bobby'ego Fischera. Twoje siostry dotrzymywały ci kroku.
– Zawsze byłyśmy razem: trzy muszkieterki – jedna za wszystkie, wszystkie za jedną. Razem przeciwko światu i ludziom, którzy nie wierzyli, że dziewczynki mogą osiągnąć najwyższy poziom w szachach, przeciwko środowisku, które uważało nas za dziwny eksperyment.

Kiedy któraś z nas przegrywała, wszystkie byłyśmy smutne. Kiedy wygrywała, wszystkie byłyśmy szczęśliwe. Miałyśmy bardzo silną więź i ogromnie się wspierałyśmy.

W netflixowym filmie pytają Susan, czy kobieta może zostać mistrzynią świata. Powiedziała wtedy: „Tak! Może. Siedzi właśnie obok mnie?", wskazując na mnie. Rzeczywiście tak się później stało.

Ona w tamtym momencie mogła być zazdrosna, mogła pomyśleć: „moja młodsza siostra będzie lepsza ode mnie". Ale tak nie było. Także dzisiaj mamy świetny kontakt, mimo że one mieszkają za oceanem.

Ale przyznasz, że byłyście eksperymentem.
– Oczywiście. Nasze małe mieszkanie właściwie było laboratorium szachowym. Ojciec zamienił ściany w system nauki i analizy: wszędzie były książki, diagramy, stare partie, fiszki z zapisami gier. Jedna ze ścian była dosłownie pokryta katalogiem partii i analiz, z których ciągle korzystałyśmy.

To nie był zwykły dom. Wszystko było podporządkowane nauce i szachom. Dla ludzi z zewnątrz wyglądało to czasem jak obsesja albo dziwny eksperyment, ale dla nas było po

1 RP

eprasa.pl 995cb3273b

prostu naturalnym środowiskiem dorastania. Codziennie przychodzili trenerzy, sparingpartnerzy, zawodnicy. Czasem ktoś przyjeżdżał z zagranicy i po prostu spał u nas na podłodze albo na kanapie.

Ojciec wierzył, że geniuszy można wychować, a nie tylko się nimi urodzić. Razem z mamą postanowili sprawdzić tę teorię na własnych dzieciach.

Nasze wychowanie polegało na bardzo wczesnej i intensywnej specjalizacji. Uczyłyśmy się w domu, a centrum naszego życia stały się szachy. Każdy dzień był podporządkowany pracy, treningowi i rozwojowi. Bardzo wcześnie zaczęłyśmy grać z dorosłymi mężczyznami i rywalizować na najwyższym poziomie.

Ale jednocześnie to nie było tylko „produkowanie mistrzyń szachowych". Rodzice stworzyli niezwykle intensywne środowisko intelektualne. W domu ciągle się dyskutowało, analizowało, uczyło języków, rozwiązywało problemy. Szachy były centrum, ale chodziło szerzej o rozwijanie koncentracji, wytrwałości i odwagi myślenia.

Odwiedzała was też w domu policja, żeby sprawdzić, jak uczą się dzieci niechodzące do szkoły.
– Dziś łatwo romantyzować historię naszej rodziny, ale wtedy to naprawdę oznaczało życie w ciągłym konflikcie z systemem. Edukacja domowa w komunistycznych Węgrzech była czymś niemal niewyobrażalnym. Państwo uważało, że dzieci powinny być częścią jednolitego systemu, a mój ojciec nagle mówił: „Nie, ja wychowam swoje córki inaczej".

Dlatego regularnie pojawiali się urzędnicy, czasem policja. Sprawdzali mieszkanie, nasze warunki życia, pytali, czy rzeczywiście się uczymy. Pamiętam, że ojciec żył z ciągłym lękiem, że „znowu przyjdą". To napięcie było stale obecne w domu.

Imponuje mi dziś odwaga moich rodziców. Łatwo jest mieć własną teorię wychowania dzieci. Znacznie trudniej realizować ją w państwie, które uważa cię za niebezpiecznego dziwaka.

Co ich napędzało oprócz tego, że chcieli dla was lepszej przyszłości?
– Myślę, że motywacja mojego ojca była dużo głębsza niż tylko szachy czy dostatniejsze życie dla nas. Film pokazuje go jako ekscentrycznego pedagoga, ale to nie jest cała prawda.

Za projektem pedagogicznym „siostry Polgár" stała też tragiczna historia naszej rodziny. Moi rodzice byli Żydami, doświadczenie Holokaustu dotknęło i mamę, i ojca, jedna z moich babć zginęła w Oświęcimiu. Ojciec dorastał w trudnych warunkach, jego rodzice się rozwiedli, kiedy był nastolatkiem. Myślę, że miał w sobie ogromną potrzebę udowodnienia światu, że o życiu człowieka nie decydują miejsce urodzenia ani pieniądze, tylko praca, poświęcenie i determinacja.

Wierzył, że wielkość można wypracować. Że talent nie jest przywilejem wybranych ludzi z elitarnych rodzin. I myślę, że ten jego upór, ta obsesyjna wręcz potrzeba „pokazania światu" brała się właśnie z tamtych doświadczeń i traum.

Żałujesz swojego „nienormalnego" dzieciństwa? W filmie wahasz się, odpowiadając na to pytanie.
– Nigdy tego nie żałowałam, chociaż bardziej dziwnego dzieciństwa od naszego nie można było wtedy mieć. Na początku szachy były po prostu zabawą. Gdy zaczynałam jako pięciolatka, grałam może dziesięć minut dziennie. Rok później było to już pięć godzin. Stopniowo zabawa zamieniała się w sport i rywalizację. A kiedy człowiek zaczyna rywalizować, pojawiają się zwycięstwa i porażki. Tyle że u mnie tych zwycięstw było zdecydowanie więcej.

Ale to Susan, najstarsza z nas trzech, miała najtrudniej. To na niej rodzice testowali cały ten system życia. Jak ma wyglądać edukacja domowa? Ile godzin treningu? Jak zdawać egzaminy? Jak funkcjonować poza normalnym systemem? Z mojej perspektywy, krocząc po śladach dwóch starszych sióstr, było łatwiej.

FOT. ENTERTAINMENT PICTURES / ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

• **Kadr z dokumentu Netflixa „Królowa szachów" (2026). Pojedynek Polgár kontra mistrz świata Garri Kasparow na turnieju w Linares (Hiszpania) w 1994 r. Wtedy wygrał Kasparow, choć to zwycięstwo było kontrowersyjne. Polgár pokonała go Moskwie w 2002 r.**

„Judith Waleczna"?
– Zdecydowanie. Bo chociaż byłam nieśmiała, miałam chyba największy z nas trzech talent do rywalizacji.

Świetnie znosiłam monotonię i nudę. Dziś wiem, że to prawdziwy dar dla sportowca.

Większość ludzi lubi moment zwycięstwa, ale nie znosi drogi, która do niego prowadzi: powtarzalności, samotności, codziennego wracania do tych samych problemów. Ja naprawdę potrafiłam robić to bez końca. Godzinami analizować pozycje, wracać do przegranych partii, ćwiczyć.

Bardzo pomogło mi to, że byłam najmłodsza. Obserwowałam siostry i intuicyjnie brałam od każdej coś dla siebie. Susan: niezwykle uporządkowana, ostrożna i precyzyjna. Wszystko analizowała, robiła notatki, zawsze myślała kilka kroków do przodu. W pewnym sensie stworzyła fundament całego naszego systemu.

Sofia: najbardziej artystyczna, najbardziej buntownicza. Lubiła dyskutować, sprzeciwiać się, miała twórczą naturę. Ja byłam chyba mieszanką obu tych światów: dyscypliny Susan i intuicji Sofii. Dodałam do tego swoją rogatą duszę.

Nastolatki stające odważnie do partii szachów z doświadczonymi graczami po pięćdziesiątce czy sześćdziesiątce – to robi wrażenie. Właściwie zrobiłyście dla ruchu feministycznego więcej niż niektóre aktywistki walczące o równouprawnienie.
– Nigdy nie myślałam o sobie jak o feministce w politycznym sensie. Po prostu nie akceptowałam przekonania, że kobiety są intelektualnie słabsze od mężczyzn. I chciałam to udowodnić przy szachownicy, a nie sloganami.

Od wczesnego dzieciństwa grałyśmy głównie z dorosłymi mężczyznami. Kiedy startowałam w turniejach chłopców do lat 12 czy 14, jechałam tam po to, żeby wygrać, a nie „dobrze wypaść jak na dziewczynkę". To było nasze normalne środowisko. Jeśli sześciolatka rozumie szachy lepiej niż dorosły człowiek, to może z nim wygrać i tyle. Tak zostałyśmy wychowane.

Nie zmieniło się wiele od 1962 roku, kiedy Bobby Fischer, szachowy mistrz świata, powiedział: „Wszystkie są słabe. Kobiety są głupie w porównaniu z mężczyznami"

Nie można zostać genialnym szachistą bez ciężkiej pracy. Oczywiście dziś wiele rzeczy można uprościć. Łatwiej zdobywać informacje, łatwiej trenować, technologia daje ogromne możliwości. Ale nie da się skrócić czasu potrzebnego na prawdziwe zrozumienie.

Co innego usłyszeć lub przeczytać coś i wiedzieć, że istnieje, a co innego uczynić z tej wiedzy coś własnego. Wielu młodych zawodników rozumie różne idee teoretycznie, ale podczas turnieju nie potrafi wykorzystać ich dla własnej korzyści – „podziękujmy" za to AI, która także wkroczyła do świata szachów.

Jakimi ty i twój mąż jesteście rodzicami?
– Myślę, że zupełnie innymi niż moi rodzice. Oni mieli bardzo jasny cel i podporządkowali mu całe życie rodziny. Ojciec walczył z systemem, z federacją szachową, organizował turnieje, wybierał trenerów i nieustannie myślał o tym, jak nas rozwijać.

Mama tworzyła emocjonalne centrum domu. Gotowała, robiła zakupy, prowadziła nasze małe mieszkanie, w którym ciągle ktoś był. To od niej nauczyłam się ciepła, troski o innych, ale też pewnej kobiecości i normalności w tym całym szalonym świecie szachów.

Ojciec uważał, że najważniejsze jest, żebyśmy dobrze grały. Mama dbała też o to, żebyśmy były po prostu dziewczynkami: ładnie wyglądały, miały sukienki czy fajne bluzki na zawody, normalne życie poza szachami.

Dziś rodzicielstwo jest dużo bardziej niepewne i chaotyczne. Mam wrażenie, że rodzice ciągle się boją, że zrobią coś źle. Nieustannie się zastanawiają: dać dziecku iPada czy nie? Jak bardzo kontrolować, a jak dużo wolności zostawić?

Już myślimy nie tylko o tym, co dać dzieciom, ale przede wszystkim, co i jak przed nimi odciąć i ograniczyć. Paradoks polega też na tym, że współczesne dzieci mają często „za dobrze". My chcemy im dać wszystko: bezpieczeństwo, wygodę, ale czasem właśnie przez to trudniej im budować odporność psychiczną, odpowiedzialność czy poczucie celu.

Znalezienie równowagi między wolnością a stawianiem granic jest dziś chyba największym wyzwaniem rodzicielstwa. Najważniejsze pytanie brzmi dziś: jak wychować zdrowego psychicznie, odpowiedzialnego człowieka?

Tymczasem pytamy kilkuletnie dziecko: „Które przedszkole wybierasz?", „Co chcesz robić?", „Jaką drogę wybierasz?". Ono nie potrafi jeszcze odpowiedzieć na takie pytania. Myślimy, że jesteśmy bardzo liberalni i otwarci, ale czasami nie zauważamy, że nakładamy na dzieci ogromną presję wyboru. Nawet w prostych sprawach. „Chcesz lody?". Ale zaraz potem: „Waniliowe, czekoladowe, pistacjowe?". To dla dziecka trudny wybór, zwłaszcza jeżeli nie wie, co to jest pistacja.

Twój ojciec mówi, już po tym, jak wygrałaś wszystkie tytuły świata: „Gdyby tylko grała jeszcze trzy-cztery godziny więcej..."
– *(śmiech)* Dla niego nic nigdy nie było ostatecznie wystarczające. Jeśli rozmawia się z trenerami tenisa, siatkówki czy pływania, wszędzie słyszy się podobny komunikat: dziś wygrałeś, ale jutro znowu musisz pracować. Ojciec po prostu żył w takim przekonaniu. Sukces był dla niego dowodem, że trzeba pracować dalej. Czasem bywało to męczące. Ale z drugiej strony właśnie dzięki temu nauczyłam się odporności, dyscypliny i tego, że talent bez pracy właściwie nic nie znaczy.

Jak wspominasz swoją sześcioletnią walkę z Kasparowem?
– Kiedy przez lata wracasz do gry z tym samym człowiekiem, zwłaszcza z kimś takim jak Kasparow, zaczyna się między wami rodzaj psychologicznego dialogu. Każda kolejna partia niesie pamięć poprzednich porażek, napięć, zawiedzionych nadziei czy złości.

Żyjesz swoim życiem aż do kolejnej partii. To trochę jak powracający egzamin, którego nie możesz zdać za pierwszym razem. Za drugim też nie. Potem samo wejście do sali zaczyna mieć ciężar wszystkich wcześniejszych doświadczeń. Trudne doświadczenie.

Dokładnie pamiętam nasze partie w Linares: wielogodzinne, niezwykle intensywne, pełne ryzyka, kalkulacji i napięcia – były to wspaniałe bitwy. Tam wydarzyło się coś ważniejszego niż samo zwycięstwo: zniknął respekt wobec legendy.

Kiedy w 2002 roku wreszcie go pokonałam, świat potraktował to jak symboliczny moment, czyli „kobieta pokonała Kasparowa". Ale ja pół roku później weszłam już na stałe do pierwszej dziesiątki światowego rankingu. Utrzymywałam się tam przez kilka lat. Grałam ze wszystkimi najlepszymi zawodnikami świata.

Oczywiście, że wygrana była dla mnie ogromnie ważna. Zadzwoniłam od razu do rodziny, mój mąż był przeszczęśliwy. Ale paradoksalnie ta ostatnia partia nie była najbardziej dramatyczna. Była średnia. On od początku grał słabiej niż zwykle, a ja po prostu zrobiłam to, co powinnam była zrobić. Jak przyznał później sam Kasparow: „Dowiozła".

Zdarza ci się grać w szachy dla przyjemności?
– Tak, zdecydowanie. Zawsze mnie będzie fascynowała kreatywność i piękno szachów. Niezwykłe pozycje, nieoczekiwane kombinacje i ruchy, które wciąż potrafią zaskoczyć. No i ten kosmos w głowie grających, kiedy układają sobie te kilkanaście ruchów do przodu. ●

*Judit Polgár

FOT. ANNA WEBBER/VARIETY VIA GETTY IMAGES

• węgierska arcymistrzyni szachowa, uznawana za najwybitniejszą zawodniczkę w historii szachów kobiecych. Urodziła się w 1976 r. w Budapeszcie. W wieku 15 lat została najmłodszą arcymistrzynią w historii, bijąc rekord Bobby'ego Fischera. W trakcie kariery pokonała wielu mistrzów świata, m.in. Garri Kasparowa, Anatolija Karpowa i Magnusa Carlsena. W 2005 r. jako pierwsza kobieta w historii znalazła się w pierwszej dziesiątce rankingu FIDE (międzynarodowy system oceny siły szachistów opracowany i prowadzony przez Fédération Internationale des Échecs).

Choć serial Netflixa „Gambit królowej" z 2020 r., w reżyserii Scotta Franka wg powieści Waltera Tevisa, nie opowiada bezpośrednio o życiu Polgár, wielu dostrzega podobieństwa między fikcyjną Beth Harmon a węgierską arcymistrzynią. Podobnie jak bohaterka serialu, Judit Polgár zdominowała świat zarezerwowany wcześniej niemal wyłącznie dla mężczyzn i zasłynęła agresywnym, ofensywnym stylem gry.

eprasa.pl 995cb3273b

Tekst i zdjęcia **Anna Żabińska**

HISTORIA PISANA AZULEJOS

Jak wraca się do ulubionego miasta po latach?
Porto zmieniło się chyba mniej, niż powinno.

Pierwszy raz przyjechałam do Porto 10 lat temu. Dzięki stypendium spędziłam tu grubo ponad pół roku. Gdy znajomi pytali mnie, co sądzę o mieście, mówiłam: „malownicza ruina". Bo nie wyglądało jak na pocztówce – na każdej uliczce zniszczone kamienice, a czasem stały tylko ich fasady. Nawet w centrum były budynki, w których np. zawalił się dach. Ale to miało swój urok. Byłam zachwycona tym klimatem.

Spacer po Porto zawsze był niespodzianką. Ciągle odkrywałam nowe wzory azulejos na fasadach, ciągle też wyrastały nowe „szczyty" do zdobycia. Miasto leży na wzgórzach i wszystko jest blisko, więc zwiedza się je pieszo, i prawie zawsze pod górę. Forma robi się sama. Chyba tylko na plażę jeździłam metrem.

Teraz byłam ciekawa, czy i jak Porto się zmieniło. Czy rzeczywiście zadeptują je tłumy turystów? Czy za bardzo go nie idealizuję mając w głowie studenckie wspomnienia?

Kafelki. Wszędzie kafelki

W Porto jest tyle do zobaczenia, że jeśli mamy mało czasu, trzeba znaleźć jakiś klucz do zwiedzana. Mogą nim być np. azulejos – kafelki pokryte szkliwem, z kolorowymi wzorami, tak charakterystyczne dla portugalskiej architektury. Sprawiają, że nawet zniszczone budynki wyglądają wyjątkowo.

Najbardziej wyróżniają się te biało-niebieskie na fasadach kościołów. Zajmują całe ściany i zawsze opowiadają jakąś historię. Obejrzyjmy je np. w takiej kolejności:

1. Kościół Carmo *(Igreja do Carmo)*, inaczej Kościół Czcigodnego Trzeciego Zakonu Matki Bożej z Góry Karmel zbudowano w II połowie XVIII w. Barokowe wnętrze nie robi takiego wrażenia, jak elewacja bocznej ściany (1912 r.) ze scenami z założenia zakonu karmelitów i Góry Karmel. Wydaje się jakby budynek został „doklejony" do sąsiedniego **Kościoła Karmelitów Bosych** (*Igreja dos Carmelitas,*

• **Ribeira. Najstarsza, najbardziej znana i oblegana przez turystów dzielnica Porto. Jej portugalska nazwa oznacza po prostu rzekę. Ribeira z punktu widokowego po drugiej stronie Douro**

1 RP

eprasa.pl 995cb3273b

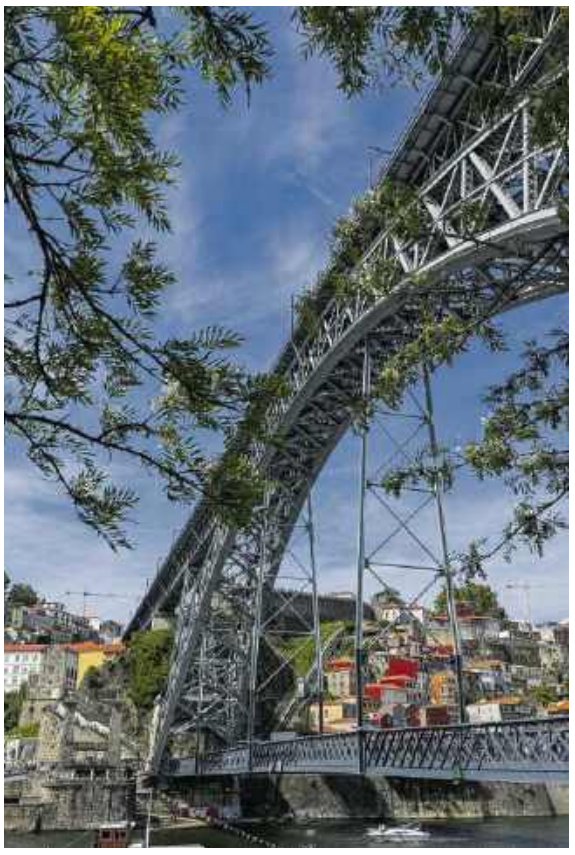

▲ **Dwupoziomowy most łukowy Ludwika I Portugalskiego (Ponte Luís I) nad rzeką Douro zbudowano w latach 1881-86. Łączy Porto z Vila Nova de Gaia – dzielnicą winiarni**

◀ **Zachód słońca w Jardins do Palácio de Cristal. Zielona oaza z widokiem na rzekę Douro i Ponte da Arrábida czyli ten „drugi most" łukowy bliżej ujścia do Atlantyku**

XVII w.). Dzieli je jednak tzw. Ukryty Dom (*Casa Escondida*). Ma on nieco ponad metr szerokości, jest w pełni umeblowany i można go zwiedzać. Kiedyś między kościołami była wąska uliczka, bo wg. prawa nie mogły dzielić ściany, ale plotka głosi, że „przerwa" była po to, żeby oddzielić mnichów od mniszek.

2. Kaplica św. Katarzyny *(Capela de Santa Catarina)* nazywana **Kaplicą Dusz***(Capela das Almas)* z końca XVIII w. to kolejny piękny obiekt. Na fasadzie i we wnętrzu (360 m kw.) jest w sumie 15 947 płytek obrazujących życie św. Katarzyny i św. Franciszka z Asyżu.

3. Kościół św. Ildefonsa*(Igreja de Santo Ildefonso)* też z XVIII w. to tylko kilka minut od kaplicy. Widać, że tu czas zrobił swoje. Płytki ukazujące patrona i sceny z Ewangelii są w złym stanie. Z oddali kościół na wzniesieniu nadal robi wrażenie, ale z bliska widać, że się sypie.

4. Katedra *(Sé do Porto)*, która góruje nad starym miastem, jest jak wisienka na torcie. Potężna świątynia fasadę ma surową i skromną. Pierwotnie romańska, w XVIII w. przebudowana w stylu barokowym. Koniecznie trzeba tu zobaczyć srebrny ołtarz w Kaplicy Najświętszego Sakramentu – jedno z najważniejszych osiągnięć portugalskiej sztuki zdobniczej. I to, co najładniejsze – gotyckie krużganki z panelami z azulejos. Przedstawiają, oczywiście, sceny religijne m.in. fragmenty Pieśni nad Pieśniami i życie Matki Boskiej.

Mniejszych kościołów z ozdobną fasadą jest jeszcze kilka i na pewno traficie na nie podczas spacerów.

5. Dworzec São Bento (nazwa od klasztoru, który stał w tym miejscu, ale spłonął) pochodzi z 1916 roku jest wypełniony płytkami po brzegi (20 tys. sztuk!). Tutaj upamiętniają one historię kraju (np. podbój Ceuty w 1415 r.) i portugalskich władców.

Obecnie część płytek pokryta jest warstwą zabezpieczającą (jest różnica w kolorze), bo obok budowana jest nowa linia metra.

Inicjatywa oddalona: uzupełnić braki

Spacerując po Porto mijałam wiele kamienic z azulejos na fasadach. Gdzieś brakowało tylko kilku płytek, ale inne wyglądały jakby ktoś uzupełnił braki, tylko, że te nowe i stare płytki różniły się odcieniem.

O co chodzi i kto tak „poprawia fasady" zapytałam w studio Gazete Azulejos.

Jego właścicielki – Hiszpanka Alba Plaza i Portugalka Marisa Ferreira (obie po studiach artystycznych: grafika i malarstwo) – od 2016 r. prowadzą projekt Os Azulejos do Porto. Ich celem jest katalogowanie i konserwacja wszystkich płytek elewacyjnych w mieście. Robi się im zdjęcia w wysokiej rozdzielczości i poddaje cyfrowej obróbce, aby oddać rzeczywiste kolory. Oprócz dokumentacji, to także kompleksowe badania płytek, ich wytworni oraz stosowanych technik. Katalog azulejos jest na ich stronie internetowej.

Żeby mieć pieniądze na realizację tej misji w 2018 r. otworzyły własną pracownię. Stosują w niej tylko tradycyjne techniki ręcznego malowania płytek, tworzą repliki do budynków wymagających renowacji, ale i płytki do wnętrz. No i organizują warsztaty, na których uczą m.in. jak zdobić azulejos.

Jesus, Jose i Maria

Cel szczytny, więc poszłam na dwugodzinne zajęcia (koszt: 38 euro). Można było stworzyć na płytkach własny wzór (np. Brytyjka obok mnie malowała swojego psa) lub użyć szablonu (kiedyś robiono je z metalu lub wosku, dzisiaj są plastikowe). Wstępnie wypalone płytki (biskwit), po zdobieniu znowu lądowały w piecu (na specjalnym stojaku, czyli gazete) w temperaturze 1030 stopni. Gotowe można było odebrać następnego dnia.

Wzory azulejos pochodziły z Porto – na każdym szablonie był adres ulicy. Do malowania używaliśmy barwników w proszku (duży wybór kolorów, ale klasyczny to kobalt) rozpuszczonych w wodzie (trzeba ciągle mieszać i osuszać pędzel). Kariery w zdobieniu nie zrobię, ale to była fajna zabawa.

– Alba i Marisa pierwsze zaczęły prowadzić warsztaty w oparciu o tradycyjne techniki. Inni stosują szybsze metody np. nie wypalają płytek drugi raz, żeby turyści od razu mogli zabrać je do domu – mówiła mi Paulina, moja instruktorka. – Ludzie zwykle nie kupują płytek, by odnowić cały budynek. To za dużo kosztuje. Ale już kilkadziesiąt do położenia w kuchni, tak. Takie zamówienia mamy najczęściej.

Na zapleczu mają trzy piece o imionach Jesus, Jose i Maria. Odpalane są codziennie, bo warsztaty są bardzo popularne. Właścicielki rzadko je prowadzą, poświęcają się katalogowaniu oraz tropieniu zaniedbań w konserwacji, które pokazują w serwisach społecznościowych. Np. budynki, które miały fantazyjne fa-

• **Kościół św. Klary, to jedna z dwóch świątyń w Porto (druga to kościół św. Franciszka), która we wnętrzu tak bardzo kapie złotem, co kontrastuje z jej surową i prostą fasadą**

• **Kaplica św. Katarzyny nazywana Kaplicą Dusz (to nawiązanie do kultu dusz czyśćcowych). Fasadę z azulejos zaprojektowano w 1929 r., dzięki niej przypomina „malowane płótno"**

• **Capela do Senhor da Pedra nazywana „kaplicą na końcu świata". W czasie przypływu wygląda jak samotna wyspa na Atlantyku**

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

1 RP

eprasa.pl 995cb3273b

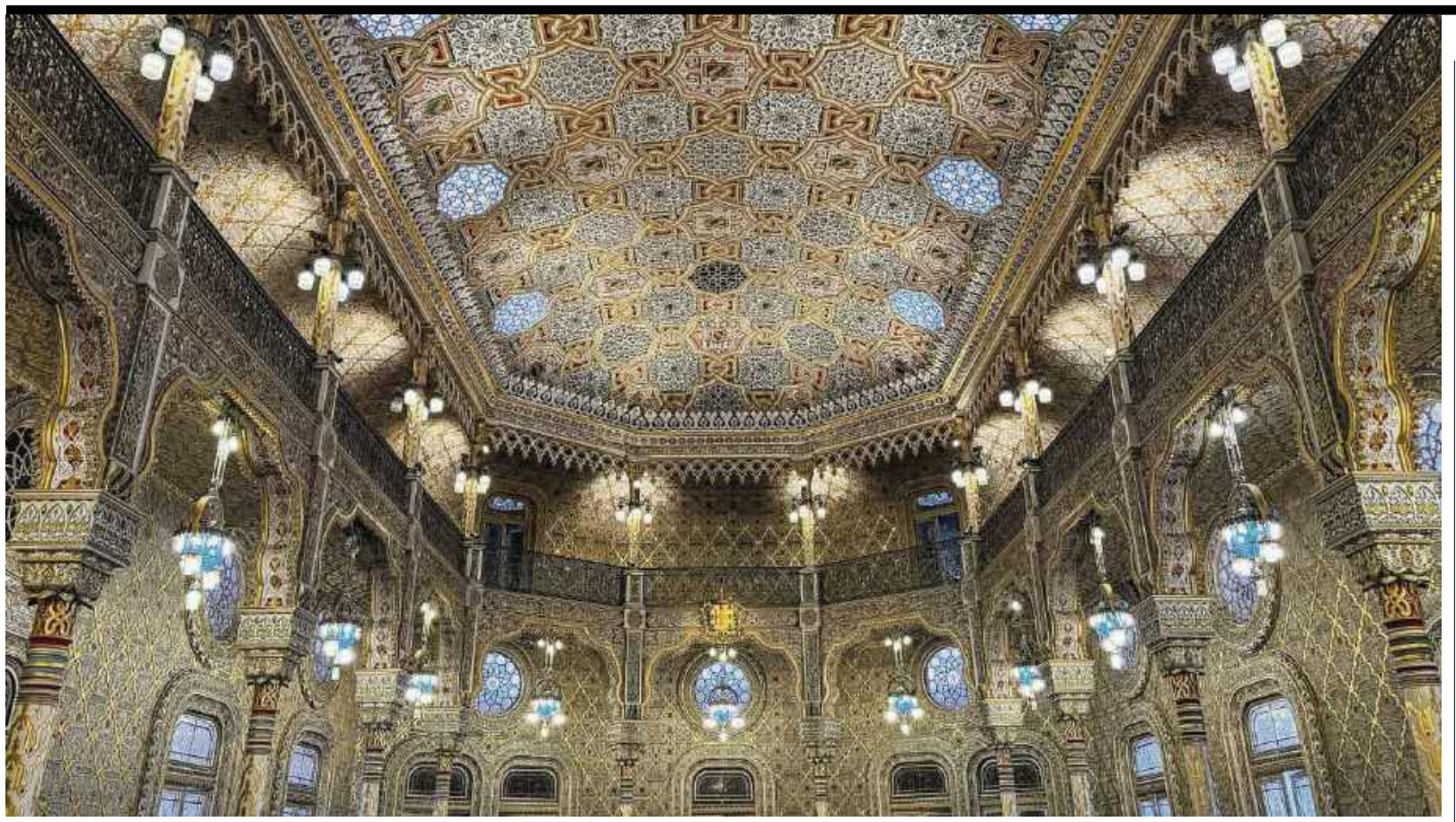

▲ **Imponująca Sala Arabska w Palacio da Bolsa – dawnej giełdzie. Wizytówka bogactwa i potęgi Porto w XIX wieku**

▶ **Królik zrobiony ze śmieci –street art w Vila Nova de Gaia**

◀ **Fragment schodów w Livraria Lello czyli księgarni okupowanej przez fanów Harrego Pottera**

sady, a teraz zostały pokryte nowymi, jednokolorowymi kafelkami.

Inicjatywa odgórna: Bank

W Banku Materiałów (Banco de Materiais), należący do muzeum miejskiego azulejos mają swoją salę.

– Te materiały pochodzą z budynków do rozbiórki lub przebudowy. Jeździmy w takie miejsca i wybieramy to, co warto zachować. To przykłady, resztę trzymamy w magazynach. Jeśli ktoś potrzebuje coś uzupełnić, może się do nas zgłosić – opowiadała pani Paula, która od 30 lat pracuje też w Radzie Miasta.

Zgodnie z prawem wyburzenie zabytkowego budynku muszą autoryzować władze. Jeśli jest szansa na ocalenie azulejos, blokują rozbiórkę. Co oznacza, że czasem z kamienicy zostaje tylko front. Jeśli fasada wymaga naprawy, można zgłosić się po brakujące płytki do Banku i – jeśli są w zbiorach – dostanie się je bezpłatnie. Oczywiście, mowa tu o azulejos, które sklasyfikowano jako wartościowe.

Ale..dostaje się je w stanie, w jakim je znaleziono. Trzeba samemu je oczyścić i zapłacić za naprawę. – Czy to drogie? – Trochę, ale to ich obowiązek – słyszę od pani Pauli. – Niektórzy mają problem z tym, że płytki będą się trochę różnić, ale nie mają wyboru. Inni kupują kilka kamienic i chcą ujednolicić fasady, bo np. przerabiają je na hotel – nie pozwalamy. Różnorodność to cecha Porto.

Część ludzi kombinuje ze względu na koszty. Niektórzy pozwalają kamienicom niszczeć, a miasto nic nie może zrobić. Służbie publicznej nie wolno aż tak ingerować w prywatną własność. Wytrychem jest tylko kwestia zagrożenia publicznego – gdy odpadające płytki mogą kogoś skrzywdzić.

– Ale każdy, kto kupuje taki budynek jest informowany, że musi utrzymać fasadę. – kontynuuje pani Paula. – Teraz dużo Brytyjczyków i Amerykanów kupuje tu domy. Czasem bardziej się starają, niż miejscowi.

Zapytałam też o dramatyczny stan kościoła San Ildefonsa. – To inna technika malowania płytek, trudna i droga do naprawy. Trzeba będzie stworzyć repliki tych paneli i je po prostu wymienić.

A co z kradzieżami płytek z budynków, nie tylko tych zniszczonych? W socialach jest dużo materiałów o tym procederze w Lizbonie. W Porto to też problem, tylko skala mniejsza. Złodzieje odrywają azulejos i sprzedają turystom na targach Można je też znaleźć w antykwariatach. Policja interweniuje tylko, gdy ktoś zgłosi kradzież, a ludzie często nie zauważają od razu, że czegoś brakuje.

– Zdarzają się właściciele, którzy chcą sobie nielegalnie dorobić. Przychodzą tu i pytają, ile myślę, że mogłyby kosztować ich płytki. Zawsze wtedy mówię, że są nic nie warte. Widzę, że kombinują – mówi pani Paula.

Oślepiające złoto

Po płytkach – w dalszym zwiedzaniu – skupimy się na złocie. Oto kilka atrakcji, które onieśmielają przepychem.

1. Imponujący **Palacio da Bolsa** (Pałac Giełdy) zbudowany w XIX w. przez miejskie Stowarzyszenie Handlowe (*Associação Comercial do Porto*). Obecnie ma funkcję reprezentacyjną – organizowane są tu wydarzenia, przyjmowani ważni goście.

Zwiedza się go z przewodnikiem, wybierając odpowiednią godzinę (oprowadzanie w 4 językach). Kupienie biletu online nic nie zmieni – dopiero na miejscu dowiemy się, jaki jest harmonogram (żeby zaoszczędzić czas, najlepiej przyjść przed zamknięciem i kupić bilet na kolejny dzień).

Obejrzymy okazałe Patio Narodów przykryte szklaną kopułą, monumentalne klatki schodowe i wybrane pokoje. Jednak nic nie równa się z **Salą Arabską** – architekt Gustavo Adolfo Gonçalves de Sousa projektując ją inspirował się hiszpańską Alhambrą, a jej wykończenie trwało 18 lat. Ściany i sufit są przebogato zdobione misternymi sztukateriami i pozłacanymi arabeskami, a podłoga wykonana jest z kilku rodzajów drewna m.in. platanów, mahoniu i drzewa różanego.

2. Tuż obok **Kościół św. Franciszka** (*Igreja de São Francisco*), jedna z najstarszych budowli w mieście z 1425 r. Zbudowany w stylu gotyckim i przebudowany w barokowym. Z zewnątrz nic nie zapowiada tego, co jest w środku – pozłacane ołtarze, sklepienia, kolumny, okiennice. Przepych oślepia – snycerze zastosowali tu charakterystyczną dla Portugalii, technikę *talha dourada* (pozłacana rzeźba w drewnie). Oślepia też, bo nijak nie pasuje do filozofii ubóstwa patrona tego kościoła, ale jak widać dawni Portugalczycy zupełnie nie mieli z tym problemu.

3. Podobne wrażenia wizualne zapewnia **Kościół św. Klary** (*Igreja de Santa Clara)* z 1457 r. Jest mniejszy i łatwiejszy do „ogarnięcia" (moim zdaniem też ładniejszy). Wnętrze pokryte jest od góry do dołu złotem i polichromią, trudno oderwać wzrok od figur Świętych. I znowu kontrast – zakon św. Klary to odpowiednik franciszkanów, mniszki nazywano „Ubogimi Klaryskami".

Magia reklamy czyli śladami Harrego Pottera

W świadomości wielu turystów Porto jest miastem magicznym, które zainspirowało J. K. Rowling do napisania serii książek o Harrym Potterze. Organizowane są wiec specjalne wycieczki śladami czarodzieja, a tłumy zwiedzają atrakcje, które podobno mają z nim coś wspólnego.

Jak jest naprawdę? J. K. Rowling po śmierci matki, przeprowadziła się do Porto (1991-93). Uczyła angielskiego w instytucie językowym, poznała tu męża, urodziła córkę. I zaczęła pisać pierwszą książkę. Zanim opuściła miasto, miała trzy pierwsze rozdziały. Dodajmy, że pytana o ten okres, nazywa go katastrofą – wróciła do kraju, bo jej partner okazał się przemocowcem.

Pierwsze miejsce na magicznym szlaku zajmuje **Livraria Lello**. Neogotycka księgarnia działa od 1906 r., jej pomysłodawcami byli bracia Jose i Antonio Lello, miłośnicy literatury. Dwupiętrowe wnętrze wykończono malowanym tynkiem, który imituje drewno i elementy dekoracyjne. Na piętro prowadzą kręcone schody, nad nimi jest witraż z mottem właścicieli: „Decus in Labore" (Godność w pracy). Księgarnia sprzedaje piękne wydania klasyków literatury, ale też powieści współczesne. Jest cały dział poświęcony Harry'emu...

Obecnie jej zwiedzanie to koszmar. Chociaż bilety kupuje się na konkretną godzinę, ludzi jest więcej niż książek. Rozumiem, że każdy chce mieć zdjęcie na kultowych schodach, ale już wideorozmowy z „oprowadzaniem" bliskich zasługują na osobny krąg piekła. Chciałabym z czystym sumieniem napisać, że to przereklamowana atrakcja, ale nie mogę, to jest cudowne miejsce.

Fani „HP" są przekonani, że atmosfera i architektura księgarni to

1 RP

eprasa.pl 995cb3273b

Azulejos. Wypolerowane skarby w tysiącach wzorów

• Azulejos czyli ceramiczne płytki to w Portugalii dziedzictwo narodowe. Słowo „azulejo" pochodzi z języka arabskiego i oznacza „wypolerowany kamień". Na Półwyspie Iberyjskim azulejos zawdzięczmy czasom Al-Andalus i arabskim rzemieślnikom tworzącym wspaniałe geometryczne mozaiki w tutejszych pałacach.
Po rekonkwiście (XV w.), Hiszpanie i Portugalczycy opracowali własne techniki wytwarzania i ozdabiania płytek, spopularyzował się styl mudejar (łączy wpływy muzułmańskie z chrześcijańskimi).

• Zapotrzebowanie na kafelki zwiększyło się w okresie kolonialnym. Przełom XVII i XVIII w. to „złoty okres azulejos", nazywany też „cyklem mistrzów". Była to odpowiedź portugalskich warsztatów na silną konkurencję płytek z Holandii, a jednocześnie rewolucja w estetyce, technice i kompozycji.

• XIX w. to stagnacja. Wojny napoleońskie i zmiany społeczne zmusiły wytwórnie (w okolicy Porto było 20 takich fabryk) do użycia technik przemysłowych, które umożliwiały szybszą i tańszą produkcję. Kafelki stały się bardziej dostępne. Portugalczycy zaczęli ozdabiać nimi domy nie tylko wewnątrz, ale i z zewnątrz. Ta moda była podyktowana nie tylko estetyką, ale także ceną, trwałością oraz ochroną przed upałem i wilgocią. Styl ten przetrwał do lat 30. XX w. i stał się symbolem portugalskich miast.

• Pomimo swej wartości kulturowej, azulejos są formalnie chronione od niedawna. W 2007 r. Policja Sądowa (Polícia Judiciária) stworzyła projekt SOS Azulejos, który ma edukować społeczeństwo czym są kradzieże, wandalizm i brak konserwacji. Że coś, co wydaje się Portugalczykom powszechne, tak naprawdę jest wyjątkowe i wymaga opieki.

• W tym samym roku portugalski parlament ogłosił, że 6 maja Narodowym Dniem Azulejos.

• Natomiast dopiero w sierpniu 2017 r. uchwalono ustawę, która zakazuje rozbiórki budynków z płytkami i renowacji obejmującej usuwanie płytek, bez zgody władz miasta.

magia, a pracownicy podtrzymują tę legendę. Mimo, że pisarka kilka lat temu już przyznała, że nigdy w tej księgarni nie była.

Kolejnym miejscem na liście jest **Cafe Majestic** (1921 r.). Zaprojektowana w stylu Art Nouveau zachwyca i fasadą, i wnętrzem. Kiedyś spotykały się tu elity, a później wpadła J.K Rowling i coś notowała na serwetkach. Od tej chwili ceny wzrosły i nie sposób tu wejść bez stania w ogromnej kolejce.

Gdzie jeszcze znaleziono inspirację? Mundurki studentów **Uniwersytetu w Porto** to długie, czarne szaty, przed budynkiem uczelni stoi **Fontanna Lwów** (symbol Gryffindoru), a imię Salazara Slytherina (najgorszy z założycieli Hogwartu) pochodzi od portugalskiego dyktatora Antónia de Oliveira Salazara. I tak, to ostatnie potwierdziła autorka serii. Reszta to domysły – świetne marketingowe narzędzie.

Symbole miasta

Z czym poza magiczną serią kojarzy się Porto? Oto miejsca, które mają status symbolu.

1. Torre dos Clerigos – zbudowana na tyłach barokowego kościoła wieża (1763 r.), z której widać całe miasto. Dobra motywacja do pokonania 225 stopni. Ma 75,6 m i jest świetnym punktem orientacyjnym.

2. Ribeira – dzielnica nad rzeką Douro, a dokładnie jej południowa część. Pełna kolorowych kamieniczek, restauracji i barów, przywiązanych przy brzegu łódek. Oraz turystów. Jeśli jakieś miejsce w Porto ilustruje „overtourism" to ten deptak. Od lunchu do wieczora ruch jest tu ogromny, więc jeśli spacerować to rano.

– Słyszałam, że niektórzy turyści siedzą w restauracji od obiadu, by zająć sobie dobre miejsce na kolację. Mieszkańcy Porto tam się nie stołują. – powiedziała mi pani Paula z Banku Materiałów. Ale nadal tam mieszkają? – Tak, chociaż dużo lokali przekształcono na Airbnb.

A jednak wystarczy tylko skręcić w którąś z uliczek i oddalić się od wody, żeby już nie potykać się o ludzi – koniecznie znajdźcie Rua das Aldas z malowniczym skwerem i punktem widokowym.

3. Ponte Luís I czyli najjaśniejsza gwiazda wśród atrakcji. Imponujący most nazwany na cześć króla Ludwika I. Stalowa bestia (3045 ton) zaprojektowana pod koniec XIX w. przez Théophile'a Seyriga, ucznia Gustave'a Eiffela. Jeśli nie macie lęku wysokości przejdźcie się górnym poziomem, którym jeździ metro, dla mniej odpornych na ekspozycję i samochodów przeznaczony jest niższy poziom.

Witamy na drugim brzegu

Po drugiej stronie rzeki Douro czeka **Vila Nova de Gaia** – już inne miasto. Wdrapanie się do **Mosteiro Santo Agostinho da Serra do Pilar** (dawny kompleks zakonny z XVI w.) gwarantuje niesamowity widok. Podobnie, jak wizyta w **Jardim do Morro** – ogrodzie, w którym zachody słońca oglądają i turyści, i miejscowi (drugie takie miejsce to **Parque das Virtudes)**.

Zjazd kolejką linową w dół lub przejście na drugi brzeg dołem otworzy wam drogę do piwniczek z kolejnym symbolem, czyli porto. To właśnie w Vila Nova de Gaia rezydują producenci tego słodkiego wina, oferując turystom zwiedzanie i degustację.

Uważam, że właśnie to miejsce zmieniło się najbardziej. Mocno zainwestowano w turystykę – od knajp i sklepów nad rzeką aż po WOW. Ta chwytliwa nazwa to skrót od World of Wine czyli nowej, kulturalnej części miasta. Kompleks interaktywnych muzeów, kolejne sklepy i restauracje. Wszystko kręci wokół wina i historii regionu. Niestety, można kupić tylko jeden rodzaj bilet – łączący wszystkie atrakcje (30 euro!).

Porto spróbować można wszędzie (polecam markę Ferreira), ale drugi brzeg warto odwiedzić nie tylko dla trunku. Miło się tu spaceruje, podobnie jak w Porto jest trochę ciekawego street artu. Tam moim ulubieńcem jest mural z niebieskim kotem, w Gai – wielka rzeźba królika zrobiona z kolorowych śmieci znalezionych na ulicach.

Spokój na przedmieściach

Na koniec miejsca z kategorii: cisza i spokój, czyli oddalamy się od centrum.

1. Jardins do Palácio de Cristal – to moje ulubione miejsce. Romantyczne ogrody częściowo dopracowane i zadbane, a miejscami dzikie. Część położona jest tarasowo, rozciąga się stąd panoramiczny widok na rzekę, dwa mosty i ocean. Są stawy, fontanny, kaplica i rzeźby. Przechadzają się pawie i inne ptaki. Park stworzono w latach 60. XIX w., by ozdobić Pałac Kryształowy. 100 lat później zastąpił go Pabellón Rosa Mota (pawilon eventowy).

2. Ogrody przy Museu de Arte Contemporânea de Serralves (Muzeum Sztuki Współczesnej) otwarte w 1932 r., zajmują ponad 18 ha. Muzeum jest najważniejszym centrum sztuki współczesnej w kraju należącym do fundacji artystycznej Serralves. Częścią kompleksu jest różowa willa – połączenie modernizmu i Art deco.

3. Muzea i kultura to jeszcze trzy miejsca, o których warto wspomnieć: mieszczące się w byłym więzieniu **Centro Português de Fotografia** (Portugalskie Centrum Fotografii), sala koncertowa **Casa da Musica** (Dom Muzyki) i urocze **Museu do Carro Eléctrico** (Muzeum Tramwajów).

• Francesinha z trzech rodzajów mięsa to tutejszy specjał. Zawsze podawany z frytkami

4. **W Matoshinos** w sąsiedztwie Porto – można poleżeć na plaży, uczyć się surfingu (wieje tu, że hej!) czy zwiedzić twierdzę. Polecam spacer deptakiem na południe, aż do latarni morskiej (Farol de Felgueiras) w zamożnej dzielnicy Porto, czyli Foz do Douro. Po drodze miniemy neoklasycystyczną, żółtą pergolę (Pergola do Foz), która teraz błaga o odmalowanie.

5. Absolutnie wyjątkowa **Capela do Senhor da Pedra** (1763 r.) na przedmieściach Vila Nova da Gaia (40 minut pociągiem z Sao Bento, przystanek Miramar). Kaplica przy plaży, na skale, którą oblewa ocean. Zachody słońca tutaj, to bajka. Ta część wybrzeża pokryta jest drewnianymi kładkami, spaceruje się wygodnie wśród wydm (jest też ścieżka rowerowa).

Coś smacznego, coś ładnego

Podczas pobytu poza **porto**, spróbujcie też typowych kanapek. Pierwsza to **cachorrinho** reklamowana jako portugalski hot-dog (zapieczona, długa bułka pokrojona na kawałki, w środku: kiełbasa i ser) – za miejsce jej narodzin uznaje się bar Gazela (1962 r.). Druga to *bifana* (bułka z wieprzowiną w marynacie z wina) – popularna w całym kraju, dobre miejscówki to Lareira i Conga.

Najbardziej typową potrawą w Porto jest *francesinha* (czego tu nie ma! trzy rodzaje mięsa, na wierzchu jajko sadzone zapieczone pod serem, całość oblana sosem pomidorowo-piwnym, do tego zawsze frytki). Podchodziłam do niej jak pies do jeża, ale to cudaczne danie jest naprawdę smaczne. Zjedzcie je poza centrum, w knajpce dla lokalsów (ja polecam Café Cifrão).

Portugalska kuchnia to owoce morza i dorsz na tysiąc sposobów. Trzymajcie się tylko z daleka od Casa Portuguesa do Pastel de Bacalhau, która serwuje krokiety z dorszem. Są niesmaczne to raz, dwa – dodawanie do nich sera to dla Portugalczyków zbrodnia. Warto jedynie odwiedzić małą wystawę, którą mają w piwnicy – są tam ciekawe przykłady regionalnego rękodzieła.

Nie słuchajcie też Instagrama w sprawie *pastel de nata* (ikoniczne słodkie tarty z kremem). – To deser z Lizbony i tam trzeba go jeść. W Porto wśród turystów popularna jest Manteigra, ale to nie są dobre pastel. Jedyne miejsce, gdzie można je kupić u nas to cukiernia Castro, oni trzymają się receptury. – doradziła mi niezawodna pani Paula. W Manteigra możecie tylko podejrzeć proces produkcji.

Jeśli chcecie przywieźć ze sobą coś do jedzenia, pomocą służy zabytkowy **targ Mercado de Bolhao**. Idealną pamiątką czy prezentem będzie też rzemiosło. W Porto jest mnóstwo miejsc z oryginalnymi i ręcznie wykonanymi przedmiotami. Nie warto wchodzić do typowych turystycznych sklepów (głównie okolice Ribeiry), gdzie większość rzeczy pochodzi z Temu.

Spotkanie po latach

Porto to dla mnie wciąż wyjątkowe miasto. Dużo się zmieniło na dobre np. oferta gastronomiczna. Nowych restauracji jest mnóstwo, pojawiły się kawiarnie z kawą speciality (super opcje: Combi i C'alma).

Smutno tylko patrzeć na niszczejące budynki – wiele miejsc, które prezentowały się dumnie, to teraz rudery. Duże koszty remontu i brak wsparcia finansowego od miasta tylko trochę to tłumaczą. Miasto jednocześnie wygląda gorzej i lepiej. Stałym elementem krajobrazu od zawsze były tu dźwigi – teraz jest ich więcej, czyli coś jednak remontują.

A tłumy turystów? Ewidentnie mają swoje ulubione miejsca. Poza nimi jest, jak w każdym innym europejskim mieście.

Według danych Narodowego Instytutu Statystyki (INE), w 2025 r. Porto odwiedziło ok. 3 mln gości (7 mln licząc cały północny region). Przełożyło się to na zyski dla lokalnej gospodarki przekraczające 500 mln euro. Dla skali: miasto zamieszkuje ok. 260 tys. osób.

Czy Portugalczycy mają ich dosyć, jak to się często słyszy?

– Nie. Potrzebujemy turystów. Cieszymy się, że przyjeżdżają. Jedyny problem z tym związany to wysokie ceny mieszkań i restauracji. – komentuje pani Paula. – Ale to przecież nie wina turystów, że nasze pensje od lat stoją w miejscu. ●

eprasa.pl 995cb3273b

ADAM MICHNIK POLECA

NIESFORNI UCZNIOWIE KAROLA MARKSA

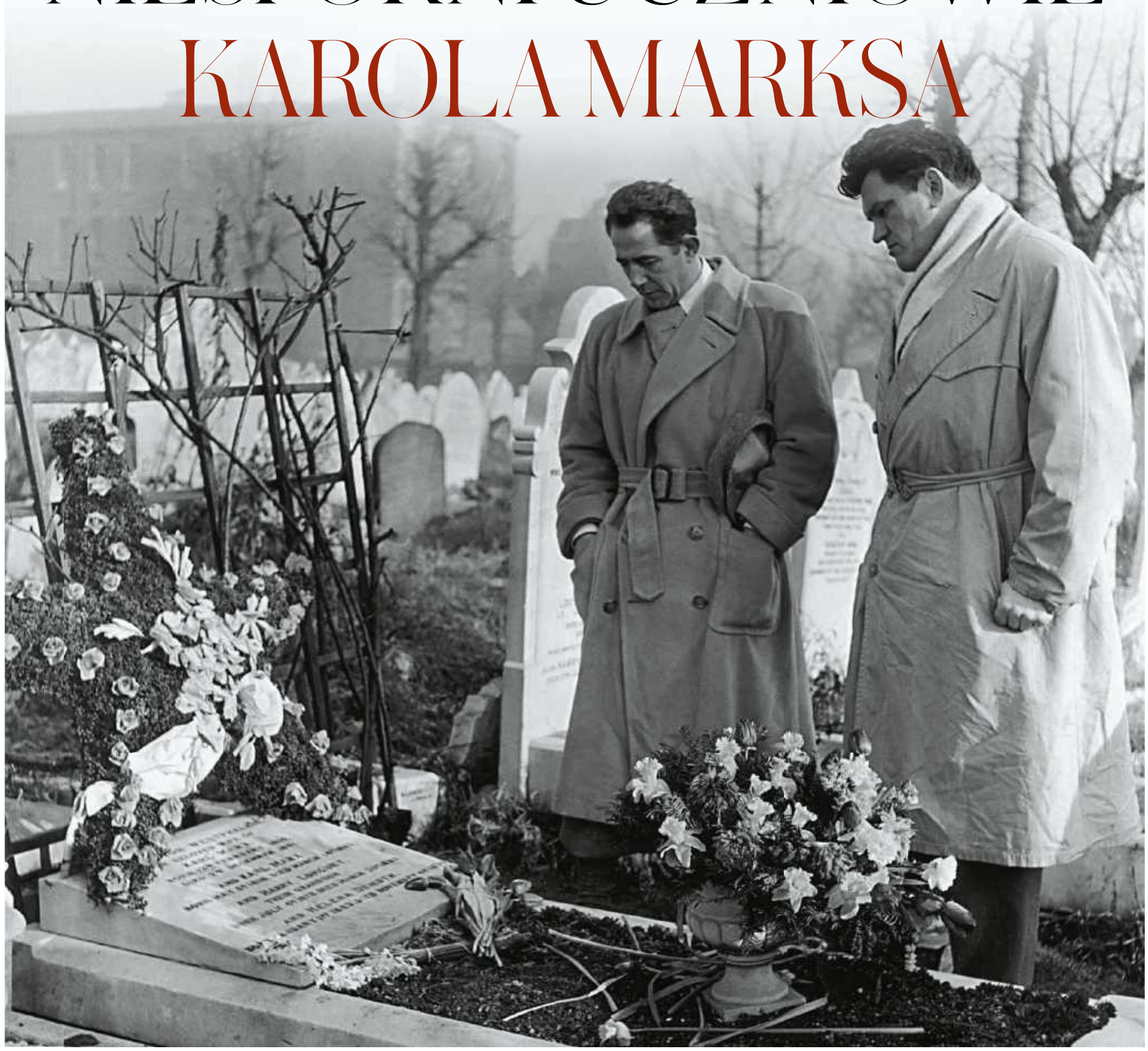

Ludzie z grupy Praxis byli krytyczni wobec systemu komunistycznego. Ale w imię rewolucji, która wcześniej dała mu prawomocność

Z **KATARZYNĄ BIELIŃSKĄ*** ROZMAWIA **SEBASTIAN SŁOWIŃSKI**

We wstępie do swojej książki „Wolność, samorządność, rewolucja. Filozofia »Praxis« w Jugosławii", piszesz, że to temat marginalny, średnio znany, obecny niemal wyłącznie na gruncie języka chorwackiego i serbskiego, których musiałaś się zresztą specjalnie nauczyć. Skąd w ogóle pomysł na taki temat?

–Pomysł na Praxis był trochę spontaniczny. Wcześniej interesowałam się szkołą frankfurcką, myślą krytyczną i lewicową, i zastanawiałam się, czy w naszej części Europy było coś podobnego. Wtedy myśl Leszka Kołakowskiego, wielkiego intelektualisty i historyka marksizmu, nie wydawała mi się specjalnie porywająca, choć oczywiście na przestrzeni lat zmieniłam zdanie.

Wówczas jednak znalazłam jugosłowiańską Praxis, odkrywając w bibliotece Wydziału Filozofii UW książkę Gersona Shera „Praxis: Marxist Criticism and Dissent in Socialist Yugoslavia" z 1977 r. Była jeszcze w księgozbiorze C, nieudostępnianym bez powodu; musiała w nim zostać umieszczona jeszcze w czasach realnego socjalizmu. Działo się to jakieś 20 lat temu.

Potem ówczesny dyrektor biblioteki, zmarły niedawno Janusz Siek, specjalnie dla mnie sprowadził ksero zapisu rozmów filozofów z kręgu Praxis pt. „Sloboda i nasilje". To były moje pierwsze źródła. Musiałam nauczyć się serbskiego i chorwackiego.

Pomysłem podzieliłam się z prof. Markiem Siemkiem, który przyjął go zdecydowanie entuzjastycznie. To kwestia tematu doktoratu. Pomysł z wydaniem książki to jednak zupełnie inna sprawa. Wydawało mi się, że Praxis to świetny i interesujący temat, ale nie w Polsce. No bo kogo obchodzi grupa filozofów marksistów z byłej Jugosławii?

Jugosławia wyzwoliła się sama

Ja pamiętam, że tak w 2017 r. zaczęła się nasza znajomość. Gdy byłem jeszcze lewicującym studentem i przeczytałem twój rozdział o Praxis w książce o filozofiach i ruchach społecznych, od razu poszedłem do twojego wydawcy. Dał mi numer do ciebie, poszliśmy na piwo. Byłem zafascynowany tym tematem, zwłaszcza historią o tym, jak ruch studencki przejął uniwersytet w Belgradzie w 1968 r. i symbolicznie przemianował go na Uniwersytet im. Karola Marksa. Takie to było inne od, jak mi się wtedy wydawało, antykomunistycznej tradycji opozycji w Polsce.

– Właśnie. Też zmieniłam zdanie na ten temat, gdy zaczęłam pracować na filozofii na UW i szerszej zajmować się filozofią peryferyjną. Wtedy zrozumiałam, że nie ma pracy, która pokazywałaby istotne antynomie peryferyjnego marksizmu. W szerszym kontekście i na tle sporów o marksizm wydaje mi się to teraz ważne.

Peryferyjne jak peryferyjne, ale przy Praxis działali przecież wielcy filozofowie jak Herbert Marcuse, Erich Fromm, wspomniany Kołakowski, Zygmunt Bauman. Czytając twoją książkę, miałem wrażenie, że Praxis nie jest jakąś efemerydą, atomem odizolowanym od całej tradycji myśli krytycznej.

– Bo nie była, choć miała swoją specyfikę, zaraz powiem, jaką. Ale wracając do ruchu studenckiego: relacja między filozofami Praxis a tym ruchem była złożona, inaczej było w Belgradzie, gdzie panowała jedność, a filozofowie Praxis brali aktywny udział w protestach, a inaczej w Chorwacji.

Do tego filozofowie z tego kręgu byli o pokolenie starsi od studentów protestujących w 1968 r. W dużej mie-

1 RP

eprasa.pl 995cb3273b

rze wywodzili się z partyzantki, walczącej o wolną Jugosławię w czasie wojny. Trzeba pamiętać o niezwykłym i absolutnie wyjątkowym charakterze Jugosławii, która w wielkiej części wyzwoliła się własnymi siłami. Powojenna Jugosławia miała dużą legitymację społeczną, nie była reżimem narzuconym z zewnątrz.

Zarazem w 1948 r. doszło do zerwania Jugosławii z ZSRR – Komunistyczną Partię Jugosławii wykluczono z Kominformu [Biuro Informacyjne Partii Komunistycznych i Robotniczych]. W tej sytuacji Jugosłowianie pragnęli pokazać, że to oni, a nie ZSRR realizują idee Marksa, a wyrazem tego miała być wprowadzona wkrótce potem samorządność robotnicza. Socjalizm jugosłowiański miał być prawdziwie marksistowskim systemem, w którym faktyczną władzę i sprawczość mają robotnicy, inaczej niż w ZSRR rządzonym przez biurokrację.

To jest kontekst, w którym rodzi się filozofia Praxis. Miała ona być filozofią rewolucji jugosłowiańskiej. Nastąpiło polityczne zerwanie ze stalinizmem, ale potrzebne było jeszcze zerwanie filozoficzne i teoretyczne.

Za moment narodzin filozofii Praxis uważa się tradycyjnie konferencję w Bledzie w 1960 r. poświęconą teorii odbicia [odzwierciedlania realnej rzeczywistości w świadomości człowieka]. Jest to moment, w którym rewolucja jugosłowiańska już zaczęła kostnieć, więc ostrze krytyki Praxis skierowane zostało nie tylko w stronę ZSRR, ale przede wszystkim w rodzimą biurokrację. A ruch studencki wybucha osiem lat później. Filozofowie Praxis byli już wtedy wykładowcami, wywodzili się z rewolucji, a studenci, no, byli studentami. To dwa różne pokolenia.

Zjeżdżali się tam najwybitniejsi

Praxis, jak pokazujesz w książce, to ruch filozoficzny bardzo różnorodny i niesprowadzalny do jednego mianownika. Ale spróbujmy. Chodziło przede wszystkim o marksizm humanistyczny. Gajo Petrović, jeden z twórców ruchu, definiował myśl rewolucyjną jako „bezwzględną krytykę wszystkiego, co istnieje, humanistyczną wizję prawdziwie ludzkiego świata i natchnienie działania rewolucyjnego”.
– W tym wszystkim ważna jest kwestia dialektyki rewolucji i kontrrewolucji. Z jednej strony mamy rewolucjonistów, którzy objęli władzę, ale z drugiej system, który zaczyna kostnieć: rewolucjoniści zmieniają się w kontrrewolucjonistów. Państwo się biurokratyzuje. W tym kontekście Praxis zajmuje pozycje krytyczne wobec systemu, ale w imię rewolucji, która go wcześniej zalegitymizowała.

Praxis to był ruch intelektualny, który rozwijał się dwutorowo. Po pierwsze, w wydawanym przez Chorwackie Towarzystwo Filozoficzne czasopiśmie „Praxis”, po drugie w ramach organizowanej przez tych samych ludzi Letniej Szkoły Korčulańskiej. To był fenomen i coś absolutnie unikalnego na skalę światową!

Raz w roku na malowniczej chorwackiej wyspie Korčula na Adriatyku (tylko pierwsza edycja odbyła się w Dubrovniku) zjeżdżali się najwybitniejsi intelektualiści z całego świata. Przyjeżdżali tam m.in. Lucien Goldmann, Ernst Bloch, Marcuse czy Fromm. Ideą tego projektu było przede wszystkim stworzenie przestrzeni otwartej i swobodnej debaty.

Miało to duży wpływ na to, jak postrzegano jugosłowiański socjalizm na świecie. Henri Lefebvre [francuski filozof i socjolog] pod wrażeniem tego projektu mówił nawet o socjalizmie dionizyjskim. „Praxis” miało też od 1965 r. wydanie międzynarodowe, więc docierało do znacznie szerszego grona odbiorców niż użytkownicy języka serbskochorwackiego. Mówiąc dzisiejszymi kategoriami, była to inicjatywa, która za cel stawiała sobie umiędzynarodowienie dyskusji o humanistycznym socjalizmie.

Czyli marksistowskimi argumentami przeciwko socjalistycznej władzy? Trochę jak w Polsce – myślę tu przede wszystkim o „Liście otwartym do partii” Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego czy o całej tej formacji intelektualnej, która zajmowała się rewizjonizmem, wierząc intelektualnie w czysty socjalizm.
– To interesująca paralela. Tak jak Praxis było myślą jugosłowiańskiej rewolucji, tak polski rewizjonizm był myślą 1956 r., który też miał charakter rewolucyjny.

Natomiast Polskę od Jugosławii odróżnia to, że tam była masowa rewolucja, z której reżim czerpał legitymację, a w Polsce tego nie było. „List otwarty” to jednak dopiero połowa lat 60. I jak pisał Adam Michnik, „ostateczna konsekwencja radykalnych idei polskiego Października”.

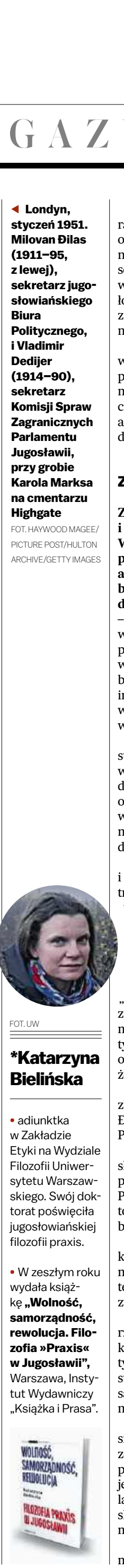

Londyn, styczeń 1951. Milovan Đilas (1911–95, z lewej), sekretarz jugosłowiańskiego Biura Politycznego, i Vladimir Dedijer (1914–90), sekretarz Komisji Spraw Zagranicznych Parlamentu Jugosławii, przy grobie Karola Marksa na cmentarzu Highgate
FOT. HAYWOOD MAGEE/PICTURE POST/HULTON ARCHIVE/GETTY IMAGES

FOT. UW

***Katarzyna Bielińska**

• adiunktka w Zakładzie Etyki na Wydziale Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego. Swój doktorat poświęciła jugosłowiańskiej filozofii praxis.

• W zeszłym roku wydała książkę **„Wolność, samorządność, rewolucja. Filozofia »Praxis« w Jugosławii”**, Warszawa, Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa”.

Idee te były zbieżne z jugosłowiańskimi i znalazły wyraz m.in. w pismach Kołakowskiego z lat 50. Mówisz o intelektualnej wierze w „czysty socjalizm” – ale jednak Kołakowski był bardzo konkretny, gdy w „Czym jest socjalizm?” pisał np., że nie wystarczy zniesienie prywatnej własności środków produkcji, żeby można było mówić o socjalizmie. Albo że nie mamy do czynienia z socjalizmem wtedy, kiedy myli się rewolucję ze zbrojnym najazdem.

To bardzo konkretna krytyka zastanej rzeczywistości, w tej konkretności zbieżna z krytyką formułowaną przez praxisowców. Podobnie zbieżny jest marksistowski humanizm antropologiczny, który reprezentowała istotna część praxisowców. Kołakowski był też gościem Korčuli, a razem z Baumanem należeli do międzynarodowej rady redakcyjnej „Praxis”, utworzonej w 1967 r.

Zerwali ze Stalinem

Zanim zaczęło wychodzić pismo „Praxis” i zanim pojawiła się ta filozofia, był Milovan Đilas. Wcześniej wysoko postawiony w komunistycznej partii polityk, w sumie druga osoba po Ticie, a po 1954 r. dysydent, krytykujący jugosłowiańską biurokrację. Jego „Nowa klasa” była inspiracją dla Kuronia i Modzelewskiego.
– To była kluczowa postać w trakcie rewolucji, potem w najwyższych władzach Socjalistycznej Federacji Republiki Jugosławii. W swoich wspomnieniach przypisywał sobie nawet wymyślenie projektu samorządności robotniczej – pomysłem tym miał się podzielić z dwoma innymi kluczowymi postaciami dla ówczesnej Jugosławii, Edvardem Kardeljem i Borisem Kidriciem, siedząc w samochodzie przed swoją willą.

Đilas był ideowcem i swoją pozycję zaczął wykorzystywać do krytykowania tego, co w projekcie jugosłowiańskiego socjalizmu nie działało tak jak powinno, co doprowadziło do jego upadku w 1954 r. [został odsunięty od stanowisk]. Tymczasem dwa lata wcześniej, w Chorwacji, Rudi Supek, przedwojenny działacz komunistyczny, zakłada pismo „Pogledi” – pierwszą inicjatywę wydawniczą przyszłych filozofów z kręgu Praxis.

W piśmie tym podejmowano wątki relacji jednostki i społeczeństwa, wolności, twórczości czy alienacji. Petrović krytykował filozofię radzieckiej dyktatury proletariatu, oskarżając ją o to, że „z filozofii, która walczy o człowieka, sprawiedliwość i wolność, zamieniła się w filozofię, która próbuje usprawiedliwiać to, co nieludzkie, niesprawiedliwe i niewolnicze, rozniecać nienawiść do innych narodów i do ich wolności”.

W wyniku wystąpienia Đilasa przeciwko władzy „Pogledi” zostało oskarżone o szerzenie „dżilasowszczyzny” – rewizjonizmu, i zostało zamknięte. Na najogólniejszym poziomie chodziło o podobne sprawy, a krytycy partyjni, również później, często oskarżali „Praxis” o „dżilasowszczyznę”, lecz relacja jest tutaj bardziej złożona.

Z jednej strony, dla praxisowców Đilas to wprawdzie zbuntowany, ale jednak polityk. Z drugiej, podczas gdy Đilas już w „Nowej klasie” odrzuca komunizm jako taki, Praxis za cel stawia sobie jego urzeczywistnienie.

Marksizm twórczy ma być filozofią socjalizmu jugosłowiańskiego, ku któremu kierunek wyznaczył m.in. program Związku Komunistów Jugosławii w 1958 r. Praxis chce tą drogą kroczyć, a biurokrację krytykuje za to, że z drogi tej zbacza. Dlatego jego krytyka systemu była prowadzona z wyraźnie różnych pozycji.

O ile dla Đilasa – jak pisze w „Nowej klasie” – biurokracja rodzi się w łonie rewolucji, jako jej niejako logiczne następstwo, o tyle dla Praxis biurokracja jest elementem kontrrewolucyjnym, który należy nieustannie przezwyciężać.

Zerwanie Tity ze Stalinem i wprowadzenie samorządności robotniczej w 1948 r. dla praxisowców było krokiem naprzód na tej drodze, a dla Đilasa jedynie taktycznym ustępstwem biurokracji na rzecz społeczeństwa. Dla praxisowców system jugosłowiański był zasadniczo odmienny od radzieckiego, a dla Đilasa był formą analogiczną.

Wyraźna różnica między tymi stanowiskami zaciera się tylko wówczas, gdy za coś szczególnego uzna się tezę, że biurokracja partyjno-państwowa jest elementem pasożytniczym, który należy zmieść – co do tego, wydaje się, panuje zgoda nie tylko między praxicowcami i Đilasem, ale i całym szeregiem marksistów antystalinowskich, anarchistów i liberałów na całym świecie, a także między tobą i mną.

Rolę biurokracji partyjno-państwowej często się jednak relatywizuje, wskazując na jej rzekomo postępowe funkcje w pewnym momentach, tak jak robili to ideolodzy partyjni i jak to ma miejsce w różnych współczesnych dyskursach rewindykujących dziedzictwo realnego socjalizmu.

Ciekawostka: taka relatywizacja jest także obecna nawet w tak radykalnym tekście jak „List otwarty”, w którym Kuroń i Modzelewski piszą, że tylko biurokracja mogła zrealizować zadanie uprzemysłowienia zacofanego kraju, jakim była Polska. Oczywiście Đilas i praxisowcy spotykają się w latach 80. w ramach ówczesnego ruchu szerokiej opozycji.

Relacje Praxis z Đilasem miały też zwyczajną, bardzo ludzką stronę. Otóż brat Gaja Petrovicia przyjaźnił się z Đilasem i to dzięki tej przyjaźni Petrović miał uniknąć zsyłki na wyspę Goli Otok w 1948 r. [istniał na niej obóz dla więźniów politycznych]. Podobno też pierwszym domem, który Đilas odwiedził po wyjściu z więzienia, był dom Petrovicia.

Pisać o tej grupie – trudna sprawa. To świetny temat, ale nie w Polsce. Bo kogo u nas obchodzi grupa filozofów marksistów z byłej Jugosławii?

Ivan Kuvačić [socjolog związany z Praxis], który pisze o tym w swoich wspomnieniach, stwierdza nawet, że gdyby nie interwencja Đilasa w sprawie Petrovicia w 1948 r., „jest mało prawdopodobne, żeby wkrótce potem pojawiło się pismo »Praxis« i związana z nim Letnia Szkoła Korčulańska”.

Bronili Czechosłowacji

Jeśli chodzi o diagnozowanie jugosłowiańskiej biurokracji, ważny tekst napisał filozof Milan Kangrga.
– Tak, w „Fenomenologii ideologiczno-politycznej natarcia klasy średniej” Kangrga uchwycił to bardzo dobrze, pisząc, że biurokracja partyjna jest de facto klasą średnią, która dąży do rozsadzenia rewolucji jugosłowiańskiej od środka.

Filozof i badacz „Praxis” z Zagrzebia, Luka Bogdanić, nazwał po latach ten tekst profetycznym, bo biurokracja ta stała się w istocie nośnikiem nacjonalizmów, które rozsadziły Jugosławię jako wielonarodowy projekt polityczny.

Zwróć uwagę, że krytycy Praxis ze Związku Komunistów Chorwacji to uczestnicy Maspoku, Wiosny Chorwackiej, ruchu narodowego dążącego do zwiększenia niezależności Chorwacji. Wraz z rozwojem nacjonalizmu chorwackiego jego przedstawiciele zaczęli zarzucać Praxis „antychorwackość” i trzymanie z reżimem...

To bardzo skomplikowane. W polskim kontekście to jest o wiele prostsze: jest partia, są komuniści, umiera Stalin, przychodzi Październik ‘56 i nagle wszyscy się budzą. Jest zła strona i jest dobra strona. A tutaj mamy do czynienia z czymś, co określiłabym jako dialektykę rewolucji i kontrrewolucji, mechanizm, który działa w ramach tej samej całości, tych samych struktur.

Praxis staje się przeciwnikiem, bo zajmuje pozycję rewolucyjną wobec procesów kontrrewolucyjnych o różnym charakterze: czy to stalinowskim, czy nacjonalistycznym. Oni chcą tworzyć filozofię socjalizmu jugosłowiańskiego, który ma urzeczywistnić idee marksowskie, w przeciwieństwie do systemu radzieckiego, który je zaprzepaścił.

Czyli chodziło o „czysty socjalizm”?
– Samorządność i biurokracja to przeciwieństwa. Jugosłowianie wzięli na poważnie ideę obumierania państwa, w duchu „Państwa a rewolucji” Lenina, w związku z czym nie chodziło o krytykę jakichś niedostatków funkcjonowania państwa jugosłowiańskiego, lecz o jego obumarcie jako nieodzowną konsekwencję rozwoju autentycznej samorządności.

Tu warto zwrócić uwagę – za wspomnianym Bogdaniciem – żeby ich krytyki biurokracji nie sprowadzać przypadkiem do sporu pomiędzy stanowiskiem centralistycznym a decentralizacyjnym: biurokracja to biurokracja, nieważne czy na poziomie federacji, czy na poziomie republiki.

Gajo Petrović pojęcie „socjalizm biurokratyczny” uważał za sprzeczne wewnętrznie, tak jak „okrągły kwa-

eprasa.pl 995cb3273b

drat". Realizacja zasady samorządności wymagała pozbycia się w ogóle biurokracji i zorganizowania społeczeństwa „od dołu do góry jako związku samorządnych jednostek", czyli swobodnego zrzeszenia wytwórców.

„Praxis" pojawiło się w połowie lat 60., w okresie reform gospodarczych. Pismo surowo krytykowało skutki rozwoju mechanizmów rynkowych jako rodzących kolejne – inne od biurokratycznej – formy alienacji. Ponadto podejmowano także kwestie łamania praw pracowniczych czy rosnących nierówności, czyli sprawy, które podejmie ruch studencki w 1968 r.

Rok 1968 to także inwazja wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację, na co wyraźnie zareagowało środowisko skupione wokół „Praxis".

– Do inwazji na Czechosłowację doszło akurat podczas Letniej Szkoły Korčulańskiej. Natychmiast przygotowano protest potępiający agresję i wyrażający solidarność z Czechami i Słowakami – listę podpisów otwierają Bloch i Marcuse. Wysłano telegram do Tity, prosząc go, aby zrobił „wszystko, co tylko można, dla interesów socjalistycznej Czechosłowacji i jej niepodległości". Na łamach „Praxis" członek ruchu Danko Grlić określił tę inwazję jako atak „biurokratycznej kontrrewolucji, która od lat króluje w krajach tzw. bloku wschodniego", na „prawdziwą, permanentną, humanistyczną rewolucję". Mocniej chyba nie można.

„Praxis" tak czyta wszystkie ruchy na całym świecie: autentyczna rewolucja przeciwko dogmatyzmowi. Dlatego Mao nie, ale „Che" Guevara już tak.

W duchu młodego Marksa

Czym w ogóle była filozofia Praxis?

– To był nurt, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, zaangażowany. Środowisko Praxis dążyło do tego, żeby skostniały dogmatyzm marksizmu stalinowskiego zastąpić żywą filozofią, „marksizmem twórczym". Ten twórczy marksizm miał być autentycznie filozoficzny i krytyczny wobec tego, co dane, nie wyłączając rzeczywistości jugosłowiańskiej.

Pojęciem, któremu poświęcano najwięcej uwagi, była praktyka, rozmaicie interpretowana, ale ogólnie rzecz biorąc, rozumiana jako istota człowieka, w duchu pism młodego Marksa, przy czym nie przeciwstawiano go staremu.

Istotną rolę odgrywała teoria alienacji. Odnoszono ją do konkretnej rzeczywistości społeczno-politycznej: biurokratyzacja, której należało się przeciwstawić, była formą alienacji. Tak więc filozofię Praxis zalicza się do szerokiego nurtu humanizmu marksistowskiego.

Stawiam natomiast tezę, że filozofia ta rozwijała się równolegle na gruncie dwóch paradygmatów, wyróżnionych przez prof. Siemka. Chodzi o paradygmat epistemiczny i epistemologiczny.

Najprościej rzecz ujmując, ten pierwszy odwołuje się do klasycznego, przedkrytycznego humanizmu, ujmującego człowieka jako podmiot przeciwstawiony światu przedmiotowemu. Prof. Siemek mówił o tym jako o „marksizmie popularnym", niedialektycznym. A właściwe marksizmowi pole teoretyczne to właśnie paradygmat epistemologiczny, dialektyczny, przezwyciężający opozycję podmiot-przedmiot.

Wielu autorów spod znaku „Praxis" powpadało w pułapki takiego antropologizmu, sprowadzając marksizm do takiego przedkrytycznego i popularnego odczytania Marksa. Można też inaczej to nazwać humanizmem burżuazyjnym i humanizmem rewolucyjnym. Moim zdaniem jedynym filozofem pola epistemologicznego był właśnie wspomniany Kangrga.

Czyli humanizm burżuazyjny byłby taką bezpieczną pop-filozofią?

– Nie tyle pop, ile popularną – ta nazwa nawiązuje do XVIII-wiecznych filozofów popularnych – ale trochę tak. Byłby czymś, co w ostatecznym rozrachunku afirmuje status quo, w obrębie którego próbuje urzeczywistnić odziedziczone wartości.

W ramiona nacjonalizmu

Tak tłumaczysz zwrot niektórych filozofów Praxis w stronę nacjonalizmu? Bo to też jest niezwykłe, że np. Mihailo Marković, czołowy filozof tego ruchu, dołączył później do partii Slobodana Miloševicia i współtworzył serbski nacjonalizm.

– Tak, jedni zwrócili się w stronę abstrakcyjnie pojętej jednostki, drudzy, jak Marković, w stronę narodu, w którym zobaczył podmiot polityczny. To, moim zdaniem, wynika właśnie z tego, że ci praxisowcy, których takie zwroty dotyczyły, wpisali kategorie marksowskie w to przedmarksowskie pole teoretyczne i dlatego w momencie załamania się status quo zaczęli wymieniać te kategorie na inne, takie jak jednostka czy naród.

Jeżeli chodzi o autorów związanych z „Praxis" omawianych w mojej książce, to zwrot nacjonalistyczny dotyczył obok Markovicia także Svetozara Stojanovicia i Ljubomira Tadicia. Natomiast ich ścieżki polityczne były rozbieżne. Marković związał się z Miloševiciem – był nawet świadkiem jego obrony w procesie w Hadze – zostając „narodowym komunistą" – ale do śmierci uważał się za marksistę.

Tadić i Stojanović związali się z opozycją antykomunistyczną, co jednak nie oznacza, że byli mniej nacjonalistyczni; Tadić np. aktywnie wspierał Serbów bośniackich. W obrębie serbskiej opozycji demokratycznej w latach 80. były żywe i narastały postawy nacjonalistyczne, a bardzo istotną rolę odgrywał Dobrica Ćosić, nazywany „ojcem narodu".

Tej atmosferze, np. podpisując petycję o nacjonalistycznych treściach, ulegały także osoby, które później zostaną aktywnymi działaczami antynacjonalistycznymi. W Chorwacji było inaczej, praxisowcy trzymali się z dala od nacjonalizmu chorwackiego. Natomiast relacje pomiędzy Belgradem i Zagrzebiem ochłodły dość wcześnie z powodu zupełnie pozapolitycznego.

W 1981 r. Marković wspólnie z filozofem Richardem Bernsteinem założył w Oxfordzie pismo „Praxis International". Zagrzebianie odcięli się od tego przedsięwzięcia, uznając, że belgradczycy ukradli im pismo. Późniejsze wydarzenia historyczne jeszcze ten rozdźwięk pogłębiły – np. Milan Kangrga o dawnych kolegach z Belgradu pisał, że nie można ich nazywać praxisowcami. Warto przy tym podkreślić, że środowisko Praxis nigdy nie tworzyło grupy w ścisłym sensie, choć często określa się je tym terminem.

Czyli teoria była za słaba, skoro w jej ramach mogły wykształcić się postawy nacjonalistyczne?

– Nie, była niedialektyczna, wychodziła od kategorii podmiotu jako czegoś co jest sprawcze, tworzy historię, ale jednocześnie ją poprzedza.

Zastanawiasz się, czemu filozofowie Praxis zmienili poglądy. Wydaje mi się, że dobrym przykładem jest Kangrga, który pozostał wierny marksizmowi i jako jedyny wypracował teorię w oparciu o paradygmat epistemologiczny. Dla niego to relacja, praktyczna i rewolucyjna, powołuje do życia jednocześnie człowieka i jego świat, w nierozdzielnym i dynamicznym związku dialektycznym. I jako taki marksista był do końca wielkim krytykiem chorwackiego nacjonalizmu.

Kołakowski, 1956: – Nie mamy do czynienia z socjalizmem wtedy, kiedy myli się rewolucję ze zbrojnym najazdem

Przykład Jugosławii i filozofii Praxis pokazuje, że nie można robić marksizmu na gruncie paradygmatu epistemicznego, bo to się po prostu rozsypuje. Oznacza to wpisywanie kategorii marksowskich w ramy myślenia przedkrytycznego i ich całkowite rozbrojenie.

Tito mówi: winni!

Ruch Praxis w pewnym sensie zakończył się wraz z jugosłowiańskim rokiem 1968, gdy studenci w Belgradzie przez tydzień protestowali na Uniwersytecie. Teoretycznie to idealny moment dla filozofii, która chce pracować w działaniu i za główną kategorię obiera „praktykę".

– Wtedy się jeszcze nie zakończył – pismo i szkoła działały do 1974 r. Natomiast faktycznie, ich wygaszenie było związane z represjami, które nastąpiły po 1968 r.

Przede wszystkim trzeba powiedzieć, że ten studencki moment skończył się, gdy głos zabrał Tito, przyznając protestującym studentom rację i nazywając ich w 90 proc. „porządną młodzieżą". Większość studentów i studentek była zachwycona, skończyli protesty i poszli do domów. Niektórzy jednak obawiali się, co czeka pozostałe 10 proc.

Wkrótce potem Tito wskazał winnych: to praxisowcy psują młodzież. W Belgradzie osiem osób związanych z „Praxis" odsunięto od pracy akademickiej; w związku z oporem środowiska uniwersyteckiego zrobiła to serbska skupsztyna [parlament] na początku 1974 r.

W Chorwacji zadziałano inaczej, ale i tak doprowadzono do tego, że „Praxis" przestała się ukazywać, a na Korčuli skończyła się Szkoła Letnia, bo podobno źle wpływała na lokalną turystykę; pismo przestano drukować z powodów finansowych. Dlatego w odniesieniu do likwidacji tych instytucji mówi się o wygaszeniu.

Kiedy patrzysz na lewicę dzisiaj, masz wrażenie, że popełnia ona te same błędy?

– To wciąż jest myślenie w kategoriach epistemicznych, czyli przedkrytycznych. Lewica dziś szuka jakiegoś podmiotu zbiorowego, który pasowałby do jej teorii. Ma te same problemy z dialektycznością, z którą mierzyła się Praxis. To myślenie w kategoriach zastanych wartości i zastanych podmiotów, w ten sposób nie powstanie żadna adekwatna filozofia polityczna, która byłaby w stanie wyjść poza obecne konflikty i polaryzacje, i wskazać jakiś naprawdę nowy horyzont.

A jak byś widziała myślenie krytyczne, które wychodzi poza te zastane kategorie i poza to, co nazywasz polem epistemicznym?

– Dziś lewica próbuje zajmować się produkcją ideologii, czyli myśleniem i implementowaniem idei. To ruch z zewnątrz, stanowisko par excellence inteligenckie, w złym sensie tego słowa, w którym myśl pozostaje oddzielona od działania. A chodzi o proces, w którym taka myśl mogłaby powstać, nie na zewnątrz, ale wewnątrz.

Nie chodzi o wymyślanie idei i narzucanie ich społeczeństwu, ale o to, aby te idee rodziły się w aktywnym procesie, w którym podmiot sam się wytwarza poprzez praktykę. Taki proces byłby procesem rewolucyjnym, który sam wytwarza swoją myśl, ale którą w razie potrzeby nieustannie przezwycięża, nie pozwalając jej się oddzielić od działania, wyalienować i zastygnąć w jakiś zestaw ideologicznych dogmatów. Tego lewicy wciąż brakuje. ●

1 RP

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Stefan Pastuszewski*

Patrząca na chmury

dzisiaj już nikt nie patrzy na chmury
musi w ekran
kwadratowy i podłużny
podobno nie ma jeszcze okrągłego
ale na pewno będzie
co ma być to będzie
a ona jednak patrzyła
i mówiła, że piękne
cicho stojąc
– prawda, że piękne, psze pani – powiedziałem
– prawda – wyszeptała milczeniem nadzieja
że wojna się skończy
w Ukrainie i w Iranie
wszystko się kończy
nie będzie tak jak ma być
wystarczy przecież jeden sprawiedliwy
więcej – sprawiedliwa
jak Marianna i Polonia
no i jak Matka Boska

***Stefan Pastuszewski** – ur. w 1949 r. Pisarz, poeta, dziennikarz i samorządowiec, w latach 1991-93 poseł na Sejm.

FOT. ŁUKASZ ANTCZAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Agata Żelazowska, Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYN WYBORCZEJ: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl

WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o.,
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZESKA ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl;
22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

eprasa.pl 995cb3273b

ALE HISTORIA

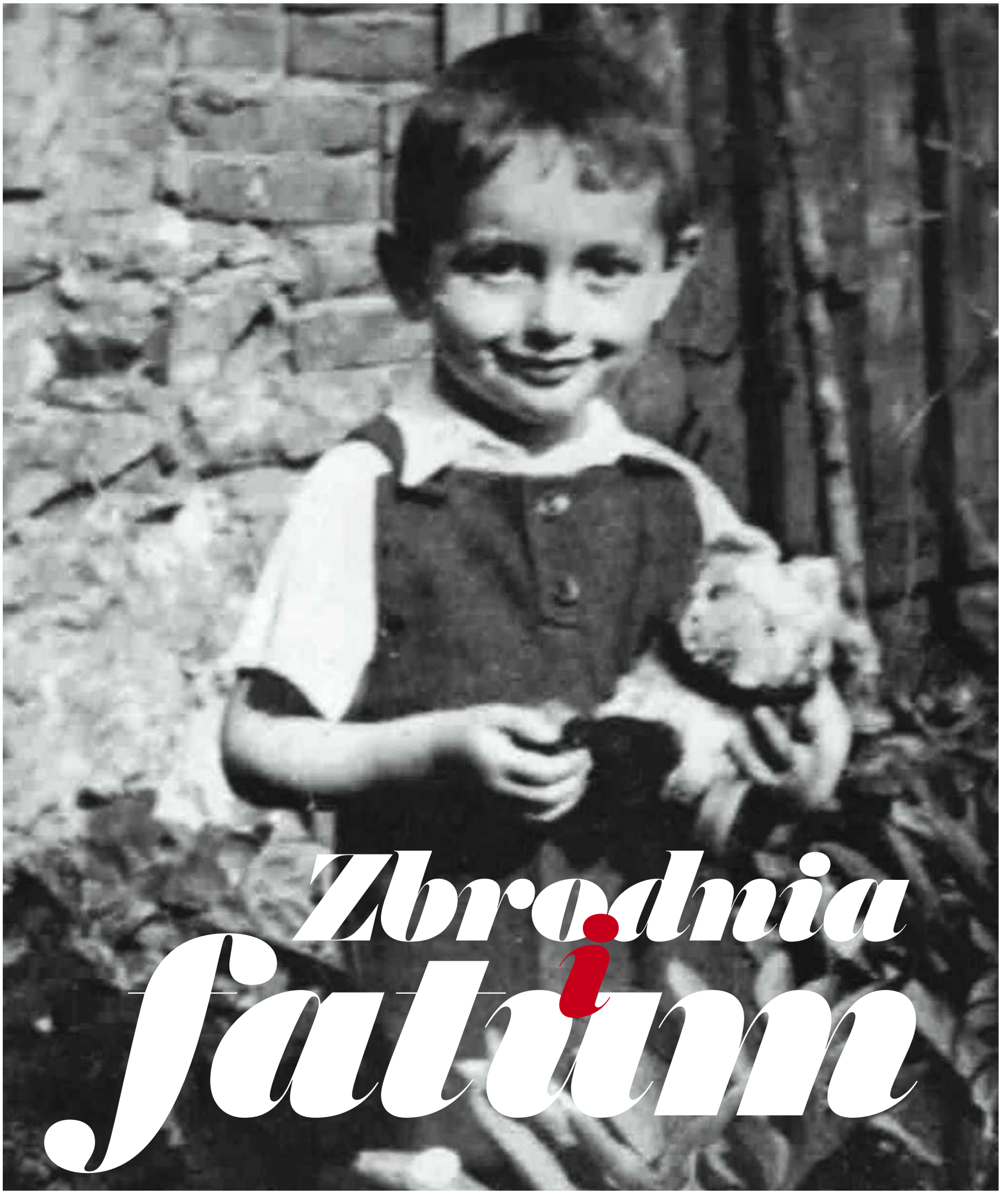

Zbrodnia i fałsz

• Jedno z dwóch zachowanych zdjęć Mońka, którego rodzice przekazali na przechowanie Stanisławie z Częstochowy. Prawdopodobnie to ona zrobiła fotografie uśmiechniętego chłopca, które przekazała rodzicom, na dowód, że ich dziecko ma się dobrze

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Nie uważam, iż potomkowie sprawców mordów na Żydach ponoszą jakąkolwiek odpowiedzialność, ale uznałem, że mam prawo pytać ich o pamięć, tak samo jak pytam o nią rodziny ofiar.

Z **PAWŁEM PIOTREM RESZKĄ**
ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

eprasa.pl 995cb3273b

DOROTA WODECKA: Zbiór reportaży „W tym domu już nie straszy" jest opowieścią o fatum. Dociekasz, czy za popełnione zbrodnie na Żydach ich oprawców dosięgła kara zgodna z biblijnym przekazem, że za winy ojców Bóg karze ich synów do trzeciego i czwartego pokolenia.
PAWEŁ PIOTR RESZKA: Początkowo fatum było dla mnie pretekstem do opowiedzenia historii, które uznałem, że powinny zostać opowiedziane. Punktem wyjścia. Z czasem stało się tematem. Chciałem opowiedzieć nie tylko o tym, co się wydarzyło, ale przede wszystkim dowiedzieć się, czy i w jakich sposób o dramatycznych wydarzeniach i zbrodniach, które były współudziałem lub udziałem Polaków, mówi się dziś w rodzinach ofiar i sprawców. Czy i jaki przekaz otrzymały ich dzieci i wnuki, jaki wpływ na ich życie miały lub mają wydarzenia z czasu wojny i jak je dziś oceniają.

Dlaczego uznałeś, że to jest ważne?
– W naszym polskim stosunku do dramatycznych zdarzeń, które miały miejsce w czasie okupacji, uderza mnie ambiwalencja ocen. Z poziomu faktów wiemy, co jest dobre, a co złe, a jednak z jakichś powodów nie potrafimy tego przyznać. Mówię o tym z pozycji reportera, autora tekstów, ale też czytelnika. Czasem prawda stoi na głowie.

To znaczy?
– Zawsze znajdzie się ktoś, kto powie, że owszem, to straszne, że Polacy zamordowali rodzinę żydowską, aby zaraz dodać, że przecież po wojnie Żydzi mieli swój udział w UB. Zawsze jest jakieś „ale", które często nie ma nic do rzeczy do przywoływanych zbrodni. Kiedy opublikowałem na Facebooku post zapowiadający moją książkę, ktoś zapytał, czy będą w niej również pozytywne historie, o Żydach ocalonych przez Polaków.

Zastanawiałeś się, o czym powinna być „pozytywna historia o Polakach i Żydach w czasie II wojny światowej"?
– W każdej z historii, które opisuję, są Polacy, którzy pomagali Żydom, i ci, którzy zachowywali się przeciwnie. Te dwie postawy się nie równoważą, nie to chcę powiedzieć, ale są obecne. Opowiadam o losach rodziny żydowskich krawców, którzy próbowali przetrwać Zagładę w Krężnicy Jarej. W tej samej wsi żyje człowiek, który zaprasza do siebie trzech mężczyzn, ojca i jego dwóch synów, i morduje ich siekierą dla rzeczy, które jeszcze im zostały...

...dla płaszcza z futrzanym kołnierzem...
– Między innymi. I żyje też kobieta, która ukrywa u siebie jego żonę i córkę. Ratuje im życie. Czy to jest negatywna, czy pozytywna historia o Polakach?

Zaskoczyło mnie w niej poczucie sprawstwa Szpryncy i Róży, owdowiałej żony i osieroconej córki.
– Prowadzą własne śledztwo, a jest początek 1943 roku. Wieczorami wychodzą z chaty, w której ukrywa je znajoma gospodyni, rozmawiają z ludźmi, których znają. Przyjmowały od nich zlecenia na szycie i naprawianie ubrań i z tego powodu wieś uważa tę rodzinę za swoją. „Nasi krawcy", tak o niej mówią. Kiedy kobiety ustalają, kto i dlaczego zabił Moszka, Dawida i Natana, piszą do mieszkańców wsi listy z opisem zbrodni i nazwiskami morderców. I znów nocami pokonują kilka kilometrów, by wrzucić je do skrzynki pocztowej.

Są bez znaczków, ale i tak dochodzą.
– Listy są anonimowe. Jeden z nich wysyłają do księdza.

A ksiądz mówi na kazaniu, że „Polacy nie powinni mieć na rękach krwi żydowskiej". Żona mordercy wychodzi wtedy z kościoła, bo nie wytrzymuje ludzkich spojrzeń.
– To jest relacja, jaką złożyła już po wojnie, w Paryżu, Szprynca, żona Moszka i matka Dawida i Natana. Prawdopodobnie powiedział jej o tym któryś z mieszkańców Krężnicy Jarej. Nie udało mi się tego potwierdzić.

Nieustępliwość, odwaga, a na owe czasy nawet brawura Szpryncy i Róży wynikają prawdopodobnie właśnie z ich przekonania, że są częścią wiejskiej wspólnoty.
– Na pewno czuły życzliwość części mieszkańców. „Panie krawcowe" doczekały w tej wsi końca okupacji. Mieszkały u Mańczyny, w małym domku na końcu wsi. Umówiły się z gospodynią na konkretne wynagrodzenie za kryjówkę, co była główną motywacją, by je przyjąć, ale kiedy nie miały już nic, czym mogłyby jej zapłacić, nadal je ukrywała. Współczuła im. Czasem nocowały też u innych ludzi w okolicy, którzy dawali im pracę. Ta historia wydała mi się wyjątkowa.

• **Drugie zdjęcie Mońka, na którym jest bardzo smutny. Wiosną 1943 roku Stanisława pozbyła się chłopca, ale nadal brała od jego rodziców pieniądze za jego przechowywanie**
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Morderców spotkał wiejski ostracyzm. Czy taka reakcja wspólnoty była wyjątkowa?
– W porównaniu do innych wydarzeń, o których piszę, tak. We wsi w niedalekim sąsiedztwie pewien chłop próbował zamordować Samuela i jego brata, którzy przyszli do niego po pomoc. Antoni przyjął ich, a gdy się myli, zaatakował ich siekierą. Jednego zabił, drugiego okaleczył, za co został po wojnie skazany. Po wyjściu z więzienia wrócił do swojej wsi. Jego wnuk i sąsiedzi opowiadali mi, że żył jak dawniej. Nadal wymurowywał ludziom piece, miał z nimi dobre relacje, nikt go nie niepokoił. Odwrotnie niż w przypadku rodziny odpowiedzialnej za zabójstwo krawców. Od niej, co też wiem od ich sąsiadów, trzymano się na dystans.

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Paweł Piotr Reszka (ur.1977)

• dziennikarz i reporter. Laureat Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego za książkę pt. „Diabeł i tabliczka czekolady". Jego druga książka, pt. „Płuczki. Poszukiwacze żydowskiego złota" znalazły się w finale Nagrody Literackiej „Nike" i Literackiej Nagrody Europy Środkowej „Angelus".

Właściwie dlaczego?
– Krawcy „krawcowali" ludziom we wsi, byli „swoi". Samuel i jego brat znali się z Antonim tylko przelotnie sprzed wojny. Wieś kojarzyła ich dziadka, który kupował od chłopów jajka i warzywa, a potem sprzedawał na targu. „Swoi" więc nie byli.

Czym kierowałeś się, szukając bohaterów reportaży?
– Spędziłem w IPN długie godziny, czytałem akta. Wytypowałem kilkanaście spraw. Ostatecznie wybrałem te, które dawały mi szansę na odnalezienie rodzin sprawców i ofiar. Gdy zacząłem jeździć po Polsce, okazało się, że w niemal każdej historii w mniejszym lub większym stopniu obecne jest fatum czy klątwa. Intuicja lub przekonanie otoczenia, również rodzin sprawców, że za krzywdę wyrządzoną w czasie wojny ponoszą konsekwencje potomkowie. Bo skoro można odziedziczyć majątek, można też odziedziczyć czyjąś winę i cudze cierpienie. Nie jest tak, że „to wszystko ginie w niepamięci", jak powiedział mi jeden z rozmówców, „nie ma tak, że ta cała zbrodnia się przedawnia". Nie uważam, iż potomkowie sprawców ponoszą jakąkolwiek odpowiedzialność, uznałem jednak, że mam prawo próbować pytać ich o pamięć, tak samo jak pytam o nią rodziny ofiar.

Już w „Płuczkach" dostrzegam przebłyski twoich dociekań dotyczących wyrzutów sumienia, kary albo fatum. Ci, którzy w Bełżcu chodzili przesiewać spalone żydowskie szczątki w poszukiwaniu złotych zębów, monet i biżuterii, mówili: „na krwi przelanej się nie zbudujesz".
– „Żydzi Pana Jezusa co zabili, to zabili, ale na krwi przelanej się nie zbudujesz" – tak powiedziała mi mieszkanka Bełżca. Pieniądze zarobione na sprzedaży złota z terenu byłego obozu zagłady ludzie nazywali „niedorobnymi", co znaczy, że nie dało się na nich dorobić. Kupiło się za nie świnię, to zaraz zdechła. Nie przeszkadzało to jednak wielu chodzić na teren byłego obozu, kopać głębokie doły i przesiewać „żużel", czyli spalone ludzkie szczątki.

We wsi w okolicy Sobiboru, gdzie też przez lata kopano, rozmawiałem z kobietą, która uważała, że śmierć jej syna wiele lat po wojnie miała głębszy sens. W ten sposób Bóg karał wieś za profanację ludzkich szczątków w obozie. Tamten chłopak utopił się na rybach. Nie miał nic wspólnego z kopaniem, podobnie jak jego rodzice, ale wieś, jako zbiorowość, już tak. A za zło trzeba zapłacić, prędzej czy później, ale zawsze.

Niektóre relacje wydają się przynależeć bardziej do ludowej teodycei niż do literatury non fiction. Opowieść albo przypowieść o piorunie, który w pogodny dzień uderza w stodołę, gdzie zostali zamordowani krawcy, wydaje się nieprawdopodobna.
– Słyszałem kilka podobnych historii. Opisywałem kiedyś w „Dużym Formacie" sprawę Józefa Kopfa, który jako jeden z nielicznych uciekł z obozu zagłady w Sobiborze. Ukrywał się, a gdy już nie było Niemców, wrócił w swoje rodzinne strony. Zostawił u ludzi dwie maszyny do szycia i kiedy próbował je odebrać, ktoś strzelił mu w głowę, a jego ciało zakopał na polu. Jedna z moich rozmówczyń opowiadała, że z tą sprawą może mieć coś wspólnego jego sąsiad, bo już trzeci raz wiatr zwalił mu dach, a to na stodole, a to na domu, Bóg widocznie za coś go karał. Albo inna relacja, ale z okolic Bełżca – kobieta zameldowała sołtysowi o Żydzie, który przyszedł do niej po pomoc, a sołtys powiadomił Niemców. We wsi, opowiadał mi jeden z mężczyzn, nikogo już z rodziny tej kobiety nie ma, cała wymarła, boża sprawiedliwość. Dostrzegam w tych opowieściach paradoks.

Jaki?
– Powstało sporo publikacji o postawach Polaków wobec Żydów, przygotowanych przez znakomitych historyków i historyczki ukazujących horror okupacji. Wiejskie straże, które tropią ukrywających się Żydów, sołtysów, którzy dostarczają schwytanych na posterunki niemieckie, skazując ich na pewną śmierć, i ludzi, którzy mordują z chęci zysku. W jednym z reportaży pewna kobieta zeznała po wojnie, że w trakcie okupacji powiadomiła żandarmerię niemiecką, iż jej mąż i syn zabili Żyda, bo „Żyda wolno było zabić, a nie wolno było przetrzymywać". Zupełnie jakby to wszystko było neutralne moralnie. Tymczasem, gdy dziś rozmawia się z rodzinami sprawców i ich otoczeniem, okazuje się, że jednak spotkała ich kara, bo tak interpretowane są nieszczęścia, które dotknęły te rodziny. W chorobach,

eprasa.pl 995cb3273b

śmierciach dostrzega się boską interwencję. Więc jednak wiadomo, co jest dobre, a co złe.

Opisujesz absurdy śledztwa, potem proces, który trwał jeden dzień i zakończył się uniewinnieniem mordercy krawców. Skoro nie dosięgła ich sprawiedliwość świecka, to może ludzie uznali, że karę wymierzył Bóg?
– Zawsze wymierza, takie są oczekiwania wspólnoty i sprawiedliwość świecka nie ma tu nic do rzeczy. Ostracyzm społeczności jest sprawą pamięci wspólnoty i dotyczy tylko oprawców. Bóg natomiast miał karać kolejne pokolenia przez niepowodzenia, nieszczęścia, rozwody, choroby czy śmierć w wypadku.

Ukarał rodzinę Antoniego, który okaleczył Samuela i zamordował jego brata, co wiem dzięki otwartości wnuka i jego żony, którzy zgodzili się ze mną rozmawiać. Antoni został zatrzymany, osądzony i skazany na karę śmierci. W celi śmierci czekał na egzekucję. Proces jednak rozpoczął się od nowa i sąd skazał go prawomocnie na 15 lat więzienia. Gdy z niego wyszedł, był już innym człowiekiem, z którym życie było bardzo trudne. Jego córka nosiła w sobie zmarnowane dzieciństwo, traumę, którą przeżyła po uwięzieniu ojca, i to, co działo się potem. Była chłodna, miała problem z okazywaniem uczuć. Za wszelką cenę chciała wyrwać się z domu rodzinnego, bardzo młodo wyszła za mąż za człowieka, który pił i bił. Jej syn, wnuk Antoniego, również poniósł konsekwencje czynu dziadka i wyborów matki. Dotknęła ich kara boża albo po prostu konsekwencje tego, co zrobił ich ojciec i dziadek.

Czytając twoje reportaże, nie potrafię rozstrzygnąć dylematu, czy o zbrodniach Polaków na Żydach należy pisać tak szczegółowo.
– Co masz na myśli?

Niekiedy miałam wrażenie, że wchodzę w pornografię cierpienia. Odrzuca mnie. Ale przekonuję wtedy siebie, że tak trzeba pisać, byśmy wiedzieli, do czego jesteśmy zdolni.
– Staram się precyzyjnie dobierać słowa, nie pisać wszystkiego, nie epatować drastycznością, nie pokazywać makabrycznych szczegółów tylko dla nich samych. Opisuję ludzkie dramaty, ale przede wszystkim konsekwencje tego, co wydarzyło się w czasie wojny, zarówno dla rodzin ofiar, jak i sprawców. Chcę, by te historie zostały w głowach czytelników.

Nie zapomnę nieprzytomnego chłopczyka znalezionego w lesie, w którego oczach zalęgły się larwy much.
– I dobrze. Powinniśmy o nim pamiętać. Za zostawienie żydowskiego chłopca w lesie została po wojnie skazana Stanisława, tkaczka z Częstochowy. Zgodziła się ukryć u siebie trzyletnie dziecko, dogadała się co do ceny z jego rodzicami. Kiedy się go pozbyła, wciąż brała od nich pieniądze, zapewniając, że chłopiec ma się dobrze. Nieprzytomne dziecko znaleźli w lesie chłopi. Na polecenie sołtysa zostało zawiezione do remizy, gdzie miejscowe kobiety je umyły i próbowały napoić. Sołtys wyznaczył dwóch ludzi, którzy mieli pilnować nieprzytomnego chłopca przez noc. Na drugi dzień chłopiec został odwieziony na posterunek, a stamtąd w asyście granatowego policjanta i żandarma niemieckiego na cmentarz żydowski, gdzie Niemiec go zastrzelił.

Larwy w oczach dziecka to tylko jedno zdanie opisu. Piszę znacznie więcej o cierpieniach rodziców dziecka, które trwało dekady. Rozmawiam z jego bratem i siostrą, którzy mieszkają dziś w Kanadzie, o ich dzieciństwie, w którym zabity w Polsce Moniek był mocno obecny, we łzach matki, frustracji i gniewie ojca. Opowiadali o ich żalu, poczuciu straty oraz zdrady ze strony polskiej przyjaciółki, której powierzyli syna.

Porażająca jest w Zagładzie jej codzienność i zwyczajność. Odebranie drugiemu człowiekowi życia sprowadzone do czynności niemal oczywistej, niewywołującej w otoczeniu nagłej reakcji. Na cmentarzu żandarm niemiecki strzelił dziecku w głowę, a potem wszyscy wrócili do swojego życia, jak gdyby nic się nie stało.

A ty zostajesz z pytaniem: „jak to możliwe”, tak?
– Myślę, że wszyscy zostajemy z tym pytaniem. Nie jesteśmy w stanie tego pojąć ani zrozumieć. Trudno też dobrać słowa, by to opisać. Szczegóły pomagają przebić się do czytelnika z tym, co próbuję powiedzieć, a na co czasami brakuje słów.

Chłopczyk, o którym mówisz, nie jest tym, za którego go bierzemy, czytając twój reportaż. I tak po prawdzie nigdy nie ustalisz, kim był. Męczy cię to?
– Mogłem jedynie opowiedzieć o swoich ustaleniach, chociażby w ten sposób próbować zapisać go w pamięci. Zresztą jest to jeden z powodów, dla których te reportaże powstały.

Chciałem zająć się historią, która wydarzyła się w miasteczku na północ od Warszawy. Niemiecki urzędnik wybiegł z poczty, zauważył dwóch Polaków, którzy układali kamienie na drodze, i kazał im pójść ze sobą do budynku szkoły, gdzie, jak słyszał, ukrywa się żydowska młoda dziewczyna. Jeden z Polaków znalazł ją w sali na parterze i wyrzucił przez okno. Upadła pod krzakiem bzu. A potem uderzył ją łopatą w głowę. Mężczyźni zaciągnęli dziewczynę na cmentarz, gdzie Niemiec ją zastrzelił. Nie poznałem jej imienia i nazwiska, więc nie byłem w stanie dotrzeć do jej rodziny. Być może znajdę formę, żeby jeszcze o niej opowiedzieć.

W „Jest taki piękny słoneczny dzień” Barbara Engelking przywołała losy Żydów szukających ratunku na polskiej wsi w latach 1942-1945. Ty jako reporter możesz wyjść poza opis zdarzenia. Sądzisz, że to przydaje twoim relacjom mocy? Że dokument niezestawiony z osobistym doświadczeniem nie zdziała tyle co reportaż?
– Trudno przesądzać. Ja jestem reporterem, pracuję inaczej niż historycy Zagłady, którzy przede wszystkim opierają się na źródłach, zajmują się ich analizą i syntezą. Ja opowiadam historie, a rozmowa z drugim człowiekiem jest podstawą mojej pracy. Nie ma już dziś wielu świadków Zagłady, są ich potomkowie, mogę więc ich spytać o wpływ tamtych wydarzeń na ich życie.

Umieszczasz w książce zdjęcia ofiar, czym tym bardziej przywracasz ich pamięci. Czy przeglądając archiwalia, patrzyłeś na zdjęcia morderców, by znaleźć w nich jakiś szczegół, który zdradza ukrytą w nich potworność? Tę, o której pisze w swoim pamiętniku Pola.
– W aktach znalazłem tylko zdjęcie Antoniego, który okaleczył Samuela i zabił jego brata. Wiedziałem, że patrzę na mordercę, ale wyglądał zupełnie zwyczajnie, nie dostrzegłem w nim żadnego „stygmatu zła”. Twarz jak twarz. Zresztą z opowieści jego wnuka wiem, że był wspaniałym dziadkiem, cierpliwym, wyrozumiałym, który uczył pracy w drewnie, do którego jeździło się z przyjemnością. Stanisława z Częstochowy też zapisała się w pamięci wnuka jak kochana babcia, pracowała w kiosku, gdzie odkładała wnukowi i jego bratu „Małego modelarza”.

Znów wracamy do Stanisławy z Częstochowy, która wzięła pod opiekę żydowskie dziecko. Zachowały się jego zdjęcia.
– To prawdopodobnie ona zrobiła dwie fotografie, które przekazała rodzicom chłopca, na dowód, że ich dziecko ma się dobrze. Powstały w krótkim odstępie czasu, wkrótce przed tym, nim Stanisława pozbyła się dziecka. Na jednym Moniek uśmiecha się, na drugim jest smutny, stoi w ciemnej komórce. Aparat musiał być dobrej jakości, zdjęcia są bardzo plastyczne, na ubrankach można nawet dostrzec fakturę materiału. Jedno z nich zdecydowaliśmy się opublikować w książce, bo zdjęcie niesie inny rodzaj doświadczenia niż tekst, inaczej osadza się w pamięci. Jest dopełnieniem historii, którą opowiadam.

Niektórzy twoi rozmówcy relatywizują zbrodnie swoich przodków albo sąsiadów. Bo była wojna, bo ich rodziny mogły zapłacić życiem za ukrywanie Żydów, bo była bieda i tak dalej. Czy też łapiesz się na takim myśleniu?
– Wszystkie te historie zawierają w sobie pytania, na które nie daję prostej odpowiedzi. Mogę tylko próbować wejść w nie jak najgłębiej i poskładać je z różnych elementów. Stanisława z Częstochowy, która wiosną 1943 roku pozbyła się chłopca, mieszkała przy ulicy, która graniczyła z gettem. W czasie jego likwidacji słyszała płacz i krzyk mordowanych ludzi, czuć było spaleniznę. Być może wystraszyła się, że Niemcy dowiedzą się, że trzyma u siebie żydowskiego chłopca. W sądzie zeznała też, że bała się, że doniosą na nią sąsiedzi. Nie jesteśmy w stanie dziś odtworzyć jej toku myślenia. Możemy tylko przypuszczać. Wzięła żydowskie dziecko, bo chciała zarobić, co było jej decydującą motywacją. Kiedy chwilowo straciła kontakt z jego rodzicami, przeniesionymi do innej fabryki pracy przymusowej w Częstochowie, przestali jej płacić. W czasie likwidacji tzw. małego getta Stanisława próbowała przekazać chłopca znajomemu na wsi; gdy ten odmówił, pozbyła się go w inny sposób.

Łapię się na tym, że zastanawiam się, na ile obraz, który pokazuję, jest pełny. Czy Stanisława myślała o tym, co zrobiła, przez resztę życia? Czy żałowała? Czy miała poczucie winy? A może wręcz przeciwnie?

> Zawsze znajdzie się ktoś, kto powie, że owszem, to straszne, że Polacy zamordowali rodzinę żydowską, aby zaraz dodać, że przecież po wojnie Żydzi mieli swój udział w UB. Zawsze jest jakieś „ale”...

A potem spotkałem się z jej chrześniakiem, który mieszka w Warszawie i spędził z nią wiele lat życia. Powiedział mi, że jego matka chrzestna, dla niego ciepła i przyjazna osoba, zawsze źle mówiła o Żydach. Twierdziła, że to przez nich siedziała w więzieniu i cierpiała w życiu. Chrześniak wiedział tylko, że została skazana, bo „zrobiła coś nie tak” z żydowskim dzieckiem.

Jej rodzinę również dosięgły konsekwencje popełnionej przez nią zbrodni.
– Stanisława została skazana, jak to bywało w takich przypadkach, z artykułu z dekretu sierpniowego PKWN, za kolaborację z hitlerowcami. Jej syn, nastolatek, rzucił wtedy szkołę i mogę sobie wyobrazić dlaczego. Miał „matkę faszystkę”. Kobieta zresztą pisała z więzienia o hańbie, jaką było dla niej „sądzenie jej jako faszystki”. Jej syn szybko założył swoją rodzinę. Pił, co z kolei miało ogromny wpływ na jego synów. Historie ludzkie są skomplikowane, a my jesteśmy w tej rozmowie skazani na uproszczenia. Być może w jego życiu zdarzyło się coś jeszcze bardziej traumatycznego niż zdarzenia, które opisuję. Ale ja nie mam wątpliwości, że wiosna 1943 roku miała duży wpływ na życie całej tej rodziny, aż do trzeciego pokolenia.

Dotarłeś również do rodzin ofiar, które niejednokrotnie dowiadywały się od ciebie o faktach, jakie chcieli przed nimi ukryć ich bliscy. Jak się czułeś jako posłaniec takich wiadomości?
– Nie czułem się posłańcem, raczej kimś zainteresowanym historią rodzinną i tym, jak pamięć o Zagładzie przechodzi z pokolenia na pokolenie. Rodziny ofiar, z którymi rozmawiałem, bez wyjątku mieszkają za granicą, w USA, Kanadzie, Francji, Belgii. Ciekawiło mnie, co dziś myślą o Polsce i Polakach. Samuel, ten, który stracił brata i został okaleczony przez gospodarza, do którego przyszli po pomoc, powtarzał, że wróci do Polski, ale tylko po to, by zobaczyć, jak ten kraj płonie. Opowiadali mi o tym jego córka i wnuki.

Zaskoczyło cię to?
– To, co mnie zaskoczyło, to fakt, że Samuel źle mówił o Polsce, ale o samych Polakach już nie. Z wieloma się przyjaźnił, a swoim dzieciom i wnukom nie przekazał

eprasa.pl 995cb3273b

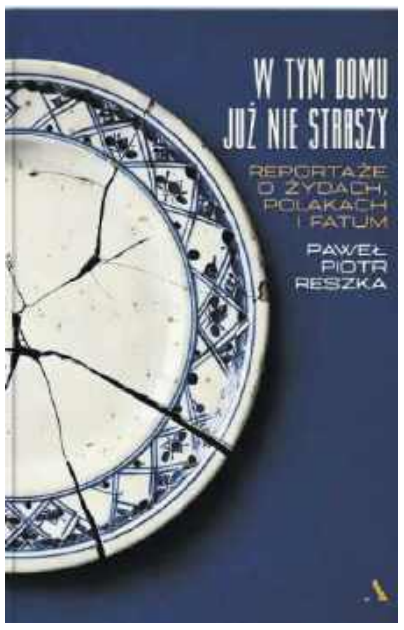

W tym domu już nie straszy. Reportaże o Żydach, Polakach i fatum

Paweł Piotr Reszka
Wydawnictwo Agora

nienawiści. Jakby „Polska" była dla niego jakąś figurą retoryczną, w której ulokował swoją gorycz, rozczarowanie, żal. Ale jednocześnie miał świadomość, że wina zawsze jest kwestią indywidualną i odpowiada za nią sprawca, a nie cała społeczność czy naród. Było to dla mnie poruszające.

Dlaczego?
– Bo spodziewałem się trochę innej reakcji, kategorycznych osądów, niechęci, nieufności. Tego, że po prostu nikt nie będzie chciał ze mną rozmawiać. Tymczasem spotkałem się otwartością, również z wdzięcznością.

poczuć jego obecność. Odnajdywała go, spacerując ulicami Lublina, gdzie mieszkał, odwiedzając kamienicę, w której żył, i pijąc herbatę malinową, której smak znała z dzieciństwa.

Czujesz, że przyniosłeś swoim rozmówcom ulgę?
– Nie wiem, czy ulgę, ale myślę, że te rozmowy były dla przynajmniej części z nich ważne.

Może to jest światło w tej książce?
– Na pewno z mojego punktu widzenia była nim przede wszystkim gotowość do rozmowy. Mówiłem o rodzinie Samuela, która mieszka w USA, o ich otwartości, ale też rozmawiałem przecież z bratem i siostrą Mońka. Mieszkają dziś w Kanadzie. Zwłaszcza dla jego brata były to trudne rozmowy. Opowiadał, jak przez lata wyobrażał sobie, że ma starszego brata. Mówił o tym, jak za nim tęsknił i jak wyobrażał sobie swoje życie z nim, lepsze niż było. Wyczuwałem z jego strony rezerwę, ale też gotowość do odpowiedzi na każde pytanie. Spotkania z polskimi rodzinami też miały swoją wagę. Nie jest łatwo konfrontować się ze strasznymi faktami w historii rodzinnej.

Twoja książka jest też o milczeniu. Rodziny sprawców nie rozmawiają ze sobą o tym, co zrobili ich ojcowie czy dziadkowie. Rabin Yehoshua Ellis uważa, że milczenie jest maskowaniem poczucia winy, co rodzi określone konsekwencje, również frustrację, gniew, również wobec członków własnej rodziny. Dorastanie w tak opresyjnym środowisku może powodować problemy emocjonalne. Może fatum jest po prostu konsekwencją psychologiczną braku rozmowy o tym, co zrobił ojciec czy dziadek, a o czym mówią wszyscy sąsiedzi?
– Na pewno jest konsekwencją. Jednak w historiach, o których opowiadam, fatum jest raczej odpowiedzią na oczekiwanie otoczenia. To znaczy, że społeczność interpretuje nieszczęścia, jakie przytrafiły się sąsiadowi, który popełnił zbrodnię, jako bożą karę, bo za to, co zrobił, musi zostać ukarany.

Etnografka Anna Engelking, autorka pracy „Klątwa. Rzecz o ludowej magii słowa", pisze: „Słuszna klątwa skrzywdzonego, to narzędzie kary bożej wobec grzeszników – kary, która jest niezbędna do tego, by świat nie przemienił się w chaos".

W moich historiach żadna ofiara nie rzuca na swego mordercę klątwy, ten rytuał słowny w niej nie występuje. Jednak jeżeli zamienimy słowo „klątwa" na „fatum", to wszystko się zgadza. Zło zawsze musi zostać ukarane, taki jest porządek rzeczy. ●

Porażająca jest w Zagładzie jej codzienność i zwyczajność. Na cmentarzu żandarm niemiecki strzelił dziecku w głowę, a potem wszyscy wrócili do swojego życia, jak gdyby nic się nie stało

Po rozmowie z tobą córka Samuela przyleciała do Polski. To wzruszające.
– Mieszka w Nowym Jorku, nigdy wcześniej nie była w Polsce i nie planowała, że tu przyjedzie. Była dla niej obcym państwem, znanym tylko ze wstrząsających opowieści jej matki, bo ojciec nie chciał opowiadać o tym, co go spotkało w Polsce. Najpierw napisałem do niej na Facebooku. W pierwszej chwili wzięła mnie za oszusta, który próbuje coś od niej wyłudzić. Wtedy wysłałem jej zdjęcie Samuela. Znała je, ale dużej części ojca historii już nie.

Do Polski przyjechała tak naprawdę dla niego. Mieli bardzo dobry kontakt, od wielu lat za nim tęskni. Chciała choć przez chwilę

Historia krzepi

Komuniści na deskach

Nie rozumiem, dlaczego nasz największy w dziejach sukces nie został do tej pory uhonorowany.

Natecz

Tomasz Nałęcz – historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego

W burzliwym XX wieku Polska dwa razy, w 1918 i 1989 roku, odradzała się jako państwo suwerenne i demokratyczne. Zawdzięczała to zmianie koniunktury międzynarodowej i dążeniu do wolności samych Polaków. Porównanie przełomów nie pozostawia wątpliwości, że obywatelska moc sprawcza odegrała o wiele większą rolę przy obalaniu komunizmu w latach 1980-1989 niż w dekompozycji ładu europejskiego z lat 1914-1918.

W 1918 Polacy tylko wykorzystali nowy układ sił na kontynencie. W latach 80. bardzo aktywnie go współtworzyli. Masowe strajki z sierpnia 1980 i zrodzona w ich wyniku Solidarność, do której wstąpiło 10 milionów osób, prawie połowa ówczesnej dorosłej populacji, to był fenomen w skali światowej. Moskwa, brutalnie pacyfikująca protesty w bloku wschodnim, tak wielkiego buntu nie ośmieliła się zdusić. Jej warszawscy namiestnicy poszli na ustępstwa, by zyskać czas na przygotowanie kontrofensywy.

Wprowadzony 13 grudnia 1981 stan wojenny próbował przywrócić stary porządek. Jednak tylko przedłużył agonię systemu. Solidarność zeszła do podziemia, gdzie kontynuowała opór. Reżim komunistyczny słabł coraz bardziej i to nie tylko nad Wisłą, ale w całym imperium. Nowy sowiecki lider, Michaił Gorbaczow, przystąpił do jego remontu. Podminowana buntem Polska miała go dokonać jako pierwsza.

Ekipa generała Jaruzelskiego podjęła tę operację jesienią 1988, pod presją odżywającej fali strajkowej. Nie planowała przywrócenia demokracji i oddania władzy. Wręcz przeciwnie, chciała ją ustabilizować poprzez wkomponowanie w mechanizm rządzenia zalegalizowanej Solidarności. Kontrakt Okrągłego Stołu z 5 kwietnia 1989 gwarantował komunistom i ich satelitom utrzymanie kluczowych bastionów władzy. W sejmie mieli zapewnione 65 proc. mandatów, bo tylko 35 proc. posłów pochodziło z wolnych wyborów. Swobodnie wybierano senat, który komuniści pozbawili liczących się kompetencji.

Liderzy Solidarności, z Lechem Wałęsą na czele, zgodzili się na te ograniczenia, licząc, że uchylone w ten sposób drzwi do wolności zostaną wyłamane przez społeczeństwo mające dosyć komunizmu. Nie zawiedli się w swoich oczekiwaniach. Już kampania poprzedzająca zarządzone na 4 czerwca 1989 wybory przyniosła największe w naszych dziejach obywatelskie pospolite ruszenie.

Polacy uwierzyli, że dzięki temu głosowaniu mogą odzyskać państwo zawłaszczone przez komunistów. Z każdym dniem w kampanię angażowało się coraz więcej ludzi, wcześniej niewspierających podziemnej Solidarności. „W krótkim czasie – wspominał Bronisław Geremek – potrafiliśmy zorganizować wspaniałą strukturę, która od każdej wioski po szczebel krajowy funkcjonowała znakomicie i zdołała przeprowadzić wielką kampanię środkami ubogimi".

Pod listami Solidarności zgromadzono wielokrotnie więcej podpisów, niż tego wymagała ordynacja. Rozpoznać jej kandydatów było łatwo, bo dzięki celnemu pomysłowi Andrzeja Wajdy, z każdym z nich zrobił sobie zdjęcie znany i podziwiany Lech Wałęsa. On sam nie kandydował, bo jak Jagiełło pod Grunwaldem, zajął pozycję wodza, który w bitwie nie walczy w pierwszym szeregu, tylko kontroluje całe pole walki i interweniuje tam, gdzie jest najtrudniej.

Drużyna Solidarności zerwała z drętwym językiem obowiązującym w życiu publicznym PRL. O polityce mówiła w sposób trafiający do ludzkich serc, łącząc program naprawy państwa z emocjami dającymi nadzieję na lepsze i godniejsze życie. Spotkania wyborcze uatrakcyjniali znani artyści, licznie angażujący się w kampanię. Wielka armia ponad 50 tysięcy ludzi, odpowiednio przeszkolona, pilnowała uczciwości wyborów, nie dopuszczając do nagminnych wcześniej „cudów nad urną".

Ukoronowaniem tego obywatelskiego zrywu był wynik wyborów z 4 czerwca 1989. Solidarność już w pierwszej turze zdobyła 92 ze 100 senatorów i 160 ze 161 demokratycznie wybieranych posłów. To był nokaut powalający komunizm na deski. Niedługo przyszło też czekać na zniesienie reżimu z ringu. 24 sierpnia 1989 premierem został wskazany przez Wałęsę Tadeusz Mazowiecki, który zaczął demontować komunizm.

Mając to wszystko w pamięci, nie sposób jest zrozumieć, dlaczego ten największy w naszych dziejach sukces wolności i demokracji nie został do tej pory uhonorowany uczynieniem 4 czerwca świętem państwowym i dniem wolnym od pracy. Koalicja 15 października zmarnowała kolejny rok, niczego w tej kwestii nie robiąc. ●

1 RP

eprasa.pl 995cb3273b

ZAPRASZAMY NA OLIMP

Do kupienia w punktach sprzedaży prasy oraz na **sklep.polityka.pl**,
gdzie dostępne jest także **wydanie audio**.
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**
Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

Kraj/34435734

eprasa.pl 995cb3273b

NIE ŚPIEWALI „Bella Ciao”

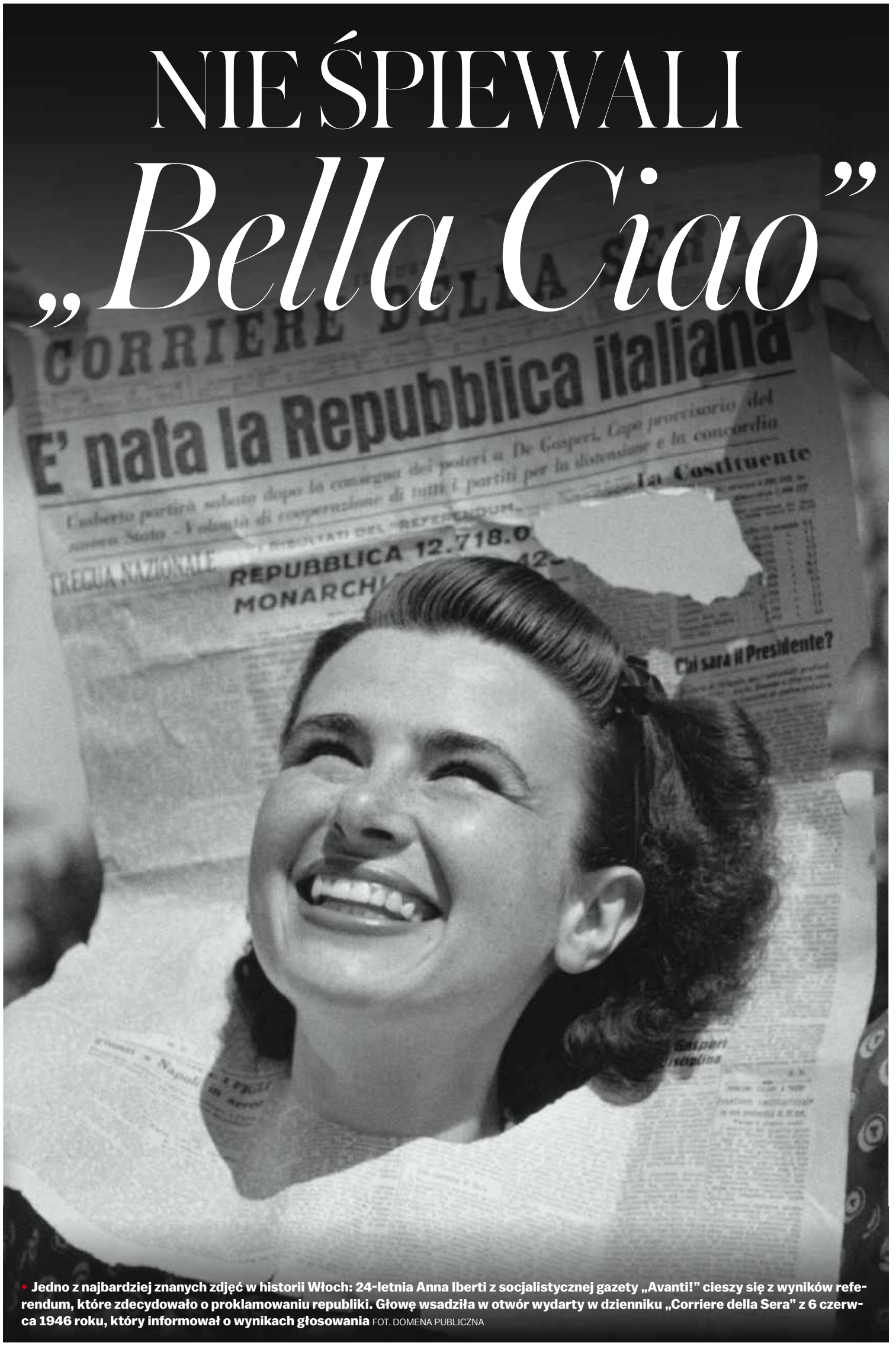

• Jedno z najbardziej znanych zdjęć w historii Włoch: 24-letnia Anna Iberti z socjalistycznej gazety „Avanti!” cieszy się z wyników referendum, które zdecydowało o proklamowaniu republiki. Głowę wsadziła w otwór wydarty w dzienniku „Corriere della Sera” z 6 czerwca 1946 roku, który informował o wynikach głosowania FOT. DOMENA PUBLICZNA

Republika Włoska kończy 80 lat. Ustrój współczesnej Italii jest owocem przelotnego romansu politycznego komunistów z katolikami?

Piotr Podemski

2 czerwca 1946 roku to przełomowa data w dziejach Włoch. Na miesiąc przed innym referendum, którym komuniści otwierali sobie drogę do domknięcia systemu władzy w Polsce (3 X TAK), na Półwyspie Apenińskim niemal 25 milionów Włochów zdecydowało o formie ustrojowej swej ojczyzny. Opcja republikańska zwyciężyła wprawdzie wyraźnie, uzyskując niemal 13 milionów głosów, ale nie zdeklasowała monarchistycznych rywali, na których zagłosowało niemal 11 milionów obywateli. Wyniki referendum ujawniły głębokie pęknięcia geograficzne – podczas gdy w położonej na północy Rawennie republika uzyskała 88,5 proc. głosów, w sycylijskiej Mesynie trzy czwarte głosujących poparło monarchię. Po raz kolejny w historii Włoch, jak w czasach zjednoczenia, a potem faszyzmu, wiał – jak mówiono – „wiatr z Północy”, która znów narzucała Południu kierunek wspólnego marszu ku przyszłości.

ŚMIERĆ OJCZYZNY

Nie byłoby Republiki Włoskiej, gdyby nie klęska wojenna faszyzmu, który pociągnął za sobą do grobu skompromitowaną kolaborację włoską monarchię. Antyfaszyści dobrze pamiętali, że Marsz na Rzym z 1922 roku okazał się zaledwie demonstracją siły bojówek „czarnych koszul”, po której król Wiktor Emanuel III po prostu mianował Benito Mussoliniego konstytucyjnym premierem. Monarcha nie reagował przez kolejne lata na apele opozycji o powstrzymanie ewolucji rządów Duce ku totalitaryzmowi, a próbę odzyskania kontroli nad sytuacją podjął dopiero latem 1943 roku, kiedy alianci lądowali już na Sycylii.

Aresztowanie Mussoliniego po dramatycznym nocnym posiedzeniu Wielkiej Rady Faszystowskiej z końca lipca 1943 i wynegocjowany w sycylijskim Cassibile z udziałem przedstawicieli dworu rozejm z aliantami, miał zapewnić krajowi pokój, a monarchii – odcięcie się od brzemienia faszyzmu. Tymczasem dzień ogłoszenia rozejmu, 8 września 1943 roku, Włosi zapamiętali jako biblijnych rozmiarów katastrofę narodową – „śmierć Ojczyzny”.

Opacznie rozumiejąc konsekwencje rozejmu, zgodnie z popularnym tego dnia okrzykiem „Wojna skończona! Wszyscy do domu!”, wojsko i administracja rozpadły się jak domek z kart. Sam król i nowy premier, marszałek Pietro Badoglio, w obawie przed zemstą ze strony dotychczasowego niemieckiego sojusznika, ratowali się ucieczką na Południe, pod skrzydła wojsk alianckich. Na wielkich połaciach północnych i środkowych Włoch, aż po Rzym i Monte Cassino, brutalne porządki zaczęli wprowadzać na trwałe Niemcy, przeprowadzając m.in. deportacje relatywnie bezpiecznych dotąd Żydów do obozów zagłady.

Kraj stał się nie tylko sceną wyniszczających krwawych walk w górskim terenie pomiędzy siłami anglo-amerykańskimi a Wehrmachtem, ale również — dramatycznej wojny domowej pomiędzy włoskimi faszystami a antyfaszystami. Dopiero zwycięstwo tych ostatnich, którzy – jak twierdzą badacze – raczej nie śpiewali wówczas masowo kultowej dziś pieśni „Bella ciao”, 25 kwietnia 1945 roku, wspominane do dziś corocznie jako Dzień Wyzwolenia, dało trwałe podstawy pod odbudowę dopiero co „uśmierconej” Ojczyzny.

NIECH PRZYJDZIE WĄSACZ!

Nie wydawało się to jednak sprawą prostą. Wśród partyzantów walczących na Północy przeciw nazistowskiemu okupantowi i jego włoskim kolaborantom spod znaku Włoskiej

eprasa.pl 995cb3273b

Republiki Społecznej – tzw. Republika Salo’, na czele z uwolnionym przez Niemców w brawurowej akcji na Gran Sasso Mussolinim – najpoważniejszą siłę stanowili komuniści zorganizowani w tzw. Brygadach Garibaldiego, zręcznie wykorzystując autorytet „czerwonego generała” do propagowania własnej ideologii. Zdecydowanie mniej liczne były szeregi partyzantki socjalistycznej i katolickiej (chadeckiej). Podczas gdy autentyczne zaangażowanie w obalanie faszyzmu, ale i nośne rewolucyjne hasła, a także sukcesy Armii Czerwonej na froncie wschodnim, czyniły z sekciarskiej dotąd Włoskiej Partii Komunistycznej potężną siłę mogącą myśleć o sięgnięciu po wojnie po władzę, sytuacja katolików pozostawała niezwykle skomplikowana. Chociaż wobec marszu faszystów po władzę na początku lat 20., ówczesna partia włoskich katolików (popularzy) pod kierunkiem księdza Luigiego Sturzo, odważnie broniła demokracji przeciw dyktaturze, w 1929 roku Watykan zdecydował się w imię realpolitik na porozumienie (pakty laterańskie) i normalizację stosunków z reżimem, skazując tym samym wielu katolickich liderów na wybór między emigracją a więzieniem. Dopiero w obliczu rysującego się już upadku faszyzmu, dawni i nowi działacze chadeccy poczęli snuć wizje nowych demokratycznych Włoch, zdecydowanie rzadziej niż komuniści, podpierając je własnym bagnetem.

Pod koniec wojny było wiadomo, że udało się we Włoszech obalić faszyzm, ale widmo komunizmu krążyło między Tybrem i Padem, witane z entuzjazmem przez miliony robotników i chłopów, powtarzających uparcie hasło: „Niech przyjdzie Wąsacz!”, mając oczywiście na myśli Stalina. O ile zatem doświadczona po 1943 roku horrorem nazistowskiej okupacji Północ wykazywała silne tendencje antyfaszystowskie i lewicowe, o tyle Południe, znające faszyzm tylko w formie suwerennych rządów włoskich, czuło za nim silną nostalgię tym bardziej, im mniej po rycersku zachowywali się tam, często jak na podbitym terytorium wroga, żołnierze alianccy.

BEZ NORYMBERGI

Nawet jeśli „Wąsacz” nie pojawił się we Włoszech osobiście, w marcu 1944 niespodziewanie przybył do wyzwolonego już Neapolu bezpośrednio z ZSRR „towarzysz Ercoli”, czyli Palmiro Togliatti, znany wśród komunistów także jako „Najlepszy”. Ów wypróbowany, m.in. podczas hiszpańskiej wojny domowej, działacz Kominternu i lojalny współpracownik Stalina, zamiast – jak oczekiwali – wezwać towarzyszy partyjnych do zbrojnej rewolucji, ogłosił zmianę strategii. Zapowiedział dążenie do ogólnonarodowego pojednania, poszanowanie dla zasad demokracji i gotowość do współpracy nawet ze skompromitowaną monarchią, o ile naród włoski otrzyma po wojnie prawo do swobodnego decydowania o swoim losie, w tym i o ustroju państwa. Próbując budować jak najszerszą bazą społecznego poparcia dla komunistów, już jako minister sprawiedliwości w koalicyjnym rządzie antyfaszystowskim Togliatti ogłosił słynną amnestię, gwarantującą w praktyce bezkarność tysiącom szeregowych faszystów, spośród których wielu szukało w nowej rzeczywistości bezpieczeństwa paradoksalnie właśnie w przynależności do Włoskiej Partii Komunistycznej. Jej szeregi gwałtownie rosły, osiągając 2 miliony członków i czyniąc ją wkrótce największą partią komunistyczną na zachód od rysującej się powoli żelaznej kurtyny.

Polityce tej przyklaskiwali również chadecy, zdając sobie sprawę, jak wielu ludzi Kościoła i konserwatystów zdążyło skalać się kolaboracją z reżimem. Konsekwencje takiej postawy były dla przyszłej Republiki Włoskiej poważne i dalekosiężne. Jak powtarza się często do dzisiaj, nigdy nie było włoskiej Norymbergi, czyli głośnego i kompleksowego rozliczenia z faszyzmem. To powoduje, że post- i neofaszyzm pozostał stałym elementem pejzażu politycznego współczesnych Włoch.

SKOK W CIEMNOŚĆ

Gdy tylko alianci przekazali Włochom 1 stycznia 1946 roku suwerenną kontrolę nad niemal całym terytorium kraju, rozpoczęły się przygotowania do podwójnego, fundamentalnego dla jego dalszych losów głosowania – referendum ustrojowego, a zarazem wyborów do Konstytuanty. Miał to być eksperyment społeczny na nieznaną dotąd we Włoszech skalę. W kraju, w którym dopiero jeden raz – w 1919, tuż przed Marszem na Rzym, odbyły się demokratyczne wybory z powszechnym prawem głosu dla mężczyzn (bez cenzusu), wprowadzono teraz, w 1946 roku, również prawo wyborcze dla kobiet. Podniosło to liczbę uprawnionych do głosowania do 28 milionów osób, wśród których było około 15 proc. analfabetów, zdecydowanie więcej na Południu niż na Północy.

Na głosy kobiet liczyła zarówno lansująca idee równościowe i emancypacyjne lewica, jak i przekonana o ich religijności i konserwatyzmie prawica. Kobiety ostrzegano, by w dniu głosowania nie malowały ust szminką, gdyż karty wyborcze należało zakleić własną śliną, a obawiano się, że różowo-czerwone ślady mogłyby zostać uznane przez zdominowane przez mizoginów komisje za złamanie tajności wyborów, z możliwością unieważnienia takiego głosu włącznie!

Z myślą o analfabetach na karcie do głosowania w referendum zamieszczono także graficzne reprezentacje obu form rządów: wizerunek Republiki jako młodej kobiety oraz herb panującej dynastii z tzw. krzyżem sabaudzkim. Określający wizję Republiki jako „skok w ciemność”, czyli najpewniej komunistyczną rewolucję, monarchiści tłumaczyli mało wyrobionym wyborcom na głębokim Południu, że chrześcijanin ma obowiązek głosować na symbol krzyża.

Nie stroniąc od manipulacji na tle religijnym, niektórzy republikanie mieli zaś wmawiać najbardziej bezbronnym i naiwnym, że przedstawiona na karcie do głosowania kobieta to nie personifikacja Italii, a Matki Boskiej. O ile za Republiką jednoznacznie agitowali m.in. komuniści i socjaliści, wśród katolików podziały na tym tle były tak głębokie, że Chrześcijańska Demokracja starała się unikać kategorycznych deklaracji, pozostawiając swobodę decyzji swoim wyborcom. W tych warunkach strona monarchistyczna nawet jeśli przegrała, uzyskała nadspodziewanie wysokie poparcie – prawie 46 proc. głosów, co mogło zapowiadać problemy z legitymizacją przyszłych rządów republikańskich.

WYMUSZONA KOABITACJA

Opuszczenie kraju przez ostatniego monarchę – „króla majowego”, jak nazwano Humberta II z racji tego, że rządził zaledwie kilka tygodni, po abdykacji skompromitowanego kolaboracją z faszyzmem ojca – było rozwiązaniem zaledwie najprostszego z problemów włoskiej transformacji. Prawdziwym węzłem gordyjskim okazały się bowiem wyniki wyborów do Konstytuanty.

Najsilniejszą partią stała się Chrześcijańska Demokracja z poparciem na poziomie 35 proc., ale był to wynik nieco niższy niż łączny odsetek głosów zebranych przez połączone paktem o współpracy dwie masowe partie lewicowe – socjalistów – około 21 proc. i komunistów – około 19 proc. Słaby rezultat tych ostatnich stał się przyczyną podskórnej krytyki Togliattiego i przywiezionej przez niego z Moskwy koncyliacyjnej strategii politycznej, zamiast wykorzystania potencjału zbrojnych oddziałów partyzanckich „garybaldczyków”. Sytuację politycznego pata komplikował fakt, że w kampanii wyborczej obie strony tyleż podkreślały swą solidarność i braterstwo broni w walce z faszyzmem, co coraz mniej dyskretnie dawały wyraz różnicom ideologicznym pomiędzy głównymi konkurentami. Komuniści i katolicy wzajemnie wypominali sobie zbytnią zależność od obcych mocarstw – odpowiednio USA i ZSRR – oraz przedstawiali siebie jako jedynych rzeczników prawdziwej demokracji, w przeciwieństwie do odpowiednio – reakcyjnych lub stalinowskich rywali.

Mimo to wynik wyborów determinował kontynuację wspólnej pracy państwowotwórczej, co lider chadecji i premier wspólnego rządu, Alcide De Gasperi, oceniał jednak jako „wymuszoną koabitację”. Dzwonkiem alarmowym było pojawienie się w parlamencie 30 przedstawicieli Frontu Zwykłego Człowieka, traktowanego jako zalążka populistycznych i antypolitycznych tendencji w dziejach powojennych Włoch.

Karta do głosowania w referendum z symbolami monarchii oraz republiki, który dla niepoznaki ma przypominać Matkę Boską
FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

REPUBLIKA OPARTA NA...

Pierwszym zadaniem Konstytuanty było uchwalenie dla Republiki ustawy zasadniczej. W czasie debat plenarnych (556 parlamentarzystów) i w komisji konstytucyjnej (75 osób) wykuwały się ramy ustrojowe współczesnych Włoch. Czytając dziś aktualną wersję, po niewielkich zmianach, włoskiej konstytucji, widzimy wyraźnie moc wpływu na jej kształt obu partii lewicowych. Już słynny artykuł 1. definiujący Włochy jako „republikę demokratyczną opartą na pracy”, wywołał pierwotnie zaciekły opór poza kręgiem marksistów, a dziś stał się kanwą niekończących się żartów: „... opartą na bezrobociu”, „na znajomościach”, „na espresso”.

Wielką, a w tamtych patriarchalnych realiach bynajmniej nie oczywistą, zdobyczą kobiet – 21 „Matek Konstytucji”, w tym 6 w składzie komisji konstytucyjnej – był zawarty m.in. w art. 3 zapis o równości wobec prawa bez różnicy płci, ale także i rasy, języka, wyznania, poglądów politycznych i położenia osobistego czy społecznego.

Co ciekawe, dotyczący relacji państwo-Kościół kontrowersyjny art. 7, z odwołaniem do podpisanych przez Watykan z faszystami paktów laterańskich, został uchwalony w egzotycznym sojuszu chadeków z komunistami, wbrew socjalistom i liberałom.

W art. 11 zdecydowano o wyrzeczeniu się przez Włochy wojny, a w art. 36 zagwarantowano każdemu pracownikowi wynagrodzenie „wystarczające do zapewnienia sobie i rodzinie swobodnej i godnej egzystencji”.

Dziś może wywołać dobrotliwy uśmiech fakt, że w kontekście tak wielu zapisów o wymowie lewicowej, uznano za stosowane zapewnienie włoskich kręgów kapitalistycznych, a zapewne i sojusznika amerykańskiego, że „prywatna inicjatywa gospodarcza nie podlega ograniczeniom”.

Krytycy twierdzą, że ze względu na obawy Ojców Konstytucyjnych (i Matek) o ryzyko dyktatury, której sami doświadczyli w czasach faszystowskich, ustrój Włoch został celowo wyposażony w cały repertuar bezpieczników i hamulców, czyniących władzę wykonawczą – bezsilną, a państwo – „niezarządzalnym”. A jednak wszelkie próby zmiany tego stanu rzeczy, przywiązani do swej Karty Konstytucyjnej jako wyrazu mądrości Ojców-założycieli Republiki, Włosi zwykle odrzucali, ostatnio w marcu 2026 roku.

BÓG CIĘ WIDZI, A STALIN – NIE!

Wspólne opracowanie Konstytucji, w toku głośnych i teatralnych sporów na sali parlamentarnej Palazzo Montecitorio, ale czasem i – jak twierdzą dobrze poinformowani – w spokojnych i merytorycznych rozmowach De Gasperiego z Togliattim przy kawie, stanowiło ostatni akt historycznego kompromisu pomiędzy komunistami a katolikami, na fali niegdysiejszej wspólnej walki z faszyzmem.

Gdy Konstytucja wchodziła w życie 1 stycznia 1948 roku, świat był już podzielony żelazną kurtyną, ogłoszono już doktrynę Trumana i Plan Marshalla, a wkrótce radzieckie czołgi miały rozpocząć blokadę Berlina. W samych Włoszech De Gasperi stał już na czele rządu chadeckiego bez poparcia komunistów i socjalistów, których sam ze swego gabinetu usunął pod naciskiem amerykańskim (warunek pomocy w ramach Planu Marshalla) i Watykanu (papież Pius XII lansował hasło „Albo z Chrystusem, albo przeciw Chrystusowi”). W tej atmosferze młoda Republika Włoska stanęła do kolejnych wyborów parlamentarnych w kwietniu 1948 roku, a polaryzacja ideologiczna sięgnęła zenitu.

Włoskie wybory stały się pierwszą tajną operacją w historii powołanej właśnie jesienią 1947 roku CIA, która wszelkimi środkami wspierała chadeków jako przeciwwagę dla możliwości przejęcia władzy przez Demokratyczny Front Ludowy, jako sojusz komunistów i socjalistów. Zdecydowaną agitację podjęły też potężne struktury kościelne, z najsłynniejszym propagandzistą w osobie jezuity, ks. Riccardo Lombardiego, zwanego mikrofonem Pana Boga. Do historii przeszedł ostateczny argument stosowany przez katolickich polemistów: „Pamiętaj, że w zaciszu kabiny wyborczej Bóg cię widzi, a Stalin – nie!”.

Radykalnie demaskatorski wydźwięk przybrały plakaty wyborcze obu stron. Komuniści przedstawiali pokracznego stwora o rysach twarzy De Gasperiego jako „pachołka Trumana”, zaś katolicy przekonywali, że za symbolem Frontu Ludowego w formie podobizny Garibaldiego tak naprawdę kryje się twarz Stalina.

eprasa.pl 995cb3273b

ZAMROŻONA DEMOKRACJA

Wybory z kwietnia 1948 roku przyniosły decydujące zwycięstwo chadekom, którzy zdobyli blisko 50 proc. głosów i samodzielną większość w parlamencie. Komuniści ponieśli spektakularną klęskę – 31 proc. głosów dla całego Frontu Ludowego. Ale to właśnie oni – co w kontekście wyborów 1947 roku w Polsce brzmi surrealistycznie – skarżyli się głośno, i nie bez racji, na niedopuszczalną ingerencję w proces wyborczy ze strony sił zewnętrznych (USA i Watykan), która zniekształciła wynik głosowania.

To przekonanie dało początek tzw. kulturze dwóch Kościołów, czyli współistnieniu przez całe dekady we Włoszech światów równoległych – katolickiego i marksistowskiego, z własną ideologią, mediami, związkami zawodowymi i formami życia wspólnotowego, z których każdy postrzegał siebie z tą samą religijną powagą jako uosobienie dobra w walce ze złem. Co jeszcze groźniejsze, mówiono o Republice Włoskiej po 1948 roku jako o „zamrożonej demokracji" w myśl determinującej życie polityczne logiki, zgodnie z którą – choć formalnie odbywały się wolne wybory – komuniści nie mieli praktycznych szans na sięgnięcie po władzę nad krajem (na poziomie lokalnym – już tak), czego pilnował sojusznik chadeków z Waszyngtonu. Półwysep Apeniński był po prostu zbyt ważnym „naturalnym lotniskowcem" pośrodku Morza Śródziemnego, by Amerykanie mogli ryzykować jego stratę na rzecz bloku wschodniego. Bezsilna frustracja komunistów z tego powodu prowadziła do radykalizacji części tych środowisk, co uważa się za jedną z przyczyn wybuchu włoskiej wersji rewolty młodzieżowej w latach 60., a także działalności lewicowych organizacji terrorystycznych, m.in. Czerwonych Brygad, w latach 70. Ciekawy włoski eksperyment, w postaci szerokiej koalicji antyfaszystowskiej spojonej wspólnym doświadczeniem prześladowań i walki z faszyzmem, padł ofiarą zimnej wojny i globalnych interesów supermocarstw.

CO NAM ZOSTAŁO Z TYCH LAT?

2 czerwca 2026 roku, w doroczne Święto Republiki, Włosi będą hucznie celebrowali jej 80. urodziny. Prezydent Sergio Mattarella, idealne ucieleśnienie wartości republikańskich, poważny, ale skromny chadecki polityk, niemal rówieśnik Republiki, demonstrujący chętnie i często przywiązanie do dzieła Ojców Konstytucyjnych, zwrócił się już z tej okazji ze specjalnym przesłaniem do młodych pokoleń Włochów. Zachęcał, by nie ulegali bierności i alienacji, ale aktywnie wzięli odpowiedzialność za swoją przyszłość, tak jak uczyniło to pokolenie antyfaszystowskich partyzantów 80 lat temu.

Obok prezydenta w rocznicowych uroczystościach będzie jednak brała udział również premier Giorgia Meloni. Jej obecność na scenie politycznej na czele wywodzącej się z nurtu postfaszystowskiego partii Bracia Włosi, tak samo jak wcześniej działalność jej politycznego promotora – Silvia Berlusconiego, stanowi dla wielu, zwłaszcza na lewicy, pewien dysonans i ambaras. Krytycy, jak np. autor poczytnych powieści o Mussolinim, Antonio Scurati, obarczają Meloni winą za odradzanie się we Włoszech sympatii profaszystowskich, co widać np. gdy setki młodych ludzi w czarnych koszulach, świętując zgoła inne niż republikańskie rocznice, pozdrawiają się publicznie w równych szeregach tzw. salutem rzymskim.

I bez tego szacowna 80-letnia dama, jaką jest Republika Włoska, mierzy się z licznymi i poważnymi dolegliwościami – zapaścią demograficzną, kryzysem migracyjnym, rekordowym długiem publicznym czy strukturalną stagnacją gospodarczą. Ale o takich problemach nie mówi się w dniu urodzin. Pomimo nich – wszystkiego najlepszego! *Tanti auguri, Italia!* ●

Okruchy historii

Atak na Hrubieszów

Mimo bolesnej przeszłości tuż po wojnie polskie i ukraińskie podziemie zawarło sojusz i wspólnie ruszyło do walki.

Motyka

27 maja 1946 roku w stacjonującym w Hrubieszowie 5 pułku piechoty zorganizowano zawody sportowe. Żołnierze rywalizowali ze sobą w biegu sztafetowym, jeździe na rowerze i konnej. Zwycięska drużyna sztabu pułku otrzymała okolicznościowy dyplom oraz 500 zł nagrody. Koszarową sielankę przerwały 28 maja o godz. 1.20 silne wybuchy i serie broni maszynowej – to połączone siły AK-WiN oraz UPA uderzyły na Hrubieszów.

Początkiem tych wydarzeń było zawarte rok wcześniej porozumienie o nieagresji i ograniczonej współpracy pomiędzy polskim i ukraińskim podziemiem na Lubelszczyźnie. Wobec wspólnego wroga dotąd prowadzący ze sobą bezwzględną walkę partyzanci postanowili zawrzeć sojusz. Wygasił on wzajemne napady na ludność cywilną i pozwolił obu stronom skuteczniej prowadzić walkę z władzą komunistyczną. 1 kwietnia 1946 roku Polacy zgłosili propozycję, by zrobić krok dalej i wspólnie uderzyć na Hrubieszów. Ukraińcy po pewnych wahaniach zaakceptowali plan.

Wieczorem 27 maja Hrubieszów został otoczony przez polsko-ukraińskie zgrupowanie liczące łącznie około 300 ludzi. Tymczasem sam 5 pułk rozlokowany w powiecie liczył 1600 żołnierzy, z czego mniej więcej 1/3 stacjonowała w koszarach w Hrubieszowie. Co więcej, w mieście przebywało również około 200 żołnierzy z 98 pułku NKWD, znajdowały się tam także placówki UB, MO i Wojsk Ochrony Pogranicza. Atakujący byli więc o wiele słabsi od obrońców.

Punktualnie o godz. 1.20 upowcy wypuścili z prymitywnych wyrzutni w stronę garnizonu NKWD i siedziby UB kilka pocisków do moździerzy rakietowych Nebelwerfer. Ich celność była wątpliwa, ale siła wybuchu robiła ogromne wrażenie psychologiczne. Jednocześnie ogniem broni maszynowej zablokowano garnizon NKWD oraz most na Huczwie, odcinając w ten sposób koszary Wojska Polskiego od miasta.

Równocześnie polskie i ukraińskie grupy szturmowe wkroczyły do miasta. By móc się rozpoznać Polacy założyli biało-czerwone opaski, zaś Ukraińcy białe. Główne uderzenie WiN zostało skierowane na areszt UB. Oddział dowodzony przez Henryka Lewczuka „Młota" sprawnie zdobył budynek urzędu, zabił dwóch funkcjonariuszy bezpieki oraz uwolnił 24 więźniów (w tym pięciu Ukraińców). Inny polski oddział w tym samym czasie opanował siedzibę PPR oraz pocztę. Nie udało się natomiast opanować posterunku milicji. Fiaskiem skończyła się też próba opanowania przez UPA budynku sowieckiej komisji przesiedleńczej nadzorującej przymusowe wysiedlenia do Związku Sowieckiego.

O godz. 2.30 partyzanci rozpoczęli odwrót, słusznie obawiając się kontrakcji polskiego wojska i NKWD. Zbudzeni wybuchami żołnierze 5 pułku zajęli obronę koszar.

Dopiero po godzinie w stronę miasta wysłano 30- osobowy oddział rozpoznawczy, w składzie którego znalazł się dowódca pułkowego zwiadu porucznik Wojciech Jaruzelski.

Żołnierze przeszli most na Huczwie, udali się pod siedzibę UB i PPR, po drodze napotykając się na patrol NKWD. Nim nastał świt, na moście na Huczwie doszło do paru potyczek. Cofające się z opóźnieniem grupy szturmowe WiN natknęły się bowiem na nim na najpierw na NKWD, a później na grupę wopistów. Partyzanci przebili się, zabijając kilku wopistów, w tym oddelegowanego do Wojsk Ochrony Pogranicza sowieckiego mjr Isakowa.

Około godziny 7.00 w pościg za partyzantami ruszyło zgrupowanie NKWD oraz WP. Po kilku godzinach udało mu się dognać oddziały UPA na skraju lasu Terebiń. Doszło do zaciętej walki, Grupa pościgowa po stracie kilku zabitych musiała jednak wstrzymać natarcie, co pozwoliło partyzantom na „rozpłynięcie" się w terenie. Dalsza obława nie dała już rezultatu.

Atak na Hrubieszów zakończył się sukcesem partyzantów, wstrząsając lokalnymi strukturami władzy komunistycznej. „W czasie tego napadu – meldował Jaruzelski – jeszcze raz potwierdziły się dane o ścisłej współpracy band NSZ z bandami UPA". Trudno powiedzieć, czy Jaruzelski się mylił, czy też już wtedy świadomie dezinformował o tożsamości ideowej polskich partyzantów. Polsko-ukraiński sukces pokazał bowiem, że wobec wspólnego wroga najlepszym wyjściem jest przejście ponad wzajemnymi animozjami oraz jeszcze świeżymi ranami i zawarcie porozumienia. Władze komunistyczne doskonale zrozumiały to zagrożenie, dlatego od razu po napadzie uruchomiono potężną kampanię propagandową mającą zdezawuować polsko-ukraińską współpracę. Cóż, niektórzy te propagandowe sztance powtarzają do dziś. ●

Prof. Grzegorz Motyka – historyk, politolog, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN

3-5 czerwca 2026

Fale historii w Koszalinie

„Fale Historii. Fale Wolności" to cykliczna impreza poświęcona najnowszej historii i jej interpretacjom. Druga edycja festiwalu odbędzie się dniach 3–5 czerwca 2026 roku w Koszalinie.

W tegorocznym programie znalazły się debaty, spotkania autorskie, projekcje filmowe, koncerty i wydarzenia edukacyjne z udziałem wybitnych historyków, publicystów, artystów i świadków przemian 1989 roku.

Hasłem tegorocznej edycji są rozmowy o wolności – tej wywalczonej przed laty i tej, o którą trzeba troszczyć się dziś. Organizatorzy podkreślają, że festiwal ma być miejscem spotkania pokoleń: uczestników historycznych wydarzeń oraz młodych ludzi, którzy dopiero uczą się rozumieć znaczenie demokracji i odpowiedzialności obywatelskiej.

Festiwal otworzy 3 czerwca wykład Jacka Merkela „Dekada Solidarności – nasze wspaniałe powstanie narodowe!", a głównym gościem pierwszego dnia będzie były prezydent RP i laureat Pokojowej Nagrody Nobla Lech Wałęsa, który weźmie udział w debacie „Wolność nie jest dana raz na zawsze. Lekcja 1989 roku".

Drugi dzień festiwalu upłynie pod znakiem debat o demokracji, manipulacji historią i odpowiedzialności za pamięć. W Koszalinie spotkają się m.in. były ambasador Polski w USA Janusz Reiter, minister spraw zagranicznych Jacek Czaputowicz, działacze KOR Seweryn Blumsztajn i Bogdan Borusewicz oraz publicyści Adam Leszczyński, Sławomir Sierakowski,

W Koszalinie będzie można spotkać się z legendarnym polskim satyrykiem Jackiem Fedorowicze oraz wybitnym polskim aktorem Andrzejem Seweryn. Ponadto w programie festiwalu znalazły się rozmowy o sztucznej inteligencji w badaniach historycznych, spotkanie z pisarzem Maciej Siembieda oraz debaty o serialach historycznych i Gryfitach, którzy przez pięć lat władali Pomorzem.

Festiwalowi towarzyszą targi książki historycznej, warsztaty edukacyjne, wystawy fotograficzne oraz projekt „Moje 1989", poświęcony archiwum pamięci mieszkańców Koszalina. Patronat honorowy nad wydarzeniem objęło Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. ● **Red**

Szczegółowy program na stronie: **falehistorii.pl**

1 RP

eprasa.pl 995cb3273b

NASZE WAŚNIE Z BRATANKAMI

„Lengyel, Magyar, két jó barát", czyli „Polak, Węgier dwa bratanki" – to powiedzenie ma opisywać historyczne relacje obu narodów. Jednak jak to w rodzinie, zdarzały się i poważne spory, choćby o przebieg granicy.

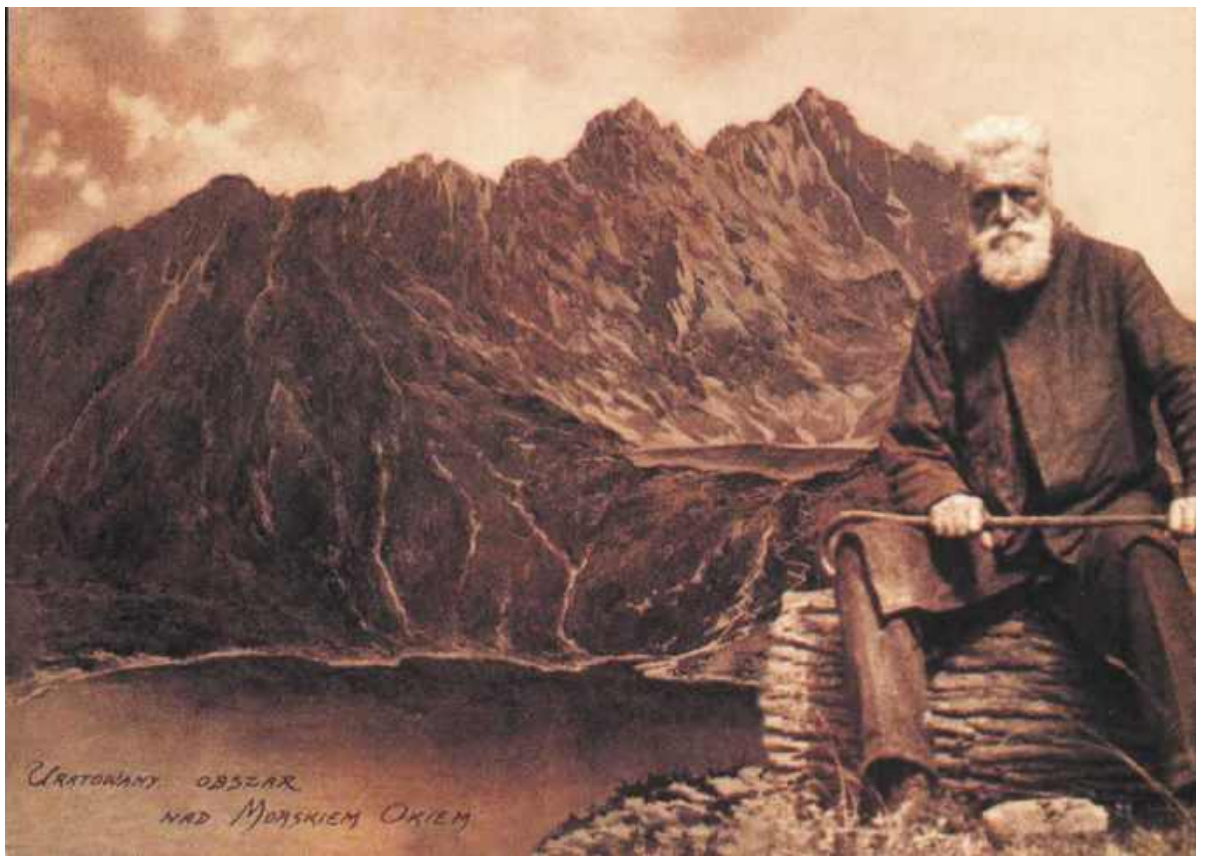

• **Władysław Zamoyski na tle Morskiego Oka, pocztówka wydana przez Bibliotekę Kórnicką** FOT. ZBIORY BIBLIOTEKI KÓRNICKIEJ

Bartłomiej Kuraś

Tatry do dzisiaj są symbolicznie przedstawione w państwowym węgierskim herbie, przywróconym po 1989 roku, obok pasm Fatry i Matry, jak góra w zielonym kolorze o trzech wierzchołkach zwieńczona koroną. Tęsknota Węgrów za wysokimi górami pewnie bierze się stąd, że w dzisiejszych granicach ich kraju najwyższy szczyt o nazwie Kekes mierzy jedynie 1014 m n.p.m. Na podobnej wysokości położone są niektóre górskie osady pod Tatrami.

Królestwo Węgier obejmowało m.in. ziemie dzisiejszych Węgier, Słowacji, Ukrainy, Serbii, Rumunii, Słowenii, Chorwacji, Austrii, a także Polski. Po przegranej pierwszej wojnie światowej i traktacie zawartym w Trianon w 1920 roku królestwo utraciło ponad 70 procent swojego obszaru, zachowując około 93 tysięcy kilometrów kwadratowych, z początkowych 325 tysięcy.

Zanim Węgrzy przegrali pierwszą wojnę światową, fragmenty dzisiejszej Rzeczpospolitej przez stulecia należały do Królestwa Węgier, choćby z położonym nad Dunajcem zamkiem w Niedzicy na Spiszu. Za czasów zwierzchnictwa Budapesztu nad tymi terenami w szkołach językiem wykładowym był węgierski, a przodkowie niektórych żyjących tam do dzisiaj rodzin uważali się za Węgrów, mówiąc o sobie, że są Madziarami.

UHRY, CZYLI EĘGRY

W 1770 roku, dwa lata przed pierwszym rozbiorem Polski, Królestwo Węgier przejęło dobra muszyńskie i znaczną część Sądecczyzny po wsie Dąbrowę, Mogilno i Boguszę pod Nowym Sączem.

Formalnie był to kordon sanitarny, wprowadzony też przez Austrię na Podhalu, przed dżumą, która rozprzestrzeniała się od wschodnich granic Rzeczpospolitej na Podolu. Jednak cel polityczny był jasny, przygotowanie do rozbioru Polski.

Do dzisiaj w lokalnym nazewnictwie można znaleźć ślady nawiązujące do Madziarów. Na przykład we wsi Uhryń, między Krynicą i Nowym Sączem. Uhry w gwarze góralskiej to Węgry.

Po siedmiu latach te tereny przejęła od Węgrów Austria i znalazły się w granicach Galicji.

W średniowieczu w trudno dostępne góry mało kto się zapuszczał. Jeśli już, to głównie zbójcy lub banici, ukrywający się przed władz monarszą. Z niżej położonych tatrzańskich hal i polan, wypasając owce, korzystali osadnicy wołoscy, którzy przywędrowali na Podhale i w Beskidy przez Bałkany. Na nieurodzajnej ziemi nie zależało dworom królewskim, skupiały się na wioskach, z których mogły pobierać podatki. Dlatego w czasach I Rzeczpospolitej biegnąca przez Tatry granica z Królestwem Węgierskim – obejmującym dzisiejszą Słowację, nazywaną wtedy Górnymi Węgrami – nie była dokładnie wyznaczona. A gdy góry zaczęły wzbudzać zainteresowanie, Polski nie było na mapach.

Sytuację polityczną w Tatrach zmieniły zabory. W 1867 r. na mapie Europy pojawiły się Austro-Węgry. Tatry uznano za wewnętrzną granicę monarchii – pomiędzy Galicją i Królestwem Węgier – ale jej dokładnego przebiegu nadal nie wyznaczono.

PRUSAK BIERZE MORSKIE OKO

Najgłośniejszy spór graniczny w Tatrach wybuchł o Morskie Oko.

W 1879 r. właścicielem Jaworzyny – dóbr po węgierskiej wówczas stronie Tatr – został książę Christian Kraft zu Hohenlohe-Oehringen. Był zapalonym myśliwym, w tatrzańskich dolinach urządził zwierzyniec, do którego ściągał egzotyczne zwierzęta z innych rejonów świata. A następnie urządzał na nie polowania.

Wykorzystując zapał pruskiego księcia, doradcy węgierskich władz zasugerowali mu, że pięknym miejscem na zakończenie wystawnych polowań – w których uczestniczyli możni ówczesnego świata – będzie Morskie Oko. Hohenlohe na przełomie XIX i XX wieku postanowił przejąć tatrzańskie jezioro.

Właścicielem terenów w Tatrach po stronie Galicji był wtedy hrabia Władysław Zamoyski, który nie chciał się zgodzić na węgierskie plany. W 1885 r. został wydalony z Kórnika w Wielkopolsce przez władze pruskie i pojechał do Galicji. Zamoyscy myśleli, by osiąść w Kalwarii Zebrzydowskiej, ale ostatecznie udali się na Podhale. W 1889 r. hrabia kupił dobra zakopiańskie wraz z Kuźnicami. W sporze o Morskie Oko po jego stronie stanęli podhalańscy górale, w tym wielu znanych – kroniki wspominają m.in. o Klimku Bachledzie i Bartusiu Obrochcie czy rodzie Nowobilskich. Dochodziło w górach do zbrojnych potyczek z węgierskimi żandarmami.

W 1770 roku, dwa lata przed pierwszym rozbiorem Polski, Królestwo Węgier przejęło dobra muszyńskie i znaczną część Sądecczyzny po wsie Dąbrowę, Mogilno i Boguszę pod Nowym Sączem

Austriacy uznali, że spór należy rozstrzygnąć przez arbitraż międzynarodowy, ponieważ formalnie Austria (z zagarniętą Galicją) i Węgry były oddzielnymi państwami złączonymi osobą monarchy. Procesem rozjemczym na wniosek monarchii austro-węgierskiej zajął się szwajcarski trybunał związkowy.

GALICJA (Z) GÓRĄ

Trybunał przyjechał nad Morskie Oko 6 września 1902 r. Wincenty Szymborski, zarządca dóbr polskiego hrabiego, opisał w pamiętnikach, że w trakcie wizyty biegły natknął się na Zamoyskiego kąpiącego się w chłodnych wodach tatrzańskiego jeziora. Hrabia zgodził się być pomocnikiem i przewodnikiem Szwajcara podczas zwiedzania terenu. Oprowadzając go, wytłumaczył, dlaczego ziemia ta przynależy do polskiej strony Tatr w ówczesnej Galicji.

Po wizytacji biegły stwierdził, że granica między Galicją a Węgrami powinna przebiegać od szczytu Rysów przez Żabi Szczyt Niżny, Żabią Grań, Siedem Granatów do zbiegu Rybiego Potoku i Białki. Sąd przyjął tę opinię i 13 września 1902 r. w Grazu wydał wyrok przyznający Galicji 351 z 362 hektarów spornego obszaru.

Wiadomość o takim rozstrzygnięciu sporu o Morskie Oko dotarła do Galicji drogą telegraficzną jeszcze tego samego dnia i wywołała entuzjazm. W Zakopanem zebrał się tłum, śpiewający na melodię „Mazurka Dąbrowskiego" zwrotkę ułożoną przez Ludwika Solskiego: „Jeszcze Polska nie zginęła, Wiwat plemię lasze! Słuszna sprawa górę wzięła, Morskie Oko nasze!". W Budapeszcie zapanował smutek.

16 lat później Węgry całkowicie straciły Tatry, w których państwową granicę Polska wytyczała z ówczesną Czechosłowacją. I tym razem nie były to proste negocjacje.

NIE TEN FERDYNAND

Już w grudniu 1918 r. Wojsko Polskie przekroczyło Łysą Polanę, zajęło Tatrzańską Jaworzynę i dotarło aż do Kieżmarku, gdzie stoczyło bitwę z dopiero co uformowaną armią czechosłowacką. Dowódcy czescy i słowaccy wobec przewagi militarnej Polaków byli skłonni pozostawić te tereny II Rzeczpospolitej – z fragmentem głównej grani Tatr Wysokich, Zadnim Gerlachem, Polskim Grzebieniem czy Lodowym Szczytem.

Jednak dyplomacja czechosłowacka nie dała za wygraną i przekonała państwa sojuszniczej ententy, że Polska chce zbyt daleko przesunąć południową granicę w rejonie Tatr. W styczniu 1919 r. do polskiego dowództwa został przekazany rozkaz aliantów nakazujący wycofanie się z terenów na południe od Łysej Polany. Polacy otrzymali informację, że decyzję taką podjął francuski marszałek Ferdinand Foch – naczelny wódz wszystkich sił sprzymierzonych podczas I wojny światowej na froncie zachodnim, którego Józef Piłsudski uważał za przyjaciela Polski (po wojnie polsko-bolszewickiej Foch został nawet mianowany marszałkiem Polski). Dowództwo postanowiło więc czym prędzej wykonać rozkaz. Po późniejszej weryfikacji alianckiego rozkazu okazało się, że postanowienie takie wydał Ferdinand... Vix – pułkownik, szef misji ententy w Budapeszcie, który sprzyjał Czechosłowacji. Na protesty polskiego dowództwa było już jednak za późno, żołnierze zdążyli wrócić na północną stronę Tatr.

Polacy przekroczyli Łysą Polanę ponownie w 1919 r., kiedy w Budapeszcie powołano Węgierską Republikę Rad (istniała od marca do sierpnia 1919 r.). Madziarska rewolucja komunistyczna wprowadziła zamęt także na Słowacji. Wojsko polskie skorzystało z okazji i znów zajęło tereny po południowej stronie Tatr. Jednak na wieść o maszerującej w stronę Tatr Węgierskiej Armii Czerwonej i z powodu wybuchu wojny polsko-bolszewickiej znów wycofało się za Łysą Polanę. Węgrzy po upadku w ich kraju komunistycznej rewolucji w 1919 r., już nie wysłali wojsk w stronę Tatr. Pozostawili jednak Tatry w swoim państwowym herbie. ●

eprasa.pl 995cb3273b

weekend ówka

WIWAT ZIEMNIAK!

Jest taka scena w „Seksmisji” Juliusza Machulskiego, gdy Lamia Reno (Bożena Stryjkówna) przychodzi odwiedzić najstarszą starowinkę, Julię Novack (Barbara Ludwiżanka), która pamięta jeszcze czasy, kiedy „mężczyźni byli na porządku dziennym” (i nocnym, wiadomo). Lamia odkrywa wówczas wielki sekret starowinki Novack, jakim jest hodowany w tajemnicy kartofel.

Lamia karci delikatnie Julię, mówiąc, że to zakazane, a potem mówi, że ma coś lepszego: dżemik truskawkowy.

Dżemik okazuje się wyborny („kwaskowy, dobry”), ale bądźmy szczerzy, gdzie mu tam do ziemniaka!

Bo czy dżemik, choćby nie wiem jak truskawkowy, poradziłby sobie w kosmosie? A ziemniak i owszem. Był pierwszym warzywem wyhodowanym w przestrzeni kosmicznej. Eksperci z NASA, wspierani przez naukowców z Uniwersytetu Wisconsin-Madison wyhodowali ziemniaki na pokładzie promu kosmicznego Columbia w 1995 roku. Idzie o to, że ziemniak jest bardzo wydajny – przy dobrych warunkach z jednego posadzonego kartofla można zebrać kilka kilogramów nowych bulw, stosunkowo łatwy „w obsłudze”, bo wymaga niewielkich ilości wody (sam ma jej bardzo dużo, poza tym rośnie pod ziemią) i ma mnóstwo potrzebnych człowiekowi składników: węglowodany, białka, witaminy (szczególnie witaminę C) czy minerały. Dla organizatorów kosmicznych misji to prawdziwy skarb. Nie przez przypadek w „Marsjaninie” Matt Damon hodował właśnie ziemniaki.

Z racji swych właściwości ziemniak jest podstawowym warzywem, czy wręcz pożywieniem – tzw. staple food - dla milionów ludzi na świecie, szczególnie w Europie i Ameryce Płn.

Ale nie to, żeby ziemniak nie potrafił być ekskluzywny. Co to, to nie! Otóż szwedzkie chipsy St. Erik’s kosztują ok. 50-60 dol. za opakowanie (ok. 220 zł). A w środku znajdziecie raptem... pięć sztuk chipsów! Zgoda, nie ma w tym zasługi samego ziemniaka, choć do produkcji tej przekąski użyto rzadkiej odmiany mandelpotatis, czyli ziemniaków migdałowych, hodowanych w północnej Szwecji. Swoje zrobiły dodatki: wodorosty truflowe z Wysp Owczych, piwo IPA czy grzyby Matsutake, których kilogram może kosztować nawet 2 tys. dol., ale chipsy bądź co bądź są ziemniaczane!

Jeśli wciąż nie jesteście przekonani o wyjątkowości ziemniaka, to ultima ratio na pewno będą frytki. Bo frytki to przecież lubi każdy!

Dlatego z radością przyłączamy się w dzisiejszej „Weekendówce” do świętowania Międzynarodowego Dnia Ziemniaka, którym ONZ ustanowiło dzień 30 maja. Niech żyje! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.p

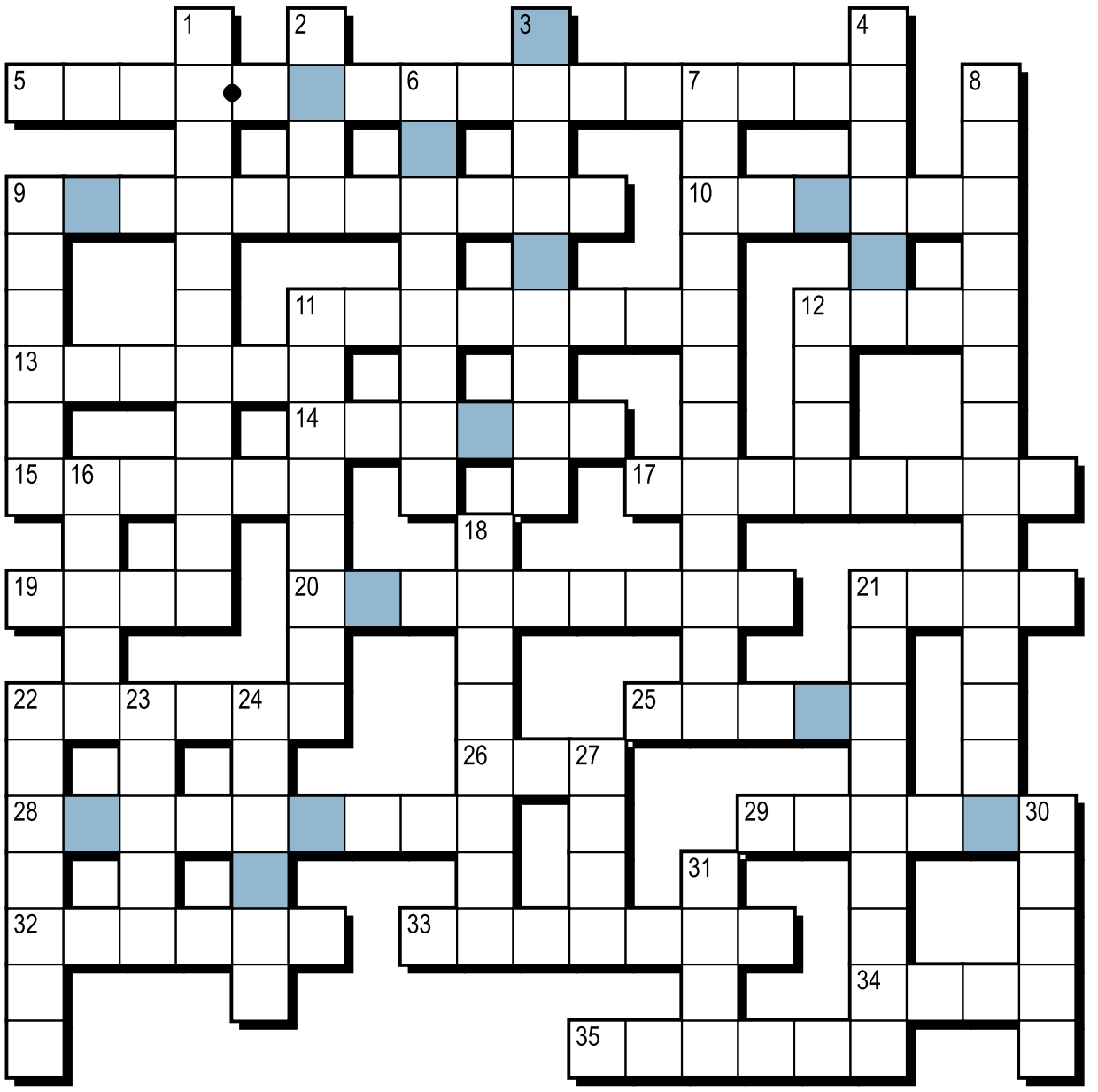

KARTOFELKI
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
5) stosowana m.in. do krochmalenia
9) urządzenie dla miłośników smażonych ziemniaczanych paseczków
10) „Kartofla. ... we czterech pieśniach”, niedokończony poemat heroikomiczny Adama Mickiewicza
11) XVI ..., wtedy ziemniaki przybyły do Europy
12) pługi poszły w tan
13) np. schaboszczak (obowiązkowo z ziemniaczkami i surówką!)
14) marka ziemniaczanych prażynek (psiak)
15) ... ziemniaczana, zwana też chrząszczem kolorado
17) podpowie, jak się żywić, by było zdrowo i optymalnie
19) odmiana ziemniaków (jak krzew o drobnych kwiatach)
20) ziemniaki o różowawej skórce
21) kluski z tartych ziemniaków i mąki
22) pasy pola ograniczone bruzdami, obsadzone np. ziemniakami
25) odmiana ziemniaków (jak dawna moneta)
26) zielona część rośliny
28) ... śląskie, ugotowane ziemniaczane kulki (zdrobniale)
29) ... po węgiersku (ziemniaczany, podany z gulaszem)
32) rzuca nasiona w glebę
33) jesienne ziemniakobranie
34) odmiana ziemniaków (jak kwiat)
35) obierka

Pionowo:
1) zupa na bryzie albo na irysie
2) alkohol jak znalazł do ziemniaków z kiełbasą i cebulą
3) ziemniaków – w żarze ogniska (mniam!)
4) właściciel gospodarstwa rolnego w USA
6) ziemniaki w ..., czyli ugotowane albo upieczone w łupinach (w mianowniku)
7) zepsucie się ziemniaków np. pod wpływem wilgoci w piwnicy (biały nalot)
8) „... Miłośników Literatury i Placka z Kartoflanych Obierek”, zekranizowana powieść Mary Ann Shaffer i Annie Barrows
9) wielki przysmak, smakołyk
11) stoiska na zielonym rynku
12) ... balsamiczny, dodawany do pieczonych lub smażonych ziemniaczków
16) przyda się, gdy najdzie nas chętka na placki ziemniaczane
18) w książce kucharskiej „1000 potraw z ziemniaka”
21) żartobliwie o Wielkopolsce jako regionie słynącym uprawami ziemniaków
22) np. ziemniaczane placuszki i śledzik do wódki
23) ziemniaki w gwarze góralskiej
24) kraj, z którego pochodzi ziemniaczana odmiana „vineta”
27) 100 g, np. frytek
30) ... Wschodnie, kojarzą się z taki potrawami jak pierogi, kartacze, draniki
31) ... ziemniaków (nabywanie od producentów)

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki” nr 206 z 23.05:
Poziomo: 3) Dysk 7) Leonardo 8) szczur 11) Jonathan 12) żółwiątko 13) pancerze 15) Logo 16) tempo 17) pluszaki 20) Franklin 24) Nemo 26) dureń 27) zupa 28) legiony 29) karapaks 32) kolizja 33) oceanarium 36) meta 37) jezioro 38) płetwa
Pionowo: 1) Momo 2) Galapagos 3) Donatello 4) książeczka 5) łuski 6) chelonologia 9) ciało 10) potwory 11) jedzenie 14) zieleń 18) Mongolia 19) Zenon z Elei 21) rady 22) Nirvana 23) nazwa 25) szyja 28) lakier 30) Park 31) Sammy 33) ogon 34) Ezop 35) Nike **Hasło: TWARDA SKORUPA**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34426992

1 RP

eprasa.pl 995cb3273b

wysokieobcasy.pl

wysokieobcasy

wyborcza

03 / Dzień Dziecka
Zabawa bez dorosłych

22 / Psychologia
Sztuka dobrego rozstania

EMILIA SIKORSKA

Udawaliśmy normalną rodzinę

– rozmowa Aleksandry Szyłło

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej". Sprzedaż łącznie z „Wyborczą" wysokieobcasy.pl NR 22 (1393) SOBOTA – CZWARTEK, 30 MAJA – 4 CZERWCA 2026

Patykiem, kamykiem

ALEKSANDRA LUBAŃSKA-CZUBAK

Dzień Dziecka to dobra okazja, żeby przypomnieć, że nasze potomstwo ma prawo do beztroskiej zabawy. Nienaznaczonej żadnym interesem, swobodnej, nieokiełznanej i niematerialnej. Bezinteresownej i niekontrolowanej, a nawet bezcelowej i bezproduktywnej. To tak ważne w dobie, kiedy każdy skrawek życia i czasu są zaplanowane, każda przestrzeń jest czyjaś i po coś. Panuje powszechna kalkulacja i monetyzacja. A przecież zabawa jest podstawowym, naturalnym prawem dzieci, nawet formalnie: taki zapis znajduje się w konwencji o prawach dziecka, ratyfikowanej przez Polskę w latach 90. Czy w czasach dobrobytu, komercjalizacji, globalizacji, nieskończonych możliwości, propagandy sukcesu i wyścigu PKB czasem o tym nie zapominamy?

Znajoma, mieszkająca w Wilanowie, opowiadała mi, że w szkole jej dziecka rodzice zapisują pociechy na bardzo wiele zajęć pozalekcyjnych. „Żeby nie miały czasu na głupoty". Ona też lubi mieć grafik dzieci i swój zapełniony. W zależności od sezonu synowie mają narty, tenis, golf, basen etc. Ale nawet dla niej przykład 10-letniego chłopca, który musi chodzić na język chiński w soboty rano, to zbyt wiele. Są granice.

Mój syn od najmłodszych lat stawiał na swoim. Nie chciał się zapisywać na zajęcia dodatkowe, już jako maluch na gordonkach szukał drzwi i odmawiał śpiewania pod dyktando. – Spróbuj – namawialiśmy z mężem – jak ci się nie spodoba, to zrezygnujemy. Na naukę pływania chodził przez kilka semestrów, szybko się nauczył i potem protestował, że już nie chce, bo przecież nauczył się pływać; w końcu ulegliśmy. Z piłką nożną było podobnie. Po roku powiedział dobitne „dość". To nic, że koledzy grają dalej. On już nie chce z trenerem, jedynie swobodnie na boisku. Zawsze twardo bronił sobót. Do południa mają być wolne. „Nic nie planujcie. To jest mój czas. Chcę pobyć w domu". To żywe, bardzo ruchliwe dziecko nie lubi zorganizowanych zajęć, tego, że ktoś mu narzuca, co i jak robić. Lubi uprawiać sporty, ale tylko wtedy, kiedy sam ma na nie ochotę, i nie w sformalizowany sposób. A najbardziej kocha samodzielnie wymyślać zabawy z kolegami i koleżankami.

Ale gotowe place zabaw też są atrakcją. Od małego wspinał się na najwyższe pająki, przyprawiając o palpitację serca swoje babcie. U mnie miał kredyt zaufania. Zasada była jedna: nie pomagam, sam wchodzi i schodzi, wie, czym grozi wspinanie się wysoko. To najostrożniejsze dziecko, jakie znam. Zna swoje możliwości, potrafi określić ryzyko. Nigdy nie miał wypadku. Myślę, że dałam mu cenną rzecz – moje zaufanie.

O dzikim placu zabaw piszemy w dzisiejszych „WO". Zazdroszczę go mieszkańcom Lublina. Dzieciaki same strugają miecze z patyków, same decydują, czym i jak będą się bawić. Dorośli nie mają tu wstępu. I bardzo dobrze! Bo to ich lęki najczęściej powodują, że dochodzi do wypadków. Mój syn byłby w raju.

Swobodna zabawa jest demokratyczna, nie wymaga wielkich pieniędzy. Patykiem, kamykiem, piaskiem – pozwólmy dzieciom beztrosko się bawić. To najlepszy prezent każdego dnia. Zaufajmy im. ▲

Aleksandra Lubańska-Czubak – redaktorka „Wysokich Obcasów"

JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA"

■ **NA OKŁADCE: Michelle Pfeiffer:** Aktorka wszechstronna • **Agnieszka Żulewska:** Z piaskiem w butach ■ **TEMAT NUMERU:** Gaslighting to manipulacja. Anna Wendzikowska, Ania Rusowicz, Joanna Racewicz, dr Małgorzata Gamian-Wilk ■ **TWARZE:** David Attenborough, Lisa Kudrow, Anna Starmach, Wojciech Tochman, Dawid Ogrodnik, Maria Przybyłko-Potocka ■ **PSYCHOLOGIA:** Powrót do matki - reportaż. Felietony: Katarzyna Kucewicz, Olga Woźniak ■ **KULTURA:** Agnieszka Drotkiewicz, Mariusz Szczygieł, Aleksandra Boćkowska ■ **MODA:** Koreańskie inspiracje ■ **PODRÓŻE:** Austria ■ **KUCHNIA:** Pastaman

www.wysokieobcasy.pl wysokieobcasy wysokieobcasy.pl listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Aleksandra Lubańska-Czubak

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska, Agata Łuszcz, Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Sylwia Sass

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTOR BIURA REKLAMY:
Marek Wilk
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Wioletta Napurka
SZEF PROMOCJI:
Agnieszka Placek

Z-CA SZEFA PROMOCJI:
Katarzyna Stożek
DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.
Na stronie 28 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy" nr 22 (1393)
NA OKŁADCE:
EMILIA SIKORSKA
FOT. DAWID ŻUCHOWICZ/ AGENCJA WYBORCZA.PL

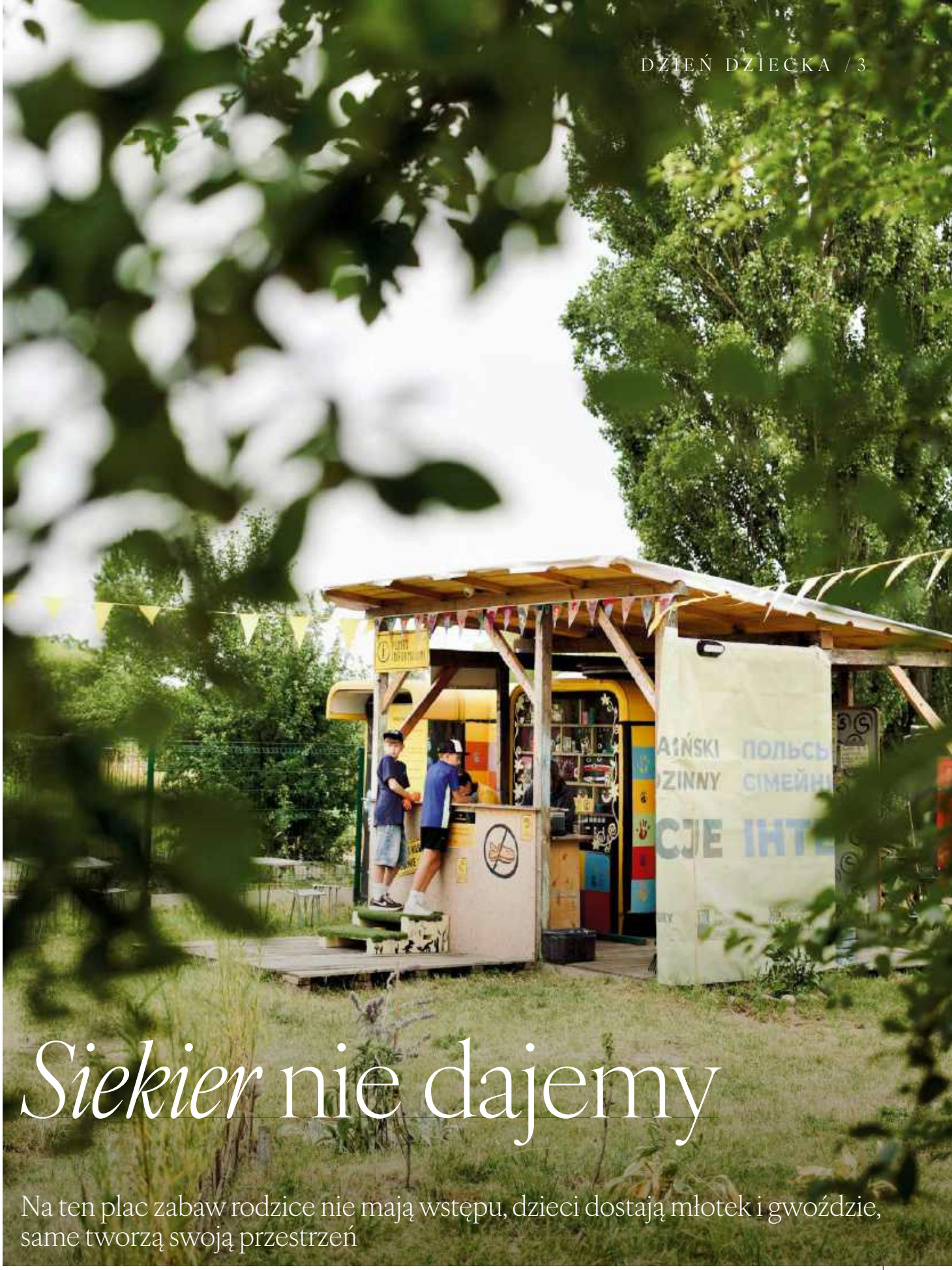

Siekier nie dajemy

Na ten plac zabaw rodzice nie mają wstępu, dzieci dostają młotek i gwoździe, same tworzą swoją przestrzeń

Z **RAFAŁEM SADOWNIKIEM**, TWÓRCĄ REZERWATU DZIKICH DZIECI, I **MICHAŁEM GŁOSEM**, PLAYWORKEREM, ROZMAWIA **MONIKA PASTUSZKO**

Co to?

RAFAŁ SADOWNIK: Resztka karoserii ciężarówki. Kiedyś to była normalna buda – ze światłami, z drzwiami. W zimie złomiarze zabrali drzwi. Potem dzieciaki rozebrały resztę.

Dzieci się na tym bawią?

RS: Więcej, same to zbudowały. Rezerwat Dzikich Dzieci to przygodowy plac zabaw, zwany czasem robinsonowym albo śmieciowym. Dzieci mogą tworzyć własne konstrukcje ze starych materiałów i bawić się jak chcą, a rodzice nie mają wstępu. Są tu playworkerzy i playworkerki, którzy pilnują bezpieczeństwa konstrukcji i wspierają zabawę. Działamy już ósmy rok i jesteśmy jedynym takim miejscem w Polsce [w Lublinie]. W Wielkiej Brytanii jest ich pięćset.

Kiedyś w Polsce też planowano takie miejsca, ale dziś nie ma po nich śladu. Na osiedlach z wielkiej płyty zalecano place zabaw dla maluchów, a ogrody dziecięce z robinsonadami dla nieco starszych: można to znaleźć w poradnikach dla projektantów osiedli z lat siedemdziesiątych.

Czym jeszcze dzieci się tu bawią?

RS: Na przykład oponami. Mieliśmy takie wielkie, przywoziliśmy je samochodem ciężarowym, bo we dwoje nie dało się ich ruszyć. Zobaczcie, zbudowali z nich traktor.

MICHAŁ GŁOS: Przydają się stare plandeki, bo jak się buduje struktury typu domek, to trzeba zasłonić wszystkie szpary, zrobić dach. Miski, wiaderka, stare garnki – to, w czym można przenieść wodę, przechodzi z rąk do rąk. Przydają się palety. Deski różnej długości. Młotki, gwoździe. Siekier już nie dajemy, bo żeby ich używać, trzeba nabrać wprawy. Stare wanny.

RS: Palimy też ogniska, ostrzymy kijki. Większość miejskich dzieci nie ma z tym kontaktu. Zasadą jest dobrowolność: stwarzamy możliwości zabawy, nie narzucamy.

Wyobrażałam sobie, że śmieciowy plac zabaw wygląda jak wysypisko. A tu jest estetycznie, choć w punkowym stylu. Dużo tu kolorów.

RS: Nie ma takiej liczby litrów farby, która by nie poszła, więc ją dozujemy. Ale dzięki niej powstają manifesty. „Płyń pod prąd" i narysowana łódeczka. To ekspresja emocji dzieciaków, a dla nas – cenne wglądy. Trzeba by przeprowadzić badania, rozmawiać nie wiadomo ile godzin, żeby to wyciągnąć – a dasz im farby i sami napiszą. Że coś jest fajne. O, tu wydrapane: RDD, rezerwat dzikich dzieci. Oznaczają też przestrzeń, określają reguły: podpisują rzeczy, piszą, co wolno, a czego nie wolno.

Mieliśmy tu w zeszłym roku statek. Każda deska była opisana! O zobacz, miał zderzak, miał przód, krzyż, ale też półksiężyc. Tu można było wchodzić na drugi pokład, miał gniazdo, miał żagiel. A tu napis: kapitan Chomik! Chcieliśmy go zachować, ale statek padł ofiarą wandalizmu jesienią, kiedy nikogo tu nie było. Jakaś młodzież wpadła i zniszczyła.

[Mój syn zaczyna bawić się na huśtawce zrobionej z nieheblowanej deski i kawałka pnia. Zamiast usiąść na końcu dechy, idzie po niej jak po równoważni. Na drugim końcu staje Rafał i kiedy dziecko idzie do środka, leci na desce w górę]

Boicie się wypadków?

RS: To jest najtrudniejsza rzecz.

Place zabaw w Polsce wyglądają tak, jak wyglądają: guma i urządzenia z katalogu, bo organizatorzy boją się, że coś się dziecku stanie. Huśtawka, na której się bawisz z moim synem, jest bardziej rozwijająca niż atestowane bezpieczne urządzenia do nudnego huśtania się góra-dół. Ale tu można łatwiej spaść, przytłuc palec, wbić sobie drzazgę.

RS: Pamiętam, jak sam reagowałem, kiedy zaczynaliśmy działać. Przed otwarciem przyjechał Max Mueller z organizacji London Play i weszliśmy razem na ten teren. Na środku był wielki dół, bajorko z wodą. Ja mówię: „Dobra, to miejsce trzeba zagrodzić, bo jest niebezpieczne". A on mówi: „Wiesz... jak dla mnie to wygląda na najfajniejsze miejsce". I radzi: „Może nie zamykajcie od razu, tylko zobaczcie, co się będzie działo?" – a tam dookoła rosły takie dwumetrowe pokrzywy. Ja sobie myślę: „No dobra, nie wejdą w pokrzywy". Ha! Już pierwszego dnia porobili w nich korytarze. Ale zachowywali się bardzo ostrożnie. Nikomu nic się nie stało.

My wyobrażamy sobie najgorsze rzeczy, które mogą się zdarzyć. Ale dzieciaki potrafią być ostrożne. Szczególnie kiedy są same, jak nie ma rodzica. To dorosły bywa powodem rozstrojenia, kiedy pospiesza albo zabrania. A jak dziecko ma czas, żeby spokojnie zobaczyć, jak coś działa, to podejmuje rozsądne decyzje.

Jak dorosły nadzoruje dziecko, to usypia jego odpowiedzialność i uważność?

RS: Tak. I wtedy zdarzają się wypadki. Mieliśmy tu kiedyś belkę na wysokości dwóch i pół metra, cztery metry długości, kilkanaście centymetrów szerokości. To był pomysł dzieciaków, żeby ją tak wysoko zamontować między wieżą a drzewem. Byliśmy przerażeni. „Przecież oni się będą zrzucać". I wiesz co? Chodzili po tym, próbowali, niektóre dzieciaki odważały się robić tylko jeden krok. Byli uważni. Nikt nie spadł. Nie zrzucali się.

Wypadki zdarzają się, kiedy wprowadzasz coś, co zwiększa poczucie bezpieczeństwa. Co daje dzieciom poczucie, że można ryzykować. Pierwsze dziecko się zsunęło z tej belki – nic się nie stało, obdrapana ręka i to wszystko – kiedy jeden z playworkerów pomyślał: „Zawieszę linę, żeby było się czego trzymać przy przechodzeniu, to będzie bezpieczniej". Dzieciaki zaczęły biegać, zamiast uważnie stąpać, i już pierwszego dnia lina komuś uciekła w bok i dziecko straciło równowagę.

Działacie tyle lat, a tu tyle ryzyka, gwoździ, nieatestowanych obiektów. Nie wierzę, że nie było poważnego wypadku.

RS: Nie, szpitala nigdy nie było. Najpoważniejszy był wybity ząb. I to była rzeczywiście nasza wina. Jesteśmy od tego, żeby eliminować ukryte zagrożenia, to, czego nie zauważysz, na przykład wystające gwoździe. W Anglii rozróżniają „risk" i „hazard", to drugie to ryzyko, którego nie dostrzegasz. Jeśli ktoś chce chodzić po płocie – w porządku, niech próbuje, niech ocenia ryzyko. Ale gwoździa na wysokości głowy nie zauważy – a to może być ostra kontuzja, szycie.

Pewnego roku dzieci zrobiły huśtawkę, na belce zawiesiły linę i oponę, na linie była metalowa szekla. Dzień przed wypadkiem moja żona mówi: „Zdejmijcie tę szeklę i zróbcie węzeł, żeby nie było tu metalowego elementu, który lata, jak dziecko się huśta". Dziewczynka następnego dnia huśtała się na tym i ta szekla stuknęła ją w zę-

FOT. MICHAŁ GŁOS; MONIKA PASTUSZKO

Pełno tu starych karoserii, desek i gwoździ, a jest bezpieczniej *niż na zwykłym placu zabaw*

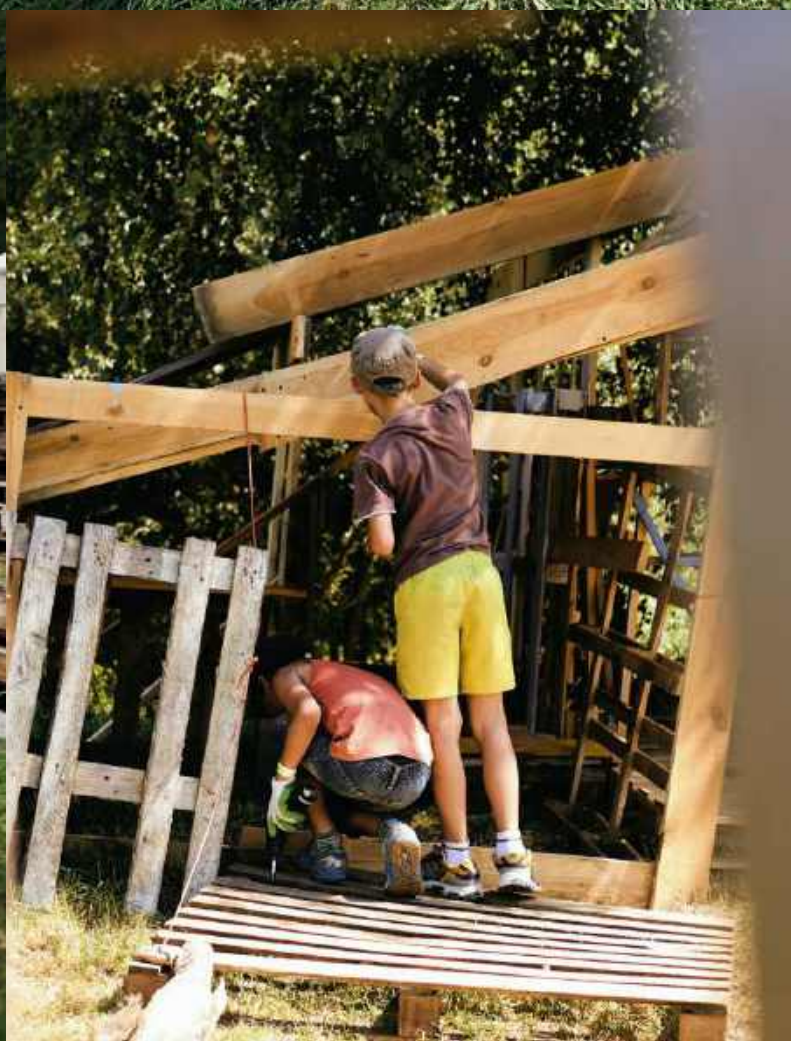

ba. Nie mocno! Ale miała świeżą jedynkę, która wychodziła. I ta jedynka wybita. Ona biegnie do playworkerek z lamentem. One od razu do rodzica telefon, rodzic do dentysty, a dentysta mówi: „Szukajcie zęba!!!". Playworkerki pobiegły, znalazły ząb, szybko do dentysty – i on wstawił dziewczynce ząb. I ma normalną, własną jedynkę. Cała akcja trwała mniej niż dwie godziny.

Rodzice mieli pretensje?

RS: Nie mieli. Kiedy ktoś przychodzi po raz pierwszy, to musi przyjść z rodzicem, żeby ten zobaczył miejsce, przeczytał i podpisał regulamin. Zrozumiał, co tu się robi. Zresztą ta dziewczynka była u nas od rana do nocy przez trzy lata, codziennie.

Tamten wypadek z zębem był najpoważniejszy, ale pamiętam jeszcze jeden. Mieliśmy tu karoserię Mercedesa z szyberdachem. I wiesz, mówię o rodzicach, że oni w jakiś sposób sprawiają, że wypadki się zdarzają. A wtedy przyszli reporterzy i dostali jakiegoś amoku. Zachowywali jak rozwydrzone dzieci. Zaczęli skakać po tym Mercedesie, ci reporterzy. A on miał szyberdach. I ten dach się wygiął. Niby nic się nie stało, ale parę dni później dziecko weszło na ten dach – i widać tam była już naruszona konstrukcja, jakieś napięcia powstały – i dziecko wpadło przez ten szyberdach do środka. Szyba rozbiła się na drobne kawałeczki, dziecko było pokłute. Krew się gdzieś pojawiła, ale kropelki, nic wielkiego się nie stało. Przykleiliśmy plasterki, dzieciak został na placu, nie szedł nawet do domu. Ale śmieszne jest to, że stało się to przez tych ojców. I to, że dzieciaki potem opowiadały sobie historię o tym wypadku, wyolbrzymiając go.

Dzieci mają w wyobraźni to, że coś może się stać?

RS: Tak. Dzieci przekraczają, testują, ale nie spotkałem dzieciaka, który robiłby totalnie głupią rzecz, ryzykując swoim życiem. Widziałem różne głupie zachowania: na przykład walenie siekierą w skrzynię gimnastyczną. Piękną, nową. I bezmyślnie – rozwałka. I sobie myślisz: „Jezu, po co, ręce opadają". Ale to też nie jest negatywne zachowanie, wandalizm, tylko sprawdzanie: mam siekierę, chcę zobaczyć, jak ona działa, a skrzynia stała obok.

MG: Jako społeczeństwo mamy takie założenie, że jak gdzieś dziecko się bawi, to ta przestrzeń musi być superbezpieczna. A jak coś się stanie – to musi być winny. Ale jeśli dzieci bawią się w takim miejscu, to nie uczą się reagować na zagrożenia. Terror bezpieczeństwa utrudnia im wyrobienie sobie wprawy w postępowaniu z ryzykiem.

Terror bezpieczeństwa?

MG: Bezpieczeństwo dzieci to argument, który wszystko uzasadni. Ale apologeci bezpieczeństwa nie zdają sobie sprawy, że pozbawiają dzieci prawa do nabycia kompetencji. Że można spróbować i nic się nie stanie.

RS: Nie chcę nostalgizować, ale kiedyś swobodna zabawa była akceptowana. Dzieci biegały, było je widać na osiedlach. A teraz – pamiętacie sprawę, w której rodzice dostali wezwanie od spółdzielni, żeby zmyć kredę z chodnika, i w odpowiedzi zaprosili jeszcze więcej ludzi na wspólne malowanie chodnika? Nie ma już takich historii. Na wielu nowych osiedlach punktem regulaminu jest to, że nie można malować kredą po chodniku. To ludzie takie zasady wymyślają i pod nimi się podpisują.

Jesteście w Polsce jedyni, ale może ktoś chciałby pójść w wasze ślady. Jakieś rady?

RS: Takie miejsca potrzebują ubezpieczenia, ale gdyby jakaś organizacja pozarządowa chciała wykupić ubezpieczenie, to mogłoby to być trudne. Bo każdy dorosły przyszedłby i pomyślał: „Uuu, tu się pozabijają".

To nietypowe miejsce, ubezpieczyciele nie wiedzieliby, jak to ugryźć. Więc najlepiej jest, jeśli przygodowe place zabaw są organizowane przez instytucje objęte miejskim ubezpieczeniem, u nas jest to dom kultury.

W Wielkiej Brytanii przygodowe place zabaw wykupują ubezpieczenia grupowo. Mają też wskaźniki: liczbę wypadków, która się wydarzyła w tego typu miejscach. Co ciekawe, przygodowe place zabaw są we wskaźnikach bardzo nisko, niżej niż place zabaw z urządzeniami z katalogu. Są bezpieczniejsze niż zwykłe place zabaw.

Rezerwat jest darmowy dla dzieci. Jak finansujecie działalność?

RS: Przez pięć lat finansowaliśmy się z budżetu obywatelskiego. Ale nie po to jest budżet obywatelski, aby finansować z niego regularną, cykliczną działalność. Rezerwat jest rodzajem placu zabaw, w którym przeszkoleni pracownicy zapewniają możliwość swobodnej zabawy. Jest darmową, powszechną usługą publiczną i jako taka powinna być finansowana z budżetu miasta. Bo tak jak do powszechnej edukacji, rekreacji i sportu, tak i do swobodnej zabawy (free play) dzieci mają prawo. Wystarczy zajrzeć do artykułu 31 Konwencji o Prawach Dziecka albo do Komentarza Ogólnego nr 17 Komitetu Praw Dziecka. Wrośliśmy w lubelski krajobraz, a musimy walczyć o pieniądze, jakbyśmy byli eksperymentem.

Raz wzięliśmy za cel, żeby rezerwat miał najwięcej głosów dzieci spośród projektów zgłoszonych do budżetu. Robiliśmy dużo: mieliśmy komputer na miejscu, mówiliśmy o tym. Sprawdzam potem statystyki po kolejnej edycji – niewiele się zmieniło. Co dostało najwięcej głosów dzieci? Oświetlenie przyuliczne na jednym z osiedli. No, bo jak masz dzieci, masz ich PESEL-e, to one nawet nie wiedzą, że głosujesz w ich imieniu.

Kiedyś pojawił się pomysł: budżet obywatelski dla dzieci. Fajny pomysł, pewnie, ale my najpierw powinniśmy zacząć traktować je poważnie gdzie indziej. Jeśli nie damy im sprawczości w szkole, w rodzinie, jeśli nie przyzwyczaimy ich, że mogą mieć zdanie na tematy ich dotyczące – no to sorry, to nie będzie tak działało. Dzieci muszą wiedzieć, że ich zdanie się liczy. Potrzebują decyzyjności, bo inaczej nie będą miały poczucia, że mogą coś same stworzyć, wymyślić, że mogą urządzać swój czas i swoją przestrzeń, że mogą brać odpowiedzialność i się z niej wywiązywać.

Na tym powinno być oparte wychowanie dzieci, na tym powinny opierać się instytucje dla nich przeznaczone.

Kim są playworkerzy i playworkerki?

RS: To ktoś, kto wspiera zabawę, ale jej nie narzuca. Trzeba mieć kompetencje społeczne raczej niż konstruktorskie. Mieć czuja, kiedy wkroczyć, co może zaraz się stać, a kiedy tylko obserwować. Wbrew pozorom nie jest łatwo powstrzymać się przed ingerencją! To nie jest praca dla urodzonego nauczyciela czy kierownika budowy. Zdarza się, że ktoś musi sam nauczyć się używać narzędzi, żeby potem towarzyszyć dzieciom. Jeśli ktoś i majsterkuje, i ma fajny kontakt z dziećmi – to jest idealną osobą.

Skąd nazwa Rezerwat Dzikich Dzieci?

RS: Zabawa dzieci nie jest oczywistością. Trzeba o nią walczyć z dorosłymi, którzy mają sprecyzowane wyobrażenia, co dzieci powinny robić. Dorośli myślą, że dzieci potrzebują zajęć rozwijających kluczowe kompetencje: karate, angielski, fortepian. W efekcie dzieci wyrabiają po szkole drugi etat, który niewiele różni się od szkoły. To znów zadania, nauka, hierarchia. A dzieci potrzebują swobodnej zabawy, potrzebują same wybierać i wymyślać, w co i jak się bawić, potrzebują miejsc, które im to umożliwią i które będą mogły samodzielnie kształtować, gdzie będą mogły się poczuć u siebie.

MG: Kiedyś zorganizowaliśmy antyferie: na przekór wyścigowi atrakcji, który ma miejsce w zajęciach dodatkowych. Nie miały typowego programu złożonego z kolejnych zorganizowanych zajęć, a zamiast tego było kilka sal wyposażonych w możliwości zabawy i osoby, które je wspierały. Po każdym dniu rozmawialiśmy, co było fajne, co nie. Okazało się, że dla dzieci ważne było zupełnie co innego, niż rodzice mogliby się spodziewać. „Poznałem nowych ludzi" – to było najważniejsze. Poznać kogoś, spędzić czas, bawić się. Czas, dostęp do różnych materiałów i drugi człowiek, a nie miliard zorganizowanych atrakcji. ▲

Rozmowa odbyła się w czerwcu 2025 r. W maju 2026 r. lubelski Rezerwat działa na podobnych zasadach. Jest dostępny dla dzieci między 7. a 15. r.ż. Młodsze z rodzicami mogą spędzać czas w strefie rodzinnej przed wejściem do Rezerwatu.

Jak dorosły nadzoruje dziecko,
to usypia jego odpowiedzialność i uważność.
I wtedy zdarzają się wypadki

Odejście to *początek*

Smarzowski w „Domu dobrym" pokazał, jak zrobić pierwszy krok. Ale za rogiem nie ma od razu spokojnego, dobrego życia

TEKST **ALEKSANDRA SZYŁŁO**
ZDJĘCIE **DAWID ŻUCHOWICZ/AGENCJA WYBORCZA.PL**

Kiedy się poznaliśmy, pracowałam w sklepie. Dzwonił do mnie w trakcie mojej zmiany. Jeśli nie odebrałam albo nie odpisałam od razu, stawał się podejrzliwy – opowiada Emilia Sikorska, założycielka Stowarzyszenia Kobieta w Kryzysie. – Ja wykładałam towar, a jemu w tym czasie zdarzało się zapędzić w SMS-ach do posądzania mnie o zdradę. Jak na początku reagowałam? Myślałam: stęsknił się, słodkie. I myślałam, że się zmieni, kiedy nasza sytuacja będzie inna. Pracowałam w Warszawie, on studiował w Olsztynie. Myślałam, że jak zamieszkamy razem, zobaczy, że mi takie rzeczy w ogóle nie w głowie. Miałam 20 lat i byłam bardzo zakochana.

Coraz częściej jednak bałam się, że znowu coś robię źle. Na weselu kuzyna złapałam na oczepinach welon i zgodnie z tradycją zatańczyłam z tym, który złapał muchę. A on z tego powodu uciekł. Skończyło się tak, że połowa gości go szukała. Z kolei na weselu u jego rodziny nieznany mi mężczyzna poprosił mnie do tańca. Odmówiłam, bo już wiedziałam, co by się mogło wydarzyć. Mimo to, jak wróciliśmy do domu, za sam ten fakt, że była taka sytuacja, rozwalił pięścią szafkę.

Po półtora roku związku już docierało do mnie, że to nie jest normalne. Ale właśnie wtedy okazało się, że jestem w ciąży. Ciąża od początku była zagrożona. Leżałam u moich rodziców na Mazurach, mama się mną opiekowała, mogłam wstawać tylko do toalety. Miał z Olsztyna bliżej. Ale jak przyjeżdżał, więcej czasu spędzał z kolegami niż ze mną. W szesnastym tygodniu zaczęło mi się odklejać łożysko, dostałam krwotoku. Spędziłam dwa tygodnie w szpitalu. Odwiedził mnie w tym czasie raz, pijany. A ja myślałam, że ze wstydu wejdę pod łóżko.

STOWARZYSZENIE KOBIETA W KRYZYSIE

Stowarzyszenie Kobieta w Kryzysie powstało w 2025 r. Oferuje bezpłatne wsparcie kobietom będącym ofiarami przemocy – dostosowane do indywidualnej sytuacji. Jest to pomoc prawna, psychologiczna i psychoterapeutyczna, ale też profesjonalne doradztwo, by odnaleźć się na rynku pracy czy np. w sprawach kredytowych i ubezpieczeniowych.
W zespole jest tłumacz języka migowego.
https://kobietawkryzysie.com.pl/ ,
tel. 724 518 588, info@kobietawkryzysie.com.pl

NADZIEJA

Po narodzinach syna poprawiło się. Sprowadził się do moich rodziców, podjął pracę, żeby zarobić na dziecko, przeszedł na studia zaoczne. Szczerze mówiąc, byłam bardzo szczęśliwa. Ale to nie trwało długo. Miesiąc czy dwa po porodzie zachorowałam na zapalenie piersi. Czterdzieści stopni gorączki, zastrzyki z antybiotykiem. Musiał pomagać mi tata, bo on był znowu na garażach, u kumpli.

Wtedy moja mama powiedziała do niego: „Dość tej zabawy w dom". Wyprowadził się. Gdy syn miał mniej więcej pięć miesięcy, rozstaliśmy się. Zdążyłam nawet złożyć pozew o alimenty. Ale po miesiącu, w moje urodziny, przyjechał. Z pierścionkiem zaręczynowym. Płakał. Powiedział wszystko, co chciałam usłyszeć. Wróciłam. Nadzieja była we mnie ogromna. Wynajęliśmy nasze pierwsze mieszkanie w Szczytnie. Ale niedługo później podjęliśmy decyzję o wyprowadzce do Warszawy, bo na Mazurach niełatwo o pracę i porządne zarobki. To był dobry czas. Poszedł do wojska. W tym samym czasie, to był 2012 rok, wzięliśmy ślub cywilny. Rok później zaszłam w drugą ciążę.

Wigilię spędzaliśmy u mojej siostry. Byłam w szóstym miesiącu. Po kolacji wróciliśmy do domu, okazało się, że przed wyjściem nie sprzątnęłam deski do prasowania. Rzucił we mnie żelazkiem. W ostatniej chwili osłoniłam brzuch. Następnego dnia przeprosił, ale to już nie były takie przeprosiny jak kiedyś. Już się tak nie starał, wiedział, że nie musi. Mieliśmy drugie dziecko w drodze. Wiedział, że bardzo chcę pełnej rodziny.

Nikomu nigdy nic nie mówiłam, że cokolwiek złego się dzieje. Kiedy byłam w drugiej ciąży, odwiedzała mnie koleżanka z pracy. Pamiętam, że kiedyś powiedziałam jej, żeby już szła, bo muszę zdążyć posprzątać, zanim wróci mąż. Jakby zauważyła, że coś jest dziwnie. Zaczęła wypytywać, czy u mnie na pewno wszystko w porządku. Dużo starania włożyłam w to, żeby mój uśmiech wyszedł naturalnie.

UPOKORZENIE

Córka urodziła się z jednym punktem Apgar i oboje skoncentrowaliśmy się na niej. Na szpitalach, wizytach, poradniach, logistyce. Znów miałam poczucie, że jesteśmy zjednoczeni. Dostaliśmy służbowe mieszkanie z wojska. W 2014 roku wzięliśmy ślub kościelny. W Katedrze Polowej Wojska Polskiego, on w mundurze. Myślałam o tym, że na chrzcinach córki będę mogła przystąpić do komunii świętej. Że teraz będzie lepiej, normalnie, tak, jak powinno być. Kiedy urodził się syn, jeden z księży odmówił nam chrztu, ponieważ nie mieliśmy ślubu kościelnego. Musiałam szukać innego księdza, który by się zgodził ochrzcić. Dla mnie to było trudne, upokarzające, nie chciałam przechodzić tego jeszcze raz.

Teraz mnie zaskakuje, że jak oglądam nasze zdjęcia z katedry, widzę w swoich oczach maskowany strach. Nie byłam szczęśliwa i spokojna. Bardzo chciałam być.

W 2017 roku ja również poszłam do wojska. Jako pracownik cywilny, w służbach. Radość z uzyskania stabilnej, ciekawej pracy zabił fakt, że w tym czasie dowiedziałam się, że mąż mnie zdradza. Skonfrontowałam go z tym.

Znowu usłyszałam wszystko to, co chciałam usłyszeć. I wybaczyłam. A jednak nie było miesiąca miodowego. Z czasem z jego strony zaczęły wybuchać akty zazdrości, jakbym to ja dopuściła się zdrady. Stopniowo zaczął mnie izolować od znajomych oraz ograniczać na wiele sposobów. Straszył, że jeżeli będę chciała od niego odejść, wywiezie dzieci do Australii i więcej ich nie zobaczę.

> „Napięcie, w jakim żyłam, było ogromne. Nigdy nie wiedziałam, o której godzinie wróci, w jakim stanie i co zrobi. Czego świadkami będą nasze dzieci"

Któregoś dnia zadzwoniłam pochwalić się, że dostałam propozycję awansu. Mąż akurat był na kursie w innym mieście. Gdy powiedziałam, dokąd miałabym przejść, rzucił słuchawką. A w kolejnej rozmowie oświadczył, że tam nie pójdę, „bo sobie tam męża znajdę".

Na weekend wrócił do domu. Dzieci spały u dziadków, my umówiliśmy się ze znajomymi do pubu. Zachowywał się, jakby nigdy nic, normalnie. Dopiero kilka kieliszków przy barze i wtedy nagle: „Ty kurwo" i poleciało...

Wezwałam taksówkę, chciałam uniknąć robienia z nas widowiska. W aucie włożył mi kciuka do ust i tak szarpał, że myślałam, że rozerwie mi policzek. Rozerwał mi tylko wędzidełko pod językiem.

Weszliśmy do domu. Walił w ścianę własną głową i pięściami, tak, że została dziura. Potem chwycił mnie za nadgarstki i rzucał mną o ścianę. Krzyczał, że „widział", jak na parkiecie w pubie uprawiałam seks z innym mężczyzną. Kiedy mnie puścił, udało mi się wyjąć telefon i zadzwonić na 112. Mąż uciekł. Wyskoczył przez balkon, z pierwszego piętra. Złamał wtedy piętę. Przyjechała policja. Chwilę porozmawiałam z policjantami i ostatecznie oświadczyłam, że do przemocy nie dochodzi... mimo iż panowie ze zdumieniem pytali „czy aby na pewno?". Bo miałam bluzkę we krwi.

NOC W ŁAZIENCE

Wrócił do domu nad ranem. Zamknęłam się w łazience i próbowałam zasnąć na podłodze. Pamiętam, że wsunęłam pod pralkę telefon z włączonym dyktafonem. Miałam taką myśl, że jeśli on tu wejdzie i coś mi zrobi, to chcę, żeby ktoś wiedział, co mi się stało.

Następnego dnia, jak w końcu wytrzeźwiał, przepraszał. Przytakiwałam, ale wewnątrz byłam jak sparaliżowana. Czułam, że muszę robić tak, żeby zachować spokój i dać sobie czas na pozbieranie myśli i ułożenie jakiegoś planu, co dalej.

To był początek grudnia. A kilka dni po tej historii wezwała mnie psycholożka syna. Syn od pewnego czasu uczęszczał na psychoterapię oraz był objęty opieką w poradni psychologiczno-pedagogicznej. Zaprowadziliśmy go tam wcześniej oboje ze względu na problemy z nauką, głównie z koncentracją na lekcjach. Tym razem jednak psycholożka wezwała tylko mnie. Uświadomiła mi, że problemy syna w szkole nie są czymś, co można naprawić w dziecku. Że wynikają z sytuacji rodzinnej. Taka prawda boli, bardzo boli.

Noce, kiedy mąż sprawdzał mój telefon w poszukiwaniu dowodów niewierności, były coraz częstsze. A ja naprawdę myślałam, że dzieci nie słyszą naszych krzyków, że śpią. Psycholożka uzmysłowiła mi, że to nasze awantury powodowały, że syn nie spał, a potem był nieprzytomny w szkole. A następnie jeszcze obrywał od ojca za złe wyniki, czasami pasem.

SAMA SOBIE WINNA

Boże Narodzenie spędzaliśmy jeszcze razem u teściowej. Pierwszego dnia świąt, 25 grudnia, wyszliśmy ze znajomymi do klubu. On zirytował się, że jakiś mężczyzna na mnie patrzy. Ja już wiedziałam, do czego to prowadzi. Zamówiłam taksówkę. Wróciliśmy pod dom teściów. Ale on nie wszedł. Poszedł w innym kierunku, krzycząc, że utopi się w rzece. To nie był pierwszy raz. Straszenie mnie, że się powiesi albo utopi, zdarzało się wcześniej. Od razu powiedziałam teściowej i ona do niego wydzwaniała, ale nie odbierał, miał wyłączony telefon. Po kilku godzinach wrócił. Od jego siostry usłyszałam: „Jak wiesz, jaki jest po alkoholu, to po co z nim wychodzisz?". Jeszcze wtedy byłam podatna na to. Myślałam, że może faktycznie to moja wina. To był już czas, kiedy przerwy między aktami agresji były coraz krótsze. Nie było już tych „miesięcy miodowych", które wcześniej podtrzymywały we mnie nadzieję. Mimo że zgłosił się do psychiatry i podjął leczenie, ja nie czułam się bezpiecznie. Zaczęłam pisać pozew rozwodowy i nie ukrywałam, że będę chciała odejść.

Jak się dowiedział, otwarcie poszedł w imprezy i inne kobiety. W pewnym sensie jego częsta nieobecność dawała mi więcej przestrzeni, żeby próbować skupić myśli i zastanowić się, co dalej. Ale napięcie cały czas było ogromne. Nigdy nie wiedziałam, o której godzinie wróci, w jakim stanie, co zrobi w domu. Czego świadkami będą nasze dzieci.

W kwietniu złożyłam pozew.

W maju była komunia syna i na zewnątrz wciąż jeszcze udawaliśmy „normalną rodzinę". Ta komunia jest o tyle ważna, że zaraz potem, jeszcze w maju, pożyczyłam od syna pieniądze z prezentów i dzięki temu miałam na wynajem pierwszego mieszkania. Miałam za co wyprowadzić się z dziećmi. Wyprowadziliśmy się w sierpniu.

OBIAD NA PAPIEROWYCH RĘCZNIKACH

Smarzowski w „Domu dobrym" pokazał początek. Bo odejście to początek. Tam za rogiem nie ma od razu spokojnego, dobrego życia.

W nowym mieszkaniu usiadłam z dziećmi i pierwsze posiłki jedliśmy na papierowych ręcznikach, bo nie miałam talerzy. Co ja wtedy czułam? Na początku to jest taki stan silnej mobilizacji, adrenaliny. Myślisz, jak zorganizować najbliższy dzień: rozwieźć dzieci do przedszkola i szkoły, zdążyć do pracy, podać jakiś obiad po powrocie. W pracy przyznano mi jednorazową zapomogę w wysokości 3 tys. zł, dzięki czemu kupiłam kołdry, poduszki, pościel, jakieś garnki, kubki, talerze.

W dniu wyprowadzki podałam mu SMS-owo nasz adres i napisałam, żebyśmy umówili jego widzenia z dziećmi. Wiedziałam, że muszę to zrobić, bo inaczej zostanę oskarżona o porwanie rodzicielskie. I tak powiedział, że przyjedzie z policją zabrać syna i córkę. Ostatecznie nic takiego się nie stało, ale każde oddawanie i odbieranie dzieci mnie paraliżowało. Czy wrócą? Co usłyszę? W jakiej dzieci będą kondycji psychicznej?

PIĘCIU PSYCHOLOGÓW I JA

A zaraz potem zaczęłam chorować. Ja, dotychczas zdrowa kobieta, po trzydziestce, rozpoczęłam pielgrzymowanie po lekarzach. Zlecali kolejne badania, odsyłali do kolejnych specjalistów. Moje próby leczenia, bez skutku, trwały dwa lata. Ostatecznie od pięciu lekarzy – kardiologa, gastrologa, neurologa, dentysty i internisty – usłyszałam to samo: objawy mają podłoże psychologiczne, musi pani szukać pomocy w tym

OGŁOSZENIE

zakresie. Broniłam się jak mogłam. Po co? Przecież to, co złe, już za mną. Odeszłam, porządkuję życie. Tylko to kołatanie serca, ten układ pokarmowy, te zawroty głowy, te starte zęby i boląca po nocy szczęka.

Prawnik doradził, żeby rozwód przeprowadzić jak najszybciej, dla własnego dobra. To znaczy, że bez orzekania o winie, bo wtedy mógłby ciągnąć się latami. Złożyć natomiast zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa znęcania się, czyli dotyczące przemocy, i będzie sprawa karna. Tak zrobiłam.

Koniec końców dopiero terapeutka syna przekonała mnie do decyzji, żeby pójść po pomoc również dla siebie. Szukałam, jak umiałam. Pięciu psychologów na kolejnych konsultacjach mówiło, że nie są w stanie podjąć się tej pracy, bo nie specjalizują się w takich przypadkach, że tego jest za dużo. Lub próbowali pomóc, jednak bez skutku. Dopiero szósty specjalista, psychotraumatolog, rozpoczął moją terapię. Mówię o tym dlatego, żeby pokazać, ile to kosztuje wysiłku, na który w takich okolicznościach trudno się zdobyć: czasu, pieniędzy. Idziesz do kolejnego gabinetu, znowu wszystko opowiadasz, słyszysz, że tutaj ci nie pomogą. To oczywiście nie jest wina tych psychologów, bardzo dobrze, że byli uczciwi. Chcę tylko pokazać, że jak człowiek nie wie, gdzie szukać odpowiedniej pomocy, i nie ma nikogo, kto go mądrze pokieruje, jak bardzo ta droga się wydłuża. A ile kobiet w podobnej sytuacji utyka po drodze, nie szuka dalej, rezygnuje?

Co mi pomagało w tym najtrudniejszym okresie? Dużą pomoc dostałam w pracy. Poza tą pierwszą zapomogą to były jeszcze pożyczki zero procent, które brałam na opłacenie terapii syna i swojej. Przez kilka miesięcy było tak, że ja miałam sesje dwa razy w tygodniu, plus jeszcze syn w terapii długoterminowej. Bez tych pożyczek nie miałabym szans. Oczywiście jeszcze długo będę je spłacała. Dla córki udało mi się uzyskać wsparcie psychologa bezpłatnie.

ULGĘ PRZYNIOSŁO TO, ŻE KTOŚ WYSŁUCHAŁ

Pomagało mi, że w pracy są osoby, którym zwyczajnie mogłam się wygadać. Jak już wydusiłam z siebie, jaką mam sytuację, spotkało mnie dużo życzliwości. Żeby ktoś wysłuchał – często to naprawdę wystarcza. Ta obecność.

I nie zawiodła mnie rodzina. Rodzice, rodzeństwo. Siostra potrafiła wisieć ze mną na słuchawce i cierpliwie słuchać, jak płaczę. Albo bywało, że razem płakałyśmy. Ważne są pozornie drobne gesty. Żeby ktoś ci powiedział: „Jeśli nie masz na nic siły, to jest OK". Ja przez te pierwsze miesiące po ucieczce od męża odsypiałam. Pewnie dlatego, że wcześniej przez wiele miesięcy nie mogłam spać, ciągle na tykającej bombie. W ciągłym lęku, że jak zasnę, to może zrobić krzywdę dzieciom lub mnie. Słyszymy w mediach przecież o takich sytuacjach.

Jeśli dzisiaj miałabym doradzić, jak wspierać osobę w takiej sytuacji, to najważniejsza jest obecność. Telefon, SMS, posiedzieć razem przy kawie. Na pewno nie miałam wtedy siły ani na imprezę, ani na siłownię, ani żadne plany typu „zrób coś dla siebie". Przez kilka lat czas dla mnie – to było piętnaście minut kąpieli i papieros na balkonie. Cały czas podporządkowałam dzieciom, pracy i składaniu codzienności na nowo. Budowanie nowego spokoju jest o tyle trudne, że przeszłość co i raz znowu chwyta cię za gardło. Kolejna rozprawa. Przekazywanie dzieci. Kolejne wiadomości od niego, jaką jestem złą matką, bo źle ubrałam, dałam złą kurtkę. Mój były mąż zgłosił mnie do MOPS-u, że zaniedbuję syna i córkę. Miałam kontrolę. Niczego złego nie wykazała. Pracownica opieki społecznej żałowała mnie później, ale to zostawia w człowieku ślad.

Nauczyłam się pobierać regularnie zaświadczenia z przedszkola i szkoły, że dzieci prawidłowo funkcjonują, że są zaopiekowane. Nauczyłam się prosić regularnie pediatrę o zaświadczenie o stanie czystości skóry. Wszystko po to, żeby w razie kontroli, w razie rozprawy, mieć zaświadczenie, że normalnie opiekuję się własnymi dziećmi.

JESTEM DZIŚ OSTROŻNA

Proces karny trwał pięć lat. Bywało, że na drugi dzień po jakichś zdarzeniach mdlałam w pracy. Z przemęczenia, z powodu emocji po rozprawach, zeznaniach.

W pierwszej instancji były mąż został uznany winnym. Sąd zmienił jednak kwalifikację czynu ze znęcania na pobicie. Ta zmiana sprawiła, że czyn jednocześnie się przedawnił, sprawca mimo winy nie został więc ukarany. Dlatego sprawa jest na etapie postępowania apelacyjnego, w związku z apelacją złożoną m.in. przez prokuraturę.

Z perspektywy siedmiu lat po odejściu mogę powiedzieć, że rozwód, nawet w takich okolicznościach, u nas nie spowodował zerwania kontaktu dzieci z ojcem. Oni mają relację. Choć na początku lęk u syna przed spotkaniem z ojcem często był bardzo silny. Syn po siedmiu latach terapii, córka w trakcie terapii, obecnie już nastolatki, dużo się nauczyły, potrafią jasno stawiać granice, mówić, jak im jest i czego potrzebują. On też od czasu postawienia zarzutów znęcania się wiedział, że jest „na cenzurowanym", że musi się pilnować. Ale to nie tak powinno wyglądać. To my, dorośli, powinniśmy budować te relacje od początku jako ciepłe, bezpieczne.

Minęło dobrych kilka lat, zanim byłam gotowa pomyśleć o tym, żeby umówić się z jakimś mężczyzną. Bo jest lęk. Czy umiem? Czy to się nie powtórzy? Czy dobrze wyczuję sygnały? Jestem teraz bardzo ostrożna.

Stowarzyszenie Kobieta w Kryzysie założyłam, żeby inne kobiety mogły skorzystać z mojego doświadczenia i nie popełniały moich błędów. Ponieważ wiem, jak obciążające finansowo jest otrzymanie profesjonalnego wsparcia, zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, aby ta pomoc była bezpłatna. Dla tych kobiet, które są na początku swojej trudnej drogi, zebrałam specjalistów, którzy profesjonalnie i kompleksowo wesprą w procesie odchodzenia od przemocowca. W dalszym ciągu poszukujemy też osób eksperckich, którzy chcą z nami działać.

Przez kilka miesięcy zgłosiło się do nas już ponad sto kobiet. Ze wsi i z miasta, niepracujące zawodowo, lekarki, prawniczki, sprzedawczynie, urzędniczki, psycholożki. Wykształcenie nie chroni przed przemocą. Człowiek w matni jest jak za mgłą. Bo jak inaczej zrozumieć, że prawniczka pyta, czy ona może wymienić zamki w swoim własnym mieszkaniu?

Często jest tak, że kobieta po raz pierwszy kontaktuje się, opisując akty przemocy, jakich doświadcza i pada pytanie: „Czy to jest przemoc, czy mi się wydaje?". ▲

Chcę pozostać *rewolucjonistką*

Przestrogi księży, że Bóg wie wszystko i wszystko widzi, bardzo mnie w dzieciństwie przestraszyły, przyjęłam je dosłownie

Z **ANNĄ JADOWSKĄ**, REŻYSERKĄ I SCENARZYSTKĄ, ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**
ZDJĘCIA **DAWID ŻUCHOWICZ/ AGENCJA WYBORCZA.PL**

ANNA JADOWSKA

– scenarzystka i reżyserka. Ukończyła polonistykę na Uniwersytecie Wrocławskim i Łódzką Szkołę Filmową, gdzie obecnie wykłada. Literacko zadebiutowała w 1996 roku w „Brulionie", publikowała również w piśmie „Rita Baum". „Dadzieja" to jej pierwsza książka prozatorska.

Spełniło się, jesteś pisarką.
Zawsze chciałam być pisarką, ale nie spodziewałam się, że historia, którą pisałam przez kilka lat bezinteresownie, stanie się książką. W dzieciństwie pisałam wiersze, a potem na pożyczonej maszynie do pisania wystukiwałam opowiadania. Na polonistyce zdecydowałam się wysłać jedno z opowiadań do BruLionu, w którym wtedy publikowali Jacek Podsiadło i Marcin Świetlicki. Wydawało mi się, że pismo ma męską energię, dlatego tekst, który wysłałam do redakcji, podpisałam imieniem i nazwiskiem mojego taty: Antoni Jadowski. Któregoś razu tata dostał kartkę pocztową od Roberta Tekielego, redaktora naczelnego pisma: „Drogi Antoni, chcemy wydrukować twoje opowiadanie". Był zaskoczony.

Do szkoły filmowej też zostałaś przyjęta z powodu opowiadania. Nie miałaś nigdy wcześniej kamery w rękach.
W liceum chodziłam do domu kultury we Wrocławiu na zajęcia filmowe, ale kręcenie filmów wydawało mi się zajęciem dla mnie nieosiągalnym. Skończyłam polonistykę, pracowałam w radiu, kiedy moja koleżanka powiedziała mi, żebym coś ze sobą zrobiła, bo „kapcanieję". Wtedy wymyśliłam szkołę filmową w Łodzi. Egzaminy były wielostopniowe. Usłyszałam, że komisji bardzo podobało się moje opowiadanie, ale na liście przyjętych zobaczyłam swoje nazwisko jako pierwsze pod kreską. Napisałam list do rektora i zostałam przyjęta.

„Dadzieję" pisałaś między filmami, które kręciłaś?
Tak, najczęściej na urlopach.

Wieś na Dolnym Śląsku i dwie siostry wychowywane przez matkę. Skwar lata i ciało dziewczynki znalezione w lesie. Rozbuchana wyobraźnia. Pierwszy dreszcz erotyzmu i pierwszy okres. Wstyd i strach przed kobiecością. Wszystko to widziałam w „Dadziei". Miałam wrażenie, że bardziej oglądam twoją opowieść, niż ją czytam. Sądziłam, że wzięła się z porzuconego scenariusza.
Kilka lat temu przyszły do mnie niespodziewanie pierwsze zdania. Czekałam wtedy na syna, który brał lekcje rysunku. W następnym tygodniu pojawiła się pierwsza scena, a potem w cotygodniowym rytmie zajęć Antka kolejne. Lekcje rysunku się skończyły i odłożyłam pisanie na kilka miesięcy, a kiedy do niego wróciłam, miałam poczucie, że to, co czytam, napisał ktoś inny.

Bo ta opowieść sama ci się napisała?
Tak, nie wymyślałam jej, nie zastanawiałam się, co powinno się wydarzyć. Kiedy usłyszałam głos starszej siostry, spodobała mi się melodia jej języka. Otworzyłam się na nią z ciekawością, dokąd mnie jej głos zaprowadzi. Stąd narracja „Dadziei" jest pierwszoosobowa. Ale nie jest to opowieść o moim dorastaniu.

A ja myślę, że jednak jest. O twoim, moim i wielu innych dziewczynek.
Może trochę, zapisałam na pewno jakieś swoje dziecięce emocje i stany. Kiedy w Teatrze Nowym moja przyjaciółka Marta Nieradkiewicz czytała fragment „Dadziei", który zaczerpnęłam ze swojego życia, miałam uczucie, że znalazłam się poza czasem, w stanie „out of body experience". Przyglądałam się swojemu dzieciństwu z dziwnej perspektywy, jakby było zawieszone w szklanej kuli, i poczułam, że wszystko się w nim domyka. Było to dla mnie silne doświadczenie.

Coś jak wewnętrzna autoterapia?
Może. Jakbym coś zaskakująco dla samej siebie przepracowała, wyrzuciła z siebie, zamknęła w książce na klucz. Mam wrażenie, że nieświadomie próbowałam ułożyć te sytuacje z dzieciństwa, które pamiętam, w całość, która może nie ma puenty, ale ma formę fizyczną. Ale przeszłość wciąż we mnie pracuje, bo wraca z głosami tych, którzy czytali moją książkę. W ich refleksjach ja również się odbijam.

Pierwszą osobą, która przeczytała „Dadzieję" w całości, była moja siostra Lucyna, która jest ode mnie 12 lat młodsza. Powiedziała, że cały czas się zastanawiała, co ja wymyśliłam, a co wydarzyło się naprawdę.

Chyba tylko mój brat i moja przyjaciółka z dzieciństwa mogliby odkodować tę książkę i zobaczyć w niej wydarzenia, które nam się przydarzyły.

Kiedy szłam za głosem narratorki, miałam wrażenie, że jej sposób patrzenia na świat jest twoim, ale kiedy wczytałam się w jej młodszą siostrę, poczułam, że to z ciebie jest jej życiowa anarchia, albo brawura.
Mam nadzieję. Mimo że się starzeję, to chciałabym pozostać do końca życia rewolucjonistką. Myślę, że krytyczne myślenie i kwestionowanie rzeczywistości jest w stanie utrzymać nas w stanie wrzenia; nie chodzi o to, by się ciągle buntować, ale by być czujnym, uważnym. Nie pozwolić, by kolejne sytuacje, inni ludzie, formowali nas na własne podobieństwo, ale żeby po-

zostać wiernym sobie. I nawet w najbardziej oczywistych sytuacjach nie bać się zadać pytania: „A właściwie dlaczego?”.

Opowiesz mi o swojej pierwszej życiowej rewolucji?
Pochodzę z prostej, wiejskiej rodziny i nie wiadomo dlaczego byłam dziewczynką, która bardzo dużo czytała. W Ligocie Małej była biblioteka, której oczywiście już nie ma, i prawdopodobnie przeczytałam wszystkie książki, jakie w niej były.

Dobrze się uczyłam i miałam apetyt na edukację, za którym moim rodzicom trudno było podążać, bo nie mieli ani odpowiednich narzędzi, ani pieniędzy. Tato pracował, a mama się nami zajmowała. Miała wiele talentów. Pięknie śpiewała, malowała, robiła nam swetry na drutach czy sznurkowe torby. Myślę, że była bardziej utalentowana ode mnie.

Więc byłaś z rodzeństwem pierwszym pokoleniem, które emancypowało się przez edukację?
Tak, moja babcia pochodziła z chłopskiej rodziny i jako siedmiolatka została oddana na służbę. Kolejny film, który chcę zrobić, jest nawiązaniem do jej historii. Odtwarzam ją z fragmentów opowieści, jakie od niej słyszałam. Będzie miał tytuł „Ocean Tetydy”.

Czy – tak jak siostry z „Dadziei” – słuchałaś historii opowiadanych przez sąsiadki w waszej kuchni?
Tak. I mama czasami mnie przeganiała, bo sąsiadki się nie cenzurowały. Romanse, zdrady, choroby – to były ich główne tematy, które umiały wyjątkowo sprzedać. To nie były obojętne opowieści znad kotleta, tylko emocjonalne historie powtarzane z iskrą w oku. Fascynował mnie w nich właśnie ten ładunek emocji i energia, przy których nie sposób było się nie zatrzymać.

Jak by nie było, plotkowały, co w małych społecznościach jest typowe. Każdy wszystko o wszystkich wie.
Oczywiście, że były to plotki, ale każda plotka ma też w sobie trochę pozytywnego ładunku, bo sąsiadki też przecież opowiadały o sobie, chciały się z kimś podzielić, tym, co widzą, co czują. A każda z nich widziała te same sprawy zupełnie inaczej i z tych rozrzuconych kawałków próbowałam poskładać świat. Ilekroć wracałam do domu ze studiów, słyszałam, że jakaś sąsiadka mówiła mamie, że jestem w ciąży. Ale z drugiej strony, mimo tej wścibskości, dzięki zainteresowaniu życiem innych ludzi, więzi były silniejsze niż dzisiaj.

Czy nie sądzisz, że te wiejskie kobiety spotykające się w kuchni i sąsiadki, o których rozprawiają, łączy rodzaj niespełnienia?
One pewnie w ten sposób o tym nie myślały, to było po prostu ich życie. Ale ich codzienność ograniczała się do powtarzalnej rutyny. A jeśli człowiek posiada jakieś talenty, które mogą przyjąć formę fizyczną, ale okoliczności życiowe na to nie pozwalają, to może zrodzić się duszy smutek i niespełnienie.

W książce mama dziewczynek wychowuje je samodzielnie, a ich ojców wspomina ze wzgardą. Wydaje się matką nowoczesną. Ale jest też matką chłodną i nieobecną.
Nie jest to dla mnie takie oczywiste. Ona jest nowoczesna w swoich wyborach. Bo bardzo młodo została mamą. Spadła na nią ciąża, jedna, druga i ocknęła się w wieku trzydziestu kilku lat z dwójką wymagających dzieci. Jej mechanizm obronny spowodował, że odcięła się od tej sytuacji. Chce się podobać mężczyznom, tańczyć w pięknej sukience, a tymczasem została uwięziona w roli społecznej. Kiedy teraz rozmawiam z ludźmi, którzy czytali książkę, nie jest to dla nich tak jednoznaczne, że ona jest złą matką, widzą w niej też te ukryte pragnienia.

Jest nieszczęśliwa, jak większość tych kobiet. Dla której z nich masz najwięcej współczucia?
Do wszystkich. Najtrudniej miała dziewczynka zamordowana w lesie. Ale przecież każda dziewczynka, dorastając, musiała zostawić jakąś część siebie w metaforycznym lesie. Kolejne progi dorastania odbierają nam naszą dzikość i szaleństwo.

Dorastałaś na Dolnym Śląsku, pośród „poniemieckich” lasów. I tak jak twoje bohaterki, wykopywałaś z ziemi fragmenty porcelany i używałaś przedmiotów, które miały wcześniej innych właścicieli. Jak takie doświadczenie wpłynęło na twoje życie?

OGŁOSZENIE

Mam w sobie rodzaj wewnętrznej swobody i jestem w ciągłej drodze. Nie chcę osadzenia, bo wiem, że wszystko jest płynne. W miejscu, gdzie rozmawiamy, była kiedyś zajezdnia autobusowa, teraz jest Teatr Warlikowskiego, ale nie wiadomo, co będzie za kilkanaście czy kilkadziesiąt lat. Nie przywiązuję się do rzeczy, nie zbieram żadnych nagród, dyplomów, artykułów czy recenzji moich filmów. Nie mam potrzeby, żeby to gromadzić.

Ale mam na przykład „poniemiecki" secesyjny kredens, który moja mama kupiła od sąsiada za puszkę farby. Odnowiła go i stał w naszym domu. Teraz stoi w moim mieszkaniu w Łodzi.

Bardzo wrażliwa dziewczynka z wyobraźnią nie bała się używać przedmiotów po kimś? Nie bałaś się duchów, zaklętych w tych poniemieckich domach?
W dzieciństwie parę razy miałam wrażenie, że widziałam ducha. Miałam bardzo bujną wyobraźnię, często koszmarne sny, i lubiłam snuć historie w swojej głowie. Obdarzyłam tą cechą siedmioletnią bohaterkę filmu „Ocean Tetydy". Dziewczynka, która trafia na służbę, przeżywa tak silnie rozstanie z domem, że w pałacu, w którym pracuje, widzi ducha. Ja po tym nocnym spotkaniu strasznie się bałam spać sama.

Opowiadaj!
Niewiele pamiętam. Kiedy się obudziłam, w drzwiach stała kobieta, która mi się przyglądała. We włosach miała spinkę, ale nie wiem, czy sobie to wyobraziłam, czy coś mi się przyśniło.

Zastanawiasz się, kim mogła być?
Pamiętasz opowiadanie Olgi Tokarczuk, w którym narratorka rozmawia z kobietą, która widziała w dzieciństwie ducha? Będąc dorosłą, uświadomiła sobie, że to był obraz jej samej z przyszłości. Więc może to ja dzisiejsza byłam tą, która na mnie patrzyła.

Bałaś się?
Wszystko bardzo mocno przeżywałam. Kiedy zdałam do liceum, które było bardzo restrykcyjne, nie spałam z powodu stresu i ogromnego napięcia.

Twoja bohaterka boi się Pana Boga, który „wszystko widzi". Z tego powodu nie pozwala sobie nawet na myśli, które wydają jej się wstydliwe.
Przestrogi księży, że Bóg wie wszystko i wszystko widzi, bardzo mnie w dzieciństwie przestraszyły, przyjęłam je dosłownie, nie miałam wtedy świadomości, że te restrykcje wynikają jedynie z potrzeby kontroli życia ludzi. To potworny hamulec, który nakłada się młodemu mózgowi w momencie rozwoju. Taki mechanizm manipulacji powinien być zabroniony.

Wstydziłaś się swoich myśli?
Tak, wstydziłam się. To napominanie o wszystkowidzącym i wszystkowiedzącym jest zarzewiem wstydu, w który Kościół katolicki nas wikła. Przestałam chodzić do kościoła w podstawówce, oczywiście po ostrych awanturach w domu.

Piszesz o wstydzie menstruacyjnym i dojrzewania. Pamiętam obmacywanie, bałam się, że i na mnie padnie. Nauczyciele nie reagowali na tę jawną przemoc chłopaków wobec dziewczynek.
Nie pamiętam, czy mnie się to przydarzyło, ale pamiętam wstyd patrzenia na przemoc i okrucieństwo wobec koleżanek.

Temat naszego miesiączkowania był zakopany i obarczony wstydem. Okres nie był naszym biologicznym, integralnym stanem, z którym się godzimy, tylko miał zabarwienie pejoratywne. W moim domu to był temat neutralny. Pamiętam, że tato kupował nam w sklepie podpaski.

A pamiętasz niepokój, kiedy musisz przejść obok grupy chłopaków?
Do tej pory go odczuwam. Kiedy ktoś za mną idzie w nocy, to się zatrzymuję, wyciągam telefon i dzwonię. Ten strach ciągnie się za mną od dzieciństwa i mam wrażenie, że towarzyszy wszystkim kobietom. W moim przypadku bierze się z opowieści i przestróg mojej mamy i babci, ale przecież jest on kulturowo uzasadniony.

Sądzisz, że to dzięki opowieściom mamy, babci, sąsiadek tak świetnie czujesz wewnętrzną prawdę swoich bohaterek? Dorota Pomykała, która zagrała główną rolę w twojej „Kobiecie na dachu", powiedziała mi, że nikt tak jak ty nie czuje kobiet.
Miejsce, w którym się wychowałam, jest moim źródłem, z którego czerpię, pisząc. Nic wielkiego się tam nie wydarzyło, ale ludzie, wokół których wyrastałam, są moim kapitałem emocjonalnym. Ich szczera obecność i prawda były silnie obecne w moim życiu, zanim nawet zaczęłam nazywać rzeczy słowami. I przyroda wokół. To mnie zbudowało, plus pewnie to, co odziedziczyłam od kolejnych pokoleń ciężko pracujących przodków.

Twoje filmowe bohaterki wydają mi się smutne i nieszczęśliwe. „Dadzieja" również nie jest książką radosną.
To ciekawe, że się takie wydają, ja chciałabym, żeby były nieoczywiste i złożone. Za każdym razem, kiedy kończę film, to sobie obiecuję, że następny będzie radośniejszy.

Czujesz w sobie smutek?
Tak. Ale nie wiadomo dlaczego smutek jest w naszych czasach negowany i odrzucany. Jest częścią życia, możemy z niego czerpać siłę do krytycznego myślenia i do zmian. Nie możemy ciągle najadać się słodkimi piankami.

Czy smutne filmy nie wydają ci się najprawdziwsze?
Teraz jest oczekiwanie na chociaż kropelkę nadziei na końcu.

Spodziewam się, że zdarzyła ci się niejedna historia beznadziejna.
Kiedy moja mama zachorowała na raka, skupiłam się na tym, żeby ją ratować. Wymyślać sposoby, jak można ją uleczyć, i poniosłam fiasko. Bardzo długo miałam do siebie pretensje, że nie zrobiłam wszystkiego. Śmierć mamy spowodowała największą zmianę w moim życiu.

Co się zmieniło?
Zweryfikowałam swoje poczucie sprawczości. I odpuściłam. Opadło ze mnie napięcie, że coś muszę. Nie wszystko muszę i nie wszystko mogę. To było tragiczne i uwalniające jednocześnie.

Wtedy pozbyłaś się dadziei?
To słowo wymyślił mój syn i oznacza nadzieję w sytuacjach beznadziejnych. Czy ją straciłam bezpowrotnie? Chyba nie da się jej stracić całkowicie, zawsze gdzieś się tli pod najczarniejszymi myślami. ▲

ANNA JADOWSKA
„Dadzieja", wyd. Czarne

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

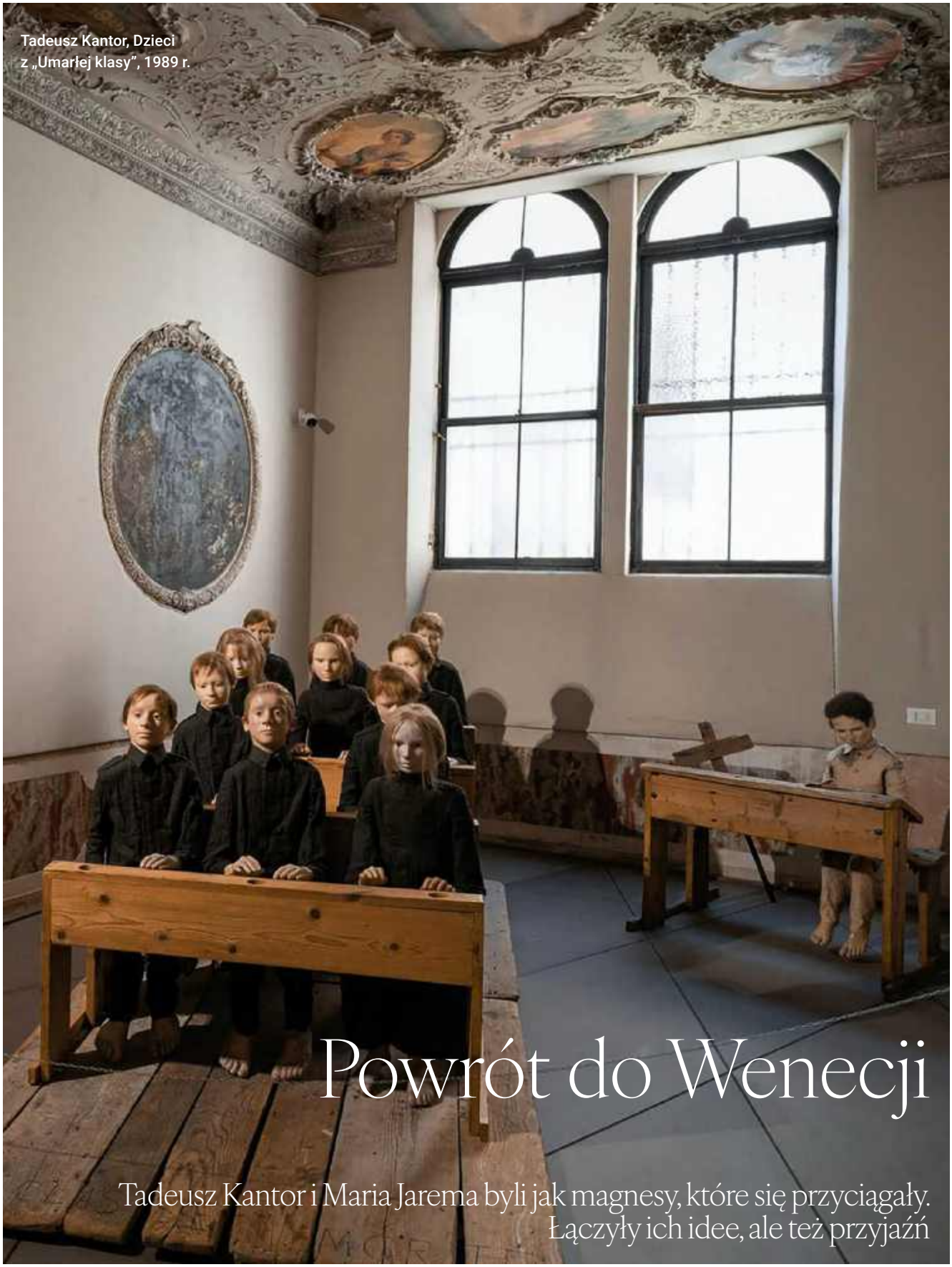

Tadeusz Kantor, Dzieci z „Umarłej klasy", 1989 r.

Powrót do Wenecji

Tadeusz Kantor i Maria Jarema byli jak magnesy, które się przyciągały. Łączyły ich idee, ale też przyjaźń

Z **ANIĄ MUSZYŃSKĄ,** KURATORKĄ, ROZMAWIA **PAULINA REITER**

Maria Jarema i Tadeusz Kantor wracają do Wenecji?
– Można tak to ująć. Związki Tadeusza Kantora z Włochami to temat na osobną rozmowę, artysta był we Włoszech bardzo ceniony. W latach 80. to była jego druga ojczyzna – wystarczy przypomnieć, że „Wielopole, Wielopole", ikoniczny spektakl, wyprodukowany został we Florencji.

W 1958 roku podczas XXIX Biennale Sztuki w Wenecji wyróżniony został film „Uwaga, malarstwo" zrealizowany przez Antoniego Nurzyńskiego i Mieczysława Waśkowskiego według koncepcji Tadeusza Kantora, a już dwa lata później artysta został wybrany do reprezentowania Polski na kolejnej edycji Biennale. Ten sam rok okazał się również momentem wielkiego sukcesu Marii Jaremy, która otrzymała na Biennale nagrodę im. Francesco Nullo za swoje monotypie – prace niezwykle nowoczesne i wyprzedzające swoją epokę. Była to dla niej realna szansa na międzynarodowe zaistnienie, niestety przerwana przez jej przedwczesną śmierć w tym samym roku. Twórczość Jaremy przez dekady pozostawała obecna przede wszystkim w polskiej historii sztuki, dlatego jednym z najważniejszych celów tej wystawy jest ponowne wprowadzenie jej dzieła do międzynarodowego obiegu i pokazanie go w nowym, szerokim kontekście europejskiej awangardy powojennej.

Monograficzną wystawę Marii Jaremy można w tej chwili oglądać w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, my zaś chcieliśmy wykorzystać moment naszej obecności w Wenecji, na Biennale Sztuki, by pokazać jej twórczość tutaj, wpisaną w kontekst przyjaźni z Tadeuszem Kantorem.

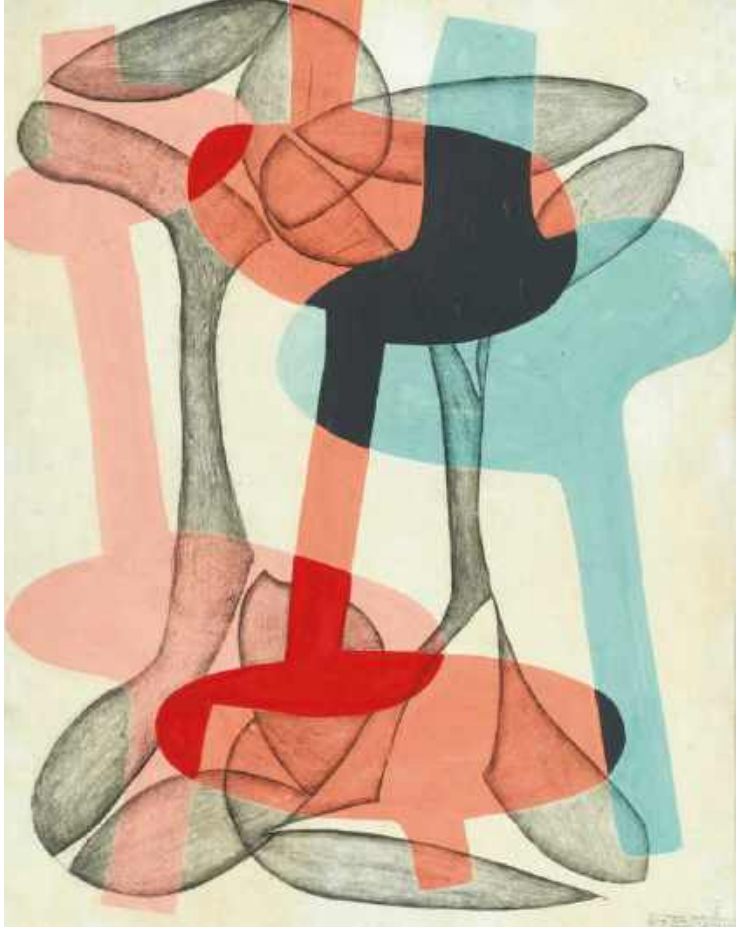

Maria Jarema, „Wyrazy", 1957 r. Poniżej: Tadeusz Kantor, „Kąpiąca się", 1967 r.

FOT. STARAK COLLECTION; TOMASZ PIKUŁA; MACIEJ JĘDRZEJEWSKI

Kantora nie trzeba wprowadzać w orbitę sztuki światowej, on tam już jest?
– Zdecydowanie tak, ale należy go przedstawić młodej publiczności, która po raz pierwszy zetknie się z jego energią twórczą. Przy każdym Biennale – a jest to nasza piąta wystawa – mamy nową publiczność, młodych ludzi, którzy prawdopodobnie nigdy nie zetknęli się z twórczością artystów polskiej awangardy. Sądzę, że to będzie dla nich bardzo interesujące odkryć tę sztukę. Wnioskuję między innymi z tego, że spotykam ludzi, którzy mieli kontakt z twórczością Kantora – na przykład w Londynie, w Rzymie, Florencji czy w Nowym Jorku, gdzie pokazywał „Umarłą klasę" czy „Wielopole, Wielopole" na Broadwayu, i mówią mi, że to było dla nich wstrząsające przeżycie, którego nigdy nie zapomnieli. Dla nich z kolei ta wystawa to możliwość powrotu do tamtych emocji i radość, że znów z tą energią się spotykają. Sztuka – zarówno Kantora, jak i Jaremy – się nie zestarzała, nadal ją rozumiemy, ciągle budzi dreszcz i fascynuje.

61. Biennale w Wenecji jest bardzo rozpolitykowane, pełne protestów, strajków wobec okupacji Ukrainy i Palestyny. Wasza wystawa jest z dala od polityki?
– Nie do końca, ponieważ trudno oddzielić twórczość dzisiejszej generacji twórców od doświadczenia politycznego i rzeczywistości powojennej Europy. Zarówno Tadeusz Kantor, jak i Maria Jarema należeli do artystów aktywnych i bezkompromisowych wobec narzucanego po wojnie reżimu komunistycznego oraz doktryny socrealizmu. Wybór niezależności artystycznej często oznaczał wtedy marginalizację, brak możliwości wystawiania czy zawodowe konsekwencje – podobnie jak stało się to w przypadku wielu twórców tamtego czasu, między innymi Władysława Strzemińskiego. Nasza wystawa nie jest jednak wystawą polityczną wprost, ale opowieścią o wolności twórczej, autonomii sztuki i o artystach, którzy potrafili zachować własny język mimo silnej presji ideologicznej.

Tadeusz Kantor, „Trzymam obraz na którym jestem namalowany jak trzymam obraz", 1987 r.

„Jestem dumny i wzruszony, że szedłem z Tobą dobry kawał drogi" – pisał Kantor w „Liście do Marii Jaremy", który przywołany został na wystawie.

– W naszej wystawie ważny jest wymiar ludzki – podkreśla ona nie tylko pokrewieństwo twórczości tych dwojga artystów, ale także ich przyjaźń, wzajemną fascynację. Oni byli jak magnesy, które się przyciągały. Łączyły ich idee, ale też przyjaźń. Spędzali razem czas, tworząc, ale też pływając na kajakach. Byli dla siebie bardzo ważni. Chciałam oddać ducha tej przyjaźni. Wątek relacji międzyludzkich jest często pomijany, a dla mnie jest on niesłychanie istotny.

Maria Jarema studiowała na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie w pracowni rzeźby prowadzonej przez Xawerego Dunikowskiego, profesora wymagającego, srogo oceniającego młodych adeptów sztuki. Już wtedy Dunikowski z wielkim podziwem odnosił się do tego, w jaki sposób Jaremianka podejmowała decyzje o treści i formie swoich wypowiedzi artystycznych. Uważał, że jest dojrzała, interesująca i świetnie się zapowiada. Maria Jarema była fizycznie subtelna, delikatna, wręcz krucha, lecz zarazem obdarzona niezwykle silną osobowością i wielkim intelektem. Fascynowała wielu artystów, między innymi Tadeusza Kantora. Połączyła ich więź oparta na wspólnych wyborach artystycznych, doświadczeniach teatralnych oraz przeżyciach wojennych. Czerpiąc z tradycji przedwojennego teatru Cricot, Jarema współtworzyła Cricot 2, a doświadczenia związane z przedwojenną Grupą Krakowską kontynuowała w Drugiej Grupie Krakowskiej. Dla Kantora była starszą koleżanką i ważną inspiracją. Spotkanie tych dwóch silnych osobowości musiało zaowocować twórczą eksplozją. O tym jak głęboko Jarema wniknęła w świadomość Tadeusza Kantora, świadczyć może fakt, że jej postać pojawia się w ostatnim spektaklu artysty „Dziś są moje urodziny", którego premiery Kantor nie dożył. Realizował go w końcówce lat 80., premiera miała miejsce w 1990 roku. Znajdziemy w nim wiele scen, które mówią o jego życiu, i przywołuje wiele postaci, które były dla niego ważne, między innymi jest tam postać Marii Jaremy, jako strażniczki awangardy. Ta postać – jej kostium – są przywołane w naszej wystawie, jak również wspomniany wiersz, który Kantor napisał dla Marii Jaremy, mówiący o tym, kim była dla niego.

Jaki klucz znalazła pani do tej wystawy?

– Sale wystawowe w budynku Prokuracji Starej (Procuratie Vecchie) na placu św. Marka w Wenecji to nie jest przestrzeń na wielką retrospektywę obojga artystów. Z wielu wątków, które można tu podjąć, wybrałam te, które pokazują spotkania i miejsca przecięć Kantora i Jaremy, a także

Ania Muszyńska - kuratorka wystawy „Tadeusz Kantor (1915–1990). Emballage, Cricotage and Madame Jarema"

procesualność twórczości. Kantor nie dawał się zamknąć w szufladzie, jego twórczości nie da się dzielić na malarską i teatralną – jedno wynikało z drugiego, przenikało się. Zaczynamy wystawę od sal poświęconych informelowi – ruchowi w malarstwie abstrakcyjnym, który był reakcją na rygory kompozycyjne. Pokazujemy film „Uwaga, malarstwo", który dostał nagrodę na pierwszym festiwalu filmów o sztuce na Biennale w Wenecji. To film, który nie traktował sztuki w sposób dydaktyczny, tylko właśnie procesualny – pokazywał fascynację procesem tworzenia. Następnie mamy obrazy czerpiące z surrealizmu, widzimy w nich próbę oderwania od doświadczenia wojennego. Dalej jest ambalaż, czyli opakowywanie, ukrywanie, osłanianie i izolowanie. To, co ukryte, ma w sobie tajemnice, nie jest wulgarnie dosłowne, daje możliwość zabawy wyobraźni.

Kantor potrafił przy pomocy pozornie nieważnych przedmiotów mówić o wielkich rzeczach. Proszę mi powiedzieć, czy jest coś smutniejszego niż połamany parasol? Przedmiot kaleki, na pozór bezwartościowy? On ten kaleki przedmiot umieszcza w swoich obrazach.

Kantor był demiurgiem doświadczenia straty, pamięci i bólu. O tym jest „Umarła klasa" i wiele innych, późniejszych dzieł – o śladach, które zostają po tragedii, między innymi po wojnie. Pokazujemy instalację z „Umarłej klasy" – rzędy ławek z manekinami dzieci. Kantor powołał do nowego życia pamięć rekwizytów i obiektów, tworząc z nich pełnoprawne dzieła sztuki.

Prezentujemy film Andrzeja Wajdy „Umarła klasa", który powstał rok po premierze, w 1976 roku. Wajda Kantora podziwiał, uważał za geniusza i przekonał do powstania tej realizacji.

Pokazujemy też obrazy, w których Kantor rozlicza się ze swoim życiem, przeczuwając jego koniec. To cykle obrazów, które powstały w drugiej połowie lat 80., m.in. „Cholernie spadam", „Dalej już nic". Pokazują te strony człowieczeństwa, których się często wstydzimy albo boimy, które wolelibyśmy ukryć. Kiedy patrzę na „Cholernie spadam", odczuwam śmierć jako nieunikniony koniec życia i doceniam odwagę mierzenia się z nią.

Ważna część wystawy poświęcona jest Marii Jaremie, stanowiąc pole do pokazania jednego z najważniejszych aspektów jej twórczości – dialogu ze sztuką teatru oraz współpracy z Tadeuszem Kantorem w ramach Cricot 2. Prezentujemy znakomite monotypie ze Starak Collection, a szczególnym elementem tej części ekspozycji są rekonstrukcje kostiumów przygotowane przez pracownię Teatru Wielkiego – Opery Narodowej na podstawie rysunków Jaremy i archiwalnych fotografii spektakli. Ta prezentacja pozwala odczytać teatralny wymiar jej twórczości i podkreśla niezwykle nowatorski charakter jej działań. ▲

Wystawa czynna do 22 listopada 2026 r. na placu św. Marka w Wenecji.

KSIĄŻKA

Ta, która zaznała wielu miłości

Odnalazłam własny głos dzięki podróżom. Głos piosenkarki, głos pisarki. Przemierzałam wschodnią część Europy i skończyłam w Polsce, w Dolinie Charlotty z jej dziwnym lasem i małym zoo, którego strzeże stary mongolski wielbłąd dwugarbny o kudłatym futrze i wielkich, smutnych oczach w oprawie długich rzęs" – pisze Patti Smith niemal na końcu swojej nowej autobiografii „Chleb aniołów", która ukazała się właśnie w tłumaczeniu Dariusza Żukowskiego (wyd. Czarne). To pewna kompozycyjna klamra, bo książka zaczyna się dokładnie w tym samym miejscu – nad brzegiem polskiego jeziora między Słupskiem a Ustką, gdzie Smith występowała w sierpniu 2017 r. W dolinie, której nazwa kojarzy jej się z imieniem porcelanowej lalki pozostawionej w trawie przez dziecko, które poszło zbierać jagody.

Chociaż praktycznie cała twórczość Patti Smith, najwyższej kapłanki punku i pierwszej damy rocka, ma autobiograficzny charakter, „Chleb aniołów" to książka, która niczym fragmenty życiowej układanki wpasowuje się w luki pozostawione głównie przez „Poniedziałkowe dzieci". Tamta, wydana w 2010 r. książka była spełnieniem obietnicy danej Robertowi Mapplethorpe'owi, jej przyjacielowi i towarzyszowi wkraczania w dorosłość, który poprosił ją o spisanie ich historii. Skupia się na czasie, który spędzili razem, tułając się po nowojorskich ulicach, pomieszkując w legendarnym hotelu Chelsea. W „Chlebie aniołów" Smith pisze natomiast coś, co kino nazwałoby jej prequelem i sequelem, czyli tym, co wydarzyło się przed i po „Poniedziałkowych dzieciach", ale też tym, co wydarzyło się w trakcie, ale nie dotyczyło Roberta Mapplethorpe'a.

Autorka wraca myślami do dzieciństwa, naznaczonego nieustannymi przeprowadzkami, jej chorobami, czasem spędzanym z rodziną i samotnie. Nie chciała dorosnąć. „Nie aspirowałam do członkostwa w świecie dorosłych wypełnionym niekończącymi się obowiązkami. Chciałam swobodnie biegać i sala po sali tworzyć budowlę własnego świata. Lecz mechanizmu zmian nie dało się powstrzymać" – przekonuje.

Wspomina swoje pierwsze literackie spotkania z wielkimi poetami czasów minionych – Rimbaudem czy Verlaine'em, ale i jej współczesnymi m.in. Burroughsem i Dylanem. Tłumaczy, dlaczego sama wybrała ścieżkę artystki i co była gotowa ofiarować, żeby na niej wytrwać. Wiele miejsca poświęca też swojej swojemu ukochanemu mężowi Fredowi „Sonicowi" Smithowi, dla którego porzuciła swoje nowojorskie życie na rzecz domu nad kanałem w St. Clair Shores w stanie Michigan, i z którym doczekała się dwójki dzieci. Pisze o powstawaniu kolejnych płyt, muzyce, która okazywała się ratunkiem dla poranionej duszy. Składa w całość okruchy wspomnień, które ją ukształtowały, które budowały jej wrażliwość, złość, smutek i tęsknotę. ▲ **(Joanna Wróżyńska)**

PATTI SMITH
„Chleb aniołów",
tłum Dariusz Żukowski,
wyd. Czarne

SZTUKA

Energia od Mariny

Marina Abramović, pionierka i ikona sztuki performansu, wiele razy zapisywała się w historii. Na przykład w 1997 r., gdy jako pierwsza kobieta zdobyła Złotego Lwa dla najlepszego artysty na Biennale w Wenecji. Prawie trzydzieści lat po tym wydarzeniu i na kilka miesięcy przed swoimi 80. urodzinami została pierwszą żyjącą artystką, której indywidualną wystawę poświęca ponad dwustuletnia wenecka Galleria dell'Accademia. Ekspozycja „Transforming Energy" miała premierę w zeszłym roku w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Szanghaju. W Wenecji prace Abramović zestawiono z renesansowymi arcydziełami ze stałej kolekcji muzeum. To m.in. jej fotograficzne dzieło „Pieta (z Ulayem)" z 1983 r., które wchodzi w dialog z prezentowaną obok, starszą o ponad 400 lat „Pietą" Tycjana. Główna i największa część ekspozycji mieści się w przestrzeni wystaw czasowych muzeum i koncentruje na projekcie, nad którym artystka zaczęła pracować pod koniec lat 80., po przejściu Wielkiego Muru Chińskiego. Zafascynowała ją wtedy energia różnych kamieni szlachetnych, takich jak kwarc czy ametyst.
Przed wejściem do tej części widzowie otrzymują słuchawki izolujące od dźwięków otoczenia oraz instrukcję, by nie używać telefonu. „Chodzi o to, by całkowicie zatracić się w czasie" – tłumaczy pracownica muzeum. W środku czekają ludzie ubrani w białe fartuchy; to oni, chwytając za dłoń, prowadzą do poszczególnych stanowisk. Abramović zasłynęła z używania własnego ciała jako medium do testowania granic fizycznych, psychicznych i emocjonalnych. Tym razem w centrum stawia ciało widza, które może w trzech perspektywach – stojąc, siedząc lub leżąc – wchodzić w interakcje z obiektami, zwanymi przez artystkę „przejściowymi". „Niektóre obiekty mają na celu opróżnienie umysłu widza, inne – dodanie mu energii, a jeszcze inne – umożliwienie umysłowej ucieczki" – mówiła o projekcie Abramović. „Transforming Energy" jest więc wystawą-doświadczeniem. Nie bierną obserwacją, lecz aktywnym uczestniczeniem i obecnością. Abramović jest przekonana, że dzisiaj widzowie, zwłaszcza ci młodzi, bardziej niż kiedykolwiek oczekują właśnie bezpośrednich doświadczeń. Wystawę nazywa swoim dziedzictwem. ▲ **(Justyna Grochal)**

„MARINA ABRAMOVIĆ: TRANSFORMING ENERGY", Galleria dell'Accademia, 6 maja – 19 października 2026 r.

MUZYKA

Halo, tu Daria

Pisze o tym, czego doświadcza, co ją boli, jaka chciałaby być. Nie zbacza z tego kursu na nowym, trzecim studyjnym albumie. „Halo. Co jest grane?" to dwanaście szczerych historii, w których Daria ze Śląska mierzy się z rzeczywistością, komentuje jej absurdy („JPRDL") i ułomności natury ludzkiej („Wariatka"). Bywa ironiczna, nawet uszczypliwa („Pan ze stolicy"), ale dostrzega też to, co wokół niej dobre. „Ten album jest mniej o ciężkich relacjach czy złamanym sercu, a bardziej o ludziach w moim otoczeniu" – mówiła „Wysokim Obcasom". Utwór „Ciężki plecak" jest jej hołdem dla najbliższych. Kolejnych płyt nie postrzega jako rewolucji, raczej jak etapy artystycznej ewolucji i przestrzeń na rozwój. Reżyseruje klipy, aktywnie włączyła się w produkcję wszystkich piosenek. ▲ **(Justyna Grochal)**

Wywiad z artystką dostępny w czerwcowych „Wysokich Obcasach Extra" oraz na wysokieobcasy.pl.
Daria ze Śląska „Halo. Co jest grane?", Jazzboy Records

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI POLECA WIERSZ

Pogotowie zrobiło ekg mojej matce

okazało się że nic jej nie jest
o czym wiedzieliśmy bez ich pomocy
że nic jej nie jest poza tym że szaleństwo
zagląda w oczy

i przyśpiesza tętno

mamusia była w mieszkaniu babci
i któreś z urojeń tak ją zmartwiło
że ciśnienie musiało jej strasznie podskoczyć
i babcia w środku nocy wali w nasze drzwi
z całych sił abyśmy my wybrali 112
bo ona nie ma z czego

nas to również zmartwiło

ale tylko na trochę
resztę nocy przespaliśmy
a rano przepadło wszystko co się śniło
każdy zapomniał co było najpierw
ale chyba kura

wszystko ma swoją matkę

nasza zrobiła śniadanie
zrobiła tak by jajko się ścięło

OLIWIA STĘPIEŃ jest poetką. Powyższy wiersz pochodzi z tomu „Fakty tysiąca i jednej nocy" (wyd. WBPiCAK)

KAMILA SZCZEŚNIAK RYSUJE

FOT. JIM DYSON/GETTY IMAGES; ©YU JIEYU; JAZZBOY RECORDS / ADAM SŁABOŃ; GIJSBERT HANEKROOT/REDFERNS/GETTY IMAGES

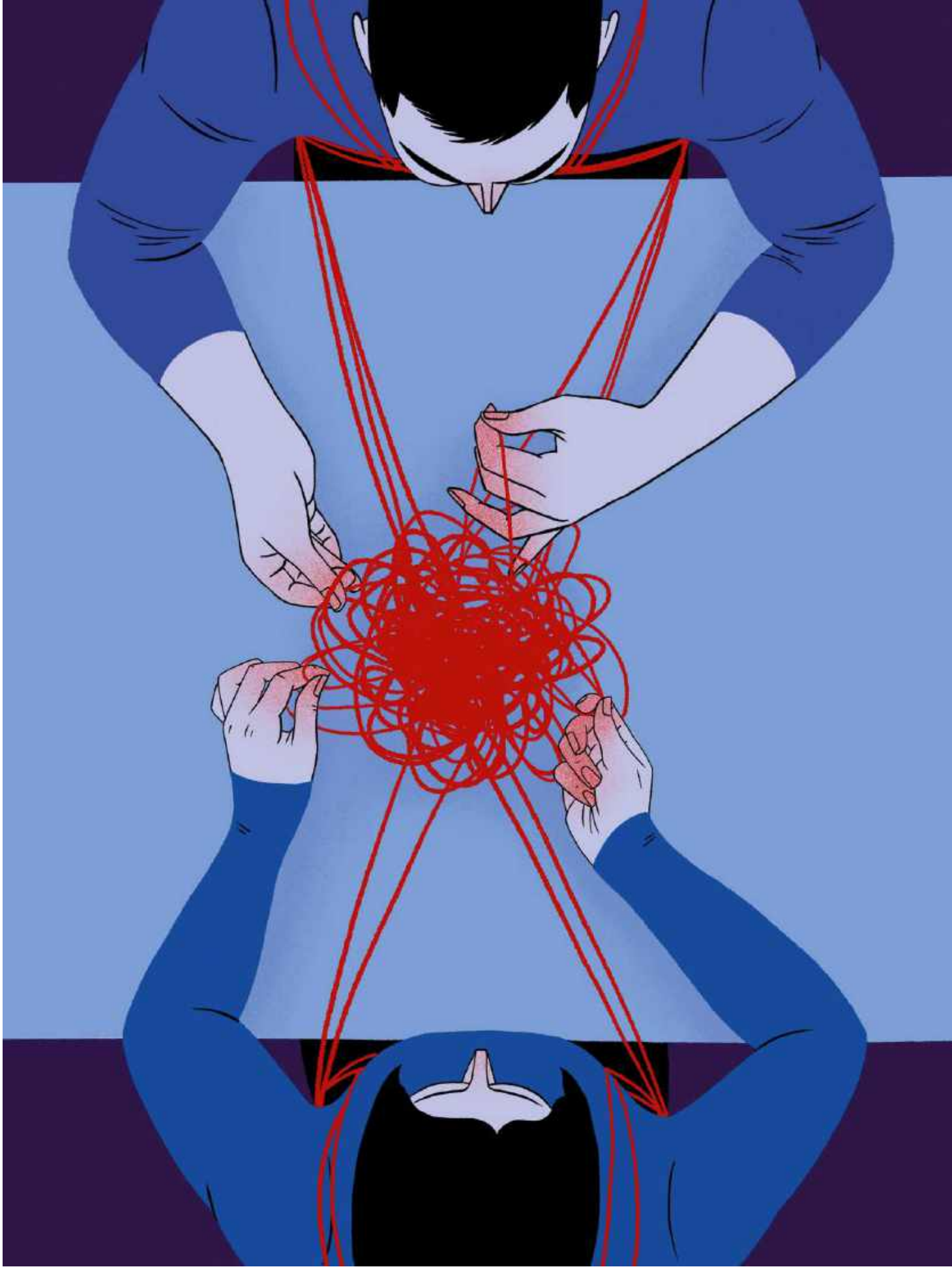

Świat sprzyja dziś *rozstaniom*

Prędzej czy później rozstanie spotka każdego, kto tworzy relacje z innymi ludźmi. Są już poradniki, podcasty i rytuały, jak to dobrze robić

TEKST **AGNIESZKA KAMIŃSKA**
RYSUNEK **BASIA POSPISCHIL**

Zapłakana blondynka w piżamie zapada się w kanapę. Lody popija winem, w popielniczce gasi kolejnego papierosa, wyje do piosenki „All by myself" Celine Dion. Kiedy na ekrany polskich kin wchodziła ekranizacja „Dziennika Bridget Jones", pokolenie dzisiejszych czterdziestolatek przeżywało pierwsze miłości. I pierwsze rozstania. Popkultura podsuwała młodym kobietom smutną wizję życia w samotności. Koniec romansu jawił się jako koniec świata.

Ćwierć wieku później normą stało się mówienie o byciu solo również jako o wyborze. Trudno oszacować, ile Polek i Polaków rzeczywiście wybiera życie bez związku, ale w urzędach stanu cywilnego coraz rzadziej wybrzmiewa marsz weselny. W 2024 roku pobrało się 135 tys. par, co jest najniższym wynikiem w okresie powojennym. Za to pełne ręce roboty mają sądy, każdego roku orzekają ok. 60 tys. rozwodów. Tak kończy się już niemal co trzecie małżeństwo, w największych miastach nawet co drugie. Rośnie też liczba osób mieszkających w pojedynkę.

Już więc nie tylko początki, ale i końce miłości są tematem poruszanym publicznie. I nie chodzi tylko o to, że celebryci publikują na portalach społecznościowych oświadczenia o rozwodzie i rozstaniu w przyjaźni. Powstaje cała infrastruktura wsparcia w odejściach – od rynkowej oferty rytuałów symbolicznego domknięcia i nowego otwarcia po centra usług rozwodowych.

O ROZSTANIACH BEZ ŚCIEMY

Piekielnie Szczere to podcast, który w minionym roku miał 13 milionów odsłuchań. Twórczynie, Gabriela Gargaś i Weronika Michalczyk, zapraszają do rozmowy celebrytów, ekspertów, osoby z wyjątkowymi historiami. Jak same podkreślają, zależy im, aby mówić o sprawach trudnych w sposób przystępny.

Tematem, który wraca jak bumerang, są rozstania. Domagają się tego sami słuchacze i słuchaczki. – Dzisiaj coraz więcej osób potrafi powiedzieć „to nie działa" i zamiast tkwić w relacji z przyzwyczajenia, wybiera siebie – mówią twórczynie podcastu.

W serwisach społecznościowych nie brakuje komentarzy odbiorców, że konkretne odcinki skłoniły ich do zmian, do postawienia granic, do przyjrzenia się własnemu życiu. Dla autorek to sygnał, że te rozmowy są potrzebne. Odzywają się także mężczyźni. Najczęściej prywatnie. Piszą o depresji, samotności, rozterkach sercowych. – Wciąż rzadko robią to publicznie, jakby emocje były czymś, co należy przeżywać po cichu, najlepiej bez świadków. Bo przecież „trzeba być twardym". A jak wiadomo, twarde rzeczy najłatwiej pękają – mówią Piekielnie Szczere.

Gabriela i Weronika nie dają słuchającym gotowych recept, nie przyklaskują trudnym wyborom. – Zakończenie relacji to jedna z najtrudniejszych decyzji w życiu i nie powinna być podejmowana pod wpływem impulsu. Często włącza się nam dobrze znany mechanizm: „gdzieś indziej będzie lepiej", a zmiana partnera nie zawsze oznacza zmianę schematów, które nosimy w sobie – mówią. Ale są relacje, których nie da się już naprawić rozmową przy kawie. – Takie, w których znika szacunek, bezpieczeństwo, poczucie bycia ważnym. I wtedy rozstanie zaczyna być koniecznością – dodają.

WYPALENIE RELACJAMI

Czy rozwody i rozstania przestają być tematem tabu? – Na pewno zmieniło się społeczne podejście do rozstania – przyznaje dr Katarzyna Kalinowska, socjolożka z Collegium Civitas. Jeszcze w pokoleniu babć dzisiejszych czterdziestolatek nie było przyzwolenia na rozwód, ludzie tkwili w nieszczęśliwych, niekiedy przemocowych małżeństwach. Stygmatyzowane były też związki powtórne. – Dziś sankcje społeczne grożą nam znacznie rzadziej. Społeczeństwo się laicyzuje, brakuje ciągłości wspólnot lokalnych, rodziny wielopokoleniowe rzadko żyją pod jednym dachem, częściej zmieniamy też kręgi przyjacielskie. Świat sprzyja odcinaniu relacji bez konsekwencji – dodaje socjolożka.

Katarzyna Kalinowska prowadzi badania Lovendings, dotyczące społecznych mechanizmów odkochiwania się i wychodzenia ze związków. Dlaczego ludzie rozstają się dzisiaj częściej? – Bo muszą – mówi.

Rozstaniom sprzyja tzw. hiperusieciowienie. Codziennie przecinamy się z setkami osób, wirtualnie, w komunikatorach, w serwisach społecznościowych, grupach online. – Są to tzw. więzi słabe, ale wymagają stałej obecności i zaangażowania, choćby miało to być tylko serduszko pod postem. O nadmiarze mówimy od dawna w kontekście konsumpcji przedmiotów i usług. Teraz dochodzi do tego zmęczenie nadmiarem relacji, czujemy się przytłoczeni kontaktem z drugim człowiekiem – tłumaczy Katarzyna Kalinowska.

Alternatywą dla relacyjnego konsumpcjonizmu bywa less is more. – Dla młodego pokolenia sologamia może być postawą nonkonformistyczną. Tak jak odmawiają kupowania tanich ubrań szytych w Azji, robią też detoks od taśmowego wchodzenia w relacje intymne – mówi socjolożka.

Bo w świecie, który kieruje się logiką przyspieszenia, istnieje społeczny przymus podążania za tempem zmian i nieustannego rozwoju, otwierania się na nowe.

– Dotyczy to też sfery miłosnej. Żeby móc wejść w nowe relacje, musimy oczyścić pole. Inaczej nasze życie uczuciowe stanie się nudne, będzie projektem drugiej prędkości – mówi socjolożka. Wychodzenie z relacji także przyspieszyło. Na tzw. ghosting, czyli znikanie bez słowa, narzekają użytkownicy aplikacji randko-

wych. Tysiące małych rozstań wydarzają się w sieci codziennie.

Kalinowska podkreśla, że rozstanie i odkochiwanie się to często nie są równoległe procesy. – Bywa, że rozstaliśmy się, ale wciąż kochamy i musimy sobie jakoś tę miłość wyperswadować. Sięgamy więc po wsparcie w zarządzaniu naszymi emocjami. Bywa, że jesteśmy odkochani, ale musimy jeszcze formalnie zakończyć związek, rozplątać więzi. I to wokół tych procesów tworzy się obecnie cała infrastruktura wsparcia – mówi. Począwszy od „romantyzacji" rozstań, czyli ładnego domykania etapu życia: rozstanie to szansa, za chwilę może czekać cię coś pięknego z kimś innym lub solo.

SZTUKA ROZSTANIA

Rynek zwęszył potrzebę. Miłość była pełna rytuałów: randki, zaręczyny, wieczory panieńskie i kawalerskie, ślub, wesele. Podobnie tworzy się teraz toposy atrakcyjnych rozstań, obudowanych w zabawę, święto, symboliczne, ale radosne formy kolektywnego przeżywania, jak choćby imprezy rozwodowe. To oferta kierowana głównie do kobiet. Rozwinął się też cały biznes wokół projektu „nowego ja" po rozstaniu: zmiana wyglądu, opieka trenerów personalnych, symboliczne komunikaty, jak np. spersonalizowane tatuaże.

W świecie, w którym ekspertyzuje się niemal każda dziedzina życia, zaczynamy poszukiwać także przewodników, którzy poprowadzą nas przez rozstanie. Stąd poradniki, pojawienie się coachów rozwodowych, wysyp treści wokół rozstań w sieci.

Dr n. med Robert Kowalczyk, profesor Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu, terapeuta par, seksuolog kliniczny i biegły sądowy, uważa, że poszukiwanie tego typu usług jest odpowiedzią na pogłębiającą się świadomość często złożonych konsekwencji rozstania.

– Oferta rośnie, bo zwiększa się nasza potrzeba porządku w chaosie. Rytuały domknięcia dają ramę, poczucie, że coś się wydarzyło i zostało nazwane. Dla niektórych będzie to rozmowa, list, oddanie kluczy, dla innych podpisanie papierów w sądzie czy impreza rozwodowa. Ważne jest jednak, aby przejść żałobę po zakończonej relacji, inaczej otwarcie się na nowe będzie tylko rynkowym sloganem – mówi Kowalczyk.

W 2025 roku ukazała się książka „Sztuka rozstania", której Robert Kowalczyk jest współautorem. W tej samej serii wyszły m.in. „Sztuka kochania" i „Sztuka bycia razem". – Obawialiśmy się, że „Sztuki rozstania" Polacy nie będą chcieli trzymać na półkach – śmieje się Kowalczyk. – Ale to nie jest książka o tym, jak się spakować i szybko wyjść ze związku. Rozstanie to wciąż temat tabuizowany w relacjach, jakby rozpoczęcie rozmowy oznaczało nadchodzące fatum. A przecież, jeśli miłość „do grobowej deski" nas nie spotka, będziemy żegnać się czasem wielokrotnie w ciągu życia z różnymi partnerami i partnerkami. Rozstanie to nie jest porażka, ale doświadczenie, które prędzej czy później spotka każdego, kto tworzy relacje z innymi ludźmi – mówi terapeuta.

Kowalczyk, który słucha par od 15 lat, zauważa zmianę: celem terapii już nie zawsze jest utrzymanie relacji, ale świadome, bezpieczne i odpowiedzialne jej zakończenie. – Nie chcemy trwać w związku za wszelką cenę, ale chcemy, korzystając ze współczesnej wiedzy psychologicznej, nazwać, co się z nami dzieje i podjąć decyzję – mówi profesor.

W gabinecie to najczęściej mężczyźni są zaskoczeni rozstaniem.

Skoro w domu był spokój, to wszystko jest w porządku

Nowym zjawiskiem jest to, że zaczęliśmy dostrzegać różne oblicza rozstań. Nie chodzi już tylko o ostateczny akt zakończenia związku. – Mówimy o opuszczeniu w relacji, rozstawaniu się z pewną wizją siebie w związku albo o przemianie więzi, kiedy stajemy się rodzicami. Kiedyś większe znaczenie miała funkcja relacji, teraz liczą się emocje, jakość: czy czuję się osobą spełnioną i szczęśliwą – mówi Kowalczyk.

Dodaje, że takie podejście zrywa z pokutującym w kulturze schematem, że związek się ma, a nie pracuje nad nim. – Miłość umiera w ciszy. Spierające się pary zwykle wciąż łączą silne emocje. Niepokojące są sytuacje, w których ludzie wydają oświadczenia zamiast ze sobą rozmawiać – mówi.

Czy mężczyźni i kobiety przeżywają rozstania inaczej? – Emocje są te same. Największa różnica dotyczy tego, kto szybciej zaczyna o tym mówić i szukać pomocy. Mężczyźni częściej przeżywają rozstanie jako utratę struktury życia. Kobiety częściej mają szersze wsparcie poza relacją, a dla wielu mężczyzn głównym emocjonalnym wsparciem pozostaje partnerka – tłumaczy terapeuta. W Polsce to kobiety częściej składają pozew o rozwód. Stąd samo rozstanie jest dla nich często końcem procesu, a dla mężczyzn jego początkiem. – W gabinecie to oni najczęściej są zaskoczeni rozstaniem. Skoro w domu był spokój, to przecież wszystko jest w porządku.

DOBRZE, CZYLI JAK?

W polskiej kulturze prawnej o rozwodach zwykło się mówić językiem przemocy: batalia sądowa, walka o dzieci, spór i wina. – Obecnie odchodzi się od narracji konfrontacyjnej na rzecz budowania przestrzeni do porozumienia – zauważa Agata Jarzyna, wiceprzewodnicząca Komitetu Ochrony Praw Dziecka. Dodaje, że kluczowym wyzwaniem pozostaje zmiana podejścia do procesu rozstania: zamiast skupiać się na orzekaniu o winie, należałoby położyć nacisk na uważną opiekę nad emocjami wszystkich stron.

Kluczowe zmiany ustawowe są na horyzoncie. Dzięki nowelizacji Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego, jednej z największych od lat, sąd nie będzie już wskazywał, kto odpowiada za rozpad związku.

Agata Jarzyna ocenia to pozytywnie, ale podkreśla, że w Polsce wciąż brakuje systemowego, kompleksowego wsparcia dla osób, zwłaszcza rodziców, którzy chcą się dobrze rozstać, oraz rozwiązań, które chroniłyby dzieci. Dlatego KOPD, organizacja pozarządowa działająca na rzecz rodzin w kryzysie, uruchomił w 2021 r. Akademię Dobrego Rozstania – bazę wiedzy dla rodziców, pracujących z nimi specjalistów i osób tworzących prawo.

Rozstać się dobrze, czyli jak? – Bezpiecznie dla siebie, dla dzieci, w gotowości do dialogu i porozumienia rodzicielskiego – mówi Jarzyna, która od ponad dwudziestu lat prowadzi grupy edukacji i wsparcia dla rozstających się rodziców. – W takiej przestrzeni można nauczyć się, jak reagować na konflikt, jak rozmawiać ze sobą i dziećmi o emocjach, pojawiających się na różnych etapach tzw. doliny rozstania – wyjaśnia. To używana w Akademii metafora procesu, w jakim znajdują się rodziny w kryzysie.

Mówiąc o relacji rodzice–dzieci po rozstaniu, Agata Jarzyna też używa metafory:

to jak kredka z nawiniętym na nią sznurkiem – przełamujemy kredkę, czyli nasz związek partnerski, ale sznurek – relacja z dzieckiem – zostaje. – Od 80 proc. rodziców słyszymy, że działają dla dobra dziecka. Ale dobro dziecka jest pojęciem bardzo pojemnym, a rozstanie jest jak awaria w samolocie: maskę z tlenem zakładamy najpierw sobie – mówi Jarzyna. W rozmowie o rozwodach widzi potrzebę odejścia od narracji batalii sądowych w kierunku przekazu: sięgaj po pomoc, zaopiekuj się sobą, bierz odpowiedzialność za swoje emocje.

Ważną rolę odgrywają tu ci, do których chcąca się rozwieść para udaje się w pierwszej kolejności: prawnicy. KOPD zorganizował konkurs „Kancelaria przyjazna dziecku". – Zachęcaliśmy adwokatów i radców prawnych, aby pomagali rozplątywać zawiłe supły procedur sądowych, szukali dla swoich klientów porozumienia, a nie wygranej. Weryfikację standardów przeszło 41 kancelarii w całej Polsce.

PRZY WSPÓLNYM STOLE

A gdyby tak zacząć rozwód inaczej? Zamiast od „pozwę cię", najpierw usiąść przy herbacie, porozmawiać i wspólnie poszukać rozwiązań. Mediacje rodzinne w Polsce wciąż nie są opcją pierwszego wyboru.

Głównie kieruje na nie sąd. – W 2025 r. było tak w przypadku 4,1 tys. spraw o rozwód, to 5,25 proc. wszystkich pozwów. Nadal niewiele, ale tendencja jest wzrostowa, w 2012 r. odsetek wynosił tylko 1,9 proc. Sąd kieruje do mediacji zarówno, kiedy widzi szansę na utrzymanie małżeństwa, jak i na ugodowy rozwód – tłumaczy Janusz Kaźmierczak, mediator Fundacji Pracownia Dialogu w Toruniu.

Do mediatorów można też zgłaszać się z własnej inicjatywy. W ubiegłym roku zrobiło tak ponad 3,2 tys. par. – Zdarza się, że ludzie trafiają do nas z ulicy i potrafią w dwie godziny wypracować sześć stron porozumienia. To znacznie skraca czas postępowania procesowego i odciąża sądy – mówi Kaźmierczak.

Mediatorzy działają na rzecz obu stron, asystują w często trudnych rozmowach. – Mówimy językiem rozwiązań, szukamy mostów, burzymy mury. Z mojej dwudziestoletniej praktyki wynika, że kiedy ludziom stworzy się przestrzeń do dialogu, potrafią sami dogadać się, co do opieki nad dziećmi czy podziału majątku. Nie potrzebują do tego osoby w todze na sali sądowej – dodaje.

Dodaje, że mediacji nie należy mylić z pracą terapeutyczną, czyli pracą na emocjach i potrzebach. – Pracujemy z konfliktem, który wynika z trudności w komunikacji. Mediator to osoba, która umożliwia spotkanie, wspomaga dialog, pozwala ludziom się usłyszeć – mówi. Przyznaje, że wiele osób wychodzi z pokoju mediatora z postanowieniem: idziemy na terapię. Nie po to, żeby się zejść, tylko po to, aby jak najlepiej współpracować po rozstaniu. – Mediacja może być bramą dla innych form wsparcia – mówi.

Obecnie mediacje w Polsce są dobrowolne, ale nie tak daleko, bo na Litwie, aby wszcząć postępowanie o opiekę nad dziećmi, należy najpierw zaprosić drugą stronę do mediacji. – Połowa z tych, którzy siadają do wspólnego stołu, wypracowuje ugodę. Być może dobrze byłoby, aby i w Polsce droga do świątyni wymiaru sprawiedliwości prowadziła przez przedsionek mediacyjny – mówi Kaźmierczak.

JAK W „WICHROWYCH WZGÓRZACH"

Dramaturgia rozstań jest wciąż atrakcyjna, czym karmią nas literatura, filmy i seriale. – Idąc za skryptem romantycznym, marzymy, żeby było jak w „Wichrowych Wzgórzach". I to bywa problemem. Przychodzą do mnie osoby i mówią: „Podpisałam papiery rozwodowe i nie zapłakałam". Jeśli nie ma łez, to czy miłość nie była prawdziwa? A co jeśli zamiast żalu poczułem ulgę? Wciąż mamy w sobie silną potrzebę romantycznych początków i zakończeń – mówi Robert Kowalczyk.

Jak dzisiaj rozstawałaby się dawna Bridget Jones? Czy urządziłaby imprezę celebrującą nowy początek? Cieszyłaby się, że znowu jest singielką? Zamiast rozpaczać, założyła profil w aplikacji randkowej? Przyjaźniła się ze swoimi byłymi?

W filmie „Szalejąc za facetem", najnowszej odsłonie serii z 2025 r., Bridget jest singielką po pięćdziesiątce i realizuje projekt „nowa ja". Ale scenarzyści musieli coś zrobić z jej wielką miłością. Mark Darcy umiera. Po to, aby Bridget mogła pójść dalej. ▲

OGŁOSZENIE

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL
WOLISZ E-BOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl
www.wydawnictwoagora.pl
Wydawnictwo Agora

FOT. OLGA PANKOVA/GETTY IMAGES

Gdy ból nie *mija*

Kiedy miesiączka ustaje, objawy endometriozy teoretycznie też powinny ustać, bo to hormony napędzają chorobę. Niestety nie zawsze tak się dzieje

TEKST **KATARZYNA STASZAK**

Powszechne przekonanie, że objawy endometriozy ustąpią razem z ostatnią miesiączką, częściowo mija się z prawdą. Niestety nawet cztery procent kobiet po menopauzie wciąż odczuwa bóle i może wymagać leczenia z powodu endometriozy – podają naukowcy z Instytutu Karolinska w Sztokholmie.

– Ja jestem na to żywym dowodem – mówi Lucyna Jaworska-Wojtas, prezeska Fundacji „Pokonać Endometriozę". Od lat walczy o kompleksowe leczenie kobiet z endometriozą. – Przysięgłam sobie, że jeśli moja wnuczka zachoruje, w tym kraju będzie miała gdzie się leczyć. I żaden lekarz nie będzie jej mówił, że nie potrafi sobie z tym poradzić – tak Jaworska-Wojtas tłumaczy, co napędza ją do działania na rzecz kobiet.

PRZESZŁAM 17 OPERACJI

Ból związany z endometriozą po raz pierwszy Lucyna Jaworska-Wojtas po-

znała jako 12-latka. – A potem było tylko gorzej. Gdy miałam 16 lat, mama zabrała mnie na pierwszą wizytę do ginekologa, jednak z powodu młodego wieku nawet nie zostałam zbadana. Lekarz stwierdził, że jestem zdrowa, że taka jest moja „uroda" i że bóle mi przejdą po urodzeniu dziecka. Nie przeszły – wspomina Jaworska-Wojtas. Przeszła 17 operacji.

Przez endometriozę cierpi co 10. kobieta. Choroba długo nie była przez medycynę rozpoznawana, rozumiana i leczona. Dziś jest jasne, że endometrioza to choroba przewlekła, w której tkanka, podobna do błony śluzowej macicy, czyli endometrium, pojawia się w innych miejscach organizmu. Mogą to być bliskie narządy, jak jajnik, jajowody czy jelita, ale też narządy odleglejsze, jak np. płuca czy mózg. „Zagubiona" tkanka reaguje na cykl miesiączkowy, co prowadzi do stanu zapalnego i bólu. Z czasem w zaatakowanych miejscach powstają zrosty, narządy nie działają prawidłowo, a operacje są bardzo trudne, bo chirurdzy muszą czasem wybierać miedzy uwolnieniem pacjentki od dolegliwości wywołanych endometriozą a skalą uszkodzeń, jakie wywoła sam zabieg. Zanim jednak dojdzie do operacji, kobiety długo czekają na diagnozę. Przykładowo: zmiany w jelitach bywają mylone z zespołem jelita drażliwego. – Choroba nazywana jest „niewidzialną", ponieważ jej objawy nie są widoczne na zewnątrz, często są bagatelizowane, a sama diagnoza bywa stawiana po wielu latach poszukiwań. Kobieta może wyglądać zdrowo, a jednocześnie zmagać się z silnym, wyniszczającym bólem i problemami z płodnością – mówiła prof. Ewa Wender-Ożegowska, konsultantka krajowa w dziedzinie położnictwa i ginekologii, gdy NFZ wprowadzał nowy model opieki dla kobiet z endometriozą. Od zeszłego roku w wybranych szpitalach endometriozą zajmują się zespoły ekspertów: ginekologów, chirurgów, urologów, gastroenterologów, psychologów i dietetyków.

Tysiące kobiet z Polski zawdzięcza tę zmianę m.in. staraniom Lucyny Jaworskiej-Wojtas.

MENOPAUZA OD 36. ROKU ŻYCIA

Pierwszym lekarzem, który powiedział Lucynie Jaworskiej-Wojtas, że może mieć endometriozę, był urolog. Jako 20-latka miała usunięta nerkę. Po urodzeniu syna, jej stan się pogarszał. Zaprzeczyło to „pocieszeniom", które słyszała przez lata, że ciąża zabierze od niej chorobę.

– Miałam 36 lat, gdy lekarze usunęli mi macicę i jajniki. Operacja wywołała menopauzę. Miałam straszne uderzenia gorąca. Właściwe wciąż mam te objawy, a mam już 58 lat. Dopiero niedawno znalazłam pomoc: nowe leki na uderzenia gorąca. Nie zawierają hormonów, powstały z myślą o kobietach, które nie mogą korzystać z terapii hormonalnej – opowiada Jaworska-Wojtas. Teoretycznie, gdy miesiączka ustaje, objawy endometriozy w różnych miejscach organizmu też powinny ustać – przecież to kobiece hormony napędzają chorobę. Gdy ich poziom w okresie okołomenopauzalnym spada, choroba powinna się wyciszać. Takie przekonanie wciąż jest powszechne, ale w ostatnich latach pojawiły się doniesienia naukowe, które tej teorii przeczą.

– Endometrioza nie jest choroba wyłącznie hormonalną, ale także zapalną, związaną ze złym działaniem układu odpornościowego – wyjaśnia Jaworska-Wojtas. Istnieją teorie, według których ogniska endometriozy w organizmie też produkują hormony, co podtrzymuje chorobę.

A czy kobiety z endometriozą mogą korzystać z hormonalnej terapii menopauzalnej, jeśli dokuczają im objawy spadku estrogenów?

– Ze względu na estrogenozależny charakter endometriozy leczenie hormonalną terapią menopauzalną wymaga starannej oceny pacjentki, ale mimo to powinno być brane pod uwagę – podają lekarze z Instytutu Karolinska. Zaznaczają jednocześnie, że terapia wiąże się z ryzykiem nawrotu objawów endometriozy. Wtedy terapia hormonalna musi być przerwana. Ale pilnie potrzebne są nowe badania, żeby zebrać dowody na optymalną opiekę – zaznaczają lekarze ze Sztokholmu.

> Hormony, które napędzają objawy endometriozy, są jednocześnie dla organizmu ochronne. Zapobiegają *m. in. zmniejszeniu gęstości kości*

TE GUZY TO ENDOMETRIOZA?

Gdyby aktualne badania i objawy Lucyny Jaworskiej-Wojtas zobaczył lekarz, który nie zna historii jej choroby, zapewne podejrzewałby nowotwór.

– Mam problemy z przełykiem, musiałam mieć zabieg jego poszerzenia, bo przez endometriozę nie mogłam już normalnie jeść. Teraz czeka mnie kolejna operacja, rozległa, bo w okolicach przełyku, żołądka i przepony. Mam guzy do usunięcia. Przez nie, oprócz bólu i dyskomfortu, miałam kłopoty z oddychaniem – opowiada Jaworska-Wojtas.

Choć niektórzy lekarze specjalizujący się w leczeniu menopauzy mogą przepisać leki czy zlecić operację, to żadna terapia nie jest cudownym rozwiązaniem. Żeby wyciszyć endometriozę, stosuje się np. analogi GnRH, czyli leki wprowadzające kobiety w tak zwaną sztuczną menopauzę.

Ale te hormony, które napędzają objawy endometriozy, są też dla naszego organizmu cenną ochroną. Długotrwałe stosowanie leków obniżających poziom estrogenów skutkuje na przykład zmniejszeniem gęstości kości. Naraża to kobietę na urazy, unieruchomienie, zabiegi i ich skutki uboczne. Kobiety, które po menopauzie nie odczuwają już bólu wywołanego endometriozą, powinny zachować szczególną czujność, jeśli miały wcześniej zdiagnozowane torbiele endometrialne. Potencjalnie mogą się one przerodzić w nowotwór.

Kobieta, która po menopauzie wciąż odczuwa objawy endometriozy, bóle spowodowane zrostami, może na nowo spotkać się z brakiem zrozumienia u lekarzy i znowu mieć problemy z diagnozą – wynika z ustaleń naukowców z Francji i Szwajcarii. Wszystko przez brak cykli menstruacyjnych, które tradycyjnie są ważne dla diagnostyki endometriozy. W Polsce rośnie grupa kobiet po menopauzie, a wśród nich może być wiele takich, które nie pasują do „tradycyjnego" obrazu endometriozy i będą musiały jeszcze długo szukać pomocy. Lucyna Jaworska-Wojtas ma więc kolejną grupę wiekową, w imieniu której będzie rozmawiać z przedstawicielami systemu zdrowia. ▲

W SPRZEDAŻY

wysokieobcasy extra

GASLIGHTING, czyli manipulacje w naszych relacjach
Rodzice to robią dzieciom, kobiety kobietom,
mężczyźni kobietom, i na odwrót

PSYCHOLOGIA: Powrót do matki

URODA: Rytuały w menopauzie

DAVID ATTENBOROUGH kończy 100 lat

DWIE OKŁADKI DO WYBORU!